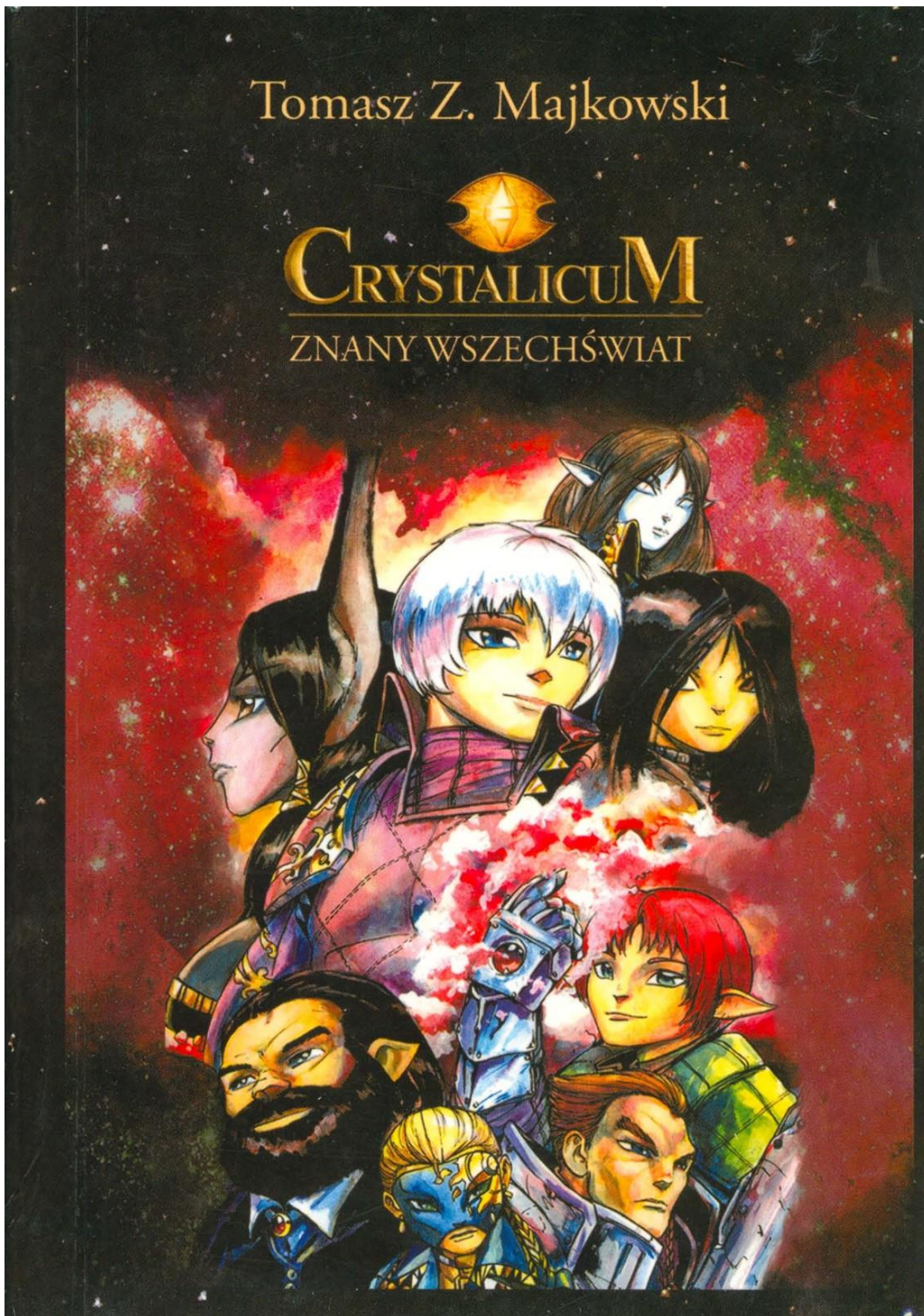


Tomasz Z. Majkowski



# CRYSTALICUM

ZNANY WSZECHŚWIAT



Tomasz Z. Majkowski

# CRYSTALICUM

*Znany Wszechświat*





Opis:

Ilustrowane wspomnienia pana Marco di Mirandeo, ambasadora Miasta Tysiąca Kolumn na dworze Cesarza Lodowych Elfów, podróżnika, żołnierza fortuny oraz awanturnika.

Książka niniejsza jest bramą – gdy otworzysz jej okładki, znajdziesz się w magicznym Znanym Wszechświecie. Śledząc losy głównego bohatera poznasz to niezwykle uniwersum – wraz z nim pożegłujesz na pokładzie międzygwiazdnych żaglowców, odwiedzisz miejsca cudowne i niebezpieczne, spotykając przy tym istoty o niezwykłych obyczajach.

# Wydanie I

[www.crystalicum.pl](http://www.crystalicum.pl)



## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

*w którym Marco di Mirandeo wspomina dawne dni  
swego dzieciństwa i rozważa, coż przywiodło go  
do tak żalospnego położenia.*

*Gianerasmo Cavalcanti*



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Gdy byłem dzieckiem, marzyłem, by zostać żeglarzem. Moją sześciolletnią wyobraźnię rozpałały wizje niebezpiecznych, gwiazdnych burz, które w mgnieniu oka zamieniają całe mile spokojnej przestrzeni w groźny, kipiący wyładowaniami kocioł, zdolny w jednej chwili zmieść najśmielszy nawet okręt. Marzyłem o zapierających dech w piersiach pościgach, bitwach z nickszemnymi piratami i dumną flotą Lodowych Elfów – a nade wszystko o krainach cudownych i odległych, światach zamieszkiwanych przez istoty tak niezwykle, że nie można ich sobie nawet wyobrazić, niezmiernych bogactwach i niepojętej magii.

Kiedy tylko mogłem, wymykałem się niani i biegłem do portu.

Był zawsze ludny, zatłoczony, pełen życia, którego brakowało wewnętrznym częściom miasta. Mniej tu było nieskazitelnej bieli i złota – port skrzył się kolorami, atakował nozdrza zapachem, a uszy gwarem, nie zwracałem jednak uwagi na barwne stragany i pokrzykiwania handlarzy. Biegłem, póki nie dotarłem do samej krawędzi miasta, miejsca, w którym jego okrąg raptownie się urywał, otwierając się na międzygwiazdną przestrzeń. Potrafiłem siedzieć tam godzinami, mając nogami nad bezkresną otchłanią i wypatrując nadpływających okrętów.

Najbardziej cieszyła mnie chwila, gdy statek zbliżał się do miasta. Najpierw dostrzegałem błysk jego żagli, wykonanych z pochłaniającej promienie słoneczne, lśniącej materii. Pojawiał się zawsze raptownie, gdy zbliżająca się jednostka ustawiała żagle na słońce – rozbłyskał niczym nowa gwiazda, pomiędzy światłem

Miasta Ptaków, doskonale widocznym z naszej platformy, a Gwiazdą Zewnętrzną, wskazującą niczym latarnia drogę na zewnątrz układu. Potem lśniący punkt rósł i potężniał, aż, wysilając załzawione od jasności oczy, mogłem dostrzec jego kadłub, nie większy z tej odległości od paznokcia mojego małego palca. Okręt zbliżał się, a ja widziałem coraz więcej szczegółów – i bogowie mi świadkiem, w owym czasie potrafiłem nazwać je wszystkie. Wymieniałem je zresztą szeptem, jak zaklęcie — nazwy żagli, elementów takielunku czy pokładów – modląc się, by pewnego dnia samemu powierzyć któremuś z nich życie i fortunę.

Tymczasem, statek zbliżał się coraz bardziej, a ja podziwiałem smukłą linię jego kadłuba. Jeśli nosiła ślady zniszczeń, roiłem sobie niebezpieczeństwa, z którymi dzielny okręt się mierzył: między gwiazdne potwory, groźnych przeciwników – może nawet wojenne jednostki nie znających litości Astończyków – i wciąż czyhające na żeglarzy unoszące się w przestrzeni skały. Z zapartym tchem śledziłem błyski na groźnych paszczach dział i obserwowałem, jak załoga wbiega zwinnie na maszty, by zwinąć żagle i przygotować się do ostatnich manewrów. W owym czasie do Miasta Tysiąca Kolumn przybywało wiele jednostek i doskonale znałem kształty szerokich, dzielnych galeonów Krasnoludów, smukłych fregat Lodowych Elfów o dziesiątkach trójkątnych żagli, naszych własnych, lekkich i zdobnych karawel czy przysadzistych, zawsze doskonale uzbrojonych flutów Imperium Kryształowego, na których przybywali zwalisci, ponurzy marynarze.

10



Okręt przybijał wreszcie do nabrzeża – zwykle czaiłem się tak blisko, by słyszeć ostatnie komendy, wykrzykiwane w dziesiątkach języków, lecz zawsze takie same – a gdy już rzucono cumy, leciałem co sił w nogach, by oglądać marynarzy schodzących na ląd.

Z rozdziawionymi ustami obserwowałem ich ogorzałe oblicza, dziarskie miny, egzotyczne stroje i zawile tatuaże, przeciskając się do pierwszego szeregu gapiów. Jeśli miałem szczęście, dane mi było widzieć kapitana i oficerów. Czasem jednak niania łapała mnie wcześniej – moja opiekunka dobrze wiedziała, że trzeba szukać mnie w tłumie gapiów — i ciągnęła za ucho do domu, a z jej ust wylewał się potok lamentów nad moją rogatą duszą, gróźb oraz modlitw, by nie wyrosło ze mnie jakieś ladaco.

Teraz myślę, że tęsknota za mikroskopijnym światem okrętowego pokładu, wiecznie przecież zatłoczonym, za odległymi i nieznanymi światami, brała się z samotności i pustki, jaka mnie podówczas otaczała. Powiadają, że wszyscy mieszkańcy mojej ojczyzny, Miasta Tysiąca Kolumn, marzą o podróżach, gdyż nie sposób im żyć w miejscu tak obcym i w widomy sposób nie przez nich wzniesionym. W moim przypadku było to jednak coś więcej.

Rodziców nie widywałem niemal w ogóle – państwo di Mirandeo wiecznie zajęci byli niecierpiącymi zwłoki sprawami królestwa, bezustannie wędrowali lub gościli w pałacu, ja zaś, zamknięty w domu, widywałem ich wyłącznie od święta. Nie pamiętam dziś nawet ich twarzy — matka jest dla mnie jedynie surowym brzmieniem głosu i niezwykłym lśnieniem czarnych oczu, gdy bezceremonialnie brała mnie pod brodę i wpatrywała się w moje dziecięce oblicze.

Ojciec poświęcał mi jeszcze mniej uwagi. Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek zwrócił się do mnie bezpośrednio, choć może niewdzięczna pamięć płata mi figle.

Rodzina moja, majątna i o szlachetnym rodowodzie, posiadała jedną z kolumn, znajdujących się w bezpośredniej bliskości Wewnętrznego Pierścienia. Kolumny zresztą, choć wychowałem się wśród nich, zawsze budziły i budzić będą mój niepokój. Strzeliste i wydrążone, wyrastały z idealnie białego okręgu miasta, czyli zbudowanej przez nieznaną istotę przed tysiącami lat platformy, leniwie orbitującej wokół zielonego świata, zwanego Planetą. Są bardzo różne, wyższe, niższe, szersze i węższe, lecz przy tym niepokojąco podobne. W miejscu, w którym łączą się z podłożem, nie widać szczelin czy innych oznak tego, że zostały wybudowane — wyglądają przez to, jakby samodzielnie wyrosły. Już jako dziecko głowiłem się, kim mogli być



budownicowie naszego miasta i wyobrażałem ich sobie jako międzygwiazdnych zartownisiów, którzy upiekli platformę niczym ciasto, pozwalając, by jego nadmiernie napęczniałe skrawki wystrzeliły w górę. Każda z kolumn dzieli się na dwie części. Niższa jest biała niczym kość, posiada wejście na poziomie gruntu, i sięga do trzech czwartych wysokości kolumny. Tam właśnie mieszka popólstwo – poddani szlachetnych rodów, mieszkańców złocistego zwieńczenia, do wnętrza którego dostać się można wyłącznie z płaskiej platformy, wieńczącej każdą z kolumn. Choć nie mają okien, do wnętrza przenikają promienie słońca, oświetlając, odpowiednio, mlecznym lub złocistym blaskiem piętra i pomieszczenia.

Dolna część kolumny Mirandeo zawsze pełna była ludzi — mieszkały w niej rodziny naszej służby: strażników, rzemieślników i marynarzy, od wieków poddanych mojego rodu. Część górna była nieodmiennie pusta i cicha – nie miałem nigdy żadnych krewnych, choć wiem, że w innych kolumnach żyły całe rody. Rodzice bywali w domu nieczęsto, całe więc dni spędzałem pod opieką niani lub mistrza Nerozzo, który kierować miał moją edukacją i różgą gnał mnie do ksiąg. Poza tym było w domu nieco służby, która z nieznanym mi powodów traktowała mnie zawsze jak powietrze.

Gdy byłem zupełnie mały, pusty i cichy dom przerażał mnie, potem zaś doszedłem do przekonania, że musiałem czymś bardzo zgrzeszyć, skoro rodzice mnie nie kochają i skazują na samotność.

12



Kiedy więc mogłem, uciekałem do miasta, najchętniej do portu, w którym najwięcej jest budynków wzniesionych ręką człowieka. Jeśli nie obserwowałem akurat przyplływających okrętów, lubiłem wślizgiwać się do tawern, gdzie kryłem się pod stołem lub udawałem posługacza, by posłuchać opowieści. Zwyczajem mojego ludu, od zawsze żeglującego wśród gwiazd i słynnego ze swojej w tym względzie śmiałości, jest bowiem, by w każdej tawernie rezydował przynajmniej jeden stary podróżnik, który,

strawiwszy życie na pokładzie żaglowca, na starość nie miał gdzie osiąść. Zwykle przeznaczano mu miejsce przy samym kominku, wśród niezliczonych pamiątek z odległych podróży, gromadzonych przez cały czas istnienia karczmy. Zasiadał tam każdego wieczora i zabawiał gości opowieściami o dalekich stronach.

Dziś wiem już, że jedna połowa tych historii to zwyczajne łągarstwa, druga zaś jest zawsze mocno podkolorowana, jako dzieciak chłonałem je niczym gąbka. Potem, gdy niania już mnie znalazła i zaciągnęła do domu, długo marzyłem o tym, że to ja przeżywam przygody, o których usłyszałem – leżąc na plecach na szczycie naszej kolumny, wpatrywałem się w tańczące na niebie błękity i czerwienie, myśląc, jakąż to fortuna czeka na mnie na gwiazdnych szlakach.

Moje samotnicze, wyzute z przyjaciół i rodzicielskiej miłości życie zakończyło się gwałtownie pewnego wyjątkowo upalnego popołudnia, gdy niania zaciągnęła mnie właśnie do domu i w uszach brzmiały mi jeszcze jej narzekania na ciężką dółę opiekunki takiego wisusa. Mistrz Nerozzo powitał nas wyjątkowo poważnym tonem – skinął na służącą, która podała mi ręcznik do wytarcia twarzy, a potem bez słowa zaprowadził do gabinetu, do którego zwykle nie miałem wstępu. Zdezorientowana niania podreptała za nami.

W gabinecie oczekiwał na nas oficer z osobistej gwardii króla — w mig rozpoznałem w nim żołnierza, spowijał go bowiem od stóp do głów czarny płaszcz, a barwa ta przynależy w naszym mieście wyłącznie sługom tronu. Nakazał mi usiąść, a wówczas niania zaczęła szlochać. Nie rozumiałem wtedy, co się dzieje, nie zauważyłem nawet, że gwardzista zwrócił się do mnie „panie di Mirandeo”, a więc niczym do głowy rodziny. To niezwykle, że po tylu latach bez trudu przypominam sobie jego twarz: duże, orzechowe oczy, dziesiątki niewielkich blizn na czole i policzkach, zaczesane do tyłu włosy, a nie potrafię przywołać wspomnienia twarzy rodziców, o śmierci których mnie informował. Podobno zginęli, wypełniając rozkazy króla, a ich poświęcenie przyniosło mi zaszczyt – już wówczas jednak zafrapowało mnie, dlaczego gwardzista dodał do tego słowa: „cokolwiek by nie mówili”.

Gdy odszedł, powiewając płaszczem, zaczęło ogarniać mnie przerażenie. Nie dlatego, że teraz byłem panem di Mirandeo, sześćioletnim władcą swojej kolumny. Wiedziałem, że na wieść o śmierci rodziców powinien zdjąć mnie smutek i trwoga, a jednak odczuwałem w głębi duszy radosne podniecenie. Ojciec i matka, których prawie nie znałem, kładli wielki nacisk na moją edukację, a wraz z ich odejściem stałem się wolny i mogłem robić, co chciałem. A najbardziej na świecie chciałem zaciągnąć się na okręt.

Tymczasem, gdy ja wyraziłem fałszywy żal, by zadowolić spłakaną nianię, mistrz Nerozzo uklonił się sztywno i bardzo oficjalnym tonem poinformował mnie, że jego zobowiązania wobec moich rodziców wygasają wraz z ich śmiercią i że z prawdziwą ulgą porzuca tak niewdzięcznego ucznia. Odszedł potem i już nigdy nie dane mi było go zobaczyć – podobno wrócił do rodzinnego Miasta

Astrologów, skąd moi rodzice sprowadzili go nie wiedzieć po co. Słyszałem później, że wplątał się w konflikty pracowni astrologicznych i zginął zasztyletowany w jakimś zaułku, to jednak nie należy do kolei mojej opowieści. Dość, że niespodziewane odejście nauczyciela wprawiło mnie w tym większą radość, powiedziałem więc niani, że i ona może się zabierać. Wpadła na to w straszy gniew

14



i po raz pierwszy w życiu przełożyła mnie przez kolano. Przeplakała potem całą noc, podczas gdy ja zajętym byłem pakowaniem moich skarbów do ogromnego kufra rodziców, pewien, że już następnego dnia rozpocznę żeglarską przygodę.

Rankiem jednak zdarzyła się rzecz zgoła nieoczekiwana. Kiedy obudziłem się, później, niż to miałem w zwyczaju, i otrząsnąłem ze snów o podróżach, od razu wyczułem, że w domu zaszła jakaś zmiana. Śmierć rodziców nijak nie wpłynęła na życie naszej kolumny – przecież i tak w niej nie przebywali – teraz jednak czułem wyraźnie, że coś

się zmieniło. Ubrałem się jak najszybciej, pewny, iż ktoś będzie próbował mnie powstrzymać. Po kilku nieudanych próbach podniesienia ciężkiego kufra, wyjąłem z niego tylko owinięte w chustkę oszczędności i cichcem ruszyłem ku drabinie, prowadzącej do wyjścia.

Złapali mnie już po chwili. Na moich ramionach zacisnęły się mocne dłonie dwóch zupełnie nieznanymi mi ludzi, którzy pełnili wartę przed moim pokojem. Bez słowa pchnęli mnie w kierunku, w którym miałem się udać — znów do gabinetu.

Nawet on zmienił się od wczoraj. Nieznani mi służący okrywali właśnie białym płótnem meble i pakowali książki ojca. Portrety stały rzędem, ustawione płótnem do ściany. Przez chwilę czekałem zdezorientowany, aż wreszcie, wciąż zajęty wydawał mi polecenie, do pomieszczenia wszedł człowiek, który od tej chwili miał być mi opiekunem, o czym, rzecz jasna, nie miałem wówczas pojęcia.

Dość jednak, że na jego widok aż zachłysnąłem się z zachwytu – prezentował się lepiej jeszcze i egzotyczniej, niż przybywający z dalekich rejsów marynarze. Czarnobrody, postawny i barczysty, marszczył groźnie brwi nad orlim nosem. W brodzie i włosach widać było pierwsze nici siwizny, postawa jednak nijak nie zdradzała

15



oznak wieku – był muskularny, brzuch miał płaski, a ruchy szalenie sprężyste. Mój entuzjazm wzbudził jednak najbardziej jego oręż – ogromny i szeroki miecz, który nosił niedbale przewieszony przez plecy. Ostrze było wyższe chyba ode mnie, na rękojeści siedział złocisty sokół, a z gardy skrzyły się i migotały cztery Kryształ – największe, jakie widziałem w życiu.

Człowiek popatrzył na mnie surowo i zapytał, czy jestem panem di Mirandeo. Onieśmielony, skinąłem głową, a on tymczasem zakomunikował, że z woli króla przejmuje nade mną opiekę. Zaczerwieniłem się z gniewu — przecież miałem już

sześć lat i byłem prawie dorosły! — wystarczyło jednak spojrzenie groźnych oczu, by sprzeciw uwiązał mi w gardle. Przybysz skinął na mnie i musiałem niemal biec, by dotrzymać mu kroku, gdy obchodziliśmy pałac sprawdzając, czy wszystko zostało należycie zabezpieczone. Po drodze dowiedziałem się, że nieznajomy jest starszym bratem mojej matki, a więc moim wujem, że służy bezpośrednio królowi i że nie ma czasu do stracenia – jeszcze dzisiaj wyjeżdżamy. Nie posiadałem się ze szczęścia, oto bowiem czekała mnie podróż okrętem, w dodatku w towarzystwie kogoś, kto wyglądał na zawołanego wojownika.

Tymczasem mój nowy opiekun jak huragan wtargnął do mojego pokoju, bezceremonialnie otworzył kufer i wyrzucił z niego część rzeczy. Potem bez wysiłku zarzucił sobie skrzynię na ramię.

Bez dalszych ceregieli skierowaliśmy się do wyjścia – gdy zapytałem, czy mogę pożegnać się z nianią dowiedziałem się, że już za późno.

Zrozumiałem wtedy, że kobiecina odeszła, odprawiona przeze mnie tak bezceremonialnie i przez długie lata winiłem się za jej krzywdę.

Prawdę poznałem dopiero niedawno — i być może lepiej byłoby, gdyby nigdy nie wyszła na jaw.

Podróż minęła mi jak sen. Szeroka, płaskodenna łódź, którą kierował jeden z milczących służących mojego wuja, zawiozła nas wprost do portu, gdzie, ku mojej ogromnej radości, zaokrętowaliśmy się na pokład niewielkiej, śmigłej jednostki o błyszczących żaglach — wszyscy członkowie załogi zakrywali twarze maskami, bez trudu rozpoznałem w nich więc obywatele Miasta Twarzy.

Mój opiekun, wciąż nie zaszczycając mnie ani słowem, rzucił kilka burkliwych zdań do kapitana i steward zaprowadził nas do rufówki, w której spędzić mieliśmy podróż. Wuj ciężko opadł na krzesło, oparł ogromny miecz o ścianę i znieruchomiał wpatrując się w okno, przez które widać było port. W jego twarzy było coś z drapieżnego ptaka, takiego samego, jak ozdoba rękojeści jego miecza.

Tymczasem wymknąłem się na pokład i, przycupnąwszy wśród lin, zacząłem z uwagą śledzić czynności towarzyszące wychodzeniu z portu. Gdy obserwowałem, jak marynarze rzucają cumy i zgrabnie wskakują na pokład, poczułem szarpnięcie — to ukryty pod pokładem Kryształ zaczął popychać okręt do przodu. Na razie naładowany był resztą energii słonecznej, niezbędnym do jego funkcjonowania paliwem, pozostawianym właśnie na okoliczność odbicia od brzegu.

Gdy tylko oddaliliśmy się na stosowną odległość, marynarze, popędzani piskiem bosmańskiego gwizdka, wspinać się zaczęli na wanty, by rozłożyć pierwsze żagle.

Gwiezdna żegluga jest w gruncie rzeczy sztuką niezmiernie trudną i wymagającą ogromnego wyczucia. Statek popycha do przodu umieszczony pod pokładem Kryształ, znacznie większy od tych, które zwykle się widuje. By jednak mógł działać, na masztach rozkwitać muszą słoneczne żagle, chwytające życiodajne promienie i bez ustanku ładujące napęd. Wszyscy wiemy, że naładowany Kryształ zachowuje energię przez jakiś czas i, jeśli używa się napędzanych nim przedmiotów, wystarczy raz na jakiś czas odwiedzić słonecznie, gdzie zostanie ponownie wypełniony światłem. Z okrętami sprawa ma się jednak inaczej, manewrowanie jednostką — czy nawet popychanie jej do przodu przez przestrzeń pomiędzy światami — wymaga bowiem ogromnych nakładów energii. Dlatego żagle ładują Kryształ przez cały czas.

17



Na tym jednak sztuka dopiero się zaczyna, ważne jest bowiem utrzymanie równowagi pomiędzy tym, ile energii Kryształ pobiera, a ile zużywa. Jeśli przyjmuje jej zbyt mało, okręt po jakimś czasie zatrzyma się i trzeba czekać, aż Kryształ na powrót się naładuje, co przy klejnocie tej wielkości może potrwać nawet kilkanaście godzin. Jeżeli natomiast okaże się jej nazbyt dużo, czuła aparatura napędowa prędko się przegrzeje i może nawet eksplodować, na zawsze zatrzymując okręt w bezmiarze międzygwiazdnej przestrzeni.

Stąd im szybciej się płynie, tym więcej trzeba postawić żagli i zwrócić je bardziej w stronę słońca. Wspominam o tym wszystkim, być może bowiem, obserwując w dzieciństwie smukłe i piękne kształty okrętów nie macie pojęcia, jak ciężka i niebezpieczna jest służba żeglarza, tak jak i ja nie wiedziałem podczas mojego pierwszego rejsu, który wydawał mi się tylko spełnieniem snów i niezwykłą przygodą.

Choć fascynowałem się marynarskim życiem, czynności pokładowe wkrótce mnie znużyły. Przez chwilę wypatrywałem piratów i gdy dostrzegłem błysk żagli, poczułem przyjemne podniecenie, rychło jednak okazało się, że to tylko kolejny okręt handlowy, zmierzający do Miasta Tysiąca Kolumn. Po jakimś czasie minęliśmy go właściwie burta w burtę, a że płynęliśmy na wysokości jego bocianiego gniazda, przechyliłem się przez reling i jak oszalały machałem do uwijających się na pokładzie tamtej jednostki żeglarzy. Wychyliłem się przy tym bardzo mocno i byłbym pewnie wypadł, lecz czyjaś silna ręka chwyciła mnie za kołnierz. I tak, po raz pierwszy, wuj ocalił mi skórę – co w ciągu następnych lat miał czynić z niesłychaną regularnością.

Przez pierwsze godziny naszej podróży tak bardzo zachłystywałem się samą żeglugą, że ani mi w głowie było zadawanie pytań. Dopiero w porze obiadu, który podano nam we wspólnej kajucie, mój opiekun zagadnął, czy może pragnąłbym o coś go zapytać. Gdy usłyszał, że intryguje mnie przede wszystkim, jak się nazywa, odchylił się do tyłu i zaczął śmiać się głębokim, dudniącym, szczerym śmiechem, który w mgnieniu oka rozproszył chmury na jego czole. Wkrótce też poinformował mnie, że jego nazwisko brzmi Cavalcanti, że jest dyplomatą w służbie króla Miasta Tysiąca Kolumn, że z moją matką nie widział się od lat i wreszcie – że zmierzamy do Miasta Twarzy, gdzie opiekun mój reprezentuje swojego władcę przed tamtejszą arystokracją.

Podróż nie była daleka — choć Planeta jest rozległym światem, a miasto, ku któremu dążyliśmy nie jest wcale najbliższym mojej ojczyźnie, nie sposób żeglować wokół jednego świata bardzo długo.

Zatem, wypłynęliśmy późnym rankiem, na miejsce mieliśmy więc przybyć w południe dnia następnego. Wuj wykorzystał ten czas, by pouczyć mnie o zwyczajach miejsca, w które się udajemy, bym nie przyniósł mu wstydu i nie napytał sobie biedy. Po pierwsze,

powtórzył to, co już od dawna widziałem — że w Mieście Twarzy wszyscy zakrywają oblicza maskami. Zaskoczył mnie jednak, informując, że nie osłaniają w ten sposób swojej tożsamości — wręcz przeciwnie, tym dobitniej ją podkreślają. Maski arystokratów mówią wyraźnie, z którego rodu szlachcic się wywodzi, pozostając jednocześnie jedynymi w swoim rodzaju, by bez trudu można było odróżnić jednego męża od drugiego.

Pospólstwo z kolei posługuje się maskami zależnymi od zajęcia – rzeźnicy zakrywają twarz innym wzorem, niż piekarze czy szewcy.

Rzecz posunięta jest tak daleko, że nawet żebracy posiadają własne maski, wyraźnie informujące, że proszą oni o wsparcie – zwykle wypisują na nich przy tym, jakież to dotknęły ich nieszczęścia. Pokazać się bez maski w miejscu publicznym można tylko przy okazji ślubu i pogrzebu — inaczej wszyscy patrzą na ciebie, jakbyś paradował po ulicy golutki jak w dniu narodzin. Gdy wuj wykladał mi te wszystkie mądrości, aż korciło mnie, by zapytać, czy złodzieje i wszelkiej maści rzezimieszki również noszą maski, informujące wszystkich stróżów prawa, czym się trudnią, widząc jednak surowe oblicze Gianerasma ugryzłem się w język.

Tymczasem wuj kontynuował naszą lekcję. Zapamiętaj sobie – mówił – że Miastem Twarzy włada dziesięć arystokratycznych rodów, które od niepamiętnych czasów wadzą się o supremację.

Każda z tych rodzin wyróżnia się rodzajem masek i sprawuje władzę w jednej z dzielnic. Miałem podobno rozpoznawać je z łatwością, ich mieszkańcy są bowiem dumni ze swoich zwierzchników i noszą maski w przynależnych im barwach. Nie istnieją jednak wyraźne granic dzielnic i początkowo miałem poruszać się po mieście wyłącznie pod nadzorem kogoś obznajomionego z obyczajem.

Mieszkańcy Miasta Twarzy są bowiem niezmiernie czuli na punkcie swojej wojny i niewłaściwie wymówione zdanie, czy piosenka jednej dzielnicy, zanucona na ulicach drugiej, mogła się dla przybysza, niezbyt wprawnego jeszcze w ich odróżnianiu, skończyć bardzo nieprzyjemną przygodą.



Potem, aż do znudzenia, Gianerasmo kazał mi powtarzać nazwiska rodzin i wzory masek, które noszą ich przedstawiciele, a za każdym razem, gdy popełniałem błąd, srożył się i niecierpliwił.

Rychło zdałem sobie sprawę, że jeśli nie poczynię szybkich postępów, dane mi będzie zasmakować różgi, a widząc zwały mięśni mojego opiekuna poczułem niezwykłą motywację do nauki. W u j dokonał więc w jednej chwili tego, co nie udało się przez trzy lata mistrzowi Nerozzo – zmienił mnie w pojętnego i pilnego ucznia. Ten bowiem zbawienny skutek odnosi zwykle strach, że pod jego wpływem dokonujemy czynów, o jakie nigdy byśmy się nie podejrzewali, a przynajmniej tak miało być już zawsze ze mną.

Wieczorem, kiedy bez omyłki łączyłem maski i nazwiska, Gianerasmo uśmiechnął się, zadowolony, a potem przeszedł do daleko dziwniejszej lekcji. Najpierw sprawdzał moją pamięć, ustawiając na stole rozmaite przedmioty – przeznaczenia niektórych z nich nie próbowałem się nawet domyślać – i kazał mi uczyć się ich kolejności,

20



nakazał mi przepisywać wiersze, oceniając charakter pisma, a potem długo patrzył na moje dłonie, które miałem trzymać nieruchomo tuż nad blatem stołu. Wreszcie wziął mnie pod brodę, spojrzał w oczy i zapytał, czy kochałem rodziców. Skłamałem, że tak, na co mój opiekun uśmiechnął się, pokiwał głową i kazał mi pójść spać.

Miasto Twarży zrobiło na mnie wstrząsające wrażenie.

Przede wszystkim, do tej pory żyłem na platformie, której z całą pewnością nie zbudowały ludzkie ręce, w otoczeniu tłumiących wszelkie dźwięki kolumn, wśród wszechobecnej bieli i złota.

Przyzwyczailem się więc myśleć, że drewniane i kamienne budynki, wzniesione ludzką ręką, to wyłącznie przycupnięte pomiędzy kolumnami tawerny, nic więc dziwnego, że miasto, w którym każdy dom wybudowali ludzie, nieco mną wstrząsnęło. Oczywiście, dowiedziałem się później, że i tę platformę wzniesiono na wiele wieków przed pojawieniem się człowieka, była jednak zupełnie płaska, zabudowano ją więc na zwyczajną, ludzką modłę – podobnie zresztą, jak pozostałe z Dziewięciu Miast, wyjąwszy moją ojczyznę.

Już w porcie otrzymaliśmy maski – białe i obłe, pozbawione rysów, informujące, że jesteście przybyszami. Ja założyłem swoją, wuj jednak sięgnął do swoich bagaży i zasłonił oblicze Ambasadorem.

Ludzie Gianerasma, tak samo milczący i tajemniczy, jak grupa, która eskortowała nas w Mieście Kolumn, już na nas czekali – bez słowa wzięli bagaże i poprowadzili nas przez labirynt wąskich uliczek, wijących się pomiędzy wysokimi niekiedy i na cztery piętra domami z czerwonego kamienia w stronę pałacu rodu Celeste, który uzyczał wujowi kwater. Wędrując przez miasto omal głowy sobie nie ukręciłem – tak ciekawiły mnie niezliczone maski, osłaniające oblicza wszystkich przechodniów, witryny sklepów i warsztatów — rzecz zupełnie mi podówczas nieznana – zwieszające się z okien girlandy

21



kwiatów i wszechobecny harmider, gwar tysiąca głosów, zmieszany ze szczękiem narzędzi, skrzypieniem osi wózków, stukotem kopyt po bruku i graną tu i ówdzie muzyką. W Mieście Tysiąca Kolumn nasze niezwykle domy tłumiły wszelkie tego rodzaju odgłosy, zdało więc mi się, że oto znalazłem się w ogromnym ulu.

Wreszcie dotarliśmy na miejsce, do ogromnego, strzelistego kompleksu pałacowego, chronionego wysokim, szarym i najeżonym kolcami murem — za nim znajdowały się

budynki z tego samego, szarego kamienia oraz cudowny, cienisty ogród, w którym z mety się zakochałem. Wuj mieszkał w odległym skrzydle pałacu, tam też zaprowadzili nas służący — i gdy po raz pierwszy zobaczyłem mój położony na najwyższym piętrze pokój, niemal zemdlałem z zachwytu. Mniejsza o meble — ogromny, rzeźbiony kufer czy łoże z baldachimem, o miękkiej kobierce czy wysoki sufit z grubych, zupełnie czarnych belek. Pomieszczenie posiadało ogromne, trójdzielne okno, wychodzące wprost na ogród i dalej, ponad murem, na dachy Miasta Twarzy i ogromną, złotą kulę słońca na błękitno-złocistym niebie. Gdy służący wyszli, wspiąłem się na parapet, zwiesiłem nogi na zewnątrz, tak, jak to robiłem dziesiątki razy w porcie i poczułem, że ludne i pełne życia miasto jest mi już teraz daleko droższe, niż zimna i nieludzka ojczyzna. Wypełniła mnie radość, która uskrzydlać mnie miała przez następne dziesięć lat. Dziś, gdy patrzę z perspektywy czasu, widzę, że dorastanie pod okiem wuja Gianniego było okresem niezmaconej sielanki, najszcześniejszym w moim dobiegającym do tak raptownego końca życiu. Oczywiście, wypełniały je smutki i troski, właściwe szczenięcym latom, miałem jednak dużo swobody, wiernych i gotowych na wszystko przyjaciół, mieszkałem też w miejscu cudownym, które nawet dziś jawi mi się jako wspaniałe i pełne nieprzeliczonych cudów. W u j nie poświęcał mi wiele czasu, jego długie dni wypełniały bowiem rozliczne zajęcia. Bezustannie podejmował gości, nie tylko z rodu Celeste, który tak wspaniało myśli nas gości, lecz i reprezentantów domu Gattino, który kryje twarz pod maskami w kształcie kocich pysków i słynie ze swoich uwodzicielek. Bywali u niego honorowi i porywcy Sorgente o maskach związanych z wodą, a więc wyobrażających to spienione fale, to skrzące się ryby, czy tajemniczy i niepokojący Specchio, posiadacze masek zwierciadlanych. Gabinet jego odwiedzali nawet rzadko widywani, wiodący na połę pustelniczy tryb życia Bianconero, w swych maskach w barwach czerni i bieli — oni także negocjowali kontrakty handlowe z naszą ojczyzną i badali, czy ród ich może liczyć na wsparcie króla.

Jeśli o mnie chodzi, już po pół roku wyzbyłem się maski przybysza. W czasie uroczystego obiadu, podczas którego przy uginającym się od wymyślnych potraw stole zebrało się ze stu Celeste, głowa rodziny, stary, gruby i — jak mi się nawinie wydawało — dobroduszny Riamondino Orso Celeste wręczył mi maskę Gościa — białą

wprawdzie, jak u Przybysza, lecz w połowie ozdobioną przez motyw słońca o wyginających się promieniach, by wszystkim wiadomo było, która rodzina mnie gości. Byłem wówczas tak szczęśliwy, że ledwo wydukałem wyuczoną formułę podziękowania, czym rozbawiłem całe towarzystwo. Dziękowałem bogom, że moja twarz skrywa maska i tylko czerwone uszy świadczą o tym, jak bardzo się zawstydzilem.

Wuj dbał, by nie brakowało mi zajęć. Rankiem odwiedzał mnie nauczyciel szermierki, stary i chudy jak szczapa, ucząc mnie walki lekką, zabójczo ostrą szablą i zarzuconą na lewe ramię peleryną, czyli w sposób powszechnie przyjęty wśród tutejszej arystokracji. Mistrz był niezmiernie surowy, nic więc dziwnego, że lekcje kończyłem zwykle poobijany, poprzysiegając sobie, że następnym razem nie dam się zaskoczyć. Po drugim śniadaniu zaczynały się nauki teoretyczne, a więc historia, heraldyka, retoryka, astronomia, algebra, śpiew, etykieta, taniec czy muzyka, której serdecznie nie znosiłem, nie mogąc zmusić palców, by biegały po strunach lutni tak szybko, jak chciał

23



tego mój nauczyciel. Lekcje muzyki kończyły się więc zwykle różgą i wolałem wymknąć się z nich, niż katować przez godzinę, zwłaszcza, że karą za dezercję była ta sama różga, którą wbijano mi do głowy akordy i nuty.

Gianerasmo odwiedzał mnie wieczorami — nigdy, w ciągu wszystkich tych lat, nie zaniebował kolacji w moim towarzystwie. Do posiłku zdejmowaliśmy maski — ja, przełamując coraz większe skrupowanie — a wuj przypominał mi, skąd pochodzę i jak dostoyny jest mój ród. Potem gawędziliśmy, aż wreszcie przychodziły moje ulubione lekcje, które wuj wpajał mi w głębokiej tajemnicy. Nie wiedziałem, czemu ma służyć opowiadanie niestworzonych historii, podczas gdy on patrzył mi w oczy, trenowanie różnych charakterów pisma, sięganie do obwieszonych dzwoneczkami kieszeni czy

skradanie się przez ciemne korytarze. Ćwiczenia tego rodzaju stały się moją drugą naturą i często uprawiałem je również, gdy miałem czas, nie zdając sobie sprawy, że oto uczę się rzeczy nikczemnych i niehonorowych, o honor dbałem bowiem z zapalem nastolatka.

Tajemnica, do której mnie zobowiązano, zdawała mi się wówczas sprawą rodzinną, a szorstka czułość wuja wystarczała mi za wszelkie zapewnienia.

Wpałacu Celeste roiło się od moich rówieśników, klan tak starożytny miał bowiem niezliczone gałęzie i odłamy – sam Raimondino miał czterech synów, z których każdy spłodził mu przynajmniej dwoje wnucząt. Początkowo czułem się wśród nich obco – przybysz z daleka, wychowany niczym pustelnik, nie potrafiłem ani bawić się według ich zasad, ani ekscytować tym, co ich podniecało. Śmiano się ze mnie, że fascynują mnie drzewa i kwiaty, dla nich zwyczajne, dla mnie zaś, wzrastającego w mieście pozbawionym roślinności, egzotyczne i piękne, ja z kolei nie potrafiłem zrozumieć hałaśliwych gier i zabaw, które nawet wśród małych dzieci podszyte były realizacją ambicji i flirtem.

W końcu jednak udało mi się przełamać i zdobyłem w Mieście Twarzy wiernych przyjaciół. Pierwsza i najważniejsza z bliskich mi osób była drugą córką trzeciego syna głowy rodu, miała zatem znacznie więcej swobody i mniej buty, niż dziedzice i dziedziczki Celeste. Była zwinna niczym łasica i zawsze skora do bitki — stoczyliśmy ramię w ramię niezliczone mnóstwo pięściarskich pojedynków tak z potomkami wrażeń gałęzi samej rodziny, jak zapuszczając się na terytoria innych dzielnic i choć ja zawsze wychodziłem z tych starć poobijany, moja przyjaciółka nieodmiennie triumfowała nad każdym nieprzyjacielem. Tak jak ja, uwielbiała łązić po drzewach i dachach oraz zapuszczać się w zakazane rewiry, byliśmy też w tym samym wieku, nic więc dziwnego, że bardzo szybko znaleźliśmy wspólny język. Jak każda wysoko urodzona arystokratka nosiła cały szereg imion: Sandra Crocifissa Annunziata Ermete Severina, nikt nie używał jednak żadnego, poza pierwszym. Dla mnie też zawsze pozostanie Sandra.

Moja przyjaciółka i jej brat, Bonamico, byli moimi przewodnikami mi po wszelkich zakamarkach kultury Miasta Twarzy. Ilekroć okazywało się, że czegoś nie wiem lub nie pojmuję, Bonamico wybuchał radosnym śmiechem i wspólnie z siostrą cierpliwie wszystko mi wykładał, lub - co było jeszcze lepsze — pokazywał. Wspólnie więc pozwolili mi po raz pierwszy podejrzeć, z bezpiecznej na razie odległości, puszaka, rozkoszne, puchate stworzonko o jasnozielonym futrze i wielkich, wyrazistych oczach, które hoduje się w Mieście Twarzy dla przyjemności. Niewinny i uroczy wygląd istotki to śmiertelna pułapka, odznacza się ono bowiem wyjątkową złośliwością i potrafi bez ostrzeżenia zatopić w ciele właściciela, czy kogokolwiek innego, ostre kły, wstrzykując za ich pomocą śmiertelnie trujący jad. Pokąsany przez puszaka umiera zwykle w ciągu około pół minuty, chyba, że zdąży wstrzyknąć sobie w szyję antidotum na jego jad, które każda szanująca się dama nosi w naszyjniku.

Nie potrafiłem pojąć, dlaczego trzyma się w domach stworzenia tak niebezpieczne i czemu mieszkańcy Miasta Twarzy lubią z nimi igrać, Sandra wyjaśniła mi jednak, że w ten sposób okazuje się tu odwagę i pogardę dla niebezpieczeństwa, jednocześnie unikając ostentacji i teatralnych gestów. Usłyszawszy to, poczułem chyba po raz pierwszy, że Miasto Twarzy nie jest jednak moim prawdziwym domem.

Wspólnie wypuszczaliśmy się też na dalekie wyprawy, zwiedza jąc podejrzane zaułki, małe sklepiki i warsztaty rzemieślników, zapuszczając się nawet do dzielnic innych rodów, gdzie wyobrażająca słońce oraz obłoki maska Sandry i księżyc, za którym skrywał twarz Bonamico nieodmiennie sprawiały, że zaczepiały nas wałęsające się po ulicach bandy tamtejszych wyrostków. Zapytałem kiedyś, czy nie mogliby na czas pobytu w innej dzielnicy przywdziać innych masek, Bonamico zachnął się jednak tylko i odwrócił do mnie plecami, a Sandra, otrząsnąwszy się z szoku, wyjaśniła mi, że to nie tylko zbrodnia przeciw prawu i wykroczenie wobec honoru, lecz i rzecz niezmiernie nieprzystojna. Motyw, który ozdabia maskę arystokraty towarzyszy mu bowiem od dzieciństwa, kiedy to wybierają go trudniący się wyrobem masek mnisi, w oparciu o przepowiednie astrologiczne i rozmaite mistyczne czynniki, których nikt nie pojmuje. Maską zastępuje rysy twarzy i choć mnie wydało się to wówczas niezmiernie dziwaczne, można z niej zrezygnować tylko w jednym wypadku.

Bym na dobre uświadomił sobie znaczenie maski, Sandra postanowiła pokazać mi Ludzi Bez Twarzy. Bonamico próbował nas przed tym powstrzymać, niepomni jednak jego przestróg wyprawiliśmy się we dwoje na Obrzeża — do niebezpiecznej dzielnicy nędzy, ciągnącej się wokół miasta, pomiędzy terenami zarządzanymi przez rody a portem. Otuleni płaszczami zagłębiliśmy się w labirynt uliczek jeszcze węższych i bardziej krętych, niż w przyzwoitszych dzielnicach. W powietrzu mieszały się najrozmaitsze zapachy, od nieczystości po przyprawy korzenne, których woń dobiegała najpewniej z portowych składów. Ulice były tu równie zatłoczone i gwarne, ludzie nosili jednak znacznie prostsze maski, roiło się wręcz od żebraków, sierot i podejrzanych indywiduów najrozmaitszego autoramentu.

Zaczailiśmy się w ślepych zaułku, tak wąskim, że można go było wziąć za pęknięcie w ścianie budynku, dokładnie naprzeciw niskiej, przysadzistej tawerny o wyjątkowo złej – jak twierdziła Sandra – reputacji. Po jakimś czasie faktycznie zobaczyliśmy pierwszego Człowieka Bez Twarzy – szedł środkiem ulicy z dumnie wzniesioną głową, wszyscy odwracali jednak od niego wzrok. Miał bujną grzywę blond włosów, powyginany i źle dopasowany napierśnik, a na ramieniu niósł długi miecz z nadmetal, z miejscami na osadzenie Kryształów. Odkryta twarz, niegdyś bez wątpienia przystojna i nosząca wciąż ślady arystokratycznego pochodzenia, przecięta była długą, paskudną blizną, ciągnącą się od czoła aż po podbródek.

Sandra, która przywarła do mojego boku, aż drżała ze strachu, ja nie odczuwałem jednak aż tak zabobonnego lęku. Przynajmniej nie do chwili, gdy Człowiek Bez Twarzy spojrzał wprost na nas i zobaczyłem wyraz jego oczu. Bez trudu dostrzegł nas w zaułku i z równą łatwością rozpoznał nasze maski. Nazwisko Celeste zabrzmiało w jego ustach niczym przekleństwo, gdy ruszył w naszą stronę, szykując broń. I kto wie, czym by się ta przygoda skończyła, gdyby z dachu nad nami nie sfrunęła okryta płaszczem postać, powalając groźnego napastnika jednym ciosem ogromnego miecza, na rękojeści którego przysiadł sokół. Nie czekaliśmy dłużej – czmychnęliśmy, ile sił w nogach, i zatrzymaliśmy się dopiero w naszej dzielnicy.

Wuja zastałem w jego gabinecie i nic nie wskazywało na to, by go opuszczał. Kiedy jednak wszedłem, kazał mi siadać, po czym wytłumaczył, że Ludzie Bez Twarzy nie noszą masek, dopuścili się bowiem zbrodni tak ohydnej, że wyrzekł się ich własny ród.

Ukrywają się na Obrzeżu, żyją ze swoich mieczy i nie mają nic do stracenia, a to właśnie czyni z nich osobników w najwyższym stopniu niebezpiecznych. N i m odszedłem, pełen skruchy, Gianerasmo kazał mi przyrzec, że będę wystrzegał się ich za wszelką cenę.

27



Itak, niepostrzeżenie, z dzieci zmienialiśmy się w dorosłych. Bonamico zasłynął jako wprawny szermierz, pokonując w pojedynku dwukrotnie od siebie starszego mężczyznę z rodu Parinich, który ozdabia maski klejnotami. Sandra rozkwitła urodą i coraz mniej czasu wolno jej było poświęcać na uganianie się po mieście, pobierała bowiem lekcje manier i dyplomacji. Ja zaś zostałem, jaki byłem – ciekawski i nieco rozmarzony. A tematem moich marzeń coraz częściej stawała się moja przyjaciółka.

W wieku szesnastu lat zaczęto zapraszać nas na przyjęcia – choć oczywiście ja, jako wychowanek cudzoziemca, bywałem na nich zdecydowanie rzadziej. Nieczęsto też dane mi było bawić się i zwykle tkwiłem pod ścianą lub podpierając kolumnę. Arystokracja z Miasta Twarzy niechętnie miesza się bowiem z cudzoziemskimi sierotami, a pochodzenie, które można wybaczyć dziecku, bywa skazą u młodzieńca. Obserwowałem zatem wesołe tańce, gdy młodzi szlachcice wirowali na parkietach, unosząc w objęciach piękne szlachcianki i przysłuchiwałem się sztuce flirtu, którą w Mieście Twarzy z zapałem uprawia każdy, nawet, jeśli posiada już współmałżonka. Przyjęciom nieodmiennie towarzyszyły pokazy nowych i cudownych przedmiotów, które zdobył gospodarz – dzieł sztuki, artefaktów z odległych krain czy tworów naszych praojców.



Zdarzało się nawet, że goście przynosili własne cuda lub sprowadzali swoich artystów, by wyzwać gospodarza na turniej niezwykłości i ekstrawagancji. Uznałem więc, że tańce, flirt i zabawa są tu tylko wygodnym pretekstem, by się popisywać.

Sandra królowała tymczasem na przyjęciach. Odkąd przedstawiono ją w towarzystwie, zmieniła się w prawdziwą damę – skończyły się wspólne włóczęgi po mieście, bijatyki i wiecznie odrapane łokcie. Oczywiście, wciąż traktowała mnie miło, powoli jednak od



suwała mnie od siebie. Nabiłem sobie zatem głowę, że to nikczemni rodzice zmuszają ją do zmiany zwyczajów oraz zerwania przyjaźni i po całych dniach głowiłem się, jakby porozmawiać z nią szczerze, z każdym bowiem balem, gdy jak nieprzytomny wodziłem za nią oczyma, byłem bardziej zakochany. Wówczas właśnie przyszedł mi do głowy pomysł, który zakończyć miał beztrioskie lata u boku wuja i pchnąć mnie na ścieżkę, która doprowadziła mnie do obecnego, fatalnego położenia.

Pewnego wieczora, dokładnie w dniu moich osiemnastych urodzin, podchmieliłem się zanadto winem, które wyzwoliło we mnie niezwykłą śmiałość. Zakradłem się pod okno Sandry, tak, jak to robiłem w dzieciństwie, by wkraść się do jej pokoju i wreszcie wyznać jej uczucie. Przyniosłem ze sobą nawet ciemnofioletową różę, dokładnie taką, jaką lubiła. Spojrzawszy w górę, dostrzegłem bijące od okna światło, zakasałem więc rękawy i zacząłem wspinać się po drzewie, na które nie wchodziłem już od lat.

Dawne nawyki umierają powoli — bez trudu odnalazłem stare uchwyty dla rąk i nóg, podpełzłem więc po rozłożystym konarze niemal pod samiuśkie okno mojej przyjaciółki. Zajrzałem do środka – i bodajbym nigdy tego nie zrobił! Gdyby Sandra była naga, pewnie szybko by mi wybaczyła, figle miłosne są bowiem w Mieście Twarzy rzeczą dość powszechną. Zastałem ją jednak w chwili najgorszej z możliwych, znajdowała się bowiem w sytuacji, do której tutejsi dopuszczają wyłącznie, gdy mają

pewność, że są sami. Sandra zdjęła maskę, by przetrzeć twarz i, jak na złość, odwróciła się w stronę okna. A tam, rzecz jasna, tkwiłem ja, z różą w zębach.

Krzyknęliśmy jednocześnie, a ja gruchnąłem na ziemię, szczęśliwie niczego sobie nie łamiąc, i umknąłem w noc. Po dziś dzień prześladuje mnie widok twarzy mojej pierwszej ukochanej, słodkiej Sandry Celeste, oblanej miękkim światłem księżyca, o rysach pięknych i delikatnych. Dziś, w przededniu mojej śmierci, tym częściej staje mi przed oczyma, niewinna i urocza – choć jestem niemal pewien, że jest przy tym wytworem mojej wyobraźni, widziałem ją bowiem przecież przez kilka raptem sekund. I gdyby dane mi było prosić o ostatnią łaskę, błagałbym o jedno jeszcze spojrzenie, by umrzeć przekonawszy się, czy przez tyle lat prześladowała mnie czcza fantazja. W i e m jednak dobrze, że to niemożliwe.

Tymczasem wkradłem się do pokoju wuja, wyrwałem go ze snu i powiedziałem, co zrobiłem. Po raz pierwszy i jedyny uderzył mnie wtedy – otwartą dłonią, prosto w twarz. Cios był ciężki niczym uderzenie młota i obalił mnie na podłogę. Gianerasmo wyskoczył potem z pościeli, pomógł mi wstać i zapewnił, że postara się sprawę załagodzić, choć poczułem, że jest autentycznie przerażony. Gdy wybiegł, ruszyłem do swojego pokoju – i na korytarzu zdybał mnie Bonamico. Jego błyszczące pod maską oczy wyrażały wyłącznie pogardę. Bez słowa cisnął mi pod nogi czarną różę, znak wyzwania na pojedynek, a ja ukloniłem się sztywno i przyobiecałem, że stawię się w wyznaczonym miejscu o oznaczonym czasie, gotów bić się aż do śmierci.

Następne dni upłynęły mi jak we śnie. Sandra ignorowała mnie, choć próbowałem złożyć jak najszczęsne przeprosiny. Wszyscy Celeste odwracali się na mój widok, niektórzy zaś spluwali pod nogi lub patrzyli na mnie z mściwą satysfakcją, jakby już widzieli mnie na końcu ostrza Bonamico. On sam stał się tymczasem bohaterem domu i ze złością słuchałem jak stary Raimondino tytułuje go swoim ulubionym wnukiem. Wszyscy cisnęli się wręcz na jego sekundantów, udzielali mu dobrych rad i pokazywali tajemne sztuchy. Ja tymczasem trenowałem pod osobistym nadzorem wuja, który zgodził się mi sekundować i bez litości pracował nad moim stylem. Wreszcie, w wieczór poprzedzający pojedynek, orzekł, że jest pewien, iż jutro bez

trudu rozplątałem przeciwnika i wyraził podziw nad moim szermierczym kunsztem. Zadowolony z siebie poszedłem spać i śniłem o Sandrze.



Następnego dnia Bonamico nie stawiał się w wyznaczonym miejscu. Czekaliśmy z wujem przez dłuższy czas, aż w końcu dopadł do nas zdyszany sługa Gianerasma i szepnął mu coś do ucha. Mój opiekun pobladł, a potem odwrócił się i zakomunikował, że tej nocy Bonamico pokąsany został przez swojego puszaka i nieszczęśliwie wyzionął ducha. Już miałem ucieszyć się, że sprawy przybrały taki obrót, wuj mówił jednak dalej — oto cały ród Celeste pała teraz żądzą zemsty i pragnie mojej głowy, a Sandra publicznie oskarża mnie o tchórzostwo i mord. Natychmiast porwałem się do miecza, gotów wyzwać każdego, kto znieważa w ten sposób mój honor, Gianerasmo osadził mnie jednak w miejscu. Honor jest dla mieszkańców Miasta Twarzy niezmiernie istotny, ważniejsza jest jednak lojalność wobec rodziny, tłumaczył, i w obecnej sytuacji nie jestem tu bezpieczny. Następnie zakazał kategorycznie martwić się o niego, wręczył pismo, które przygotował już wczoraj na taką okoliczność, zerwał mi maskę z twarzy i kazał biec na swój statek. Wystarczyło jedno spojrzenie w jego oczy, by zrozumieć, że nie ma wyboru.

Odwróciłem się i pobiegłem. Nigdy już nie dane mi było oglądać wuja – choć długo pisywałem do niego listy, pozostające zawsze bez odpowiedzi. Pamiętam jak dziś jego szerokie ramiona, gdy ruszał na spotkanie wściekłych Celeste chroniony pancerzem dyplomaty i maską Ambadora, ja zaś, czując się obscenicznie nagi, pędziłem z odkrytą twarzą przez miasto, jakby mnie demony goniły. W końcu dopadłem do portu i pokazałem kapitanowi pieczęć Gianerasma. Żeglarz nie zadawał więcej pytań – zaprowadził mnie do kajuty i tak opuściłem na zawsze Miasto Twarzy i szczęśliwe dni mojego dzieciństwa, wiedząc doskonale, że przed zemstą Celeste skryć się mogę wyłącznie na końcu świata.



## ROZDZIAŁ DRUGI

*w którym Marco wyrusza, by reprezentować swego  
króla przy dworze Cesarza Lodowych Elfów i wplątuje  
się w kolejną kabałę.*

*Cesarz Lodowych Elfów*



## ROZDZIAŁ DRUGI

Koniec świata okazał się leżeć bliżej, niż mogłem się spodziewać. Spędziłem w rodzinnym domu, pustym teraz i zakurzonym, ledwie kilka dni, rozpamiętując nieszczęście, które mnie dotknęło i zachodząc w głowę, jak się z niego wyplątać, gdy przysli po mnie królewscy gwardziści, okryci czarnymi płaszczami. Nie mówili wiele — nakazali mi tylko bez zwłoki udać się z nimi. Ledwie zdążyłem wzuć buty, a już wieźli mnie płaskodenną łodzią ponad szczytami kolumn w kierunku Obrotowego Pałacu.

Siedziba władcy Miasta Tysiąca Kolumn zawsze jawiła mi się miejscem bardziej jeszcze tajemniczym, niż najodleglejsze nawet światy. Wyrasta ona pośrodku białego okręgu, który tworzy samo miasto, i ma kształt ogromnej kolumny, czy może raczej walca, wysokiego na wiele setek metrów. Tkwi on pośrodku platformy niczym piasta gigantycznego koła, nie jest jednak z nią połączony, odgradza go bowiem od samego miasta napowietrzna fosa, którą przebyć można wyłącznie łodzią. Jeśli dodać do tego fakt, że pałac obraca się w kierunku przeciwnym, niż całe miasto, że wejść można doń wyłącznie jednym wejściem, tak szerokim, iż bez trudu wpłynąć w nie mógłby okręt pod pełnymi żaglami, oraz ponure plotki, głoszące, że nawet rodzina królewska nie spenetrowała tajemnic swojej siedziby, a pomieszczenia znajdujące się wewnątrz wciąż zmieniają swoje wobec siebie położenie, nie może chyba dziwić, że lękaliśmy się siedziby naszego króla strachem prawdziwie zabobonnym.

Nie było mi jednak dane oglądać cudów pałacu, ledwie bowiem przekroczyliśmy jego bramę, strażnik zawiązał mi oczy. Potem wysadzono mnie z łodzi i długo wędrowaliśmy przez kręte korytarze, które to się wznosiły, to opadały, aż wreszcie zdjęto mi przepaskę.

Byliśmy w niewielkim gabinecie o owalnych ścianach, pustym zupełnie, jeśli nie liczyć ustawionego pośrodku wysokiego krzesła. Zasiadał na nim zasuszony staruszek w urzędniczej czapce, o długiej, szpiczastej brodzie, który przez chwilę przyglądał mi się z namysłem, jakby mnie nie rozpoznawał, potem jednak skinął na służących, a ci natychmiast złożyli na jego kolanach podłużny pokrowiec. Staruszek uśmiechnął się i wręczył mi go - poczułem ciężar skrytego wewnątrz przedmiotu. Zachęcony, sięgnąłem do środka, by namacać wewnątrz rękojeść szabli. Gdy ją wydobyłem i zacząłem pilnie oglądać, podziwiając pięknie wyważone ostrze i rękojeść zwieńczoną wyobrażeniem główki zmii, gospodarz świdrował mnie oczami, jakby spodziewał się przewiercić skórę i ujrzeć moje wnętrze.

Tak właśnie wszedłem w posiadanie mojej wiernej szabli, która służyć mi miała od tej pory aż do niedalekiego już końca. Przede mną należała do mojego ojca, nie rozpoznałem jej jednak wówczas i dopiero brzmienie jej nazwy - Vipera - przywróciło mi mgliste wspomnienie dzieciństwa. Kilka razy świsnąłem klingą w powietrzu, czując narastające w żołądku, dziwaczne uczucie. W dłoni leżała mi doskonale, jakbym się do niej urodził i przysiągłbym, że w miarę, jak coraz zapamiętałem ją wywijając, stawała się lżejsza, węższa, bardziej podobna do broni, jaką uczono mnie władać w Mieście Twarzy. Tymczasem głowę wypełniała mi dziwna lekkość i radość, z trudem opanowałem radosny śmiech, cisnący mi się na usta i inne oznaki narastającej euforii - gdybym mógł, próbowałbym szablę do wieczora. Szczęśliwie, przerwało mi dobitne chrząknięcie staruszka.

Zaprzestałem ćwiczeń i skłoniłem przed nim głowę, a on uśmiechnął się bezzębnymi wargami, najwyraźniej zupełnie ukontentowany.

Oczywiście, słyszałem wcześniej o nadmetalu - każde chyba dziecko zna przecież opowieści o bohaterach, którzy, posługując się mocą tej niezwykłej substancji oraz potęgą Kryształu, dokonują czynów, o jakich śmiertelnicy mogą tylko pomarzyć. W tamtej jednak chwili nie przyszło mi nawet do głowy, że Vipera może być z niego wykonana i dopiero słowa staruszka sprawiły, że dałem temu wiarę. Rzecz bowiem w tym, iż nie każdy potrafi posługiwać się nadmetalem - by wykorzystać jego moc, trzeba się do tego urodzić. Tylko nielicznym dane jest „rezonować” z tą substancją -

zwykle wiążą się z tym również dodatkowe zdolności magiczne, choć ja sam jestem dowodem na to, że niekiedy związek z nadmetalem nie idzie w parze z darem magicznym. W rękach osoby obdarzonej talentem nadmetalowy przedmiot zmienia się i dopasowuje do jej możliwości, dlatego właśnie Vipera zmieniła kształt, by lepiej wpasować się w moją dłoń.

Mało tego, gdy w rzecz taką wprawić Kryształ, przestaje on wymagać ładowania i nadaje obiektowi dodatkowe możliwości, które bywają naprawdę rozmaite – jedne miecze na komendę stają w płomieniach, inne same wskakują do ręki, trzecie wreszcie potrafią równie dobrze zasklepić, jak zadawać rany.

Gdy okazało się, że Vipera posłuszna jest mojej woli, staruszek wypogodził się do reszty. Wreszcie się odezwał, skrzekliwym i nieprzyjemnym głosem, długo dywagując o swojej sympatii dla mojego wuja i nieżyjących rodziców oraz o młodzieńczej lekkomyślności, która każe nam niekiedy popełniać błędy. Po dziesięciu minutach stało się dla mnie jasne, że choć przez swój nieszczęsny wyskok naraziłem Miasto Kolumn na straty, król postanowił mi przebaczyć i wynieść do zaszczytnej funkcji. A gdy na dobre już się napuszyłem, słuchając o zaszczytach, które wobec moich talentów otrzymam, gospodarz błysnął łobuzersko oczami i jednym tchem zakomunikował mi, że obejmuję oto urząd ambasadora przy dworze Cesarza Lodowych Elfów. Nim zdążyłem paść mu do stóp i błagać o łaskę, strażnicy wyprowadzili mnie z sali. W uszach długo dźwięczał mi maniaka lny chichot staruszka.



Cesarstwo Lodowych Elfów! Samo brzmienie tej nazwy mroziło mi krew w żyłach. Choć okres potęgi Cesarza, czasy, gdy władał on niepodzielnie całym znanym Wszechświatem, wyłączwszy jedną Astonię, należał już do przeszłości, wciąż straszło się nim dzieci. Nic w tym dziwnego, zważywszy, że przez bez mała półtorej

tysiąclecia nie znająca litości rasa Lodowych Elfów podbijała kolejne światy i pisana historia wielu kultur zaczyna się w chwili, gdy pękło niebo, a z obłoków wyłoniły się smukłe, drapieżne kształty wojennych okrętów. Historie o okrucieństwie najeźdźców, ich nienasyceniu i potędze trwały, choć gwiazda Cesarstwa niemal całkiem dziś zgasła. Każdy chyba ma wśród przodków kogoś, kto walczył z Lodowymi Elfami, kto został przez nie pokonany i potraktowany w sposób isticie nieludzki.

Opowieści te podsycali jeszcze emigranci, których zawsze pełno było we wszystkich Dziewięciu Miastach. Elfy, które ich Lodowi pobratymcy nazywają Pospolitymi, a które my określamy po prostu mianem Elfów, mimo dumy i wojowniczości, od zarania dziejów cierpią władzę Cesarstwa, które uczyniło z ich świata swoją stolicę. Ci nieliczni, którym udało się stamtąd wyrwać, przybywali na nasze platformy, ze swoim śpiewnym językiem, egzotycznymi strojami i waśniami rodowymi, ciągnącymi się od wieków. Potem bezskutecznie wieszali się u klamek możliwych, zakładali towarzystwa i związki, desperacko usiłując walczyć o wyzwolenie swojego świata, pozyskawszy w tym celu zagraniczną pomoc. Sam widywałem ich nie raz, dumnych, zawsze wyprostowanych, skorych do gniewu, lecz i do śmiechu, wysokich, silnych i zwinnych. Prezentowali się imponująco, pomimo nędzy, którą tu cierpieli, a ja zachodziłem w głowę, jak straszna musi być rasa, która zniewoliła tak potężne istoty.

38



Nic więc dziwnego, że teraz paraliżował mnie strach. Nie miałem pojęcia, co stało się z moim poprzednikiem na stanowisku ambasadora, przeczuwałem jednak, że Lodowe Elfy pozbawiły go życia dla kaprysu lub przyjemności, a i mnie czeka nie lepszy los.

Zesłanie na kraniec Wszechświata, do mroźnego, owianego złowrogą legendą świata jawiło mi się zatem czymś gorszym, niż wygnanie czy uwięzienie. W ciągu kilku dni, które upłynęły do mojego wyjazdu, poważnie rozważałem, czy nie rzucić się ze szczytu kolumny, by oszczędzić sobie cierpień lub nie czmychnąć ukradkiem, zmienić



nazwisko i rozpocząć życie marynarza. Nawet noże i intrygi Celeste wyglądać zaczęły wcale zachęcająco — jednak honor i lojalność, które tak pracowicie wpajał mi wuj, wydały owoc i w oznaczonym dniu stawiłem się na pokładzie okrętu, który miał zawieść mnie na miejsce przeznaczenia.

Był jednostką daleko większą od statków, na których żeglowałem do tej pory, wytrzymałym i dzielnym trójmasztowcem o dziesiątkach żagli i dwudziestu działach, koniecznych na wypadek napaści. Kapitan, stary wilk gwiezdny, przywitał mnie grzecznie, oddał stewarda na moje wyłączne usługi, po czym stracił mną wszelkie zainteresowanie, zajęty załadunkiem. Przez jakiś czas płątałem się po pokładzie, zawadzając marynarzom przy pracy, aż wreszcie odesłano mnie do kajuty pasażerskiej, gdzie na powrót zapadłem w ponure myśli. Tymczasem *Viaggiatore* — tak bowiem nazywał się mój okręt — sposobił się do długiego i niebezpiecznego rejsu. Na pokład ładowano beczki wody, wina i oliwy, zapasy suszonego mięsa, marynowanych owoców i sucharów, smołę, deski i liny, a także rezerwowe żagle z połyskliwego materiału. Widząc krzątanie tak wielu ludzi, zacząłem nabierać otuchy — gdyby król zyczył sobie spłatać mi okrutny figiel, najpewniej nie naraziłby życia tylu poddanych.

39



Podróż trwała kilka tygodni i w czasie jej trwania przekonałem się, że młodzieńcze marzenia o żeglowaniu wciąż jeszcze tlą się w mojej duszy. Początkowo traktowano mnie na pokładzie z dużą rezerwą, przeganiano zewsząd, gdzie było coś do zrobienia, a kapitan z musu zapraszał mnie na obiady, podczas których burkliwie usiłował konwersować ze mną na błahe tematy. Pewnego dnia postanowiłem zepchnąć rozmowę na sprawy żeglarskie, a że nie okazałem się ignorantem, którego się spodziewał, z mety ożywił się i od tej pory darzył mnie znacznie przyjaźniejszymi uczuciami. Stopniowo zacząłem też brać udział w życiu załogi i już po dwóch

tygodniach rejsu czułem się, jakbym naprawdę służył na okręcie, zachowując przy tym ten komfort, że w każdej chwili wolno mi było zaszyć się w swojej kajucie.

Po raz pierwszy płynąłem przez otwarty Wszechświat – wszak do tej pory żeglowałem wyłącznie pomiędzy miastami położonymi na orbicie tego samego świata — a ten okazał się piękniejszy jeszcze, niż śmiałem marzyć. Skrzył się cudowną feerią barw, od błękitu i złota, spowijających Planetę, przez wszystkie odcienie niebieskiego, pastelowe róże i zielenie. Wszędzie wokół, nad głową i pod stopami, lśniły gwiazdy, z których każda była przecież słońcem, ogromniejąc, gdy zbliżaliśmy się w ich stronę, i znów zmniejszając się do wielkości punktów, kiedy się oddalaliśmy. Twarz zawsze owiewał mi wiatr, czasem niosąc zapachy odległych światów, kiedy zaś indziej czysty, ożywczy i pozbawiony woni — czyli, jak to mówią żeglarze, pachnący Pustką. Zdarzało się, że przepływaliśmy przez gęste, gazowe obłoki wielobarwnej mgły — niektóre tak ogromne, że i przez dwa dni widzieliśmy tyle, co na wyciągnięcie ręki, niekiedy też lawirować musieliśmy wśród zawieszonych w przestrzeni, groźnych skał o czarnych krawędziach, gotowych w każdej chwili zmiażdżyć kadłub naszej jednostki.

W wielkie osłupienie wprawiło mnie też bogactwo międzygwiazdowego życia. Z przyjemnością zjeżdżałem na ławie wantowej, by razem z marynarzami czyścić kadłub z niewielkich skorupiaków, gnieźdzących się na skałach i przywierających do przepływających okrętów, by przeżerać ich deski. Wychylony przez reling, oglądałem ławice wielobarwnych, lśniących ryb, które uwijały się pod nami, wyciągałem dłonie, by łapać przepływające tuż obok pokładu meduzy — ba, raz nawet podziwiałem przez kapitańską lunetę lewiatana, ogromną jak góra bestię, płynącą przez przestrzeń z godnością i majestatem. Wieczorami kapitan opowiadał mi o cudach Wszechświata: zamieszkujących mroczne światy potworach, polujących na okręty, i Czerwonym Księżycu, który zjawia się nie wiedzieć skąd, by przesłonić słońce niewinnego świata i przeobrazić wszystko, co na nim żyje, w okrutne i przerażające bestie.

Rejs, choć cudowny, dobiegł jednak końca. Po niemal dwóch miesiącach podróży kapitan wezwał mnie do swojej kajuty i obwieścił, że jutro dotrzemy na miejsce przeznaczenia. Poczuję, jak żołądek wiąże mi się na supeł – przyjemności żeglugi spowodowały, że niemal zupełnie zapomniałem, dokąd się udaję. Noc spędziłem

bezseną, wpatrując się w ciemnogrnatową przestrzeń i obserwując, jak rośnie przed nami słońce Alexandreonu, stolicy Lodowych Elfów, o białym i zimnym świetle. W końcu, przed świtem, weszliśmy do samego układu. Otoczyły nas gęste, blade chmury, które okazały się drobinkami lodu i w mgnieniu oka pokryły wanty naszego okrętu szronem. Gdy wychynęliśmy po drugiej stronie, czując coraz przenikliwszy ziąb, tuż przed nami pojawiła się kula Ochuromy, drugiego z okrążających tujejsze słońce światów. Skrzyła się niczym diament, skuta wiecznym lodem, i przez dłuższą chwilę przypatrywałem się jej, urzeczony. Nie przyszło mi wtedy do głowy, że piękny, mroźny świat jest również niezmiernie niebezpieczny, a ktokolwiek postawi na nim stopę, ryzykuje śmierć z głodu oraz zimna. W najśmielszych marzeniach nie sądziłem też, że kiedyś zagrozić on może i mojemu życiu. Potem chłód wygnał mnie do kajuty, gdzie przywdziałem, co miałem najcieplejszego, lecz i tak do końca podróży drżałem z zimna.

41



Przez sam układ żeglowaliśmy dwa dni i dwie noce, które niczym się od siebie nie różniły, byliśmy bowiem zbyt blisko słońca, by zmiana oświetlenia okrętu robiła jakąkolwiek odmianę. Chłód zelżał, choć tylko nieznacznie, i drugiego wieczora ośmieliłem się wreszcie opuścić kajutę. Wprost przed dziobem ujrzałem stolicę Cesarstwa, ciemną na tle białego słońca, która wydała mi się szalenie ponura i pozbawiona uroku drugiego ze światów tego układu. Na jej orbicie aż rojno było jednak od okrętów tak pięknych, że aż łzy zakręciły mi się w oczach. Choć powiada się, że moja ojczyzna, Miasto Tysiąca Kolumn, jest domem najlepszych sztukników Wszechświata, nawet im brakowało lekkości i finezji elfich budowniczych.

Okręty spowite były chmurą trójkątnych, połyskliwych żagli, dumnie prężących się na słonecznym wietrze, miały smukłe, błękitne kadłuby i maszty z filigranu, który

wydawał się szalenie kruchy, wytrzymawał jednak bez trudu napór najgorszej nawet wichury.

Wyglądały niczym drapieżne ryby, smukłe i śmiertelnie groźne — choć nie dostrzegałem ich uzbrojenia, moje myśli nie mogły mijać się z prawdą, widziałem bowiem lęk i szacunek w oczach marynarzy, którzy wraz ze mną podziwiali jednostki Cesarstwa.

Kapitan wprawnie zbliżył się do powierzchni świata - co, jako wyrosły w mieście orbitalnym, przyjąłem z lekką zgrozą, i, niemal dotykając kadłubem czubków ogromnych, iglastych drzew, poprowadził okręt w stronę portu. Miasto wyrastało przed nami, pnąc się po zboczach stromej, urwistej góry, której czubek ginął w purpurowych chmurach, spowijających złociste niebo. U samego jej podnóża, wylaniając się z przepastnej puszczy, ciągnął się istny labirynt maleńkich, drewnianych domków, przytulonych do siebie wzdłuż krętych, zaśnieżonych uliczek. Tu i ówdzie rozszerzały się w plac, na którym rozstawione były stragany, czasem zaś ginęły wśród zabudowań, prowadząc przez zadaszne pasáže, czy kończyły się raptownie ślepą ścianą. Gdy tak przepływaaliśmy nad Dolnym Miastem, obserwowałem jego mieszkańców, rojących się pod nami jak mrówki, oblegających targi i zajmujących się swoimi sprawami.

Doszedłem przy tym do wniosku, że strasznie są smutni, ubierają się bowiem w proste płaszcze i futrzane czapki pozbawione ozdób, zdają się przygięci do ziemi i brak im dumnej postawy, którą zaobserwowałem u Elfów w Dziewięciu Miastach.

Dolne Miasto oddzielone jest od Miasta Środkowego murem — lecz co to jest za mur! Składają się nań bryły lodu, grube na kilka metrów i wysokie na kilkanaście, wyglądające niczym kry, wbite sztorcem w zbocze góry. Akurat pomiędzy purpurowymi chmurami zaśniło białe słońce, mur zaczął więc skrzyć się i migotać, a ja pomyślałem, że stolicę Lodowych Elfów przyozdabia korona. Tuż za umocnieniami zaczyna się port, z jego wysokimi żurawiami, do których cumują okręty - i przysięgam, że choć wychowałem się w Dziewięciu Miastach, nigdy nie widziałem tylu statków na raz!

Tkwiały tam, zawieszane w powietrzu, skrząc się złotem i błękitem kadłubów oraz żaglami portowymi, niezbędnymi, by ładować Kryształ utrzymujący statek w górze. Przez chwilę lawirowaliśmy wśród nich, co i rusz odpowiadając na wołania strażników, aż wreszcie znaleźliśmy wolnego żurawia. Rzuciliśmy cumy, a ja pożegnałem kapitana, zarzuciłem na ramię kuferek i po uginającym się pod moim ciężarem trapie, odziany w najcieplejsze ubrania, a mimo to drżący w mroźnym, roziskrzonym powietrzu, ruszyłem na spotkanie mojego przeznaczenia.

U wyjścia z platformy żurawia zaczepił mnie umundurowany Elf, który — ku mojemu zdziwieniu — niewiele różnił się od znanych mi z domu. Zagadał do mnie w języku, którego za grosz nie rozumiałem, wzruszyłem więc tylko ramionami i podetknąłem mu pod nos list, informujący o moim stanowisku. To z kolei musiało rozsierdzić gwardzistę, bo warknął na mnie i łypnął groźnie — i kto wie, czym by się to wszystko skończyło, gdyby nie dopadł do nas okrągłutki człowieczek, który uklonił się nisko, zagęgał coś do Elfa, a potem wypytał mnie, czy jestem może pasażerem Viaggiatore,

43



o którego przybyciu właśnie go poinformowano. Kiedy skinąłem głową, jał wypytywać, czy nie wiem nic o poleceniach dla ambasady lub osobie następcy ambasadora, a kiedy wylegitymowałem się moim listem, najpierw zachłysnął się i zaczął kaszleć, potem jednak skłonił się i posłusznie zabrał mnie do moich nowych kwater.

Właściwe miasto Lodowych Elfów okazało się znajdować za jednym jeszcze lodowym murem, rozdzielającym M i a sto Cesarские od Środkowego, w którym — oprócz portu — znajdują się ponadto akademie oraz koszary Cesarского Garnizonu. Mój przewodnik przedstawił się jako Scarlatto, sekretarz ambasady, i po drodze objaśnił mi, że osobnik, z którym rozmawiałem, to zwyczajny żołnierz z gminu, a nie prawdziwy Elf Lodowy. Dłuższą chwilę maszerowaliśmy przez szerokie, wykładane

brukiem ulice, pnące się stromo pod górę, co jakiś czas mijając karne kolumny żołnierzy, sunące przed siebie równym krokiem, posłańców, biegnących z listami, czy marynarzy, szukających wśród majestatycznych budynków przyzwoitej tawerny. W końcu wspięliśmy się do bram – pomimo chłodu zdążyłem nieźle się zasapać – i przepuszczono nas do Miasta Cesarskiego. Panował w nim ziąb jeszcze przenikliwszy, skończyło się też strome, lecz w miarę równe zbocze i zaczęły czarne, strzeliste turnie.

Stolica Cesarstwa okazała się zupełnie niezwykła — a zwłaszcza, że słowa te mówi obywatel Miasta Tysiąca Kolumn. O ile zamieszkujące Dolne Miasto pospólstwo gnieździ się w domach, zbudowanych wzdłuż zbocza, prawdziwa arystokracja buduje siedziby na zawrotnych wysokościach, wznosząc przyklejone do skalnych załomów i wydające się wyrastać z samego kamienia kompleksy wiszących budynków. Strzeliste jak sama góra, złożone z dziesiątków wież, pawilonów, platform i balkonów, połączone pajęczyną mostów, kładek i przęsł budynki zebrane są w grupy, wspólnie osłonięte przed chłodem i kaprysmi pogody za pomocą ogromnych, szklanych tafli, tworzących łukowate korytarze i ogromne kopuły, pod którymi, jak w szklarni, kryją się całe place. Jak mi podpowiedziano, każdy kompleks budowli należy do innej Koterii – czymkolwiek by nie były — a pomiędzy nimi przemieszczać się można albo odsłoniętymi, górskimi ścieżkami, dobrymi dla służby, albo unoszonymi mocą Kryształu, przeszkłonymi windami.

Moje kwatery mieściły się w budowlach należących do Koterii Dikastirio i tam też Scarlatto mnie poprowadził. Wewnątrz kompleksu było szczęśliwie nieco cieplej — choć daleko było do temperatur, do jakich przywykłem w domu. Kopuły i oszklone korytarze okazały się kryć domy, czy raczej pałace, wznoszące się na różnych poziomach i porażające swoją architektoniczną doskonałością. Wszechobecny filigran, strzeliste kształty, arabeskowe rzeźby i spływające bezpośrednio ze ścian ciepłolubne kwiaty, nie wiedzieć jakim cudem wyhodowane w tak niesprzyjającym miejscu, sprawiły, że kamienna i ceglana architektura Miasta Twarzy, która do tej pory mnie zachwycała, wydała mi się nagle niezgrabna i prostacka. Panowała tu jednak śmiertelna cisza i choć gdzieś błyskały sylwetki przemykających chyłkiem służących, miasto wydało mi się całkiem wymarłe. Scarlatto poinformował mnie

szeptem, że przybyliśmy akurat w porze, którą Lodowe Elfy lubią spędzać w samotności – co nie znaczyło jednak, że po południu tarasy i balkony rozbrzmiewają tu gwarem.

Sekretarz prowadził mnie po stromych, kręconych schodach, wąskich kładkach i pasażach aż do miejsca, gdzie – nieco na uboczu – wznosił się przeznaczony dla mnie pałacyk. Moje nowe lożysko składało się z kilku przytulonych do żywej skały pokoi, których zewnętrzną ścianę tworzyły obramowane arabeskowymi rzeźbami, szklane tafle – ogromne okno otwierające się na rozciągające się daleko w dole miasta i szumiącą u jego granic ciemną puszcę. Ledwie zdążyłem dobrze się w nim rozejrzeć, do pokoju przeznaczanego na sypialnię wsunął się mój sekretarz, oznajmiając, że mam pierwszego gościa.

Miałem szczerzy zamiar kazać odprawić go z kwitkiem i wrócić do dywagacji nad tym, jak ogrzać choć trochę niezwykle mieszkanie, przybysz odsunął jednak bez wysiłku pucułowatego Scarlatto i pewnie wkroczył do wnętrza. Był, jak każdy Elf, wysoki i smukły, a przynajmniej tak mi się wówczas wydawało, potem bowiem odkryłem, że rasa ta wcale nie przewyższa wzrostem ludzi, jednak dzięki szczupłej budowie wydaje się nad nimi górować. Długie, lekko falujące włosy w kolorze ciemnego błękitu opadały mu na ramiona, okalając trójkątną twarz o regularnych, szlachetnych rysach, i częściowo kryjąc długie, szpiczaste uszy. Okrywał go granatowy płaszcz ze złotymi epoletami, czarne rękawice i czarne, sięgające do kolan buty z cholewami, dopasowane tak dokładnie, że wydawały się namalowane na jego łydkach. Niezwykła sylwetka i dumny strój bledły jednak wobec niezwykłości jego oblicza i gdy w nie spojrzałem, przez długą chwilę nie mogłem oderwać wzroku.

Twarz Elfa nie wyrażała żadnej emocji – złości na mojego sekretarza, zniecierpliwienia, radości czy zaskoczenia niemiłym przyjęciem – a jego wąskie usta zastygły w grymasie, który wziąłem za pogardę. Najniezwyklejsze były jednak oczy o kształcie migdałów – zupełnie puste, pozbawione tęczówek i białek, jednobarwne i smoliście czarne. Elf zatrzymał się w progu i, nie pytany, odezwał tak obcesowo, że aż zakrzusłem się ze zdumienia. Przedstawił się imieniem Tryfillos i z mety wyraził niedwuznacznie zdziwienie moim młodym wiekiem, sugerując, jakoby król Miasta

Kolumn chciał w ten sposób znieważyc Cesarza. Zdziwiło mnie to tym bardziej, że sam przybysz nie wydawał mi się wcale starszy ode mnie — nie miałem wówczas pojęcia, że po Elfach nie widać upływu lat, sam zaś Tryfillos zbliża się do sześćdziesiątki. Nie dając mi dojść do słowa zakomunikował, że anoteles, czyli zwierzchnik jego Koterii, oczekuje mnie wieczorem, po czym odwrócił się na pięcie i ruszył do wyjścia. I tego było mi za wiele.

Wybuchnąłem wściekłością, o jaką sam się nie podejrzewałem. Zwymyślałem przybysza od gburów, wygłosiłem wiele cierpkich uwag na temat elfiej gościnności oraz manier, wyraziłem wątpli—

46



wość, czy Cesarz umierającego mocarstwa zasługuje w ogóle na uwagę, a wszystko to w sprawie całego mnóstwa mniej lub bardziej wybrednych obelg, których nauczyłem się na ulicach Miasta Twarzy. Tryfillos czekał, aż się uspokoję, patrząc mi prosto w oczy, a na jego doskonale opanowanej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. Gdy skończyłem, skinął z powagą głową i obwieścił mi z kamiennym spokojem, że oto mam w nim wroga. Potem przypomniał mi jeszcze raz o spotkaniu ze zwierzchnikiem Koterii i wyszedł.

Tak właśnie, od istic dyplomatycznego zagrania, rozpoczęła się moja kariera ambasadora i przyznać muszę, że nawet dziś zachodzę w głowę, jakim cudem przetrwałem pierwszy miesiąc na stanowisku. O Lodowych Elfach nie wiedziałem przecież nic - poza tym, że wzbudzają we mnie paniczny strach, a Tryfillosa, który jako jedyny mógł mnie pouczyć unikałem jak zarazy. Przerażało mnie bowiem to, że nieustępliwie uważa mnie za nieprzyjaciela, nie występuje jednak przeciwko mnie. Z resztą mieszkańców miasta nie potrafiłem się komunikować, nigdy bowiem nie uczono mnie elfiego języka i choć znałem podstawowe pojęcia, jak chyba każdy mieszkaniec Znanego Wszechświata, wszelkie niuanse nawet dziś są mi obce. Moja niewiedza była



tak ogromna, że w czasie wieczornego spotkania z anoterosem Koterii Dikastirio, Gerasimosem Pagos, odkryłem ze zdumieniem, iż otaczają mnie wyłącznie twarze moich rówieśników i nawet sam zwierzchnik Koterii wydaje się nie mieć więcej, niż dwadzieścia lat – dopiero później objaśniono mi tę oczywistość. Skąd jednak miałem wiedzieć, że osiągnąwszy dorosłość Elf przestaje się starzeć i do samej śmierci wygląda na młodzieńca?

Gerasimos przyjął mnie na centralnym placu siedziby jego Koterii, w otoczeniu przynajmniej czterdziestu Elfów płci obojga, i rozmawiał ze mną jak Tryfillos, obcesowo i bezpośrednio. Nie sugerował wprawdzie, że mój młody wiek dyskwalifikuje mnie jako dyplomatę, nie tracił jednak czasu na powitania i komplementy, będące, w moim pojęciu, nieodzownym składnikiem oficjalnej audyencji.

Szczęśliwie, kiedy ja plotłem wymagane przez etykietę androny, nie okazywał zniecierpliwienia – zresztą, z jego oblicza nie potrafiłem wyczytać zupełnie nic, podobnie zresztą jak z zastygłych w wyrazie doskonałej obojętności twarzach pozostałych zgromadzonych. W końcu Gerasimos skinął poważnie głową i wszyscy jak na komendę rozeszli się, pozostawiając mnie pośrodku placu. Powrotną drogę do domu musiałem przebyć sam.

Czułem się wtedy żałośnie samotny i opuszczony – zresztą, poczucie wyobcowania miało towarzyszyć mi podczas całego pobytu wśród Lodowych Elfów. Nawet, gdy dobrze pojąłem, dlaczego ich twarze nie wyrażają nigdy ani nastroju, ani zamiarów i ich wyraz się nie zmienia, konfundowało mnie to i zbijało z tropu – sędzę, że żaden człowiek nie jest w stanie przyzwyczaić się do doskonałej obojętności i wystudiowanego braku zainteresowania u rozmówcy.

Kamienny ów spokój oblicza, nazywany tu „lodową twarzą”, uchodzi jednak wśród tego dziwaczного narodu za najwyższy rodzaj cnoty. Niezależnie od tego, w jakim położeniu Elf się znajdzie, zawsze stara się zachować zimny spokój, buzujące zaś w nim uczucia przeznacza na paliwo dla intelektu – cokolwiek by to miało oznaczać. Tłumiąc emocje Lodowe Elfy dowodzą siły swojego charakteru, a tym samym swej

wartości, chwilę jednak trwało, nim pojąłem, że tę samą miarę przykładają także do innych, a mój wybuch pierwszego dnia był tak poważnym wykroczeniem, że nieomal przekreślił moje szanse jako ambasadora. To właśnie z jego powodu czekałem bardzo długo, nim dane mi było stanąć przed obliczem Cesarza i chociaż mu się przedstawić — minęły bodaj dwa tygodnie, podczas których widywałem wyłącznie Scarlatto, nim przysłano mi zaproszenie na audiencję.

Do siedziby władcy prowadził mnie Tryfillos, który – jako jedyny – komunikował się w moim języku, nie pozwolono mi bowiem zabrać ze sobą sekretarza. W milczeniu wznosiliśmy się windą aż na sam szczyt ogromnej góry, którą okazał się wieńczyć kompleks pawilonów, w sercu którego wzniesiono olbrzymią salę, zdolną pomieścić podobno dziesięć tysięcy osób. Nakryto ją wykonaną ze szczerzego złota kopułą, największą w całym Wszechświecie – a że cały pałac wznosi się zazwyczaj ponad chmurami, błysk odbijającego się od niej światła wskazuje drogę zmierzającym do Cesarskiego Miasta okrętom. I tego dnia siedziba Cesarza wyrastała niczym wyspa w purpurowym morzu obłoków, oblana jasnym blaskiem bladego słońca. Winda zatrzymała się u końca długiej alei, prowadzącej ponad pawilonami wprost do sali tronowej, a że ta jest nieosłonięta, z miejsca poczułem przeraźliwy ziąb, a gwałtowny wiatr niemal zwałił mnie z nóg. Przez chwilę nie mogłem dojść do siebie, wyobrażając sobie własny upadek w bezdenną przepaść, potem jednak ruszyłem pewnym krokiem na spotkanie z władcą skruszałego imperium.

W czasach swojej świetności, gdy Cesarstwo sięgało aż na drugi kraniec Znanego Wszechświata, w sali gromadziły się zapewne setki dworzan, tysiące generałów i przedstawicieli podbitych światów. Dziś jednak państwo Elfów skurczyło się do kilku zaledwie kolonii, a ogromna budowla okazała się przede wszystkim pomnikiem zamierchłej epoki. Ściany wznosiły się na wiele dziesiątków metrów w górę, kopuła rzeźbiona zaś była od wewnątrz w kształt mapy Wszechświata, na której precyzyjnie oznaczono niegdyś prowincje. Nie rozglądałem się jednak zanadto, by nie urazić Tryfillosa, i – wsłuchany w dudnienie własnych kroków na lśniącej posadzce – z duszą na ramieniu maszerowałem do centrum przeraźliwie pustego pomieszczenia. Dokładnie pośrodku, na postumencie liczącym trzydzieści jeden stopni, wznosił się

Lodowy Tron, najeżony soplami, zmrożony szronem, surowy i nieprzystępny. Zasiadał na nim wychylony do przodu Elf o szarych oczach i smoliście czarnych, sięgających niemal do podłogi włosach, okryty wykonanym na podobieństwo śniegu płaszczem, narzuconym na mundurową kurtę. Tron otaczało kilkunastu dworaków, a przy prawej ręce Cesarza stał znany mi już Gerasimos, który gromkim głosem mnie zapowiedział. Władca nie zwrócił początkowo uwagi, zapatrzony w przestrzeń, potem zaś przeniósł na mnie wzrok, a w jego oczach zobaczyłem bezbrzeżny smutek – uczucie, które powinien wszak ukrywać pod lodową twarzą. Mój strach uleciał w jednej chwili, poczułem za to żal tak przejmujący, że padłem na kolana i oddałem się na jego usługi. Wszyscy patrzyli na mnie pozbawionym wyrazu, elfim wzrokiem, aż wreszcie Cesarz podniósł głowę i stracił mną wszelkie zainteresowanie, a ja zostałem, jak ten dureń, klęcząc u stóp tronu. Podniosłem się i wycofałem, zachodząc w głowę, co zaszło — później dowiedziałem się, że władca Cesarstwa załamał się po śmierci ukochanej małżonki i podejrzewa się powszechnie, że postradał rozum.

Przez całą drogę powrotną nie mogłem otrząsnąć się z upiornego wrażenia — nieomal pusta sala, uporczywe milczenie i smutek władcy niezmiernie wyraziście uświadomiły mi, że ten niezwykle dumny kraj umiera. Zacząłem też zachodzić w głowę, który z obecnych podczas audjencji jest cesarskim synem i czy Cesarz w ogóle ma potomków, którzy obejmą po nim tron. Wyraziłem zdaje się tę wątpliwość na głos — choć przysiągłbym, że milczałem jak zakłęty – bo Tryfillos odparł, że po śmierci władcy najpewniej tron przejmie Gerasimos Pagos. Zaskoczyło mnie to, gdyż wiedziałem już wtedy, że anoteros Koterii Dikastirio jest zbyt stary, by być potomkiem Cesarza i zacząłem dumać, czy jest może jego bratem. Prawda, którą poznałem nieco później, i która rzuciła wiele światła na kulturę Lodowych Elfów była jednak zupełnie inna i zgoła dziwaczna.

Lodowe Elfy nie posiadają rodzin i nie zakładają rodów czy dynastii. Oczywiście, małżeństwa są rzeczą zupełnie powszechną, od naszych różnią się jednak tym, że niemal zawsze zawiera się je z miłości. Kiedy rodzi się dziecko, oddaje się je do Wychowalni – nigdy nie dane było mi zobaczyć tego miejsca, lecz wydaje mi się upiorne — gdzie rośnie pod okiem kolejnych opiekunów aż do czasu, gdy posyła się je

do szkół. Po ich zakończeniu dwudziestoletni Elf, który nie ma pojęcia, kim byli jego rodzice, wybiera, do której przystąpi Koterii – a są one najprzeróżniejsze, niekiedy niezmiernie starożytne, innym znów razem powstałe zupełnie niedawno.

50



Część zbiera osoby o podobnych talentach, jak na przykład Koteria Krystallos, grupująca czarowników, inne zaś Elfów o podobnych zapatrywaniach i dążeniach, jak moi gospodarze, którzy zajmują się sprawami dworu i polityki. Niekiedy wszyscy członkowie Koterii poświęcają się temu samemu zadaniu – tak jest w przypadku Koterii Proaspizo, od sześciuset lat prowadzącej wojnę z Krasnoludami, innym znów razem jedynym, co łączy jej członków, jest miejsce urodzenia – od takich Koterii roi się w światach podbitych przez Cesarstwo, gdzie Lodowych Elfów jest tak niewiele, że nie są w stanie utworzyć dwóch ugrupowań. Ścisłą za to regułą jest wymóg bezwzględnej wierności wobec wybranej grupy, którą opuścić można wyłącznie przez małżeństwo, kiedy wstępuje się do ugrupowania współmałżonka. Wszelkie urzędy są zatem nadawane, nie ma bowiem komu dziedziczyć. Stąd właśnie prognozy, że schedę po obecnym władcy obejmie jego najbliższy przyjaciel, Gerasimos.

Tymczasem jednak nie miałem o tym wszystkim pojęcia i nijak nie mogłem się dowiedzieć, kolejne tygodnie spędzałem bowiem w niemal zupełnej izolacji. Poza reprezentowaniem mojego króla nie miałem nic do roboty, a moi sąsiedzi unikali mnie jak zadżumionego, uznali bowiem, że skoro już pierwszego dnia okazałem słabość, wybuchając gniewem, nie ma co zawracać sobie mną głowy. Przechadzałem się zatem po wiecznie cichym i na poły opustoszałym Cesarskim Mieście, zastanawiając się nad tym, jak rojno tu było w czasach chwały Cesarstwa, pisałem listy do wuja i powoli zapominałem ludzkiego języka, gdyż nawet osobisty sekretarz bał się przebywać w moim towarzystwie, by nie narazić się Elfom.

I pewnie postradałbym w końcu rozum, niczym — nie przymierzając — tamtejszy Cesarz, gdyby nie mój wybawiciel — Lope.

Mając w pamięci, ile przeżyliśmy wspólnych przygód i jak wiele Lopemu zawdzięczam, chciałbym skłamać, że poznaliśmy się w dramatycznych okolicznościach, czy to walcząc ramię w ramię z nawałem przeciwników, czy to rozwikłując ponurą intrygę naszych wrogów. Prawda jest jednak daleko bardziej prozaiczna, sprowadził go bowiem do mnie krasnoludzki charakter. Ot, pewnego ranka Scarlatto oznajmił mi, że mam gościa — zdziwiło mnie to, odwiedzał mnie bowiem wyłącznie Tryfillos w sprawach oficjalnych, i nigdy nie tracił czasu na anonsowanie się. Tym razem do wnętrza wkroczył jednak odziany od stóp do głów w czerń Krasnolud, zamiatając przed sobą drogę szerokim, ozdobionym białymi piórami kapeluszem.

Przez chwilę giął się w ukłonach, składając wyrazy uszanowania dla mnie, mojej rodziny, króla i wszystkich rodaków — gdyby znał ich z imienia, pewnie wymieniałby ich do zmięchu — po czym zamarł w uprzejmej pozycji, z pochyloną głową, kapeluszem przy ziemi i lewą dłonią za plecami. Przez chwilę zapomniałem języka w gębie, rychło jednak przypomniałem sobie miłosny dotyk różgi, wbijającej mi do głowy prawidła galanterii i przywitałem go z równą swadą.

Gość przedstawił się jako don Almerique Serrano y Calahorra, attache ambasadora Smoczego Króla Krasnoludów przy dworze Cesarza Lodowych Elfów, kawaler orderów takich i siakich, syn takiego to a takiego stąd i stamtąd. Słuchając tego wszystkiego miałem już uznać gościa za natręta i wyprosić, tymczasem jednak krasnolud, przy zachowaniu wszelkich form grzecznościowych, przeszedł do rzeczy.

Okazało się, że ambasador — skądinąd już wówczas zaskoczyło mnie, że pomimo sześćsetletniej wojny Smoczy Król wysyła na dwór śmiertelnego przeciwnika swojego przedstawiciela — usłyszał o moim żalnym położeniu i postanowił mi pomóc, przysyłając swojego asystenta, by służył mi radą i wsparciem, przybliżył zwyczaje naszych gospodarzy i dotrzymywał towarzystwa. W pierwszej chwili poczułem się dotknięty faktem, że nieznany mi Krasnolud ma tak niskie mniemanie o moich

talentach dyplomatycznych, że przysyła mi nauczyciela i już podnosiłem się, by wyprosić Almerique'a, pomyślałem jednak, że odtrącając jedyną pomocną dłoń skończę pewnie jak mój poprzednik, okoliczności śmierci którego wciąż pozostawały dla mnie niejasne. Z ulgą przyjąłem więc krasnoludzką pomoc i już po chwili attache wprowadzał się do mojego pałacyku, a wszędzie aż zaroilo się od jego służących, sekretarzy, pomocników, lokajów, asystentów i bogowie wiedzą kogo jeszcze. Sam Almerique dyrygował nimi z szerokim uśmiechem, co jakiś czas wzywając któregoś i przedstawiając jako swojego pociota. Nie minęło południe, a mnie już głowa pękała od gardłowej, krasnoludzkiej mowy, śmiechów i rozgardiaszu. Szczęśliwie, mój współlokator okazał się szanować prywatność i gdy zamknąłem się w sypialni, nie przeszkadzał mi aż do wieczora.

Jeśli początkowo źle zniosłem przybycie Krasnoluda i uznałem go za nadętego bufona, wrażenie to prysło już podczas kolacji.

Gdy wychynałem z sypialni, gość siedział już przy stole, czekając na moje przybycie. Pozbył się wystawnego, naszywanego klejnotami czarnego stroju z białą kryzą, krótkiego miecza o złoczonej rękojeści, kapelusza z piórem oraz lśniących butów z klamerkami — słowem, urzędowego kostiumu, w którym do mnie przyszedł i siedział za stołem w czerwonej koszuli o szerokich rękawach i prostych spodniach, przepasanych szarfą. Na mój widok błysnął olśniewająco białymi zębami, przyglądził czarną jak noc, krótką brodę i gestem zaprosił mnie do stołu. Ukłoniłem się grzecznie, bąkając „don Almerique”, podniósł jednak dłoń i ze śmiechem nakazał nazywać się „Lope”. W ten właśnie sposób dowiedziałem się, że niewiarygodnie sformalizowana kultura Krasnoludów tak wyraźnie rozgranicza czas publiczny, przeznaczony na pracę, i prywatny, który spędza się wśród przyjaciół i rodziny, że każdy z jej przedstawicieli nosi dwa imiona: pierwszym posługuje się publicznie, drugim zaś, gdy skończy swoje zajęcia. Po chwili siedzieliśmy przy stole, niemrawo dziobiąc pozbawione smaku, elfie jedzenie widelcami, i rozmawiając w najlepsze, pozbywszy się kryzy i złota Lope okazał się bowiem wyśmienitym kompanem. Od tego dnia był moim przewodnikiem po kulturze Lodowych Elfów, objaśniając takie niuanse, jak problem



braku rodzin, kult siły psychicznej, którego rezultatem jest lodowa twarz i setki innych zagadnień. Dowiedziałem się, że zdawkowe wypowiedzi i brak formuł powitania jest wynikiem tego, że Elf mówi wyłącznie, gdy ma coś do powiedzenia i nienawidzi pustostłowia, a moja audyencja u Cesarza musiała okazać się wielkim sukcesem, skoro nikt mnie nie zganił.

Dzięki Lopemu, z którym bardzo szybko się zaprzyjaźniłem, tak, że byliśmy w zasadzie nierozłączni, stałem się daleko sprawniejszym ambasadorem. Mój kompan miał ogromne doświadczenie w dyplomacji, dobiegał bowiem siedemdziesiątego roku życia, co dla długowiecznych krasnoludów jest wiekiem późnej młodości. Sam nie mógł jeszcze piastować stanowiska ambasadora, w tym celu Krasnolud ukończyć bowiem musi sto lat, uczył się jednak na dyplomata przez całe swoje dorosłe życie, nic więc dziwnego, że jego wiedza była imponująca. Dobre pochodzenie — czarne włosy, jak się dowiedziałem, były widomą oznaką, że w jego żyłach płynie krew Smoczych Książąt — zagwarantowało mu najlepszych nauczycieli, władał więc biegle nie tylko moim językiem, ale i mową Lodowych Elfów, mieszkańców Imperium Kryształowego, Gnomów, Elfów Pospolitych, znał nawet kilka słów po Astońsku.

Zdradzał też ogromną liczbę talentów i nie przypominam sobie, by w ciągu wszystkich lat naszej przyjaźni okazał się niekompetentny w jakiegokolwiek dziedzinie, od astronomii i nawigacji, poprzez sztukę, szermierkę, aż po medycynę. Pewnie zazdrościłbym mu i go podziwiał, pozostawaliśmy jednak w takiej zażyłości, że ani w głowie było mi zgrzytać na niego zębami i cieszyłem się jak dziecko za każdym razem, gdy Lope dawał kolejny popis swoich talentów.

Tymczasem, dzięki jego pomocy oraz mojemu rosnącemu do świadczeniu, moja pozycja wśród Lodowych Elfów zaczęła się stopniowo poprawiać. Całymi dniami ćwiczyłem przed lustrem lodową twarz i moja w tej dziedzinie zapamiętałość

doprowadziła w końcu do sytuacji, w której mijane Elfy zaczęły pozdrawiać mnie skinieniem głowy. Kilka razy stawałem przed Cesarzem, by mówić z nim o kontraktach handlowych czy podobnych, mało ciekawych sprawach i za każdym razem robiłem lepsze wrażenie. Przestałem też trząść się wiecznie jak osika i chodzić zakatarzony, przyzwyczajając się wreszcie do chłodu. Poznałem podstawy języka i zacząłem wprawnie się komunikować, kupiłem nawet — idąc za radą Lopego — Lodowego Feniksa, ptaka, którego Elfy chętnie trzymają w domach, a który odznacza się tą niezwykłą właściwością, że na starość zamarza w lodowy posąg, który rozpada się potem na kawałki, a ze środka wyłazi młody Feniks. Trzymałem go początkowo w sypialni, chłód jednak, który bił od jego jasnoblękitnych piór, był tak przejmujący, że musiałem przenieść klatkę do nieużywanego gabinetu. Pod wpływem dziwnego impulsu nazwałem feniksa Fawkes, które to imię wyjątkowo mu się nie spodobało, za każdym więc razem, kiedy mnie widział, odwracał się z wyższością tyłem — uwielbiał za to bawić się z Lopem, który szwargotał do niego po swojemu.

Moje starania musiały przynieść efekt, pod koniec pierwszego roku pobytu zaproszono mnie bowiem wreszcie oficjalnie na bal.

Uroczystości tego rodzaju odbywały się tu oczywiście nagminnie, do tej pory i jednak dane mi było wyłącznie słuchać ich odgłosów przez ściany, ucieszyłem się zatem jak dziecko, a i Lope wyszczerzył się serdecznie. On , oczywiście, zaproszony nie został, co usłyszawszy nieco zmarkotniałem, wyjaśnił mi jednak, nie tracąc humoru, że Krasnoludy nie bywają na elfich balach ze względu na zadawnioną wrogość i że on sam doskonale to rozumie. Po raz kolejny nie mogąc nadziwić się zagmatwanej duszy Krasnoluda, przyodziałem się w moje najlepsze ubranie, uszyte jeszcze w Mieście Twarży, przypasałem Viperę i dumnie ruszyłem do ogromnego, wielopiętrowego pałacu Gerasimosa Pagos, gdzie odbywać się miała feta. Elfi bal zauroczył mnie bez reszty - i choć widziałem podobne uroczystości w Dziewięciu Miastach, miały zupełnie inny charakter i daleko im było do wspaniałości czy rozmachu przyjęcia wydawanego w Cesarskim Mieście. Służący, Pospolity Elf o smutnych oczach, gromko mnie zapowiedział i wkroczyłem dumnie do sali balowej, wysokiej na trzy piętra i doskonale asymetrycznej. Wokół, na wielu poziomach, wznosiły się połączone



azurowymi schodami i unoszonymi mocą Kryształu platformami tarasy, na których porozstawiano stoły i siedziska. Znakomitą część sali zajmowała najdziwniejsza podłoga, jaką widziałem w życiu, zdobiona niezwykle mozaiką, pełną wprawdzie barw i kształtów, nie wyobrazającą jednak niczego konkretnego. Otaczała ją fosa, w której kłębił się płynny lód — rzecz zupełnie niezwykle, zwłaszcza dla kogoś wyrosłego w przekonaniu, że lód, nim zamarznie na kamień, jest zwyczajną wodą. Pod sufitem, po którym płynęły sprowadzone nie wiedzieć w jaki sposób purpurowe obłoki, latało całe stado Lodowych Feniksów, stoły zastawione były potrawami dobranymi pod względem koloru i wszędzie kręcili się służący, roznosząc zmrożone flaszki doskonale przezroczystego napitku. Zewsząd odwracały się ku mnie twarze, nieodmiennie spokojne i opanowane, piękne i regularne, a całe towarzystwo skrzyło się błękitem, bielą i złotem, szykownym krojem mundurów, wystawnych sukien, epoletów, galonów, brosz, kolczyków i wykwintnych fryzur. Rozpoznawałem znajome oblicza — choć szczerze mówiąc, wciąż trudno było mi rozróżniać Lodowe Elfy z ich nieskazitelnymi twarzami — dostrzegłem jednak mundury kilku innych Koterii. Najbardziej uderzył mnie jednak brak rozmów, Elfy bowiem, swoim zwyczajem, oszczędzały słowa.

I choć trudno było uznać salę za cichą, szeleściły bowiem stroje, brzęczały butelki i skrzypiały kroki, chyba wolałbym, aby panowała w niej zupełna cisza.

Przez chwilę kręciłem się wśród milczących gości, wspinając na coraz to wyższe balkony i co rusz zaskakiwany wspaniałością przyjęcia, potem zaczęło się jednak powszechne poruszenie i kto żyw wychylił się przez barierkę tarasu. Sala na dole opustoszała, jeśli nie liczyć gospodarza, który pojawił się nie wiedzieć kiedy. Gerasimos Pagos ubrany był w proste spodnie z pojedynczym lampasem, delikatną jak pajęczyna koszulę i ozdobiony niezwykle kunsztownym wzorem płaszcz, sięgający połowy łydki. Pewnym krokiem przestąpił fosę i wszedł na dziwaczną podłogę, która nawet oglądana z góry nie wyobraziała niczego w szczególności, a wtedy zagrała muzyka.

Elfy lubują się w rzeczach skomplikowanych, nie zdziwił mnie zatem widok niezmiernie złożonych instrumentów o dziesiątkach strun, w które niekiedy uderza

się pałeczkami, czasem zaś szarpie za pomocą specjalnych napastrków, zaskoczyło mnie jednak, jak doskonała i zawila może być wygrywana przez nie melodia. Dłuższą chwilę zajęło mi, nim zdołałem zrozumieć frazę muzyki, tymczasem zaś Gerasimos musiał pojąć ją od razu, ruszył bowiem do tańca. Wirował na parkiecie sam, stawiając niewiarygodnie skomplikowane kroki i dokonując akrobacji, których żaden człowiek nie byłby w stanie powtórzyć, tańcząc coraz szybciej i szybciej, a jego długie, złote włosy powiewały wokół jego głowy niczym welon. Pojąłem tymczasem, że mozaika, której nie rozumiałem, nie służy bynajmniej ozdobie, a pomaga tancerzowi odnaleźć rytm i wykonywać odpowiednie kroki, różne zaś kolory znaczą zapewne rozmaite tańce. Tymczasem służący zaproponował mi szklaneczkę przejrzystego napoju, na co przystałem z ochotą i bal zaczął się na dobre.

W kolejnych tańcach uczestniczyła znacznie większa liczba osób, zauważyłem jednak, że choć formują korowody i grupy, nie sposób wyróżnić wśród nich par, a płeć nie ma w tym wypadku znaczenia, doszedłem więc do przekonania, że to, co nazywamy tańcem towarzyskim, jest Lodowym Elfom zupełnie obce. Tymczasem na tarasach zaczynały się gry – wielka tutejsza namiętność. Zazwyczaj grający używają kart, zupełnie niepodobnych do naszych, czasem jednak sięgają po najrozmaitsze plansze. Sens zawsze jednak jest taki sam – gra musi być wyzwaniem dla intelektu, a nie szczęścia graczy, i mieć charakter hazardowy. Lodowe Elfy całe życie mają za jedno wielkie wyzwanie, próbę, której muszą sprostać, a rozgrywka jest dla nich kolejnym sposobem sprawdzenia się. Bez zmrużenia oka przegrywają więc i wygrywają ogromne fortuny, kładąc na szali wszystko, co im drogie. Panująca przy stolikach gry atmosfera sprawiła, że umknąłem od nich czym prędzej, obawiając się, że i mnie mogą wciągnąć do tej niebezpiecznej zabawy. Rychło też przekonałem się, że miałem rację — nim to jednak nastąpiło, służący roznieśli pomiędzy bawiącymi się wiele butelek przezroczystego alkoholu.

Przyznaję, był ohydny. Mocniejszy niż cokolwiek, co w życiu piłem, palił nieprzyjemnie gardło oraz język i pozostawiał w ustach niemiły posmak, sączyłem go jednak, by nie złamać reguł zabawy.

Podpatrzyłem jednak, że gospodarze spożywają go w zgoła inny sposób — przyzywali Feniksy, wrywali im pióra i mrozili za ich pomocą alkohol, a potem wychyli szklanę jednym haustem. Spróbowałem tej metody i choć nie poprawiła ona smaku wstrętnego płynu, uczyniła picie go znośniejszym. Elfy tymczasem nie żałowały sobie, a z każdą szklanką zachowywały się swobodniej. Przyznać im muszę, że są rasą, która wiele potrafi wypić, nie chwiejąc się przy tym na nogach ani nie gadając od rzeczy. Jedynym widowym znakiem upojenia jest u nich niesamowity blask oczu i rozluźnienie reguł lodowej twarzy, przystojne wówczas i stosowne. Tę bowiem ważną funkcję spełnia tutaj ohydny alkohol, że gdy Lodowy Elf znajduje się pod jego wpływem wolno mu bez skrępowania okazywać emocje. Im dłużej trwał zatem bal, tym tańce stawały się ognistsze, rozmowy, początkowo zdawkowe, coraz bardziej ożywione, a gry bardziej emocjonujące. W pewnym momencie na jednym z balkonów wybuchła awantura – poszło chyba o karty — i Gerasimos w jednej chwili przerwał taniec. Muzyka ucichła, bawiący się zeszli z mozaikowej podłogi, po czym wkroczyli na nią zwaśnieni. Obydwaj mieli broń – na lewej dłoni ostrze przypięte do czegoś w rodzaju rękawicy, w prawej zaś dzierżyli osobliwą pałkę o dwóch brzeszczotach. Stanęli naprzeciw siebie, muzycy znów uderzyli w struny, i zaczął się pojedynek.

Kto nie widział pojedynku dwóch Lodowych Elfów, nawet wyobrazić sobie nie potrafi morderczej furii, śmiertelnej precyzji i niewiarygodnej prędkości, z jaką się toczy. Niedawno jeszcze uważałem taniec Gerasimosa za szczyt możliwości akrobatycznych

58



żywej istoty, teraz jednak naprawdę zrozumiałem, do jak wielkich wyczynów zdolne są Lodowe Elfy, a sztuka szermiercza Miasta Twarzy, uchodząca za finezyjną oraz zabójczą wydała mi się nagle prostacka i niezgrabna. Walczący krążyli wokół siebie, kręcili piruety i salta, mijając ostrza przeciwnika o ułamki centymetrów, a ich broń

kreśliła w powietrzu zabójcze półksiężycy, tryskając iskrami za każdym razem, gdy ostrza się zetknęły. Trwało to dłuższą, przerażająco fascynującą chwilę, wtem jednak – nawet nie zdążyłem spostrzec kiedy – jeden z walczących zważył się na kolana. Z jego szyi szeroką strugą tryskała błękitna, elfia krew, rozlewając się szeroko po mozaice. Przez chwilę usiłował jeszcze wstać, wreszcie jednak, zrozumiawszy, że nadciąga śmierć, położył się delikatnie i bez jęku skonał. Jego przeciwnik pochylił się nad ciałem, obrócił je na plecy i obwieścił całej sali, że zabity spojrział śmierci w twarz – faktycznie zresztą, jego szeroko otwarte oczy wpatrywały się w sufit sali balowej. Potem jakby nigdy nic zwycięzca wrócił do kart, a służący sprzątnęli ciało i krew z parkietu, na który ponownie weszli tancerze.

Bał rozpoczął się na nowo i tylko ja stałem, oniemiały ze zgrozy.

Przysięgam, że nie jestem pewien, co działo się dalej i co jest przyczyną wypadków, które doprowadzić miały moją karierę dyplomaty do tak żalostnego końca. Wiem, że przyniesiono mi wiadomość i że udałem się do oranżerii, przejrzysty płyn zaćmił mi jednak umysł na tyle, że pamiętam wyłącznie, jak wkraczam pod szklaną kopułę, w jednej chwili przenosząc się z wiecznie zimnego świata Elfów do tryskającego bujną roślinnością dusznego i gorącego parku. Wokół lśniły nocne kwiaty a wilgotna ziemia pachniała mocniej jeszcze, niż w naszym ogrodzie w Mieście Twarzy. Pośród labiryntu ścieżek stała srebrzysta ławka i na niej właśnie czekała na mnie dziewczyna. Ku mojemu zaskoczeniu zakomunikowała mi, że ponoć pragnęłam się z nią spotkać i choć nie miałem o tym pojęcia, przezroczysty płyn i uroda Elfki tak zamroczyły mi umysł, że szybko przytaknąłem. Jej ogromne oczy lśniły delikatnie w świetle nocnych kwiatów, na twarzy malowało się zakłopotanie i ciekawość, widomy skutek picia przezroczystego płynu. Nie mogła być starsza ode mnie – choć Elfy zawsze pozostają młode, ta miała szczególnie niewinne wejrzenie. Ubrana była w długi płaszcz kapitana okrętu i koszulę z zaботem, a wąskie spodnie i buty kusząco opinały się na jej udach.

Ani się spostrzegłem, siedziałem przy niej, zatopiony w rozmowie, bez reszty zakochany w jej lśniących oczach.

Nie pamiętam, o czym dokładnie mówiliśmy z Eirene, tak bowiem miała na imię moja piękność. Na pewno wylałem swoje żale na ciężki los człowieka wśród Elfów, z pewnością też opowiadałem jej o Mieście Twarzy, Sandrze i moim zranionym sercu. Od niej dowiedziałem się, że należy do Koterii Naftis, związku kapitanów okrętów, że dopiero w tym roku ukończyła szkoły i marzy o dalekich podróżach do odległych światów. To rozpało moje serce i szeptem zaczęliśmy nawzajem opowiadać sobie o cudach Wszechświata, pięknie okrętów i dalekich podróży, samotności wśród gwiazdowego bezmiaru i wtem po policzkach Eirene zaczęły płynąć łzy. Jakże cudownie wyglądała jej twarz, oblana delikatnym blaskiem, bezgranicznie tęskna i smutna, tak, jak smutne potrafią być wyłącznie Elfy! Nie rozumiejąc, co się dzieje, złapałem ją za rękę — jakże była zimna! — i w chwili później przyłgnałem ustami do jej warg, zanurzając drugą dłoń w jej jedwabistych włosach. Wtedy właśnie usłyszeliśmy kroki.

Dziś jestem pewien, że moje spotkanie z piękną Elfką zostało precyzyjnie zaplanowane i oboje padliśmy ofiarą nikczemnej intrygi. Często zastanawiam się przy tym, czy gdyby jej autor znał konsekwencje, zdecydowałby się wcielić paskudny ów plan w życie i, co za tym idzie, czy dane by mi było w ogóle poznać piękną dziewczynę. Od śmierci dzieli mnie dziś tak niewiele czasu, a jednak dłuży się on niemiłosiernie, zabijam go więc, usiłując dociec, w którym momencie życia przypieczętowałem swój los. I prze—



konany jestem, iż namiętny ów pocałunek wyznacza chwilę, do której wszystko potoczyć musiało się w tak dramatyczny sposób.

Nawet dziś, gdy zamknę oczy, potrafię przywieść go na pamięć, a choć całowałem od tamtej pory wiele ust, żadne jednak nie były jednocześnie tak zimne i tak słodkie. Nim nasze wargi rozłączyły się, z gęstwiny ciepłolubnych rośliny wyłonił się sam Gerasimos Pagos w towarzystwie Tryfillosa. Oczy tego drugiego płonęły jasno alkoholowym blaskiem, a na zwykle nienagannie spokojnej twarzy malował się wyraz upiornej satysfakcji. Widząc go, zrozumiałem, że moje dotychczasowe kłopoty to drobiazg w porównaniu z tym, w co wpakowałem się teraz.



## ROZDZIAŁ TRZECI

*w którym Marco wije się w uścisku zemsty i nieomal traci*

*przy tym życie. Tudzież o losie rozbitka.*

*Khojin*



## ROZDZIAŁ TRZECI

Romans nie jest wśród Lodowych Elfów niczym niezwykłym – zaryzykowałbym nawet stwierdzenie, że w tym względzie przypominają nieco mieszkańców Miasta Twarzy, z tym, że nie flirtują publicznie, uprawiając amory w miejscach ustronnych.

Przypadek Eirene z Koterii Naftis i mój był jednak szczególny, Elfy bowiem gardzą ludźmi jako istotami o poślednich umysłach i niewielkich zdolnościach. Stąd romans między Lodowym Elfem, a jakkolwiek inną rasą, uchodzi za wstydliwą aberrację i nawet jeśli się przydarza, zawsze rozgrywa się potajemnie. My daliśmy się przyłapać — choć już wówczas wątpiłem, czy sprawił to przypadek — a sprawę pogorszyła jeszcze moja funkcja ambasadora, czyli reprezentanta całego mojego narodu. Dlatego właśnie pocałunek nasz, choć w gruncie rzeczy zupełnie niewinny i spowodowany przede wszystkim alkoholowym zamroczeniem, szybko okrzyknięty został czymś w rodzaju zdrady własnej rasy przez Eirene, mnie zaś uznano za nieprzyjaciela i spiskowca. Z drugiej strony, przyznam, że nawet dziś, gdy oczekuję na śmierć i znam doskonale los, który przypadł w udziale Eirene, wciąż myślę z rozrzewnieniem o jej niewinnych, lśniących młodzieńczą fascynacją oczach. Podejmując jednak temat – Koteria Naftis uznała nasze zachowanie za obraźliwe, dowodząc, że ukarać należy nas oboje, Dikastirio zaś wymówili mi gościnę twierdząc, że posunąłem się za daleko. Szczęśliwie, nie opuścił mnie Lope, który natychmiast zorganizował kwaterunek w siedzibie swojego zwierzchnika.

Tymczasem sprawy toczyły się bardzo szybko. Tryfillos, który nie nasycił się jeszcze moim upadkiem i mało mu było, że Elfy odwracają się na mój widok ze wstrętem, uruchomił kolejną intrygę, której celem było publiczne skompromitowanie mojego urzędu. Za jego sprawą rozeszła się bowiem pogłoska, że w sprawie tak poważnej, jak romans kapitana cesarskiego okrętu z nieprzyjacielem wyrok wydać może tylko jedna



osoba — sam Cesarz. Mój los malował się więc szczególnie ponuro, znałem już bowiem władcę na tyle, by dobrze zaznajomić się z jego apatią, brakiem zainteresowania wszystkim, co mu się przedkłada i uległością wobec doradców - w szczególności z Koterii Dikastirio, z której sam się wywodził. Odwagi nie dodał mi też Scarlatto, który wreszcie puścił parę z ust i poinformował mnie, że poprzedni ambasador również sądzony był przez Cesarza - za inne zgoła przewinienie, o którym sekretarz nie chciał mówić - i skończył na straszliwych torturach, sprawdzających rzekomo siłę jego lodowej twarzy. W dzień sądu pożegnałem się więc z Lopem, uściskałem serdecznie Scarlatta i dałem się poprowadzić do sali tronowej Tryfillosowi, który nie zdradzał oznak zadowolenia, wiedziałem jednak, że aż od niego kipi. Choć tym razem przed Lodowym Tronem zgromadziło się wielu Elfów z obydwu pokrzywdzonych Koterii a także przywódcy ze dwudziestu innych ugrupowań, wciąż tworzyli grupkę załóżnie niewielką w porównaniu z rozmiarami pawilonu. Nigdy jeszcze droga do tronu nie dłużyła mi się tak bardzo - siedłem, prowadzony nieprzychylnymi spojrzeniami absolutnie spokojnych twarzy, aż wreszcie zmuszono mnie, bym klęknął na najniższym stopniu podwyższenia. Nie widziałem nigdzie narzędzi tortur ani katów i przez chwilę nabrałem otuchy, sam jednak zganiłem się za taką naiwność — wszakże nie umęczą mnie pod samiutkim nosem władcy. Cesarz siedział na swoim lodowym tronie, owinięty w śnieżny płaszcz, z twarzą zatopioną w dłoniach i pochyloną do przodu, tak, że długie, czarne włosy spływały niczym wodospad.

Czekaliśmy jeszcze przez chwilę, w zupełnym milczeniu i ciszy, aż wreszcie od strony wejścia usłyszałem kroki dwóch par butów. Nie pozwolono mi się obrócić, wiedziałem jednak, że to Eirene.

Gdy dziewczyna uklęknęła obok mnie, spojrzałem na nią kątem oka.

Wprawdzie próbowała zachować lodową twarz, usta jednak drżały jej ze strachu, a dłonie zaciskała w pięści. Początkowo Cesarz nie zaszczycił nas nawet spojrzeniem — nieruchomy niczym posąg wysłuchał zarzutów, potem uniósł jednak oblicze o bezbrzeżnie smutnych oczach i spojrzał na nas, by wydać wyrok. Następne wydarzenia potoczyły się bardzo szybko — ze zdumieniem widziałem, jak smutek

pierzcha z oczu władcy, jak ten wstaje i zbiega po schodach, a śnieżny płaszcz, zrzucony z ramion, powoli spływa na stopnie. Kucnął tuż przed nami, chwycił Eirene pod brodę, dokładnie obejrzał jej twarz, po czym ujął za ramiona, zmusił do powstania i zaprowadził do samego tronu. Znow kłęczałem sam, z rosnącym zdumieniem słuchając, jak szalony monarcha ogłasza głosem, od którego drżą ściany prastarej sali, że Eirene nie może być nikim innym, jak córką jego zmarłej ukochanej i że życzeniem jego jest, by krew z jej krwi objęła Lodowy Tron, gdy jego już zabraknie. Struchleliśmy wszyscy – ja, wyniesiona nagle do godności następcy dziewczyna, doradcy – a potem w sali tronowej wybuchł łoście ludzki rozgardiasz.

Doradcy argumentowali jeden przez drugiego, reprezentanci Koterii Naftis stali, zadowoleni, a na twarzy zawsze nienagannie spokojnego Gerasimosa wykwićać zaczęła nieopisana wręcz furia. Jeśli o mnie chodzi, wszyscy stracili mną zainteresowanie i już nigdy nie wracano do sprawy feralnego pocałunku.

Nie miałem wówczas pojęcia, jak potoczą się dalsze losy dziewczyny, w której się zakochałem, pełen byłem jednak najczarniejszych przeczuć, tak, że aż chciałem ją chronić, co wybił mi z głowy dopiero Lope. Tego samego jednak dnia gościnę zaproponowała mi Koteria Naftis, widywałem ją zatem w ciągu następnych kilku

67



tygodni dość często, wiele rozmawialiśmy i z dumą powiedzieć mogę, że gdy opuszczałem świat Lodowych Elfów, pozostawialiśmy w zażyłej przyjaźni. Z dumą, gdyż w jakiś czas po moim zniknięciu stary i szalony Cesarz zmarł, do końca zachowując lodową twarz i, wbrew nadziejom Koterii Dikastirio, spoglądając śmierci w twarz.

Zgodnie ze starożytnym zwyczajem, odwaga w obliczu końca gwarantuje umierającemu, że wszystkiego jego dobra i tytuły przekazane zostaną wybranym

przezeń osobom, a odstępstwo od tej reguły jest poważnym wykroczeniem i czynem okrutnie ohydny. A że szaleniec do końca nie odzyskał rozumu, Eirene wstąpiła na tron i – o ile mi wiadomo – panuje po dziś dzień. Łyżką dziegiu w beczce miodu jest tylko fakt, że zawarła małżeństwo z zimnym i bezwzględnym Gerasimosem Pagos, jak sądzę, niekoniecznie z własnej woli. Dziwaczny ów związek spowodował, że dziś, w przeddzień mej śmierci, niegdysiejszy przywódca Koterii Dikastirio mieni się

Cesarzem. To wszystko jednak miało dopiero nastąpić — ja zaś odczekałem kilka tygodni i z ulgą uznałem, że sprawa ucichła.

I dopiero wówczas zaczęły się moje prawdziwe kłopoty.

Od czasu cudownego rozpoznania Eirene nie miałem zaszczytu stawać przed obliczem Cesarza, który odnalazł nowy cel w swym ponurym życiu i z werwą zaczął poszukiwać dokumentów i śladów świadczących o tym, że dziewczyna jest faktycznie jego córką. A że wszystko na to wskazywało, z każdym dniem goręcej oddawał się temu zajęciu, nie miał więc czasu dla ambasadorów i wszelkie moje obowiązki uległy zawieszeniu. Szczęśliwie, byłem teraz gościem Koterii, która para się międzygwiezdną żegluga, więc zamiast wałkonić się w nowym domu, oddawałem się ukochanemu zajęciu. Oczywiście, zabierano mnie tylko na pokład okrętów pasażerskich, nie tyle by nie zdradzać mi sekretów uzbrojenia i taktyki Cesarstwa, co uznawszy, że daleko mi do siły, którą odznaczać powinien się prawdziwy żołnierz. Nie narzekałem jednak, gdyż nawet rejs jachtem dostarczał mi znacznie więcej emocji, niż cały rok spędzony w pałacach Koterii Dikastirio.

Im częściej wyprawiałem się na gwiazdne szlaki, tym większą ciekawość budził drugi świat układu. Początkowo nie chciano mi o nim mówić, informując mnie tylko, że jest zmrożony wiecznym lodem, a wobec panujących na nim warunków, klimat stolicy Cesarstwa jest wręcz łagodny. Podpatrzyłem jednak, że pomiędzy tajemniczym światem, a naszym miastem regularnie kursują okręty, z czasem dowiedziałem się więc, iż w głębi okrytych wiecznym śniegiem gór znajdują się niewyczerpane złoża nadmetalów i że właśnie ten cenny surowiec się stamtąd przywozi. To rozпалиło moją wyobraźnię jeszcze bardziej, wyobrażałem sobie bowiem nieustraszonych

poszukiwaczy rudy, którzy — nie zważając na ziąb i śnieżne zawieruchy — uporczywie drążą twardą skałę ku chwale swojego Cesarza. Lodowy blask Ochuromy, doskonale widoczny na nocnym niebie, wabił mnie i przyciągał — aż wreszcie zwierzyłem się z moich tęsknot Eirene. Ta, wykorzystując swoją świeżo zdobytą pozycję, przekonała anoterosa Koterii, by wysłał na rejs wokół planety jeden ze swych śmigłych jachtów, dzięki czemu mogłbym obejrzeć ją z bliska.

W noc poprzedzającą rejs spałem wyjątkowo niespokojnie i gdybym był choć trochę przesądny, uznałbym to za niechybną oznakę nieszczęścia. Niestety, bajania mojej niani dawno włożyłem między bajki, a nieprzespaną noc złożyłem na karb podniecenia.

Przecież miałem obejrzeć nowy świat — już trzeci w moim niezbyt długim życiu — a ojczyzna Lodowych Elfów, z którą miałem przyjemność obcować już od roku, nieco mi spowszedniała. Do portu ruszyłem o świcie, by zdążyć wyruszyć wraz z podnoszącą się mgłą — pożegnałem tylko Lopego, który lojalnie zbudził się wraz ze mną, choć trudno było nazwać go rannym ptaszkiem i nakarmiłem Fawkesa, otrzymując przy tym pożegnalne dziobnięcie w nadgarstek.

Jacht, śmigła jednostka o nazwie Thalamigos, czekał, gotów do startu w każdej chwili. Załoga składała się z dwunastu Pospolitych Elfów w prostych, ciepłych strojach i trzech oficerów — wciąż szokowało mnie, że wszyscy wyglądają na młodzików, choć miałem powody wierzyć, że kapitan jest starym wilkiem gwiazdnym. W porcie oczekiwał na mnie ktoś jeszcze — zaskoczony ujrzałem na szczycie żurawia Tryfillosa. Na mój widok, skinął głową i dalej przypatrywał się przygotowaniom do odjazdu. Korciło mnie, by zapytać, co tu robi, ugryzłem się jednak w język, czego po dziś dzień żałuję, znając bowiem niechęć Lodowych Elfów do kłamstwa, które uznają za broń słabych, zakładam, że moje losy potoczyłyby się zgoła inaczej.

Młodzieńcza buta sprawiła jednak, że minąłem Tryfillosa bez słowa, wspiąłem się po trapie i powitałem kapitana. Ten szorstko wyjaśnił mi, gdzie mogę złożyć rzeczy, po czym dał rozkaz rzucenia cum. Jacht szybko oderwał się od platformy — patrzyłem, jak sylwetka mojego nieprzyjaciela maleje w oddali — i wzbił w złociste niebo. Nie

minął kwadrans, a naszym oczom ukazała się lśniąca, złocista kopuła sali audiencyjnej Cesarza — dalej rozpościerał się przestwór Wszechświata. Czując narastające podniecenie jak zwykle z przyjemnością obserwowałem mechaniczną precyzję, z jaką elfi marynarze wykonywali komendy i ich żeglarską wprawę, która wówczas wydawała mi się imponująca. Niepokoiło mnie tylko – jak zawsze zresztą – uporczywe milczenie i niezmiennie lodowe twarze, tęskniłem bowiem trochę do opowieści starych żeglarzy w głębi serca wierząc, że wszyscy przeżyli niepowtarzalne przygody.

Tajemniczy świat Ochuromy skrzył się niczym diament, oblewany białymi promieniami tutejszego słońca i nawet daleko, na orbicie, czuć było bijący od niego ziąb. Płynące po niebie chmury skrzyły się różnymi odcieniami bieli i bardzo zimnego różu, a kiedy jacht nasz przechodził przez ich warstwę, wanty w jednej chwili pokryły się szronem, a ja poczułem, jak dotkliwy mróz kąsa mi policzki. Choć zabrałem ze sobą najcieplejsze ubranie, zadrżałem – a chwilę później przed moimi oczyma roztoczył się krajobraz pustego świata, dziki i nieprzystępny. Płynęliśmy nad szczytami ogromnych, skalistych gór, zbocza których pokrywała gruba warstwa śniegu, spod którego tylko gdzieniegdzie sterczały czarne i lśniąco jak obsydian zręby skał. Śnieg zalegał też w głębokich dolinach, tak wąskich i krętych, że zacząłem wierzyć, iż na ich dno nigdy nie dociera światło słońca. Pomiędzy łańcuchami górskimi ciągnęło się lodowe pustkowie, gładkie niczym stół i połyskliwe, pod lodem musiały znajdować się jednak zbiorniki wodne, gdyż z wysokości, na której lecieliśmy wyraźnie widać było fantazyjne wzory zamrożonych alg, na zawsze uwięzionych w twardej pokrywie. Kapitan stanął obok mnie i powiedział, że tak właśnie wygląda tu dzień — świat ma bowiem tę niezwykłą właściwość, iż dni trwają tu równo po pół roku, na drugą zaś połowę zapada noc, groźniejsza jeszcze i bardziej mroźna.

Wtem rozmowę przerwał nam niezwykle dźwięk. Brzmiał niczym upiorny zew, wysoki, tęskny i śpiewny, a tak głośny, że aż zadrżały od niego szczyty i po ich zboczach potoczyły się lawiny, rozsiewając wokół różnobarwne tęcze. Oglądane z tej wysokości były fascynującym widowiskiem, zdało mi się bowiem, że oto z ziemi wstaje nowa warstwa chmur, by konkurować z płynącymi po niebie obłokami. W duchu cieszyłem się też, że – jak mi się wówczas wydawało — w górach nie ma żadnego

życia, które mogłoby zostać pochłonięte przez rozszalały żywioł. Tymczasem, kapitan wskazał do przodu, tam bowiem znajdowało się źródło dźwięku i zarazem największe dziwowisko tego świata. Dokładnie na wprost naszego bukszprytu pękło niebo i z białych obłoków wyłaniać się począł ogromny, ciemny kształt. Początkowo nie mogłem go rozpoznać, po chwili jednak chmury przebiła płetwa, sama jedna po wielokroć większa od naszego jachtu i potwór zanurkował w dół, ukazując gigantyczny łeb, większy od mojego pałacu w Mieście Cesarskim. Znajdował się bardzo blisko, ufałem jednak, że kapitan wie co robi i z podszytą grozą fascynacją wsłuchałem się w głos gwiazdnego lewiatana, który zaśpiewał ponownie, najwyraźniej przyzywając swoją partnerkę. Trzeba wam bowiem wiedzieć, że dziwowisko, którego byłem świadkiem, okazało się godami lewiatanów, największych istot, jakie wędrują pomiędzy gwiazdami wyjąwszy może legendarne potwory, o których wszyscy mówią, lecz nikt nie widział. Upodobały one sobie właśnie ten świat, by raz do roku łączyć się w pary i płodzić młode, już w chwili narodzin mierzące kilkanaście metrów. W zasadzie nie są niebezpieczne, żywią się bowiem międzygwiazdną drobnicą, która sama pcha im się w paszczę, widząc jednak jednego z nich, z tak wielkiej bliskości, struchlałem.

Jacht nasz tymczasem szedł wprost na bestię, a ja nabierałem przekonania, że nawet jeśli zderzymy się z jego grubym, pooranym przez międzygwiazdne skały cielskiem, najpewniej tego nie zauważy. Odwróciłem się do kapitana, by podzielić się tym spostrzeżeniem i ze zdumieniem spostrzegłem, iż stoi on wyprostowany jak struna i tępo patrzy w przestrzeń. Rozejrzałem się, cóż tak ściąga jego uwagę, i odkryłem, że wszyscy na pokładzie okrętu — od sternika po chłopca okrętowego — porzucili swoje zajęcia, choć pędziliśmy pod pełnymi żaglami wprost w stronę zagłady. W pierwszej chwili wziąłem ich zachowanie za objaw jakiejś dziwacznej gry Lodowych Elfów, która sprawdzić ma ich odwagę, ich twarze nie były jednak lodowe, a zwyczajnie puste. Lewiatan był coraz bliżej, krzyknąłem więc do sternika, a gdy ten nie zareagował, podbiegłem do steru i szarpnąłem go za ramię. Upadł na pokład jak szmaciana lalka, a ja chwyciłem koło, by wykonać zwrot — czego wprawdzie nigdy nie robiłem, obserwowałem jednak wiele razy. Statek przechylił się na burtę i w tym momencie odwrócił się do mnie kapitan. W pierwszej chwili poczułem ulgę, wnet

jednak spostrzegłem, że na twarzy ma zupełnie obcy mu grymas i przemawia nie swoim głosem.

Zakomunikował mi, że Tryfillos, mag z Koterii Dikastirio, przesyła mi wyrazy szacunku, życząc przyjemnej podróży i dopiero wówczas zrozumiałem, co się stało. Nagle wiele rzeczy stało się jasnych — dziwaczne zaćmienie umysłu podczas balu, gwałtowny i namiętny pocałunek z Eirene oraz fakt, że pędziliśmy ku nieuchronnej katastrofie. Nikt nie mówił mi, że Tryfillos potrafi posługiwać się magią i z pewnością nie był w tym wybitny, wystarczyło mu jednak mocy, by do cna wyczyścić umysły załogi mojego jachtu. Tą bo-



wiem moc posiadają Lodowe Elfy, że potrafią wtargnąć w czyjeś myśli, odczytać je, zmienić czy całkowicie zniszczyć — i w taki właśnie sposób przed wiekami podporządkowywali sobie władców podbitych światów. Teraz mnie dane było zakosztować tej budzącej grozę magii — tym straszniejszej, że najpewniej nigdy nie dowiesz się, że padłeś jej ofiarą.

Porzućmy jednak te dywagacje, bo oto, napierając całą siłą na koło sterowe, zdołałem zmusić statek do wykonania zwrotu. Lewiatan przeszedł tak blisko, że burtą otarliśmy się o jego szarą, upstrzoną międzygwiezdny smieciem skórę, tracąc wprawdzie część rei, lecz zachowując życie. Oddychałem już z ulgą, gdy wtęmem ze szczytu góry — nawet nie zauważyłem, że znaleźliśmy się między jej zboczem, a ogromnym cielskim potwora — wystrzeliły nie wiedzieć przez kogo rzucone, zakończone ostrymi hakami liny, furkocząc wokół mojej głowy i targając żagle. Kilkanaście haków wbiło się głęboko w ciało lewiatana, a ten zaryczał z bólu, szarpnął nagle i usiłował poderwać się do góry, a wówczas jedna z jego ogromnych płetw zawadziła o kadłub naszego okrętu. Rozległ się przeraźliwy trzask pękającej stępki, a potem pokład przełamał się dokładnie pośrodku, wyrzucając w górę powódź odłamków. Roztrącone Elfy runęły w przepaść pod nami, a ja, kurczowo uczepiony koła sterowego, wystrzeliłem ku górze

wraz z wirującą teraz swobodnie rufówką. Na głowę spadł mi bezan, nie widziałem więc, że resztki okrętu, których czepiałem się desperacko, mkną z ogromną prędkością ku zboczowi góry. Szczęśliwie, uderzyliśmy w nią od strony stępki — nim straciłem przytomność, poczułem jeszcze, że siła uderzenia wyrzuca mnie raz jeszcze w powietrze. Wciąż zaplątany w żagiel spadłem w głęboki, zmrozony śnieg i ogarnęła mnie ciemność.

73



Obudziłem się w miejscu ciemnym i dusznym, w pierwszej chwili nie mogąc ruszyć ręką ani nogą, ogarnęło mnie więc straszliwe przerażenie. Potem jednak mój rozum znów zaczął funkcjonować i zdałem sobie sprawę, że jestem szczelnie opatulony w futra i leżę na skórzanej podłodze kopulastego namiotu. A że zacząłem się szarpać, nagle z półmroku nade mną wychynęła kobieca twarz, ktoś uniósł mi głowę i zaczął wlewać do ust cuchnący, gęsty i gorący płyn, którym natychmiast zacząłem się dusić. Kobieta nie mogła mieć więcej, niż dwadzieścia lat, a jej długie, czarne włosy – które natychmiast przywołały w mojej pamięci obraz Cesarza Lodowych Elfów – łaskotały mnie w nos. Pachniała skórą, ziołami i śniegiem, twarz miała smagłą, owalną, o pełnych wargach i delikatnie skośnych oczach – z całą pewnością była człowiekiem, choć człowiekiem egzotycznym. Gdy wmusiła we mnie już cały płyn, oddaliła się i usiadła ze skrzyżowanymi nogami przy wejściu do jurty, plecami do mnie – mogłem teraz podziwiać całą jej atletyczną, choć szczupłą sylwetkę, przyodzianą w strój z błękitnej skóry, ozdobiony kościaną biżuterią i zawijasami, wymalowanymi farbą o barwie pereł.

Kiedy opanowałem język moich wybawców na tyle, by zrozumieć najprostsze zdania, dowiedziałem się, że ocaliło mnie plemię Chinua, należące do ludu zamieszkującego lodowy świat – o czym, oczywiście, w tamtej chwili nie miałem pojęcia. To właśnie jego wojownicy polowali na lewiatana, jak to czynią zawsze w porze godów,



wystrzeliwując liny, które wgryzły się w skórę potwora. Choć wydaje mi się to nieprawdopodobne, wspięli się po nich następnie na grzbiet ogromnej bestii i, mając do dyspozycji wyłącznie wykonaną z kości broń, zabili ją i sprowadzili na ziemię w pobliże swojej wioski. Jakim sposobem tego dokonali, wciąż pozostaje dla mnie zagadką, zwłaszcza, że oglądałem potem harpuny i noże, którymi się tu posługują, i wydały mi się zbyt prymitywne nawet do polowania na zwyczajne ryby. Tymczasem jednak fakt, że myśliwi wyruszyli na polowanie przyczynił się do mojego ocalenia, zgodnie bowiem z odwieczną tradycją na szczyt góry, z której sięgnąć można lecącego nisko lewiatana, wspięli się wraz z nimi wszyscy członkowie plemienia zaangażowani w łowy, a więc uczący się na harpunników chłopcy, uzdrowicielki, starsi myśliwi, służący radą i bogowie wiedzą kto jeszcze. Kiedy mój statek uderzył o skały, tłumnie pobiegli w tamtą stronę, by zebrać przydatne pozostałości i wtedy właśnie dziewczyna, której twarz powitała mnie po przebudzeniu, znalazła mnie na śniegu.

Podobno było ze mną kiepsko — byłem nieprzytomny przez bite trzy dni - ale śnieg złagodził mój upadek na tyle, że nie pogruchotałem kości. Plemię chciało mnie, oczywiście, dobić, jak zabija się tu prawie wszystkich zbyt słabych, by przeżyć, lecz młoda uzdrowicielka sprzeciwiła się temu i zabrała mnie do obozu. Potem napoiła mnie ziołami, nie budziłem się jednak, starsi podjęli więc decyzję, by nie zwlekać z zejściem w doliny i zostawić mnie na pastwę losu, skoro nie mogę iść i będę opóźniał pochód. Byłbym pewnie postradał życie, szczęściem jednak wkrótce rozpętała się śnieżycą, uniemożliwiająca podróż, a ja zostałem, bezpieczny w jurcie uzdrowicielki, której imię - Aigiarn - poznałem bardzo szybko, najstarszą na świecie metodą wskazywania na samego siebie i powtarzania własnego miana. Zresztą, sposób ten dał zaskakujące rezultaty, powodując, że przypatrująca mi się początkowo z ciekawością kobieta bardzo szybko zaczęła uczyć mnie swojej mowy, podnosząc kolejne przedmioty i wymieniając ich nazwy. Na pantomimę tę mieliśmy zresztą mnóstwo czasu, śnieg padał bowiem jeszcze dwa dni po tym, jak się ocknąłem, dokumentnie zasypując całe obozowisko. N i m wreszcie śnieżycą ustała — pojęcia zresztą nie mam, skąd Aigiarn o tym wiedziała - i wykopaliśmy się na powierzchnię, całkiem nieźle poznałem zwyczaje dzikiego ludu, począwszy od kuchni, która sprowadzała się w

podróży do zucia suszonego mięsa lewiantana, po fakt, że oddają tu cześć duchom zwierząt, skał, drzew i lodu, za najważniejsze zaś bóstwa mają dzień oraz noc.

Zwijanie obozowiska, w związku z tym, że znakomitą jego większość trzeba było wykopać spod śniegu, zajęło kolejne kilka dni.

Okolo czterdziestoosobowa grupa, złożona głównie z kobiet, młodych chłopców i starych mężczyzn obozowała na szerokiej skalnej półce, niedaleko szczytu góry, o którą roztrzaskały się resztki mojego okrętu. Zewsząd otaczały nas przepaści i dziękowałem bogom, że od dziecka nie obawiam się wysokości, w przeciwnym bowiem razie przypląciłbym zapewne krzątanie na skraju urwiska utratą rozumu. Nie za to jedno byłem im zresztą wdzięczny, lecz i za ciepłe powitanie, jakie zgotowali mi krajanie Aigiarn, którzy uznali, że skoro plemię mnie ocaliło, znaczy, że zaakceptowały mnie jego duchy, a więc powinienem stać się jego członkiem. Darowano mi grube ubranie z gęstego futra, dzięki któremu nie umarłem z zimna i pokazano, jak mam pracować. Wszyscy byli dla mnie bardzo mili, dzieci dziwowały się moim rysom i szczupłej budowie, uznałem więc dzikie plemię za nader sympatyczne. Dopiero potem przekonać się miałem, że uprzejmość podszyta jest szyderstwem z mojej niewielkiej siły. Lud, pod opieką którego się znalazłem charakteryzuje się bowiem krzepą tak ogromną, że nawet Aigiarn, uznawana za najslabszą kobietę w plemieniu, ceniona jednak za zdolności uzdrowicielskie, przewyższała mnie siłą.

Po kilku dniach rozpoczęliśmy mozolną drogę w dół. Jako, że uznano mnie za ozdrowiałego, musiałem przenieść się z jurty łagodnej uzdrowicielki do namiotu, który opuścił jeden z myśliwych, toczących podniebny bój z lewiantanem. Choć dzieliłem go z jedenastoletkiem imieniem Chigu, musiałem samodzielnie nieść na plecach część kości, stanowiących jego maszty, oraz całą skórę, pod którą żarem której giałem się niemal do ziemi. Droga w dół okazała się potwornie niebezpieczna – szliśmy długim korowodem, wędrując po wąskich ścieżkach tuż nad głębokimi na wiele kilometrów przepaściami i zjeżdżając na ukreconych ze skóry lewiantana sznurach w dół pionowych ścian. Niekiedy musieliśmy samodzielnie się po nich

wspinać, co było dla mnie szczególnie kłopotliwe, nie nawykłem bowiem ani do grubych rękawic, ani ogromnych butów i tyl-



ko szczęściu zawdzięczam, że ciągnięty w dół przez skórę namiotu, z pasem obciążonym Viperą, nie odpadłem ani razu od skały.

Chyba nigdy w życiu nie czułem się tak zgnębiony i nieszczęśliwy. Ja, z urodzenia arystokrata, wychowany do dyplomacji, traktowany jak pierwszy lepszy członek dzikiego plemienia – a nawet gorzej, byle jedenastoletek kładł mnie bowiem bez wysiłku na łopatki, nie miałem też żadnych osiągnięć, które uznawano tutaj za ważne.

Marzłem, bez przerwy doskwierał mi głód, pragnienie gasić musiałem śniegiem i jedyne ukojenie znajdowałem w towarzystwie Aigiarn, która tak zaangażowała się w naukę języka, że szukała okazji, by znaleźć się obok mnie podczas marszu i powtarzać nasze lekcje. Nim dotarliśmy w dolinę, jej nauki sprawiły, że zacząłem rozumieć nawet słowa baśni, które co wieczór opowiadano tu w każdej jurcie. Słuchałem zatem o walce Dnia z Nocą, o tym, dlaczego dobry bóg Dzień przywabia dla swych dzieci Podniebne Istoty, by dać ludziom jedzenie, oraz o obcych, którzy przybyli z nieba i żyją wśród gór – w tych ostatnich bez trudu rozpoznałem Elfów.

Wreszcie, po dwóch tygodniach uciążliwej podróży – aż bałem się pomyśleć, jak długo trwa wędrówka w górę – dotarliśmy do wioski. Wciśnięta była w głęboki wąwóz o stromych ścianach i w całości zabezpieczona grubym, wzmocnianym co roku dachem z najwytrzymalszych partii skóry lewiatana. Pod jego osłoną, niby pod ogromnym namiotem, rozbite były jurty plemienia. Zdziwił mnie brak murowanych, czy chociaż wykonanych z lodu budynków, Aigiarn wyjaśniła mi jednak, że choć plemię Chinua przebywa w tym samym miejscu już czwarty rok, nigdy nie wiadomo, kiedy duchy nakażą im opuścić je i wędrować w poszukiwaniu nowego domu, cały zatem dobytek musi dać się łatwo przetransportować. Nawet skórzany dach — nazywany w ich mowie „nocnym niebem” — rozpruwa się przed podróżą, a potem zszywa z kawałków

na nowo. Zagadnąłem szybko o duchy, które prowadzą plemię i uzdrowicielka z powagą opowiedziała mi o tym, że każda rzecz, każde zwierzę i roślina ma swojego mistycznego opiekuna, który dba o nie w czasie panowania Nocy. Niektóre duchy są potężniejsze, niż inne, i te właśnie biorą sobie za przewodników plemiona — jak Chinua, opiekun ludu, który mnie ocalił, będący ogromną śnieżną bestią o białym futrze, która poluje nawet nocą i nie zna strachu. Z duchami — kończyła wykład Aigiarn — rozmawiać mogą wyłącznie kobiety, tajemnice magicznych ziół, które pozwalają wprowadzić się w modlitewny trans, są bowiem częścią wiedzy kobiecej.

Trzeba wam bowiem wiedzieć, że dzicy ludzie, którym zawdzięczam życie, mają ten niezwykle obyczaj, że wszystkie czynności dzielą na męskie i żeńskie. Zakazany jest, by osoba jednej płci poznała sekrety przynależne drugiej, stąd kobiety nie mają tam pojęcia, jak gładzić kość, by wykonać z niej ostrze, jak splatać sznury, walczyć harpunem czy polować na lewiatany. Mężczyznom za to zakazana jest wiedza o leczeniu, rozmowach z duchami, warzeniu alkoholu, szyciu i walce kobiecym nożem, wykonanym z kłów lewiatana, o długim i lekko zakrzywionym ostrzu. Nadto, przyjmuje się, że dzień jest porą mężczyzn i wówczas na czele plemienia stają wodzowie, wybierani spośród myśliwych przez męską część społeczności, nocą zaś władzę przejmuje rada szamanek, mądrych staruch, które potrafią rozmawiać z duchami. Nie istnieje też instytucja małżeństwa, a wszystkie dzieci wychowywane są przez plemię. Kobiety i mężczyźni łączą się w związki z nastaniem nocy i rozwiązują je, gdy przyjdzie dzień – poza tym, zamieszkują dwie odrębne części obozowiska. Dwa razy do roku odbywają się jednak wiece, na których głos mężczyzn i kobiet liczy się tak samo – ma to miejsce o świcie i o zmierzchu, które trwają tu przez trzy dni.

Podczas takich narad decyduje się o losach całego plemienia, zasięga porad duchów i anonsuje pary, które przez całą noc będą dzielić tę samą jurcję. Wymierza się nadto sprawiedliwość i rozstrzyga wszelkie sprawy, które w społeczności cywilizowanej nie cierpiałyby zwłoki. Dowiadując się o tym wszystkim bezustannie zachodziłem w głowę, czemu nie znalazł się jeszcze wódz, który zjednoczyłby wszystkie plemiona pod swoją władzą, system rządów bowiem i absurdalny obyczaj wydały mi się bardzo łatwe do obalenia.

Rzecz jasna, nie wiedziałem o tym wszystkim, gdy docieraliśmy do wioski, na miesiąc przed nadejściem nocy. Zresztą, sama wioska też nie zrobiła na mnie wrażenia, zwłaszcza, że jej dach zakrywały zwały śniegu. Wzrok mój przyciągnęło za to truchło lewiatana, leżące bezwładnie pośród oślepiająco białej równiny, rozpoczynającej się zaraz u wylotu zamieszkałego przez Chinua wąwozu. Był to ten sam zwierz, który roztrzaskał Thalamigosa - teraz dopiero ocenić mogłem cały jego ogrom. Od głowy, niewielkiej i pękatej, po koniec ogromnej płetwy ogonowej mógł liczyć ze czterysta metrów, a zwały jego cielska piętrzyły się niczym wzgórze. Nie pojmowałem, jakim cudem harpunnicy, zbrojni w kościane ostrza, zdołali powalić tak niewiarygodnie ogromną istotę, zwłaszcza, że ludzie wyglądali wobec niej naprawdę mikroskopijnie. Choć w pierwszej chwili tego nie dostrzegłem, zafascynowany rozmiarami zwierzęcia, wokół ciała uwijała się prawie cała wioska - pospieszyliśmy tam, by jak najszybciej dołączyć do pracy. Trzeba przyznać, było tu co robić - po grubym lodzie uwijały się bez przerwy sanie, wożąc do osady kawały tłuszczu i mięsa, odrąbywane od boków zwierzęcia.

Ciągnęły je białe, brzuchate czworonogi o wielkich pyskach, zwane khenimum, które hoduje się tutaj tak do pomocy, jak w charakterze towarzyszy. Kobiety zajmowały się zdzieraniem grubej skóry, mężczyźni zaś - osławieni myśliwi, których do tej pory nie dane mi było oglądać, wspinali się w górę truchła i wycinali długimi kośćmi o szlifowanych krawędziach ogromne bloki mięsa, które spadały w dół, plamiąc śnieg na czerwono. Gdy dotarliśmy na miejsce, jeden z nich, czarnowłosy młodzieniec o twarzy pomalowanej błękitną farbą w barwy harpunnika zeskoczył lekko z wysokości i wyciągnął w kierunku Aigiarn po łokcie uwalane krwią ramiona.

Do tej pory wydawało mi się, że lud Chinua jest silny, zręczny i wytrzymały, kiedy jednak ujrzałem myśliwych przy pracy, zrozumiałem, że osoby, wśród których przebywałem to słabeusze. Mężczyźni, których teraz poznałem, byli wysocy i barczyści, krzepcy i o dzikim, acz szczerym, wejrzeniu. Pracowali na bokach lewiatana niestrudzenie, rozebrani do pasa i parujący ciepłem na trzaskającym mrozie. Twarze zdobili błękitnymi wzorami, które oznaczały ich triumf po pokonaniu zwierza — opłacony zresztą słono, gdyż, jak się dowiedziałem, dwunastu z

sześćdziesięciu myśliwych zginęło podczas walki z potworem. Nam, mieszkańcom Dziewięciu Miast, wydaje się zwykle, że Rycerze Kryształowi są ogromni i silni, co zresztą wcale nie mijają się z prawdą – nawet jednak oni wydawali mi się pokurczami wobec dumnych wojów tego dzikiego ludu. Szczęśliwie, żyje on na uboczu, ignorowany nawet przez Lodowe Elfy, które przecież ma za sąsiada, i zwyczajnie nie zdaje sobie sprawy z własnej potęgi, strach jednak pomyśleć, co by się stało, gdyby, zjednoczeni pod silnym przywództwem, wyruszyli na podbój światów. Szczęściem, trwające od dziesiątków lat właśnie pomiędzy plemionami i fakt, że barbarzyńcy ci nie znają mocy Kryształu sprawiają, iż wciąż możemy spać spokojnie.

Młody wojownik, który przyskoczył ku nam, miał na imię Khojin i ostatniej nocy był partnerem Aigiarn. To właśnie ją pragnął powitać, miał bowiem nadzieję, że uzdrowicielka i tym razem wybierze go na nocnego małżonka. Widząc, że jej towarzyszę, zawahał się i zapytał o moją tożsamość mową tak gardłową, że ledwo go zrozumiałem. Usłyszawszy odpowiedź, spojrział na mnie z pogardą, jakiej nie widziałem nawet w oczach Lodowych Elfów i z mety splunął mi pod nogi. Następnie zakrzyknął głośno, by wszyscy zwrócili na nas uwagę, i zakomunikował, że wyzywa mnie na turniej zręczności. Gdybym miał choć odrobinę rozumu, pewnie bym odmówił, wymawiając się nieznajomością obyczaju, jednak ku przerażeniu Aigirian wyniośle na to przystałem, nie mając pojęcia, na co się godzę. Rychło okazało się bowiem, że mam wziąć udział w oprawianiu lewiatana, a ten z nas, kto z nastaniem nocy odda

80



większe usługi plemieniu, zostanie nocnym mężem uzdrowicielki.

Dziwaczne te warunki wzbudziły mój sprzeciw, zwłaszcza, że wcale nie miałem ochoty pozostawać w wiosce przez następne pół roku, spędziwszy jednak rok wśród

Lodowych Elfów prędeż bym rzucił się na miecz, niż okrył hańbą tchórzostwa. Zgodziłem się na wszystko, poczerwieniały na twarzy ze złości.

Następny miesiąc przeżyłem jak prawdziwy barbarzyńca.

Mieszkałem w męskiej części wioski, na uboczu, otoczony pogardą myśliwych, których ulubionym zajęciem było siłowanie się oraz słuchanie baśni, byłem bowiem zbyt słaby na to pierwsze i za mało obeznany w niuansach języka na drugie. Trzęsące się, lecz wzbudzające postrach staruchy wymalowały mi na twarzy i ciele znaki, których nie wolno mi było zmyć aż do zakończenia zmagania, musiałem zatem zaprzestać nacierania się śniegiem. Jadłem niewiele, za dnia bowiem barbarzyńcy prowadzą dwie tylko kuchnie, męską, w której nie chciano mnie karmić, oraz kobiecą, gdzie wstydziłem się pójść. Mordercza praca przy lewiatanie, do której popychała mnie ambicja udowodnienia barbarzyńcom, że mój rozum, wiedza i wytwory cywilizacji zdolne są pokonać siłę i wprawę, sprawiała, że z dnia na dzień traciłem siły. I naprawdę nie wiem, co by się ze mną stało, gdyby nie Aigiarn, która dobrze znała dolę najstarszego członka plemienia i co dzień mnie odwiedzała, przynosząc mi pożywienie oraz ożywcze zioła. W ciągu tego miesiąca staliśmy się więc sobie niezmiernie bliscy, a jako że traciłem nadzieję, iż zostanę odratowany przed nadejściem nocy, szykowałem się już na pół roku w jej miłym towarzystwie — a potem, jak sobie roiłem, zabranie jej z tego straszego świata do cudów naszej cywilizacji.

Z lewiatanem początkowo szło mi bardzo słabo — nie potrafiłem złapać równowagi na linie, bez przerwy wchodziłem w drogę myśliwym i narażałem się na kuksańce, a odór tłuszczu i surowego mięsa, wszechobecna krew i makabra przyprawiały mnie o mdłości.

Przeżyłem od tamtej pory niejedną niedolę, i dziś, gdy wiem, że nic już mnie w życiu nie czeka, mogę powiedzieć z całą pewnością, że nigdy nie uczestniczyłem w procederze równie ohydny, krwawym i nieprzyjemnym, jak owo sprawianie ryby większej, niż niejeden zamek. Sytuacji mojej nie poprawiały ani bąble na dłoniach,

których nabawiłem się od kościanego noża, ani bezustanne docinki pozostałych mężczyzn, jak jeden mąż trzymających stronę Khojina.

Rozwiązanie przyszło mi do głowy pewnej bezsennej nocy — czy raczej pory, kiedy zazywa się tu odpoczynku, na zewnątrz było bowiem wciąż jasno. Leżałem w mojej cuchnącej jurcie - której smród dawno przestałem czuć - i rozmyślałem o nieszczęsnej doli, jaka mnie spotkała i chwilach, kiedy mogłem jej uniknąć. Rozpamiętywałem szczególnie mocno nieszczęsną nadrzewną wyprawę w pałacu Celeste, która wyгнаła mnie na ten odległy kraniec Wszechświata, gdy nagle przypomniałem sobie niemal zapomniane uczucie euforii, które towarzyszyło pierwszemu wydobyciu Vipery z pochwy. Szablę miałem wciąż ze sobą, choć ukrytą wśród bagaży! Do rana zmagalem się ze swym pomysłem, honor nie chciał mi bowiem pozwolić na profanację broni mojego ojca, jakby była zwyczajnym, rzeźnickim tasakiem. Wreszcie przypomniałem sobie lekcje mego wuja - jakże za nim tęskniłem w tej chwili! - twierdzącego, że to jest honorowe, co prowadzi do celu, wygrzebałem więc Viperę i dobyłem z pochwy.

Kryształy, które wprawiłem w nią podczas pobytu w Cesarskim Mieście, zaślniły, a ja wykonałem krótki szermierczy taniec, by moje palce przypomniały sobie właściwy chwyt. Dzięki mocy Kryształu Vipera zyskała moc zamrażania przy zadawaniu ciosu, którą uznałem za nieprzydatną w tej okoliczności, oraz daleko bardziej użyteczną właściwość cięcia zbroi. Tego dnia przeniosłem się na drugą stronę lewiatana, wciąż jeszcze nie oskórowaną, i ku radości kobiet bez wysiłku wycinać począłem kwadraty grubej, sztywnej skóry, a potem, kiedy już się z nią uporałem, zacząłem dzielić kości potwora tak, jak mi nakazano. Gdy pod koniec miesiąca mordegi słońce zawisło wreszcie nad horyzontem z wdzięcznością ucałowałem nadmetalowe ostrze - dzięki mej wiernej szabli wykonałem w dwa tygodnie pracę czterech mężczyzn, czemu zaprzeczyć nie mógł ani Khojin, ani nikt inny. Promieniejąc dumą i niemal zapomniawszy, że trzeba mi odejść do którejś z górniczych osad Elfów, by szukać ratunku i sposobów powrotu do cywilizacji, szykowałem się do wielkiego wiecu, który odbyć się miał o zachodzie słońca.



Sam zachód okazał się widowiskiem tak imponującym, że jeśli do tej pory żałowałem trochę zaangażowania w życie barbarzyńców, które zmusić mnie miało do pozostania w ich świecie przez następne pół roku, jego widok rozproszył wszelkie żale. Kula słońca chyliła się nisko nad horyzontem, powoli przybierając kolor krwistoczerwony.

Najpierw zapłonęły nim szczyty gór, wcześniej skrzące się diamentową bielą, oraz chmury, które w jednej chwili stały się tak intensywnie karmazynowe, że nawet purpura obłoków świata Lodowych Elfów wypadła wobec nich blado. Był to znak do rozpoczęcia wiecu, szczęśliwie jednak na początku gromadził on wyłącznie starszyznę, która odprawiała stosowne rytuały, tańcząc wokół totemu Chinua, paląc zioła w ogromnych kadziach i malując ciała w rozmaite barwy.

Ja tymczasem czekałem na zewnątrz, patrząc, jak niebo staje się coraz ciemniejsze, jak błyskają na nim pierwsze gwiazdy, a wokół słońca formować się zaczyna wielobarwna zorza. Potem czerwienią spłynęły również zbocza i krajobraz stał się jeszcze niezwyklejszy, jak okiem sięgnąć widziałem bowiem karmazynowe góry, wyrastające ze śnieżnobiałej równiny. Był to jednak równocześnie sygnał wzywający wszystkich mieszkańców wioski, by zgromadzili się wokół totemu.

Plemię Chinua liczyło kilkaset osób, w tym wielu starców i więcej jeszcze dzieci, których nie wpuszczono na wiec. Wszyscy, którzy uznawani są za dorosłych — czyli wzięli udział w swoich pierwszych łowach na lewiatana — siedli ze skrzyżowanymi nogami w kręgu wokół totemu, w kłębach duszącego, odurzającego dymu. Przez długi czas przemawiali starsi, począwszy od najbardziej szanowanej kobiety, która opowiadała o woli duchów na nadchodzącą noc, po najmłodszego z wodzów, podsumowującego tegoroczne polowanie.

Lewiatan, którego upolowano, był duży, a szybka praca sprawiła, że wiosce nie grozi głód i nocą wszyscy będą mieli jedzenia pod dostatkiem — słysząc te słowa, zgromadzeni wydali gromki okrzyk, wszyscy zasmakowali bowiem w poprzednich latach smaku głodu.

Dziwiłem się, dlaczego tak się dzieje, skoro na zewnątrz pozostała całkiem spora część lewiatana i nawet zapytałem o to siedzącego obok mnie wojownika. Ten jednak ofuknął mnie tylko, wydymając z pogardą wargi i dopiero po skończonych obradach Aigiarnobja śniła mi, że jedzenie pozostawione poza zabezpieczeniem na czas nocy znika do świtu bez śladu. Tutejsi wierzą, że dzięki temu sycą głód Nocy, która, posiliwszy się, odchodzi do czasu, gdy znowu zgłodnieje. Tymczasem jednak wiec trwał dalej i zawezwano przed totem Khojina i mnie. Rozebrano nas obu niemal do rosołu, a stare kobiety zmyły z naszych ciał barwy turnieju – cóż za ulgę czułem, gdy woda obmywała wreszcie moje członki! Potem ogłoszono mnie zwycięzcą i staruchy już miały oznaczyć mnie odpowiednią farbą i wzorem (który nosić miałem, ku mojej rozpaczy, do końca wiecu), lecz Khojin i część myśliwych podniosła larum, wołając, że korzystałem z czarów, dowodząc, że znam się na kobiecych sztukach, a więc nie nadaję się na nocnego męża. Powstało straszliwe zamieszanie i wiele osób mówiło podniesionym głosem tak szybko, że ledwo nadążałem. Potem starszyzna odeszła, by rzecz rozważyć, a my czekaliśmy w milczeniu. Czułem na sobie dziesiątki nieprzyjaznych spojrzeń, a Khojin puszył się, jakby pewien był zwycięstwa.

Tu jednak gorzko się rozczarował, starsi orzekli bowiem, że wobec tego jesteśmy równie przydatni dla plemienia i kobieta, o którą poszedł spór, sama ma pomiędzy nami wybrać. Gdy to ogłoszono, rozpoczęło się ogłaszanie nocnych małżeństw – pary wstawały jedna po drugiej, trzymając się za ręce i obwieszczając, że noc należy do nich. Coraz bardziej kręciło mi się w głowie, a tłum wokół mnie rzedniał, w miarę, jak małżeństwa oddalały się do jurt, które rozbiły na czas trwania nocy. W końcu powstała Aigiarn i wszyscy zgromadzeni zamarli. Serce zabiło mi mocniej, gdy spojrzała w mo—

84



ją stronę, ona jednak uśmiechnęła się i ruszyła w stronę Khojina.

Rok ćwiczeń w zachowaniu lodowej twarzy pozwolił mi stłumić jęk zawodu, gdy uzdrowicielka stanęła przed młodym myśliwym. Od razu zauważyłem, jak przystojne i regularne młodzieniec ma rysy, dostrzegłem gibkość jego sylwetki i bijącą od niej siłę – jak mogłem przypuszczać, że ktoś taki, jak ja, może konkurować o względy dzikiej i nieokiełznanej kobiety? Wtedy jednak stała się rzecz nieoczekiwana – Aigiarn splunęła Khojinowi pod nogi, by okazać pogardę dla sposobu, w jaki chciał mnie pokonać, szybko podeszła do mnie, ujęła mnie za rękę i zaprowadziła pod sam totem, gdzie obwieściła, że bierze sobie mnie za nocnego męża. Potem wyszliśmy z kręgu, a uzdrowicielka zaprowadziła mnie, odurzonego słodkim smakiem triumfu i dusznym zapachem ziół do położonej na uboczu jurty. Tam szybko zasznurowała wejście i jednym, pewnym ruchem zrzuciła sukienkę. Stanęła przede mną, naga, a potem zarzuciła mi ręce na szyję i padliśmy na miękkie futra. Noc miała należeć do nas.

Niestety, nie dane było nam cieszyć się w spokoju półrocznym małżeństwem. Wiec Zmierzchu wznowiono, gdy cała śnieżna równina zabarwiła się na purpurowo, a pozostałości truchła lewiatana wyglądały, jakby wciąż spływały krwią. Temperatura jeszcze się obniżyła – choć naiwnie sądziłem, że to niemożliwe — i zmarzłbym w moim grubym ubraniu, gdyby nie Aigiarn, która przywarła do mojego boku, dzieląc się swoim ciepłem. Gdy wszyscy się już zebrali, starsi rozpoczęli modły do duchów, potem zaś zapytano, czy wśród zebranych trwają spory, które trzeba zakończyć za dnia. Wtedy podniósł się Khojin, wzniósł ku niebu swój harpun, a potem wskazał nim w moją stronę, wołając, że wyzywa mnie na walkę mężczyzn. Wszyscy zdecydowanie się ożywili — jedna Aigiarn krzyknęła z trwogi — i skandować zaczęli słowa wyzwania. Starsi nie ociągali się z pozwoleniem i ani się spostrzegłem, a już wywleczono mnie niemal siłą na równinę.

Wszystko zalewała purpura – nawet nasze cienie miały barwę bardzo głębokiej czerwieni. Kula słońca do połowy skryła się za horyzontem, a wokół niej jaśniały wielobarwne zorze. Plemię Chinua zgromadziło się przed wejściem do wioski i odeszliśmy z Khojinem równym krokiem, ja uzbrojony w szablę, a on, niosąc na ramieniu dwa harpuna. Aigiarn, śledząca każdy nasz ruch, struchlała z obawy, ja zaś syciłem się już myślą o zwycięstwie, przekonany, że moja wierna Vipera bez trudu

poradzi sobie z kościaną bronią. Był to bodaj pierwszy i ostatni raz, gdy na myśl o pojedynku nie oblewały mnie gorące fale strachu, skoro bowiem raz pokonałem dzikiego wojownika, nie widziałem powodu, by nie pognębić go po raz drugi.

Kiedy oddaliliśmy się na wystarczającą odległość, zrzuciłem futrzany płaszcz – mróz natychmiast zaczął mnie kąsać, zlekceważyłem jednak i to, przyjąłem postawę, a Vipera z sykiem opuściła pochwę.

Uśmiechnąłem się z wyższością, a wtedy Khojin splunął mi pod

nogi. Wyzwał mnie na walkę mężczyzn, wytłumaczył jak dziecku, więc będziemy walczyć bronią mężczyzn. Długie, wąskie ostrze i magiczne właściwości mojej szabli klasyfikowały ją jednoznacznie jako narzędzie kobiece, powinienem więc odłożyć ją i wziąć do rąk harpun. Próbowałem protestować, mój przeciwnik uśmiechnął się jednak – na jego oblanej purpurowym światłem twarzy uśmiech wyglądał raczej jak upiorny grymas — i zakomunikował mi, że jeśli nie zabiję go harpunem, zostanę wygnany z wioski i pozostanę na zewnątrz przez całą kompletnie noc.

Chcąc nie chcąc ująłem w drżące z zimna dłonie broń męską i ledwie zacisnąłem na niej palce, Khojin zaatakował. Poruszał się niczym dzika bestia, z siłą i sprężystością, która kompletnie mnie zaskoczyła. A n i się obejrzałem, a moja broń poszybowała w niebo, a ja sam padłem na plecy. Myśliwy stanął nad mną, wznosząc oścień do ostatecznego ciosu, usłyszałem rozdzierający krzyk mojej nocnej małżonki i nagle do moich uszu dotarł jeszcze jeden dźwięk – nad nami łopotąły żagle. Czas stanął w miejscu — wpatrywałem



się w oczy Khojina i po raz pierwszy odkryłem, jak bardzo kocham życie, które – jak sądziłem – za chwilę utracę, gdy nagle wystrzelony gdzieś z góry energetyczny pocisk wytrącił mojemu przeciwnikowi harpun z rąk. Zaskoczeni, obydwaj spojrzeliśmy w niebo. Dokładnie nad nami unosił się kadłub okrętu, a przez reling wychylał się wyszczerzony w uśmiechu Lope, mierząc z zasilanego Kryształem pistoletu wprost w myśliwego.

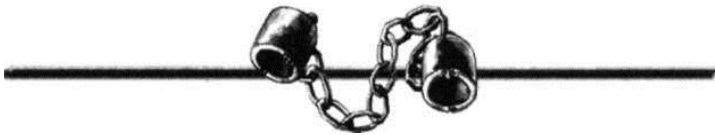


## ROZDZIAŁ CZWARTY

*w którym Marco zostaje odratowany, a następnie*

*prowadzi długie i pouczające rozmowy.*

*Straceniec*



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Itak właśnie, w najgorszym, a zarazem najlepszym momencie, zostałem cudownie ocalony. Khojin odskoczył ode mnie jak oparzony, kątem oka dostrzegłem jednak, że przynajmniej kilku ze zgromadzonych przed wejściem do wioski myśliwych porwało za broń i rzuciło się w moją stronę. Oszołomiony, widziałem, że statek nade mną pluje energią z dział, a salwa wybija w powietrze strzeliste fontanny pokruszonego lodu tuż przed atakującymi, skutecznie ich zatrzymując. Z pokładu rzucono linę i na dół zsunęło się kilka postaci, lądując tuż przy mnie. Jedna trzymała na muszce pistoletu

Khojina, dwie zaś postawiły mnie na nogi i zaczęły przewiązywać liną, bym mógł dostać się na górę. Zacząłem wierzgać i wyrywać się, wołając rozdzierającym głosem imię Aigiarn, co utrudniło chyba operację ratunkową, ktoś bowiem strzelił mnie pięścią w potylicę. Zapadłem w ciemność.

Kiedy odzyskałem przytomność, leżałem na drewnianym łożu w kajucie kapitańskiej – wysokie wezgłowie wyrzeźbione było w kształt kobiecej sylwetki. Przy moim boku siedział Lope, gładząc w zamyśleniu brodę. Ledwie otworzyłem oczy, zapytałem, jak długo byłem nieprzytomny, a Krasnolud błysnął zębami i podał mi dokładną datę, z której wywnioskowałem, iż w świecie barbarzyńców spędziłem prawie trzy miesiące. Szczęśliwie, przytomność straciłem na kilka ledwie godzin, co wywołało moją konsternację, pamiętałem bowiem, iż opuszczałem plemię Chinua o zmierzchu, a tymczasem przez okno sączyło się światło dnia. Lope spojrzał na mnie z troską i przez chwilę tłumaczył, jaką trudność sprawić mi może powrót do cywilizacji, po czym poinformował, że przelecieliśmy na dzienną stronę świata, co jest dla gwiazdnych żeglarzy sprawą dość zwyczajną. Potem uściskaliśmy się serdecznie i wypytałem przyjaciela o to, co działo się po moim zniknięciu. Dowiedziałem się więc, że odnaleziono szczątki jachtu i uznano mnie za zmarłego – ku serdecznej radości Tryfillosa oraz mojego sekretarza, który tymczasem się z nim pokumał – i na tym

sprawę zamknięto. Nie przywieziono jednak mojego ciała, co dało moim nielicznym przyjaciółom – Lopemu oraz Eirene – powód, by sądzić, że być może tułam się po lodowych pustkowiach.

Niestety, Cesarz – a właściwie Gerasimos Pagos, który go do tego namówił — nie zezwolił na dalsze poszukiwania, obawiając się o życie swojej córki i Lope musiał działać innym zgoła sposobem. Wszedł – po dziś dzień nie wiem jak – w konszachty z piratami, działającymi w tym układzie i zdołał przekonać ich do podjęcia poszukiwań.

Tak właśnie znalazł się na pokładzie Alawastra, okrętu, który mnie odnalazł. Oczywiście, ratując mnie i zadając z przestępcami Lope zaprzepaścił swoją karierę, zrobił to jednak bez żalu, postanawiając, że gdy mnie już znajdzie, wróci do domu. Ja sam byłem w nie lepszym położeniu, bowiem do Miasta Tysiąca Kolumn wrócić nie mogłem, jako dezertor ze służby dyplomatycznej, a w Cesarskim Mieście złowrogi Tryfillos dybał na moją głowę. Nim zdążyłem się ubrać – cóż za szczęście, że Lope zabrał na pokład mój kuferek! – Krasnolud przekonał mnie bym powędrował wraz z nim do jego ojczystego świata.

Tymczasem zwlokłem się z łóżka i poprowadzono mnie na pokład, bym zapoznał się z resztą moich wybawców. Była to zgraja dość niezwykła i w najlepszym razie podejrzana, nie przypominała jednak w niczym piratów, jakimi straszono mnie w dzieciństwie, owych bezwzględnych gwiazdnych rozbójników, atakujących niewinne okręty i dybiących na życie mężczyzn i cnotę kobiet. Na pokładzie Alawastra znalazła raczej schronienie grupa wojowników o wolność, która, za śmiałym przewodem pani kapitan, od wielu lat wyprowadzała w pole flotę Lodowych Elfów, nękając ją w każdy dostępny piratom sposób. Zaskoczyła mnie zresztą nienawiść do tej rasy, jaką zionęła znakomita większość członków załogi. Początkowo jej nie rozumiałem, bo choć poddani Cesarza nie grzeszyli urokiem osobistym i z ich szeregów rekrutował się przynajmniej jeden z moich wrogów, wciąż pamiętałem słodkie usta i niewinne oczy Eirene. Postawiono mnie tymczasem przed obliczem kobiety dowodzącej statkiem – Pospolitej Elfki, która różniła się wszystkim od służących, których znałem z Cesarskiego Miasta i miała w sobie dumę oraz dzikość emigrantów, których widziałem jeszcze w domu.



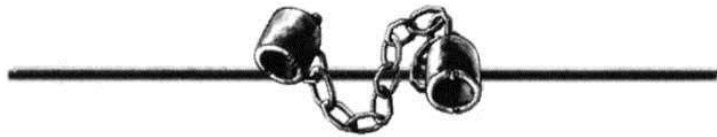
Wzrostem przerastała mnie o pół głowy, a dzięki szczupłej budowie i wyprostowanej sylwetce wydawała się jeszcze wyższa. Na jej bladej twarzy wiecznie gościł wyraz ponurej determinacji, ruchy zaś miała zwinne, szybkie i zawsze tchnące wielką gwałtownością. Mówiła niskim, ochrypłym głosem, zwykle krótkimi zdaniami i tonem nie znoszącym sprzeciwu. Z pewnością nie można odmówić jej urody – majestatycznie pięknej twarzy nie szpeciła uległość, odbierająca urok zniewolonym Elfom z Cesarskiego Miasta, ani przepaska, zasłaniająca utracone oko. Złocisty warkocz, gruby jak moje ramię, spływał jej aż do szkarłatno — złotego, rodowego pasa, za który zatknęła dwa pistolety oraz skręcony z drobnych, nadmetalowych włókien bicz z ogromnym Kryształem Ognia osadzonym w rękojeści.

Bił od niej taki majestat i autorytet, że skłoniłem się jak mogłem nisko i bąknąłem coś, przejęty.

Pani kapitan, Oksenia z rodu Baroszych, zmierzyła mnie spojrzeniem, zakomunikowała, że na jej statku nikt się nikomu nie kłania a potem zwróciła się bezpośrednio do Lopego, wyrażając wątpliwość, czy okażę się aż tak przydatny — na tym nasza rozmowa się skończyła. Kiedy wróciliśmy do kajuty, Krasnolud wyjaśnił mi, iż chcąc skłonić piratów do pomocy przyobiecał nasz udział w planowanym przez nich uderzeniu na obóz pracy. Usłyszawszy po raz pierwszy o tego typu miejscu wyraziłem wielkie zaskoczenie, a Lope uśmiechnął się na to smutno i zapytał, czy naprawdę sądziłem, iż w tutejszych kopaniach nadmetalów trudzą się arystokraci Cesarstwa. Potem siedliśmy przy kubku wina i mój przyjaciel bez ceregieli wyłuszczył mi, na czym nasze zadanie ma polegać. Otóż, lodowi barbarzyńcy nie są jedynymi mieszkańcami surowego i niegościnnego świata, którego góry obfitują w nadmetal. Jego wydobywanie graniczy z samobójstwem, nic więc dziwnego, że Lodowe Elfy nie zajmują się tym same, zmuszając do pracy więźniów. A tych zawsze było tu pod dostatkiem, Pospolite plemiona Elfów żyją bowiem od wieków pod panowaniem swych Lodowych kuzynów, bezskutecznie usiłując zrzucić ich jarzmo. Powstania wybuchają więc z przerażającą regularnością i zawsze tłumione są przez regimenty cesarskiego wojska, w których służą żołnierze o zmienionych przez magię Cesarstwa umysłach. Kiedy Cesarz nasyci już swoje pragnienie krwi, wszystkich ocalałych powstańców —

oraz wszelki element, uznany za niebezpieczny dla Cesarstwa – zsyła się właśnie tutaj, do specjalnych obozów, budowanych u wejścia do kopalń. Następnie więźniów zmusza się do pracy batogiem i głodem, pozostawiając przy tym ich umysły nietknięte, zemsta Lodowych Elfów nie smakowałaby bowiem tak słodko, gdyby jej ofiary były nieświadome swego losu.

Gdy Lope znalazł Alawastrę, Oksenia Baroszy wyśmiała go w pierwszej chwili, sprytny Krasnolud namówił ją jednak do rajdu na jeden z takich obozów — na czyn tak śmiały nigdy się jeszcze nie zdobyła — i zagwarantował, że dzięki mojej pomocy i zaangażowaniu z pewnością szaleńcze przedsięwzięcie zakończy się pełnym po-



wodzeniem. Z rosnącym zdumieniem słuchałem o swoim strategicznym geniuszu, o tym, że na dwór Cesarza przybyłem jako szpieg i skutecznie podkopywałem jego władzę, o wprawie, z jaką posługuję się jakoby bronią i mojej doskonałej znajomości obozów jenieckich śnieżnego świata. Gdy Lope skończył, uśmiechając się łobuzersko, zadowolony z własnej przebiegłości, nie wiedziałem, czy rzucić się na niego z pięściami, czy wybuchnąć płaczem, wpakował nas bowiem w jeszcze gorszą chyba kabałę, niż to, z czegośmy się wyplątali. Przecież nigdy w życiu nie widziałem nawet obozu jenieckiego, a moje doświadczenie strategiczne ograniczało się do wysłuchiwania opowieści o mężnych kondotierach, dowódcach najemnych armii, walczących w imieniu Dziewięciu Miast na naszej Planecie! Tego jednak nie wolno mi było zdradzić, kiedy więc usiedliśmy z panią kapitan i jej pierwszym oficerem, który — ku mojemu przerażeniu - okazał się prawdziwym Astończykiem, nad planem operacji nie pozostało mi nic innego, jak kłamać i mieć nadzieję, że moje łgarstwa nie zaprowadzą nas prosto do grobu.

Zgromadzeni słuchali mnie w napięciu i milczeniu, aż wreszcie Oksenia zdecydowała, że wobec moich oczywistych przymiotów poprowadzę atak z lądu, podczas gdy ona

zajmie się uderzeniem napowietrznym. Astończyk zjeżył się – najwyraźniej on miał wieść desant — a ja zacząłem poważnie lękać się o swoją dopiero co ocaloną skórę.

Gdy skończyliśmy radzić, pani kapitan odesłała swoich oficerów i Lopego, mnie jednak poprosiła, bym został. Uznałem to za doskonałą okoliczność i od razu wprowadziłem w życie plan uniknięcia bitwy, który od przynajmniej godziny kołatał mi się po głowie. Jak potrafiłem, najwierniej opisałem warunki życia w skutych lodem górach, grozę strasznego zimna i śmierci głodowej, po czym zapytałem, czy nie lęka się o oswobodzonych po naszym ataku jeńców. Oksenia spojrzała na mnie płomienistym wzrokiem i bez wahania odparła, że lepiej umrzeć wolnym, choćby i z głodu, niż cierpieć niewolę. Potem nalała mi kieliszek paskudnego, przejrzystego napoju, który piłem na balu w pałacu Gerasimosa, i zaczęła opowiadać o swoim narodzie. Z niejakim zdumieniem słuchałem o tym, że słudzy z pałaców, których miałem możliwość oglądać, oraz żołnierze armii Cesarza różnią się od prawdziwych Elfów tak bardzo, jak to tylko możliwe, złamano bowiem w nich ducha lub zniszczono umysł. Elfi naród wciąż zamieszkuje jednak cały Alexandreon i od niepamiętnych czasów walczy z Cesarstwem – w czym szczególnie odznaczył się na przestrzeni kilkuset lat ród Baroszy. W słowach kobiety huczał ogień, gdy relacjonowała mi przebieg ostatniego powstania, uknutego potajemnie w ukrytych cerkwiach Elfów, w których, wbrew zakazowi, oddaje się cześć ikonom wyobrażającym świętych przodków. Wychowawszy się w Dziewięciu Miastach dobrze znałem kult bohaterów przeszłości, których u nas nazywa się patronami i czci na równi z bogami, poczułem więc oburzenie na wieść, że Lodowe Elfy niszczą cerkwie i palą ikony, gdziekolwiek tylko je znajdują. Nie tak łatwo jednak wykorzenić kult i nic dziwnego, że pokolenia kapłanów od tysiąclecia wiodą do boju zastępy wojowników o wolność.

Powstanie zaczęło się od triumfu – opanowano garnizon, skradziono zeń broń, zdobyto też kilka okrętów, w tym ten, na którym się znajdowaliśmy. Oksenia, jako jedna z córek głowy rodu Baroszy, należała wówczas do rady powstańczej i dowodziła w polu – przeraził mnie grymas satysfakcji, z jakim opowiadała o pułku wysłanej przeciw nim piechoty, który zmasakrowała z okrętowych dział. Zaskoczony, zwróciłem jej uwagę, że większość żołnierzy wywodziła się z jej narodu, okazało się jednak, że moja

rozmówczyni szczególnie dumna jest właśnie z wybicia rodaków. Gdy wcielono ich do wojska – tłumaczyła – Lodowe Elfy wdarły się do ich umysłów i zmieniły ich w bezdusznych żołdatów, więc wyzwalając ich z okowów własnych mózgów Oksenia wyświadczała im przysługę. Podobnie będzie i teraz, gdy wyswobodzimy jeńców – choć nie możemy przyjąć ich na pokład i najpewniej skazujemy ich na śmierć w górach, będzie ona tylko wyzwoleniem z jarzma narzuconego przez Cesarstwo i krwawą ofiarą na ołtarzu wolności. Takie bowiem są Pospolite Elfy — bardziej, niż życie, cenią sobie wolność, swobodę i dumę — czy, jak mówią, „dobrą sławę” – czyli wszystko to, co Lodowe Elfy im odebrały. Dlatego właśnie ich kultura, tak pieczołowicie niszczone, przetrwała w głębokim ukryciu i stąd na opowieściach o cierpieniu oraz śmierci powstańców wyrasta następne pokolenie nieustraszonych bojowników.

Kiedy Oksenia opowiadała o tym wszystkim, ja nie mogłem wyjść z podziwu nie tylko dla jej fanatycznego poświęcenia, lecz i tego, jak bardzo Pospolite Elfy różnią się od Lodowych. Oczywiście, na pierwszy rzut oka odróżniają ich oczy, które u Lodowych Elfów pozbawione są białek i tęczówek, u zwyczajnych zaś nie różnią się budową od ludzkich, barwa skóry – u Lodowych Elfów delikatnie błękitna – oraz twarze, Elfy Pospolite starzeją się bowiem jak wszystkie inne istoty. Te jednak różnice okazują się mało znaczące, gdy zacznie się zestawiać charaktery dwóch spokrewnionych narodów. Trudno o tak skrajnie przeciwne sobie sposoby zachowania, gdyż tam, gdzie Lodowe Elfy ze wszystkich sił trzymają uczucia na wodzy, Pospolite pozwalają sobie na pełną wylewność, uznając maskowanie uczuć za rodzaj kłamstwa – a tym brzydzą się niezmiernie – a ich okiełznanie za pozbawianie samego siebie siły.

O ile bowiem wśród arystokracji Cesarstwa wierzy się w potęgę chłodnego rozumowania, jego pospółstwo siłą swoją uczyniło targające jego duszą emocje i bez wahania im ulega, postępując tak, jak dyktuje im nastrój. Kiedy więc słuchałem opowieści Oksenii – która okazała się znacznie bardziej wylewna, niż jakikolwiek Elf Lodowy — mogłem śledzić na jej twarzy całą gamę uczuć, od radości, z którą mówiła o triumfach, poprzez melancholię, która towarzyszyła wspomnieniom odległego domu, po złość i bezsilny gniew, gdy relacjonowała mi upadek powstania.



Oczywiście, buntownicy zostali pobici, stało się tak jednak za przyczyną knowań rodu Leszminskich, który od wieluset lat pała nienawiścią do Baroszych i który wydał kryjówki powstańców wojskom Cesarza. Gdy padło nazwisko nikczemnej rodziny, twarz pani kapitan rozgorzała taką nienawiścią, że przez chwilę bałem się o własne bezpieczeństwo, szczęśliwie jednak nie dostała ataku szału i martwym głosem dodała, że jej ojciec i trzy siostry, tak jak stryjowie i kuzynowie, zginęli lub zostali schwytani i tylko jej udało się umknąć z niewoli, choć straciła w bitwie oko. Pozostaje zatem ostatnią ze swego rodu i nie spocznie, póki nie pomści swych krewnych, dlatego właśnie zamiast uciec do Dziewięciu Miast lub gdziekolwiek indziej, gdzie udają się weterani nieudanych powstań, pozostaje w układzie i walczy w jedyny sposób, jaki jest jej dostępny.

Gdy wracałem do kajuty, którą dzieliłem z Lopem, z jednej strony dziwiłem się niezwyklej determinacji Elfki i przerażony byłem drżącym w niej gejzerem emocji, z drugiej jednak głowę pełną miałem jej słów i gotów byłem iść za nią choćby i na pewną śmierć.

Kopalnia, którą myśleliśmy zaatakować, znajdowała się u stóp ogromnej, zupełnie pionowej ściany skalnej, na szczycie której wisiała niebezpiecznie narosła pokrywa śniegu. Sam obóz rozłokowany był u wejścia do kopalni i składał się z ustawionych w półokręgi, długich, kamiennych chat, których strzegł lodowy mur i wyrastające z niego wysokie wieże strażnicze. Na każdej z nich umieszczono działo okrętowe, co odkryliśmy niemal od razu, widząc błysk płótna żaglowego na dachach strażnic. Działa bowiem, jak każda broń kryształowa, napędzane są Kryształem, a moc każdego strzału jest tak ogromna, iż kryształowy rdzeń trzeba po każdym strzale na nowo ładować. Dlatego właśnie idący do bitwy statek rozwija dodatkowe żagle, chwytające słoneczne promienie i przekazujące je pod pokład, gdzie umieszczona jest artyleria, a

w czasie bitwy razi wroga to z jednej, to z drugiej burty, czekając, aż Kryształę osiągną znowu wystarczającą moc. Podobnie musiała być zorganizowana artyleria, strzegąca obozu – ciekawi tylko byliśmy, czy lufy dział zwrócone są na zewnątrz, by bronić kopalni przed intruzami, czy też do wewnątrz, celem poskramiania niepokornych zesłańców. Szybko stwierdziliśmy również, prowadząc zwiad ze szczytu urwiska, iż strażnicy zamieszkują specjalną fortecę, która wznosi się nad bramą obozu i tam właśnie umieszczono arsenały oraz składy wydobytego nadmetalalu. Ze smutkiem obserwowaliśmy obozowe życie, widząc wynędzniałe sylwetki skazańców, wlokących ciężkie, skuwające ich stopy kajdany w stronę wejścia do kopalni, patrząc na ich zgarbione ramiona, zmierzwione włosy i brudne łachmany. T y m większy gniew wzbudziła we mnie buta strażników – wszystkich, wyjąwszy dowódcę, pochodzących z Pospolitych Elfów – którzy bezceremonialnie popychali więźniów do szybszego marszu i kpili z ich upadków. Zadawałem sobie pytanie: jak to możliwe, że twórcy cudów Cesarskiego Miasta, rasa dumna i wspaniała, o silnych charakterach i tak mocnym poczuciu piękna mogła wytworzyć koszmar, który widziałem u swoich stóp?

Zwiad prowadziłem w towarzystwie Astończyka, pierwszego oficera z Alawastra. Był on dziwnym indywiduum, zapewniono mnie jednak o jego waleczności i niezachwianej odwadze, zgodziłem się więc mieć go za kompana. W ciągu kilku dni, które spędziłem na pokładzie, zdążyłem dobrze mu się przyjrzeć — był człekokształtnym kotem, czy może raczej kotokształtnym człowiekiem, więcej w nim bowiem było z istoty rozumnej, niż zwierzęcia.

Wzrostem nie dorównywał wprawdzie ludziom, ani – tym bardziej – Elfom, przerastał jednak znacznie Lopego. Całe jego ciało porastało płowe futro, zdobione w delikatne, brązowe pręgi, które na kociej twarzy układały się w gustowny deseń. Dłonie i oczy miał zupełnie ludzkie, jeśli nie liczyć tego, że z opuszków jego palców wysuwały się długie na przynajmniej pięć centymetrów i ostre jak brzytwa pazury. Choć cały, od czubków szpiczastych, kocich uszu, po koniec puszystego ogona porośnięty był futrem, na głowie miał poza tym bujną czuprynę gęstych i miękkich włosów, w kolorze pręgów znaczących resztę jego ciała. Wydaje mi się, że futro dobrze zabezpieczało go przed zimnem, kiedy bowiem my ubieraliśmy grube płaszcze i Elfie

szuby — w której szczególnie paradnie prezentował się Lope - on niezmiennie nosił się w gustownych, choć nieszczególnie ciepłych, strojach wprost z Miasta Twarzy. Zagadnąłem go nawet, dlaczego wystrzega się astońskich ubiorów, podejrzewając w duchu, że we własnym domu Astończycy chodzą na golasa.

Błysnął na to szpiczastym zębem i powiedział, iż musiał opuścić swoją ojczyznę, stara się więc ubierać w sposób właściwy modnym mieszkańcom Znanego Wszechświata i że szczególnie upodobał sobie szerokie kapelusze i wysokie, lśniące buty.

Nasz Astończyk, który odrzuciwszy wszystko, co wiązało się z ojczyzną, nie chciał podawać nawet swojego imienia, posługiwaliśmy się więc nadanym mu z racji szaleńczej odwagi pseudonimem „Straceniec”, był niezrównanym kobieciarzem i bezczelnym fanfaronem. Sam unikałem wprawdzie rozmów z nim, obawiając się go nieco, podsłuchiłem jednak tu i ówdzie, jak przechwala się swoimi przewagami i jak przymila się po kociemu do każdej obecnej na pokładzie kobiety, nie wyłączwszy pani kapitan. Dlatego właśnie nieco się obawiałem, gdy Oksenia zdecydowała wysłać nas obu na zwiad, mnie z powodu obycia z tutejszymi warunkami, którego nabrałem podczas pobytu wśród barbarzyńców, Straceńca zaś przez wzgląd na jego doskonały wzrok. Teraz leżeliśmy więc na szczycie wielosetmetrowej skały zastanawiając się, w jaki sposób najlepiej wdrzeć się do obozu, zakładając, że nie chcemy toczyć nierównej walki z artylerią fortu i nie jesteśmy w stanie przebyć muru inaczej, niż statkiem, z drugiej zaś strony żadna lina nie jest w stanie wytrzymać obciążenia przy tej wysokości skalnej ściany. Oczywiście, Astończyk od razu zaproponował mi szaleńczy rajd na dół, argumentując, że czepiając się pazurami skały jest w stanie po niej zejść, ja zaś – jako chuchro – spokojnie i wygodnie zjadę na jego plecach, złożyłem jednak te propozycję na karb jego brawury i wróciłem do dywagacji strategicznej. Początkowo myślałem podkraść się pod sam mur obozu i wysadzić go, korzystając z osłony ciemności, rychło jednak przypomniałem sobie, iż na noc czekać trzeba przynajmniej trzy miesiące, a do tego czasu z pewnością zostaniemy wykryci.

I właśnie wówczas przyszedł mi do głowy szaleńczy plan, który wprawdzie wiązał się z ogromnym ryzykiem, nosił jednak wszelkie znamiona powodzenia.

Gdy zastanawialiśmy się nad zjazdem w dół zbocza na linach, odrzuciliśmy tę opcję ze względu na zbyt dużą, jak na wytrzymałość lin, wysokość – kiedy jednak wędrowałem wraz z barbarzyńcami, pokonywaliśmy większe zbocza, i to obciążeni naszym dobytkiem! Wszystko więc, co musieliśmy zrobić, to wrócić na nocną stronę świata, dostać się do truchła lewiatana, pozostałego u wejścia do wsi, z której mnie odratowano, wyciąć płaty jego skóry, w czym miałem nielichą wprawę i skręcić z niej arcywytrzymałe sznury, takie same, jakimi posługiwał się lud Chinua. Urzeczony tą myślą, upajając się moim strategicznym geniuszem, zarządziłem powrót na okręt. Straceniec kazał mi jednak wracać samemu, stwierdzając, iż on poczeka na szczycie wzgórza do chwili, gdy będziemy gotowi, obserwując w tym czasie zwyczaje wartowników.

Oczywiście, usiłowałem wybić mu ten pomysł z głowy, kiedy jednak zagroziłem, że siłą zawlokę go na statek, wysunął długie pazury i syknął na mnie tak groźnie, że jak niepyszny wzięłem nogi za pas i zatrzymałem się dopiero w miejscu, gdzie ukryliś- my szalupę.

W chwilę później byłem już na okręcie, z wypiekami na twarzy chwalać się moim doskonałym pomysłem. Przyznaję, że zdziwił mnie podziw dla mojej dzielności, który wyraziła Oksenia, wysłuchawszy, co mam do powiedzenia i zaskoczenie pozostałych członków załogi, kiedy obwieściła, iż zrealizujemy mój zamiar. Ten i ów, ku mojemu zaskoczeniu, próbował protestować, na twarzy pani kapitan zagościł jednak wyraz ponurej determinacji, niechybnie oznaczający, iż od tej decyzji odwołania nie ma. Kiedy wróciłem do kajuty, zastałem Lope posmutniałego – na mój widok westchnął ciężko i powiedział, że przecież nie puści mnie samego, bo jeszcze znowu się zgubię.





Gdy dziś wracam myślami do tamtych czasów, wciąż zachodzę w głowę, jak mogłem być aż tak nierozważny i z pełną beztrąską prowadziłem okręt na nieuchronną zgubę. Oczywiście, nigdy wcześniej nie widziałem nocy na Ochumie — nie znałem jej jednak również Lope, a mimo to jemu przyszło do głowy, że lud, który zamieszkuje ten świat od niepamiętnych czasów musi mieć jakiś powód, by na noc zamykać się w doskonale chronionych wioskach.

Ja nie miałem aż tyle rozumu i z podnieceniem czekałem, kiedy dotrzemy do cielska lewiatana, gdzie będę mógł pokazać, jak bardzo potrafię przysłużyć się sprawie pani kapitan. Tymczasem, kiedy minęliśmy strefę zachodu słońca, temperatura, niska przecież i za dnia, zaczęła gwałtownie spadać. Ogarnęły nas przy tym ciemności zupełnie nieprzeniknione i miałem wrażenie, że żeglujemy po omacku — szczęśliwie, Lope wziął się do pomocy przy nawigacji i we dwoje, wraz z Oksenią, zdołali poprowadzić nas w miarę pewnie. Na domiar złego po jakimś czasie zerwała się wichura, a potem dołączyła do niej śnieżycyca. Robiło się wciąż zimniej i zimniej, tak, że zacząłem się martwić, czy nie zamarzną mi gałki oczne.

N i m na dobre pożałowałem mojej głupoty, Oksenia obwieściła, że jeśli polecimy chociaż kawałek dalej, w Kryształach zabraknie energii na powrót i utkniemy wśród lodowych pustkowi, czekając dnia, który naładuje nasze żagle słoneczną energią. Od tego miejsca miałem udać się do lewiatana pieszo i dokładnie za cztery dni powrócić — statek będzie na mnie czekał. Jakże pożałowałem wtedy mojego doskonałego pomysłu i pozazdrościłem Straceńcowi, który grzeje się w słońcu, bezpieczny na szczycie ogromnego urwiska! Przekrzykując wiatr, usiłowałem przekonać Oksenię, że to, co zamierzamy, to czyste szaleństwo, nie ma jednak takiej ofiary, której Elf nie poniesie w imię wyższej sprawy, pojąłem więc, że nasze życie znaczy dla pani kapitan mniej, niż powodzenie w ataku na kopalnię, który będzie ciosem wymierzonym w Cesarstwo. Klnąc Elfi charakter, na czym światy stoją, pozwoliłem opuścić się na linach w sięgający mi do pasa, puszysty śnieg. Po chwili tuż obok wylądował Lope, który uparł się iść ze mną, argumentując, iż potrzeba mi będzie dobrego nawigatora, jeżeli w ogóle dotrzeć mam do lewiatana. Kąsani zimnym wiatrem, na wpół oślepieni wirującymi płatkami śniegu, staliśmy w ciemnościach obserwując, jak wśród nocy znikają światła

okrętu. Nigdy później mój los nie wydawał mi się tak wyraźnie przypieczętowany — wyjąwszy być może chwilę obecną, gdy żaden szczęśliwy przypadek nie zdoła już ocalić mnie od niechybnego końca.

Wówczas bowiem ocalił nas właśnie przypadek. Godzinę już brnęliśmy przez śnieg, torując sobie drogę, jak potrafiliśmy, i doszedłem do przekonania, że życia nam nie starczy, by dotrzeć do wioski Chinua. Załamany, usiadłem z impetem na śniegu - i wówczas odkryłem, że spocząłem na czymś, co z całą pewnością nie jest lodem.

Wyteżyłem wzrok - i jakąż była moja radość, kiedy stwierdziłem, że musimy znajdować się w pobliżu nocnego obozowiska innego plemienia, gdyż tuż obok nas, na wyciągnięcie ręki, leży, do połowy zagrzebane w śniegu, truchło innego zgoła lewiatana, mniejsze wprawdzie i znacznie bardziej wyeksploatowane, dość jednak duże na nasze potrzeby, a to, na czym usiadłem, to nie mniej, nie więcej, jak jego płetwa! Wyteżając całą siłę płuc, zawołałem Lopego i nie minęła kolejna godzina, a ja już pracowałem Viperą, wycinając długie płyty zrogowaciałej skóry bestii, Lope zaś zajmował się rozbiciem obozowiska w jaskini, jaką stworzyły zebra wypatroszonego do cna potwora. Osłoniła nas ona od wiatru i nawet zdołaliśmy rozpalić na jej dnie niewielkie ognisko, wykorzystując skromny zapas chrustu, który ze sobą zabraliśmy. Stworzyliśmy sobie zatem lokum dość przyjemne, zwłaszcza, że przejmujący mróz ściał mięso lewiatana, tłumiąc jego zapach. Ogrzawszy się nieco i posiliwszy, znów zabraliśmy się do pracy, i tak, czyniąc krótkie wypadki na zewnątrz i oszczędzając opał, jak się da, pracowaliśmy wśród śnieżnej, ciemnej i zimnej nocy, nie posiadając się ze szczęścia.

Oczywiście, mróz nadal dawał nam się we znaki, a wichura była momentami tak przeraźliwa, że nie sposób było oddychać. Kiedy wiatr tracił na sile, do ciała międzygwiezdneho stwora skradały się niewidoczne w ciemnościach bestie — wyraźnie słyszeliśmy ich oddechy. Lope odpędzał je strzałami ze swojego pistoletu kryształowego, podczas gdy ja nie przerywałem pracy. Raz czy dwa rzuciliśmy im ochłap mięsa i z mroku dobiegły nas głośniejsze od wycia wiatru odgłosy walki i skomlenia. Poprzysięgliśmy sobie wówczas nigdy nie oglądać tajemniczych drapieżców z bliska i zdwoiliśmy czujność. Raz, gdy siedzieliśmy w ciemnościach w

służącym nam za namiot brzuchu lewiatana, zebrałem się na odwagę i zapytałem Lopego, dlaczego robi to wszystko — porzucił urząd, wszedł w konszachty z piratami, naraża życie wśród nieprzeniknionej nocy, wszystko dla mnie, którego poznał przecież przed raptem rokiem. Krasnolud wzruszył tylko ramionami, mrużąc: „krasnoludzki charakter”. A potem zaczął wyjaśniać mi, jak wygląda społeczność jego ojczyzny, co – przyznaję – rzuciło wiele światła na zachowanie tak mojego przyjaciela, jak i wszystkich Krasnoludów.

Nie miałem wówczas najmniejszego pojęcia o tym, że Krasnoludy to istoty wyzute zupełnie z potrzeby dbania o samych siebie – nie gromadzą bogactw ani nie dążą do zaszczytów, są nawet skłonne po święcić życie, gdy trzeba – za to ogromnie przywiązują się do swoich bliskich i gotowe są na wszystko, byle poprawić ich dolę i w jakiś sposób im się przysłużyć. Brak im zatem tego wszystkiego, co czyni nas ludźmi – nikczemności, chciwości czy żądzy władzy – i to nie dlatego, że, jak Lodowe Elfy, tłumią w sobie tego rodzaju odczucia. Są z nich bowiem w zupełności wyzute przez naturę i jeśli Krasnolud zdolny jest w ogóle odczuwać egoizm, w jego własnym świecie mają go za zwyrodnialca, a przypadłość taką uznaje się za wstydliwą. Oczywiście, Krasnoludy zdają sobie przy tym sprawę z faktu, że inne rasy nie postrzegają świata w takich samych, jak one, kategoriach, pragną jednak bardzo szerzyć swój styl życia, gdzie to tylko możliwe, z czystej troski o inne istoty. Kiedy słuchałem tego wszystkiego i nagle zaczynałem pojmować zamiary ambasadora,



gdy przysłał do mnie Lopego, oraz motywy mojego przyjaciela, który rzucił wszystko, byle mnie ratować, uznałem rasę krasnoludzką za wspaniałą i godną podziwu.

Wtedy jednak mój kompan zwiesił głowę i ze wstydem wyznał, iż ów altruizm ma również swoje ciemne strony, kiedy bowiem ktoś walczy dla siebie, zaprzestaje zmagać kiedy przestają przynosić mu korzyść. Gdy krasnolud podejmuje walkę, walczy zawsze w czyimś imieniu i nie waha się poświęcić życia w imię jego sprawy.

Stąd w rodzinnym świecie Lopego bez przerwy wybuchają krwawe wojny, w których poddani jednego ze Smoczych Książąt zmagają się z podwładnymi innego bez najmniejszej ingerencji swoich władców, z czystej do nich miłości. Ba, niekiedy wywołują nawet bunty przeciw Smoczemu Królowi, uważając, że to skronie ich Księcia powinna zdobić korona władców. Słuchając tego mrugałem oczyma ze zdziwienia i w końcu zdecydowałem, że w takim razie o ile jeden Krasnolud jest cudownym przyjacielem, grupa przedstawicieli tej rasy może okazać się bardzo niebezpieczna.

Dzięki naszemu niespodziewanemu znalezisku i wcale przytulnemu schronieniu, praca na lewiatanie poszła nam daleko szybciej, niż byśmy się w najśmielszych marzeniach spodziewali – zaczęliśmy nawet splatać sznury, siedząc w pogrążonej w absolutnych ciemnościach jamie brzusznej potwora. Gdy minęły wyznaczone cztery dni — bogowie mi świadkiem, że przy tym mrozie nie dotarlibyśmy w tym czasie do obozowiska Chinua — stawiliśmy się na miejsce spotkania, a załoga Alawastra powitała nas jak bohaterów. Brudni i zarośnięci, mogliśmy wreszcie umyć się i najeść do syta, schowani bezpiecznie w ciepłej i przytulnej kajucie. Jediną niedogodnością był brak światła, albowiem, by oszczędzić Kryształ na podróż, wyłączono całe okrętowe oświetlenie. I tak mknęliśmy wśród mroźnej ciemności, a ja, ledwie nacieszywszy się tym, że znów cało wyszedłem z opresji, zacząłem obawiać się o swe życie w związku ze zbliżającym się atakiem na kopalnię. Im dłużej zresztą o tym myślałem, tym większe były moje wątpliwości, aż wreszcie odwiedziłem kajutę Oksenii, by je rozstrzygnąć. Skoro bowiem – myślałem – Lodowe Elfy władne są zmieniać umysły, po co w ogóle kajdany, mury i żołnierze? Nie lepiej byłoby wysłać do tego niegościnnego świata grupy górników, której jedynym marzeniem jest fedrować nadmetal dla większej chwały Cesarstwa? Pani kapitan w pierwszej chwili nasrożyła się, zaraz jednak wzięła się pod boki i zaczęła serdecznie śmiać. Upokorzony, już miałem wyjść, powstrzymała mnie jednak gestem i wytłumaczyła, jak słabo znam mroczną stronę duszy Lodowych Elfów. Otóż, istoty te uwielbiają sycić się zemstą i temu właśnie służą obozy pracy dla zbrodniarzy stanu. Gdyby odjęto im wspomnienia, tłumaczyła, lub zmieniono ich umysły, nie cierpieliby tak bardzo, jak wówczas, gdy kajdany na nogach i ciężka praca łamią ich dumę oraz potrzebę wolności.

Zemsta smakuje Lodowym Elfom tylko wówczas, gdy mają pewność zadawania bólu — a zmiana wspomnień zmniejsza jego natężenie.

Wysłuchawszy jej wyjaśnień, zadrzałem, myśląc, jak blisko mi było do równie ponurego losu.

Tymczasem zbliżaliśmy się do strefy zmierzchu, statek płynął jednak coraz wolniej i z każdą chwilą tracił na wysokości. Początkowo nijak mnie to nie niepokoiło, wiedziałem bowiem, że Alawastr przebył już raz tę trasę, potem jednak zdałem sobie sprawę z tego, że noc zapada coraz głębsza, a my, w rytm powolnego obrotu świata, oddalamy się z każdą chwilą od strefy zmierzchu. Wkrótce zresztą potem pani kapitan wezwała nas wszystkich na pokład i z poszarzałą od troski twarzą obwieściła, że energii nie wystarczy nam na powrót do miejsca, w którym znów naładujemy Kryształy. Na całą załogę padł blady strach, a ja wpadłem w czarną zupełnie rozpacz.

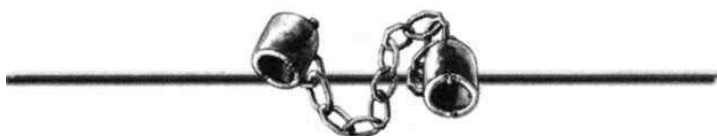
Znałem przecież okrucieństwo straszliwej nocy Ochuromy i zacząłem gotować się na niechybną śmierć z zimna, która dosięgnie nas kiedy tylko spalimy już cały statek. Powłócząc nogami ruszyłem do kajuty, gdzie myślałem podzielić się obawami z Lopem, wbrew jednak moim oczekiwaniom, nie zastałem go tam. Chwilę trwało, nim odkryłem, że zaszył się wraz z Oksenia i wnikliwie przegląda okrętowe mapy przy jedynym ocalałym ogarku świecy. Potem Krasnolud długo biegał po pokładzie, wyraźnie ożywiony i rozochocony, nie zważając na ukradkowe spojrzenia załogi, która wyraźnie uznała, że z żalu popadł obłąd. W końcu, kiedy nakazał spuścić się na ławie wantowej do samego dna okrętu, piraci uznali go za zbyt ciężki balast i musiałem zagrozić im Viperą, by zwyczajnie go nie porzucili.

W końcu, zacierając ręce, oznajmił mi że wszystko jest w najlepszym porządku i zabrał się do żeglowania.

Wszyscy wiedzą, że nie ma żeglarzy nad Krasnoludy. Oczywiście, Lodowe Elfy nie znają strachu i gotowe są na każde ryzyko, moi rodacy konstruuja lepsze okręty, a Imperium Kryształowe z pewnością prześciga ich w liczebności floty, wszystkim nam jednak brakuje wyczucia, intuicji, umiejętności i, przede wszystkim, ogromnej

pomysłowości krasnoludzkich marynarzy. Ich kapitanowie nie wahają się przed najtrudniejszymi nawet manewrami, żeglarze są w stanie wykorzystać każdy skrawek płótna tak, by złapać weń słońce, załogi działają jak jedno ciało, a nieortodoksyjne pomysły pomagają im wykaraskać się z najtrudniejszych nawet terminów. Popis takich właśnie umiejętności dał nam wówczas Lope, nakazując zwinąć wszystkie żagle, nieznoszącym sprzeciwu głosem rozstawiając załogę po pokładzie i dając jej pozornie sprzeczne ze sobą zadania. Potem sam stanął za kołem sterowym, zamknął oczy — jak mi potem tłumaczył, by lepiej wyobrazić sobie mapę — i, nie zmniejszając wcale prędkości, posadził statek na ziemi. Wszyscy poczuliśmy szarpnięcie, gdy deski poszycia ze skrzypieniem zagłębiły się w śniegu, a Lope, nie tracąc rezonu, zaczął wywrzaskiwać komendy i beztrudnie wyłączał mechanizm, podtrzymujący statek w powietrzu. Rozpoczęła się najbardziej niesamowita jazda mojego życia, uwolniony bowiem od obowiązku popychania okrętu do góry Kryształ nadał nam większego jeszcze pędu i pomknęliśmy po śniegu, niczym na wielkich saniach. Lope nieustrudzenie stał za kołem sterowym, bez przerwy i —

107



cząc coś bezgłośnie i co jakiś czas wykonując zwroty. W końcu na horyzoncie załśnił blask i w pół godziny byliśmy już — od stóp do głów obsypani śniegiem — w strefie zmierzchu. Wciągnięto żagle i ponownie włączono Kryształ. Alawastr szarpnęła więc lekko, po czym wzniósł się w powietrze. Załoga krzyknęła z radości, a Lope błysnął zębami, oddał ster pani kapitan i zwałił się na pokład, nieprzytomny z wyczerpania.

Gdy pytałem go potem o sukces naszej przeprawy, podczas której straciliśmy tylko rezerwową żagiel, rozciągnięty pod kadłubem jeszcze przed lądowaniem w śniegu celem zwiększenia śliskości okrętu, wytłumaczył mi, że wystarczyło dobrze zapamiętać mapę i na bieżąco przeliczać prędkość i położenie. Zdumiałem się oczywiście bezbrzeżnie, a Lope odparł skromnie, że przeszedł przeszkolenie pod okiem

sprawnego nawigatora, nie bał się też roztrzaskać okrętu, przy tej bowiem ilości śniegu wystawać z niego mogły wyłącznie największe skały. Nie pytałem, co by było, gdyby się pomylił, a i on nie roztrząsał tego tematu. W każdym razie, od tego czasu nabrałem tak wielkiego szacunku do krasnoludzkiego żeglowania, że pewniej czułem się na dowodzonym przez Krasnoluda okręcie, niż we własnym domu.

Wykaraskawszy się z opresji, w którą wpakowała nas wy łącznie moja głupota – dziękuję po dziś dzień bogom, że nasza kapitan nie winiła mnie za narażenie okrętu, zadowolona ze zdobycia lewiatanowego sznura – rozpoczęliśmy przygotowania do szturm na kopalnię. Kryjąc się sprytnie wśród szczytów przez

patrolowymi statkami Lodowych Elfów, pojawiającymi się co jakiś czas na niebie, splataliśmy liny ze skóry międzygwiazdnej bestii w sposób, jakiego nauczyłem się od barbarzyńców, i snuliśmy plany ataku. Straceniec, który wrócił tymczasem ze swego stanowiska obserwacyjnego, zdał nam dokładną relację z rytmu życia obozu i Oksenia postanowiła zaatakować w godzinie, gdy część strażników odprowadza jedną zmianę robotników do kopalni. Mieliśmy rozdzielić się na dwie grupy — zadaniem pierwszej było ześliznąć się niepostrzeżenie na linach na teren obozu i opanować arsenał, druga zaś uderzyć miała okrętem na dany przez pierwszą sygnał. Zamierzaliśmy potem zniszczyć tyle strażnic, ile to tylko możliwe, rozdać skazańcom broń i umykać, pozwalając im wyrównać rachunki ze strażnikami. Wydało mi się to dość okrutne – pozostawiać wygłodzonych i osłabionych więźniów na pastwę losu, zaraz jednak zdałem sobie sprawę, iż Oksenia z pewnością wierzy, że tylko w ten sposób pomoże im odzyskać godność i dumę. Znów zachodząc w głowę nad meandrami duszy Elfów pochyliłem się nad sznurem i nie zadawałem żadnych pytań.

Praca zajęła nam jeszcze wiele godzin, które uprzyjemnialiśmy sobie, snując opowieści. Był to wcale przyjemny czas, kiedy siedzieliśmy na zalanym słońcem pokładzie w kilkanaście osób, splatając włókna w długie sznury, dowcipkując i zabawiając się historyjkami.

Opowiadałem wiele o Mieście Twarzy, nie szczędząc słuchaczom co pikantniejszych szczegółów, i — przyznaję — ubarwiając nieco, by dostosować wypadki mojego życia

do gustów pirackiej załogi, czego szczęśliwie mogę się dziś wystrzegać, pisząc te słowa w ostatnich godzinach życia i nie dbając więcej o poklask. Równie popularnym gawędziarzem był Lope, który jak z rękawa sypał zabawnymi anegdotami z życia mieszkańców całego Znanego Wszechświata – niektórych zdarzeń sam był świadkiem, o innych słyszał, trzecie jeszcze bezczelnie zmyślał, co nie przeszkadzało nam tarzać się po pokładzie ze śmiechu słuchając, jak Wielki Mistrz Ziemi, męznego Zakonu Rycerzy Kryształowych, na których wspiera się Imperium, zapomniał, gdzie schował swój ogromny miecz i bezskutecznie przetrząsał cały zamek, nim spojrzenie w wypolerowaną tarczę nie pozwoliło mu odkryć, iż ostrze tkwi spokojnie w pochwie, przerzuconej przez jego plecy. Wszyscy jednak gawędziarze bledli wobec talentów oratorskich Straceńca, astońskiego samochwała i pierwszego oficera naszego okrętu.

Kiedy siadywał z nami i leniwie miał w palcach końcówki sznura, bystre oczy zachodziły mu mgłą wspomnień i roztaczał przed nami wspaniałe wizje miast o złotych dachach, wzniesionych w samym sercu żółtych bezmiarów pustyń. Mówił o pięknych księżniczkach, tęsknie wypatrujących kochanków z wąskich okien strzelistych wież o kolorowych kopułach czy śmiałych złodziejach, niewahających się przedsięwziąć wyprawy wprost do pilnie strzeżonego skarbcza kociego możnowładcy by wykraść stamtąd klejnot niezmiernej wartości, który mogą potem złożyć w darze swojej ukochanej. Opowiadał o męźnych młodzieńcach, którzy dzięki swojemu sprytowi są w stanie wykaraskać się ze wszystkich kłopotów, okpić groźne potwory i ocalić porwane piękności, które obdarzają ich potem całym miotem ślicznego potomstwa. Najbardziej zdumiały nas jednak historie o magii – czarownikach, z pomocą magicznych lamp, słojów czy innych naczyń przyzywających potężne i groźne istoty, by za nich walczyły i spełniały wszelkie zachcianki.

Ten koncept wydał nam się co najmniej dziwaczny, wszyscy wiedzieliśmy bowiem doskonale, że każda magia ma za swoje źródło Kryształ, i o ile można z jej pomocą osiągać bardzo spektakularne efekty, dzieją się one zawsze za przyczyną czarownika, a nie jakichkolwiek magicznych bestii. Najgłośniej sprzeciwiał się opowieści Straceńca Lope, najwyraźniej uczony również w prawidłach sztuk magicznych, Astończyk zaś obstawał przy swoim i na koniec byłby się obraził, gdybym sprytnie nie podpytał go,



czy i on zostawił w Astonii ogoniastą ukochaną. To zajęło uwagę kociego fanfaron na tyle, że zapomniał o sporze z Krasnoludem i dalej raczył nas wizjami pięknych, choć niebezpiecznych kobiet, spowitych w półprzejryste tkaniny i wygrzewających się na słońcu. I tak, na opowieściach, gawędach oraz anegdotach trawiliśmy czas do chwili, gdy sznury były skończone i tryskająca radością Oksenia zakomunikowała nam, że niedługo uderzymy na kopalnię. Na te słowa serce mi struchlało, zamknąłem się w kajucie i resztę pozostałego nam czasu spędziłem, pisząc ostatni – jak sądziłem – list do wuja.

Tuż przed przystąpieniem do ataku na pokładzie Alawastra odbyła się jeszcze dziwaczna ceremonia, w której wszyscy braliśmy udział, choć była ona niewątpliwie związana z religią Elfów. Oksenia wydobyla skądś poczerniałą ze starości, choć kiedyś najpewniej złoconą, stylizowaną podobiznę Elfa, wymalowaną na grubej desce.

Portret wydał mi się nieudany, nijak nie przypominał bowiem prawdziwej twarzy, powiedziano mi jednak, że jest przede wszystkim symbolem wyobrazonego przodka, a sam sposób malowania, poza i proporcje mówią, czym się ten przodek opiekuje. Nie wnikałem w niuanse sztuki malowania — czyli pisania, jak mówią Elfy – ikon i posłusznie obszedłem wraz z załogą cały okręt, zatrzymując się na dziobie, śródkręciu, rufie i pokładzie bateryjnym, gdzie śpiewaliśmy ponure, wielogłosowe i bardzo piękne pieśni, które zapewnić miały nam przychyłność antenata. Potem Oksenia, ubrana na tę okazję w czerwony, obszywany futrem kubrak, przewiązany szerokim pasem z połyskliwej materii, również czerwonym i zdobionym złotem, zamocowała ikonę na maszcie i kazała nam kolejno przed nią stawać. Gdy nadeszła moja kolej, nie wiedziałem nawet, czy mam się modlić, czy też nie – tymczasem pani kapitan uniosła dłonie nad moją głowę i wyszeptała kilka słów. Kryształ, które – jak dostrzegłem – wprawiono w oczy obrazu załśniły, jakby działa się magia, a ja poczułem się nagle jak wówczas, gdy po raz pierwszy dobyłem Vipery. Głowę miałem lekką, serce wyzbyło się lęku i na myśl o zbliżającej się bitwie czułem tylko radość. Taka jest bowiem magia Elfów Pospolitych – gdy ich Lodowi krewniacy manipulują umysłem, oni potrafią odmieniać uczucia, napełniać serca niespotykaną odwagą i porywać się dzięki temu na wyzwania, przed którymi każdy by się zawahał. Nie

minęło pół godziny, a ja, wciąż kipiąc entuzjazmem, zjeżdżałem na lewiatanowej linie w dół kilkusetmetrowej przepaści, myśląc z radością, że przed nami zwycięstwo lub śmierć.

Teraz, gdy wspominam rajd w dół czarnej jak noc skały, włosy stają mi dęba – całe szczęście, że znalazłem się wówczas pod wpływem czarów, inaczej bowiem umarłbym ze strachu, nim dotknąłem ziemi. Było nas w sumie może dziesięć osób, sunących śmiało na linach, niepomnych, że ktoś może w każdej chwili nas spostrzec i ufnych, że strażnicy rzadko zadzierają głowę tak wysoko. Tuż obok mnie widziałem błysk zielonych oczu Straceńca i co jakiś czas wymieniałem z nim porozumiewawcze spojrzenia. Ziemia zbliżała się z każdą chwilą i już nabierałem przekonania, że nasz desant obędzie się bez przeszkód, gdy wtęmem z kopalni, do której wejście znajdowało się dokładnie pod nami, wyszedł beztrząsco jeden z żołnierzy — a widząc tuż przed nosem kołyszące się na wietrze końcówki szarych sznurów, zadarł głowę w górę i spojrzał prosto na nas.

Choć moje serce wypełniała magicznie sprowokowana śmiałość, struchlałem, pewny, że oto żołdak zakrzyknie na alarm i strażnicy wybiją nas jak kaczki — lecz sunący obok mnie Straceniec nie stracił głowy. W jednej chwili puścił linę i, nie dbając o wysokość, runął wprost na głowę pechowego Elfa. Walka była bardzo krótka, nim bowiem tamten zdołał dobyć broni, ogromny kot sięgnął mu pazurami do gardła. Kiedy zjechaliśmy na dół, Straceniec siedział na ciele żołnierza i zawadiacko podkręcał wąsa – musiałem go szturchnąć, by przestał napawać się sobą i pozwolił schować ciało.

Cicho, niczym duchy, ruszyliśmy w stronę arsenału i poszło nam lepiej, niż się spodziewałem. Pierwszy strażnik zauważył nas, gdy byliśmy pod samymi drzwiami garnizonu i podniósł wprawdzie alarm, było jednak zbyt późno, by wystrzelić do nas z działa. Zaczęliśmy ostrzeliwać się z broni kryształowej, kryjąc się pod osłoną wejścia, gdy tymczasem Straceniec, jak gdyby nigdy nic, wspiął się po pionowej ścianie i wlaź do fortu przez okno strzelnicze. Ja sam, nie mając broni dalekosiężnej, stałem tylko, czekając, aż z bramy wypadną gwardziści, i odbijałem wystrzelone w moją stronę wiązki energii lśniącym, nadmetalowym ostrzem Vipery. Sprawność ruchów wracała

mi dość powoli i dziękowałem bogom, że mogę rozgrzać się pod niezbyt celnym ostrzałem zanim skrzyżuje ostrza z prawdziwym przeciwnikiem. Doprawdy, czary Elfów potrafią zdziałać cuda, w ogóle nie przejmowało mnie bowiem, iż wokół mojej głowy świszczą wystrzały i przynajmniej jeden z naszych jest już raniony, jeśli nie zabity. Tymczasem, drzwi uchyliły się i ujrzałem w nich twarz Elfa. Niewiele myśląc, wymierzyłam mu cios szablą – jak się okazało, niepotrzebnie, gdyż Straceniec dawno sobie z nim poradził i żołnierz walił się właśnie na ziemię. Wpadłem do środka i pobiegłem w górę wąskich schodów, mijając ciała pokonanych przez groźnego Astończyka żołdaków. W chwilę później barykadowaliśmy już drzwi do pomieszczeń, z których wysypać się mogli kolejni strażnicy, a część naszych pobiegła, by rozdać znalezioną broń więźniom.

Tymczasem na zewnątrz rozpętało się prawdziwe piekło, kiedy bowiem my odciągaliśmy uwagę warty, Oksenia podprowadziła Alawastra pod same niemal mury obozu i właśnie dano palbę ze wszystkich dział, niszcząc dwie wieże strażnicze i tworząc solidny wyłom w lodowym murze. Zdezorientowani wartownicy biegali w tę i z powrotem, niepewni, czy atakować naszą grupkę, mężnie ostrzeliwującą się z okien fortu, czy eliminować więźniów, którzy – dostawszy do ręki broń – wysypywali się ze swoich długich, kamiennych, do połowy zagrzebanych w śniegu chat. Tymczasem okręt odwrócił się i wypalił z drugiej burty, powiększając jeszcze zamieszanie. Żołnierze, którzy wybiegli z kopalni, trafili na opór samych więźniów, zabiedzonych wprawdzie i brudnych, jednak rozpalanych niepowstrzymaną rządzą wolności, która z wielokrotnością ich siły. My tymczasem znaleźliśmy arsenał i udało nam się wyłamać jego zamek, wyrzucaliśmy zatem przez okna kryształowe karabiny i długie szable o wąskich piórach, piszcząc przy tym z uciechy jak dzieci. Dzięki czarom Elfów moja pierwsza bitwa wydawała mi się świetną zabawą, istnym piknikiem i ani jednej myśli nie poświęciłem naszemu bezpieczeństwu. O, jakże dziś tego żałuję!

Kiedy my bawiliśmy się w najlepsze, drzwi pomieszczenia, w którym harcowaliśmy, pękły nagle, jak rozprute ogromną siłą, i wśród deszczu drzazg ukazał się Lodowy Elf, jak sądzę komendant więzienia. Natychmiast obróciło się ku niemu dwóch z naszych piratów, nim jednak zdążyli przygotować broń, padli, jak rażeni gromem, pod

szybkimi jak błyskawica ciosami wąskiej szabli. Komendant szedł ku nam spokojnie, z nienagannie lodową twarzą — jego młodzieńcze oblicze okalały furkoczące w nagrzanym od salw artylerii powietrzu, czarne włosy, miał na sobie błękitną, mundurową kurtkę i wąskie bryczesy. Czas stanął w miejscu — jak urzeczony patrzyłem w jego puste oczy o barwie fiołków, a on wyciągnął ku mnie dłoń, po wewnętrznej stronie której zamocowane było urządzenie służące czynieniu czarów. Ledwie je spostrzegłem i już ciało odmówiło mi posłuszeństwa — zostałem jak skamieniały, nie mogąc mrugnąć nawet powieką, rażony magią Lodowego Elfa, który powiedział do mnie: „Ty jako drugi” i obrócił się w stronę Straceńca, który już przygotował broń i odsłonił pazury.

To był niezwykły pojedynek — Lodowy Elf poruszał się z niewiarygodną prędkością i zadawał ciosy tak zwinnie i lekko, jakby dyrygował orkiestrą. Straceńcowi też nie zbywało na gibkości i zwijał się wokół przeciwnika jak fryga, unikając ciosów i wyprowadzając własne, morderczo precyzyjne sztychy, które jednak komendant parował bez najmniejszego wysiłku. Gdy na moment zatrzymali się, dostrzegłem w oczach Elfa zadowolenie, jakby wreszcie trafił na godnego siebie przeciwnika, a potem Straceniec zasyczał, futro zjeżyło mu się tak, że dostrzegłem to mimo jego pysznego stroju, i znów zwarli się w morderczym starciu, którego mogłem być tylko biernym obserwatorem. I wtem ruchem tak szybkim, że niemal go nie zauważyłem, Lodowy Elf raził mojego kompana w nadgarstek, z chirurgiczną precyzją odcinając mu prawą dłoń. Broń kota śmignęła w powietrzu i wbiła się w ścianę, a komendant zakończył walkę tanecznym sztychem, przebijając pierwszego oficera Alawastra na wylot. Przez moment zamarli, jakby Elf oczekiwał na oklaski, po czym ciało Straceńca zsunęło się z jego ostrza, a sam komendant odwrócił się w moją stronę, uniósł dłoń — i oto znów mogłem się poruszać. Tamten spojrzał na mnie pustymi oczyma, strzepnął z ostrza krew kota i powoli ruszył w moją stronę, sycąc się widokiem mego strachu. Szykowałem się do walki wiedząc, że nigdy nie zdołam pokonać tak szybkiego przeciwnika, gdy wtem Elf zamarł w pół kroku, jego oczy rozszerzyły się, a z ust wypłynęła stróżka błękitnej krwi. Straceniec stał za nim, trzymając się kurczowo za kikut prawej



łapy i rzucając lekkim tonem coś o arogancji przeciwnika, który odwraca się od wroga, gdy ten nie jest całkiem martwy. Ciało Lodowego Elfa drgało na podłodze, przeszyte długim sztyletem, który, jak się okazało, Straceniec zawsze ukrywa w cholewie wysokiego buta.

Szala bitwy przechyliła się na naszą korzyść i wkrótce udało nam się przedostać na pokład Alawastra, gdy tym czasem pod nami wrzał śmiertelny bój. Oglądałem go z powietrza, gdy wszyscy zbiegli się wokół Straceńca, by opatrzyć jego rany i wysłuchać, jak, mężnie znosząc ból, z zawadiackim uśmiechem opowiada o pojedynku. Wynędziali, skrajnie zmęczeni i zrezygnowani więźniowie przedzierzgnęli się za naszą sprawą w dzikie i niepowstrzymane bestie, bez lęku szturmując pozycje żołnierzy Cesarza, wdzierając się do fortu i biorąc kolejne strażnice. Cały obóz spowijała chmura dymu z topniejącego od kryształowej energii lodu, gdzieniegdzie widziałem jednak leżące w kałużach szkarłatnej krwi trupy i grupki walczących. Rychło zobaczyłem też, że choć bitwa jeszcze nie ustała i na wieżach bronią się poddani Cesarza, Elfy już wzięły się za łby i na dziedzińcu gorzej regularna bitwa skazańców. Tę bowiem ma jeszcze cechę ów niezwykle naród, że bardziej jeszcze, niż nienawiść do Lodowych Elfów, pielęgnuje ciągnące się od tysiącleci waśni rodowe i nigdy nie traci okazji, by zmierzyć się ze znieprawdzonymi rywalami, choćby i powód sporu dawno zaginął w pomroce dziejów. Dlatego właśnie Pospolite Elfy tak łatwo dały się pobić Cesarstwu i stąd klęski wszystkich powstań – zauważyłem potem w rozmowie z Lopem – gdyby bowiem udało im się dojść do zgody, rozpędziliby Lodowych kuzynów na cztery wiatry.

Tymczasem jednak, gdy w mojej głowie kłębiły się takie właśnie przemyślenia, okręt nasz minął zasłone chmur i skierował się ku wyjściu z układu, będącego stolicą Cesarstwa. Nie miałem oglądać go już nigdy.

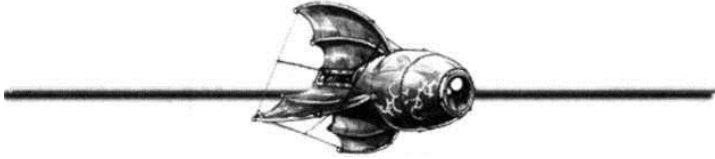


## ROZDZIAŁ PIĄTY

*w którym Marco nie dociera do*

*Smoczego Królestwa.*

*Lope*



## ROZDZIAŁ PIĄTY

Świat Krasnoludów, ku któremu zmierzaliśmy, jest niezmiernie oddalony od serca Cesarstwa Lodowych Elfów, nic więc dziwnego, że Oksenia Baroszy, jakkolwiek wdzięczna nam za pomoc i przekonana, że dzięki nam dokonała czynu o wielkim znaczeniu, odmówiła przetransportowania naszych skromnych osób aż do samych granic Królestwa. We mnie wywołała, oczywiście, złość, bo czy po to narażaliśmy się z Lopem wśród niebezpieczeństw mroźnej nocy i nadstawialiśmy karku w bitwie, by teraz porzucić nas jak zbędny balast? Zaskoczyło mnie więc, że Krasnolud przyjął rzecz zupełnie spokojnie, naburmuszyłem się więc, gdy tłumaczył mi, że nasza pani kapitan ma inne zgoła powinności a i Alawastr niekoniecznie nadaje się do tak dalekich wypraw. W lepszy humor wprowadził mnie dopiero widok Straceńca, który po całych dniach leżał na pokładzie, ostentacyjnie obnosząc kikut prawej ręki i ranę w piersi, co jakiś czas pojękując żałośnie, a wszystkie obecne na pokładzie kobiety — a było ich przecież kilka — otaczały go wianuszkami, zgodnym chórem wyrażając współczucie. Nawet Oksenia nie pozostała nieczuła na wdzięki Astończyka i kilka razy wyraziła troskę o jego zdrowie, a raz nawet uległa, gdy z łobuzerskim błyskiem w oku poprosił ją, by podrapała go za uchem. Ja sam współczułem mu głęboko, wyobrażając sobie straszliwe kalectwo, którego padł ofiarą, rezolutny kot nie tracił jednak animuszu. Zagadnąłem go nawet o to, kiedy na chwilę uwolnił się od wielbicielek, a on wytłumaczył mi, że najwyraźniej taki los był mu pisany i nie ma powodu, by się nad nim użalać — pozostaje mu wyłącznie ćwiczyć z bronią w lewej dłoni. Urzeczony jego postawą zobowiązałem się, że choćbym miał przetrząsnąć cały Wszechświat, znajdę sposób, by doprowadzić mu dłoń — a on, nie tracąc rezonu, zapytał, czy życzę sobie w tym celu próbkę futra, by nie pomylić koloru.

Dziesięć dni rejsu mijało nam w wesołej atmosferze. Oksenia, zwykle przecież nachmurzona i gniewna, tryskała radością i optymizmem, który udzielał się nam wszystkim. Owszem, oplakaliśmy zabitych, słuchając jednak płomiennej mowy pani kapitan, traktującej o ich bohaterstwie i wadze poświęcenia, niemal zazdrościłem im takiego losu. Potem, gdy oddaliliśmy się już w bezpieczne miejsce, na pokładzie odbyła się straszliwa libacja, podczas której raczono się przejrzystym alkoholem, który tak bardzo kochają Elfy — a kiedy wszystkim szumiało już w głowach, zaczęły się śpiewy i tańce. Cała uroczystość różniła się od balu Lodowych Elfów niczym niebo od ziemi – o ile tam wszystko odbywało się dostojnie i w atmosferze śmiertelnego niebezpieczeństwa, Elfy Pospolite okazały się bawić niezmiernie żywiołowo. Przyspiewki, które śpiewały, były przede wszystkim rubaszne i niewyszukane, choć skoczne, a cała zabawa polegała na tym, że wszyscy zebrali się w okręgu, do środka którego wskakiwał co rusz któryś z członków załogi i, tańcząc, dowcipnie przycinał swoją piosnką któremuś z kompanów. Ten zajmował następnie jego miejsce i przypinał łatkę kolejnemu i tak dalej, póki rozbawieni i roztańczeni uczestnicy gry do cna się nią nie znudzili.

Niestety, o jakości dowcipu mogłem wyrobić sobie zdanie wyłącznie obserwując reakcję rozbawionych Elfów, wszystkie piosnki składano bowiem w ich własnym języku, który jest wprawdzie podobny do mowy Lodowych Elfów, na tyle jednak od niej odległy, bym ani w ząb go nie rozumiał.

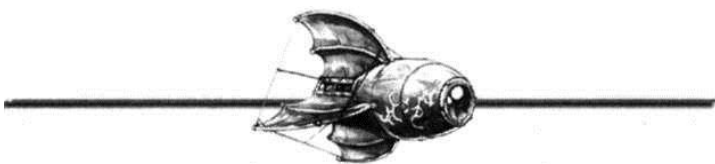
Taniec, podjęty później przy dźwięku koncertyny, bębna i trójkątnego instrumentu o wielu strunach, którego nazwy nie znałem, również tryskał energią i polegał przede wszystkim na popisie sprawności. Obserwując wszystkie te skoki, piruety i salta nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że do złudzenia przypomina on sposób, w jaki Elfy walczą. Wyraziłem tę myśl głośno i Straceniec — który towarzyszył mnie i Lopemu w obserwacji zabawy z wysokości rufówki, rany nie pozwoliły mu bowiem na czynny w niej udział, my zaś wystrzegaliśmy się przejrzystego napitku – objaśnił mi, że taniec jest od wieków sposobem treningu szermierczego. Zniewolone Elfy nie mogą doskonalić się w sztuce walki bronią, stworzyły więc takie figury taneczne, by ćwiczyć ciało i poznawać kroki, stosowane podczas walki pod samym nosem Lodowych Elfów,



nie zdradzając się przy tym. Zdumiała mnie ta przemyślność, a Straceniec w mig dodał, że pozornie prymitywna zabawa jest najważniejszą formą zachodniej kultury w zniewolonym od tysiącleci świecie. Lodowe Elfy nie zaprzatają sobie głowy hulankami gminu, tymczasem zaś turnieje polajanek są metodą nauki rodzinnego języka, którym nie wolno publicznie się posługiwać, pieśni zaś służą nauce historii.

Już miałem zdziwić się, że rubaszne przyśpiewki służą zachowaniu dziedzictwa, kiedy bawiący się na dole umilkli i usiedli w kręgu, krzyżując nogi. Pośrodku, tuż pod głównym masztem, stanęła Oksenia. Spojrzawszy na nią, aż zadrzałem, nigdy bowiem jeszcze nie widziałem jej tak odmienionej. Rozplecione włosy spływały złotą kaskadą na jej ramiona, miała na sobie szkarłatny kubrak Baroszych i szlachecki pas, naszywany złotem, a dłoń wspierała na rękojeści szabli – choć przysięgam, że do tej pory widziałem w jej rękach wyłącznie bicz. Mimo tego groźnego ubioru nie prezentowała się wcale niebezpiecznie, przepadła gdzieś bowiem dzikość i nieustępliwość, zwykle malujące się na jej obliczu. Wejrzenie miała miękkie, niemal czułe, a cała jej sylwetka tchnęła łagodnością, jakby nagle z mężnej pani kapitan przedzierzgnęła się w delikatną córkę szlacheckiego

121



rodu. Potem zaczęła śpiewać głosem wysokim i czystym. Pieśń miała bardzo zawiłą i niezmiernie rzewną melodię i choć, nie rozumiałem jej słów, wydały mi się piękne i szalenie wzniosłe.

Było w śpiewie Oksenii coś takiego, co przywodziło na myśl dom, dawno utracone, szczęśliwe dzieciństwo oraz wszystkie chwile niespełnionej nadziei, które nigdy już nie powrócą. Słuchałem i czułem, że łzy płyną mi po policzkach, a przed oczyma stanął mi mój wuj Gianerasmo, stroskany i surowy, lecz kochający, stanęła Sandra i Bonamico, przyjaciele z lat szczenięcych, a nawet Eirene z jej cudownymi oczami i

Aigiarn o słodkich ustach. Czułem gdzieś na dnie serca to niezwykle uczucie, ową czułość, która budzi się w nas zawsze, kiedy wspominamy minione szczęście i mamy nadzieję, że piękna ta chwila trwać będzie zawsze oraz świadomość, że za chwilę pryśnie. Taka była właśnie pieśń Oksenii, opowiadająca dzieje mężnych Baroszych, ginących na ołtarzu ojczyzny, opiewająca utracone ziemie i spalone wsie, wspominająca chwile świetności, kiedy nie było jeszcze Lodowych Elfów. I choć nie rozumiałem żadnej z tych rzeczy, doświadczałem tęsknoty za straconą ojczyzną niemal tak mocno, jak same Elfy — i nie byłem w tym odosobniony, Straceniec ronił bowiem ukradkiem łzy, zaś Lope łkał w najlepsze, nie próbując nawet się z tym kryć. Kiedy pieśń się urwała, przez długi czas siedzieliśmy w milczeniu, a potem wszyscy się rozeszli, wciąż nie przerywając ciszy, by jak najdłużej zachować w pamięci cudowne brzmienie muzyki Elfów.

Opuszczałem Alawastr z ciężkim sercem, trudno bowiem było rozstać się z grupą tak wypróbowanych przyjaciół, zwłaszcza, że miałem przecucie, iż już nigdy ich nie zobaczę. W końcu jednak, serdecznie wyściskawszy się ze Stracencem i wymieniwszy mocny uścisk dłoni z Oksenią, zarzuciłem na ramię kuferek, przypiąłem do pasa Viperę i w towarzystwie Lopego zszedłem na ląd w zupełnie nieistotnym porcie, który zwykle nie bywa nawet opisywany na mapach. Światów tego rodzaju jest w Znanym

Wszechświecie ogromna ilość — zbyt małych i niewiele znaczących, aby liczyły się na scenie wielkiej polityki, nie wytwarzających niczego szczególnie istotnego, a mimo to ciekawych i wartych odwiedzenia. Większość cierpi pod władzą najeźdźcy, są bowiem łakomym kąskiem dla nienasyconych imperiów i wciąż żądnych podbojów władców, bywają jednak takie, które spod obcego jarzma się wyzwoliły czy też zgoła nigdy nie zostały zniewolone, zręcznie lawirując pomiędzy potęgami. Świat, na którym się znaleźliśmy, należał do przedostatniej kategorii, wyraźnie czuć było bowiem, że niegdyś panowały tu Lodowe Elfy, potem jednak, kiedy Cesarstwo skruszało, odzyskał niepodległość. Widząc to pomyślałem cierpko, że tylko kwestią czasu jest nadejście Rycerzy Kryształowych i wcielenie małego świata do wciąż rosnącego Imperium, Lope tymczasem rozpogodził się, jakby nie podzielał moich politycznych prognoz.

Jedynie miasto, znajdujące się w tym świecie, nie mogło zrobić wrażenia na kimś, kto widział cuda stolicy Lodowych Elfów, a wychował się w Dziewięciu Miastach — choć przyznać muszę, że miało pewien prowincjonalny urok. Niewielkie i otoczone murem, zbudowane było wokół wyrastającego wysoko w niebo kompleksu pałacowego, pamiątki po Lodowych Elfach. Potem opowiadano mi, że pałac od czasu wycofania się Cesarstwa stoi pusty, a kilka osób, które usiłowało zgłębić jego sekrety, zaginęło bez wieści. To rozpali ło, rzecz jasna, moją wyobraźnię na tyle, że od razu chciałem do niego lecieć, pewien, że budowle Lodowych Elfów nie mają przede mną tajemnic. Szczęśliwie Lope, jak zwykle rozsądny i opanowany, wytłumaczył mi, że pozostałe jakoby po poddanych Cesarza bogactwa to najpewniej plotka, a sam pałac jest pewnie magicznie i kryształowo zabezpieczony przed intruzami. To ostudziło mój zapał, wydało mi się bowiem wcale prawdopodobnym, że Elfy zabezpieczyły swój dom święcie wierząc, iż opuszczają go tylko na chwilę. I tak stał tam, niszcząc z roku na rok, ciemny, upiorny i opuszczony, czekając na śmiałka gotowego zbadać jego tajemnice — my tymczasem zagłębialiśmy się w miasto.

Port był tu niewielki, zdolny pomieścić raptem kilka statków.

Żurawie zbudowano z szarego kamienia i porządnie już obrosły mchem, a portowi urzędnicy zażądali wprawdzie od nas opłaty za cumowanie, wystarczyło jednak, by Lope machnął przed nimi kapeluszem i wyrecytował swoje tytuły, by z mety wyprężyli się na baczność, witając nas oficjalnie w Starsie. Krasnolud obdarzył ich wyniosłym spojrzeniem, i dumnie wkroczył na ulice miasteczka, a ja poszedłem za nim, pełen podziwu dla jego obycia i światowości. Uliczki stolicy świata były w większości brukowane, choć tak dawno, że pomiędzy kostkami wyrósł gruby kożuch mchu, wąskie i strome. Pochylały się nad nimi piętrowe domy o szarych, kamiennych ścianach i dachach wyłożonych tym samym, ciemnozielonym mchem. W ogóle, mnóstwo tu było zieleni, jakby któregoś dnia do miasta niepostrzeżenie zakradł się las i tak mu się w nim spodobało, że postanowił osiedlić się tu na stałe. Ściany wielu domów okryte były więc mięsistymi palcami bluszczu, na parapetach kwitły drobne kwiatuszki, a ulice co jakiś czas rozszerzały się w placyki, których centrum nieodmiennie było stare drzewo o powykręcanych konarach. Zza półprzymkniętych

drzwi ciekawie wyglądały ku nam dzieci, przechodnie – ludzie, co wcale mnie nie zdziwiło, biorąc pod uwagę, że moja rasa jest we Wszechświecie najbardziej rozpowszechniona — grzecznie schodzili nam z drogi i uchylali czapek.

Trzeba przyznać, że od pierwszego rzutu oka znać w nas było cudzoziemców. Lope wystrojony był w swój czarny strój z białą kryzą, zresztą wyróżniał się jako jedyny w zasięgu wzroku Krasnolud. Moje koronki i asymetryczny kołnierz również nie pasowały do tutejszej mody, w której dominowały proste stroje w barwach zieleni i brązu, grube, wełniane płaszcze i niewyszukane, miedziane ozdoby. Nigdzie nie spostrzegłem też finezyjnego oręża w rodzaju Vipery — jeśli już ktoś był przy broni, pas obciążał mu miecz o prostej klindze lub długi kordelas o kościanej ręczce. Słowem, wszyscy wyglądali tu, jakby właśnie wrócili z polowania. A my paradowaliśmy środkiem ulicy – Lope rozdawał na prawo i lewo olśniewające uśmiechy, a ja podejrzliwe spojrzenia — aż wreszcie drogę zastąpili nam osobnicy, którzy musieli być lokalnymi stróżami porządku.

Przewodził im ogromny, łysy jak kolano wąsacz, niosący na ramieniu potężny topór o podwójnym ostrzu, w który wprawione były trzy Kryształ. Pierś zakrywał mu skórzany napierśnik z wytłoczonym jastrzębiem, pleców zaś pilnowało sześciu osobników nieco drobniejszego kalibru. Zanim przybysz wyksztusił choć słowo, Lope złożył przed nim długi i formalny ukłon, zbijając go z tropu formułą krasnoludzkiego powitania. Mile podłechtany komplementami przybysz od razu spojrzał na nas łaskawiej i gestem zaprosił do pobliskiej tawerny, tak gęsto zarośniętej bluszczem, że w pierwszej chwili jej nie zauważyliśmy, by w godniejszych warunkach wypytać nas o cel przybycia i zamiary. Tam też przedstawił się jako dowódca straży królewskiej – z trudem przyszło mi opanować chichot, gdy usłyszałem, że władca tej zabitej deskami okolicy tytułuje się królem — i dokładnie wypytał skąd przybywamy i co nas sprowadza. W miastach tego rodzaju rzadko bowiem zatrzymują się obcy, zwłaszcza noszący za pasem nadmetalową broń awanturnicy, nic więc dziwnego, że nasze przybycie wzbudziło wśród statecznych mieszczan nieliczne obawy. Uspokoiliśmy wąsacza co do naszych zamiarów i zapewniliśmy, że oddalimy się pierwszym statkiem

zmierzającym w stronę świata Krasnoludów, a on zrewanżował się pięknie, zapraszając nas do siedziby owego malowanego króla.

Zamek wzniesiono nieco na uboczu — był, tak jak samo miasto, zbudowany z ogromnych bloków szarego kamienia i poprzerastany bujną roślinnością, która swobodnie rozsadzała płyty dziedzińca i oplatała przysadziste baszty. Nie miał w sobie w związku z tym za grosz majestatu i z pewnością nie dodawali mu go dwaj strażnicy, udający, że wartują u wejścia. Przyznam jednak, że ze swoimi złocistymi kopułami na niezbyt wysokim, sześciokątnym donżonie oraz niewysokich strażnicach prezentował się wcale przytulnie i dość malowniczo, zwłaszcza na tle seledynowego nieba, po którym sunęły srebrzyste obłoki. Na nasze powitanie wyległ chyba cały dwór, u wejścia bowiem do wieży mieszkalnej zgromadziło się ze czterdzieści osób w szatach, które uchodziły tu za bogate i gustowne. Sam król okazał się zupełnie wyzutym z majestatu, sympatycznym safandulą, który przywitał nas uściskiem dłoni i wnet zaprosił do wnętrza, ciekaw najwyraźniej wieści z szerokiego Wszechświata. Przyznaję, że przez całą ucztę zachowywałem się dość okropnie, i kiedy dziś myślę o dobrotliwym królu, jego hałaśliwym synu, który koniecznie chciał siłować się ze mną na rękę lub próbować na miecze czy uroczej wnuczce, wodzącej za nami cielęcym wzrokiem, żał mi, że w pierwszej chwili nie traktowałem ich lepiej. Wówczas jednak wydali mi się nieokrzesanymi prostakami, a że nie zależało od nich akurat moje życie i nie czułem się w żaden sposób gorszy, konwersowałem z nimi w sposób, który zaskarbił nam, mieszkańcom Dziewięciu Miast, reputację zadzierających nosa bufonów. Lope tymczasem czuł się jak ryba w wodzie.

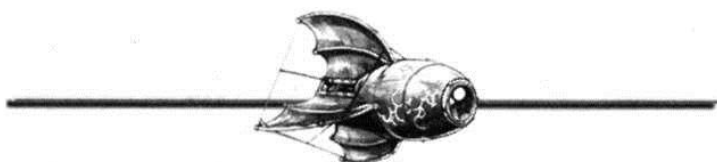
Najwyraźniej nie przeszkadzało mu, że ma do czynienia z władcą świata wielkości przydomowego ogródka, traktował go bowiem z szacunkiem, jakby ten był przynajmniej Cesarzem Lodowych Elfów, sadił słodkie dusery jego wnuczce i ze swadą opowiadał o wielkiej polityce, która – najwyraźniej – nie zaglądała tu od dawna.

Przydzielono nam wspólną komnatę o wysokim stropie z żywego drewna, które posłusznie splatało się tak, by utrzymać ciężar sklepienia i dużym, łukowatym oknie, z którego nie dość, że widziałem całe miasto, lecz jeszcze całkiem spory kawał okolicznej puszczy.

W ciągu dwóch tygodni oczekiwania na handlowy okręt Krasnoludów często siadywałem na parapecie i wpatrywałem się w szumiące pode mną morze drzew, początkowo obserwując z politowaniem, a potem z rosnącym podziwem krzątanie mieszkańców miasta.

Tam właśnie zdybał mnie Lope, kiedy pod byle pretekstem umknąłem pierwszego dnia z królewskiej uczyty, nie mogąc znieść natarczywego towarzystwa tubylców.

126



Po raz pierwszy dojrzałem na jego twarzy oznaki gniewu, gdy mój krasnoludzki przyjaciel z chłodną uprzejmością wypytał mnie, co czyni lepszym człowieka, który jeszcze dwa miesiące temu dziękował bogom za możliwość pracy ramię w ramię z osobnikiem, który nie potrafi wykuć stalowego noża, od mieszkańców tego prowincjonalnego królestwa. Poczułem rosnącą złość i zacząłem bąkać coś o przewadze kultury i cywilizacji oraz zaściankowości naszych gospodarzy, czym jeszcze bardziej się pogrążyłem. Wstyd mi trochę było przyznać, że imponowała mi siła i determinacja barbarzyńców z jej nieokiełznaną dzikością, otwarta zaś przyjacielskość mieszkańców naszego małego świata wydaje mi się małomiasteczkowa i nieco dziecinna, sięgnąłem więc do retoryki, starając się zalać Krasnoluda potokiem sformułowań takich, jak historyczna konieczność czy kulturalna supremacja. Powinienem był przewidzieć, że taka zagrywka na nic się zda w rozmowie z Krasnoludem, bo jest to rasa jak żadna inna obznajomiona z pustostłowiem, zanim jednak to pojąłem, Lope przerwał mi i z kamienną powagą zapytał, czy zdaje sobie sprawę, że dokładnie tak samo Elfy Lodowe mówią o Pospolitych. Potem zamilkł i ze spuszczoną głową wyszedł z komnaty, pozostawiając mnie, czerwonego ze wstydu i złości, własnemu losowi.

Gorzkie lekarstwo, którego przyjaciel dał mi posmakować, podziało nad podziw skutecznie. Kiedy po nieprzespanej nocy siedziałem przy śniadaniu, poufałość służącego, który zagadnął mnie o zdrowie, wydała mi się miła, a nie impertynencka, zaś bezpośredniość gospodarzy zamku, którzy szczęśliwie wzięli moje wczorajsze zachowanie za efekt niestrawności – w kłamstwie tym czułem Lopego – okazała się wcale sympatyczna. Rychło też zacząłem dostrzegać jasne strony niewielkiego świata i naprawdę polubiłem jego spokojną atmosferę i problemy o skali nie wykraczającej poza obręb globu. Z przyjemnością przyjmowałem więc królewskie zaproszenia na partyjkę widów, w której to grze monarcha notorycznie łoł mi skórę, robił to jednak z takim wdziękiem, że tym bardziej zachęcał mnie do dalszej zabawy. Kilkakrotnie zmierzyłem się na szable z następcą tronu i odkryłem, że jest zaskakująco wprawnym wojownikiem, ja zaś potrzebuję ostrego treningu, jeśli nie chcę przez resztę życia używać broni do rąbania mięsa. Zaskoczony, zapytałem go, gdzie nauczył się tak dobrze władać bronią – odparł, że od ojca. Od tego czasu z większym szacunkiem patrzyłem na dobrotliwego staruszka, który był dla swego świata bardziej ojcem, niż autokratą. Spędzałem też uroczę godziny przy kominku, opowiadając o moich dotychczasowych przygodach, a domownicy w napięciu słuchali o odległym Mieście Twarzy i lodowych barbarzyńcach. Kiedy jednak próbowałem mówić o Lodowych Elfach, władca przerywał mi – ku wyraźnemu niezadowoleniu swojej nastoletniej wnuczki, która bardzo szybko zaczęła wodzić za mną maślanym spojrzeniem, na co, powodowany lojalnością wobec gospodarza, mężnie nie reagowałem.

Paradoksalnie, Lopemu – który szczęśliwie przeprosił się ze mną już następnego dnia — szło w kontaktach z miejscowymi znacznie gorzej. Choć zawsze był nienagannie uprzejmy, ilekroć stawał przed królem, nawet w czasie zupełnie nieformalnego spotkania, natychmiast z Lopego zmieniał się w don Almerique'a i zamiatał przed władcą kapeluszem, plół grzecznościowe androny i zdawał się niekiedy mówić zupełnie od rzeczy. Zwracałem mu nie raz uwagę, że w ten sposób zraża do siebie bezpośrednich i szczerych gospodarzy, którzy z jakiegoś powodu unikają ceremoniału, on zaś odpowiadał, że stara się, jak potrafi. Wkrótce zrozumiałem, że o ile moje pożałowania godne zachowanie pierwszego dnia było owocem dumy, Lope cierpi niewolę znacznie gorszą – od dziecka podporządkowywany był etykietce.

Krasnoludy od zawsze tworzą społeczeństwo bardzo silnie kastowe, pełne rang, hierarchii i zależności lennych, kochają się też w formach i przepisach. Zaowocowało to niezwykle skomplikowaną i szalenie rygorystyczną etykietą, od której, szczęśliwie, mój przyjaciel nie był uzależniony aż tak silnie, jak większość jego rodaków, co składam na karb jego obeznania z innymi kulturami.

W swoim świecie Krasnoludy stworzyły bowiem normy zachowania regulujące wszystkie właściwie sytuacje publiczne – czyli te, w których dany osobnik nazywa się swoim publicznym imieniem i wykonuje swoje obowiązki, a nie kryje się w domowym zaciszu.

Istnieją zatem reguły witania równych sobie, lepszych i gorszych od siebie, doskonale konwencjonalne formuły chwaleń smakowitych potraw, jeśli nas nimi poczęstowano, ustalone przed wiekami kroki, którymi należy poruszać się w przytomności władcy – i tak dalej, aż po sposób wręczania żebrakowi jałmużny. Gdy Lope stawał przed monarchą, wpajane mu od dziesiątków lat zasady brały górę nad jego charakterem i natychmiast zaczynał posługiwać się językiem nic nie znaczących komunałów, których treść podsuwał mu protokół postępowania w obecności koronowanych głów, i wyzbywał się w jednej chwili wszelkiej spontaniczności.

Przez pierwsze kilka dni mój kompan usilnie próbował przemóc się i zachowywać, jakby władca był pierwszym lepszym przechodniem, przychodziło mu to jednak z wielkim trudem i w gruncie rzeczy dawało opłakane efekty. By nieco go rozerwać i zmniejszyć katusze, które przeżywał, zacząłem ciągnąć go na przechadzki do lasu, zieleń drzew była mi bowiem wciąż tak samo miła, jak w dzieciństwie. Krasnolud znajdował zresztą w tych spacerach równą przynajmniej przyjemność, co cieszyło mnie niezmiernie, gdyż lasy Starsu okazały się równie idylliczne, jak tutejszy port. Gęste, kapiące wręcz od zieleni, lecz nie nazbyt zarośnięte, składały się przede wszystkim z niezbyt wysokich, przysadzistych drzew o powykręcanych pniach i konarach w kolorze jasnego brązu i liściach zielonych z wierzchu i białych od spodu. W ich koronach uwijały się niewielkie, futrzane zwierzątka o długich ogonach i chwytnych łapkach, krążyło tu też wiele motyli w najróżniejszych kształtach i kolorach, z których największe dorównywały rozpiętością skrzydeł średniej wielkości



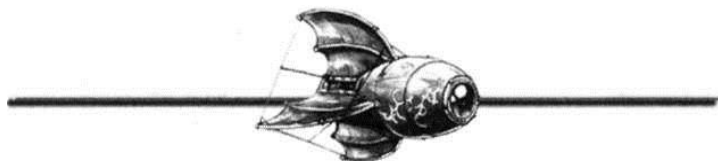
ptakom. Podszycie lasu stanowił wszechobecny mech, który przyjemnie ugiął się pod stopami i wręcz zachęcał, by około południa wyciągnąć się na jednej z niewielkich polanek i porządnie wygrzać się w słońcu, by wypędzić z kości resztki mrozu Ochuromy.

W puszczy Lope odzyskał rezon oraz naturalność, i kiedy leżeliśmy brzuchem do góry wyznał mi, że tak — jego zdaniem — wyglądał będzie świat, gdy już odrodzi się na nowo, zgodnie z krasnoludzkim przekonaniem, iż wszystko spłonie kiedyś w ogniu Siedmiu Smoków i powstanie z popiołów, wolne od wszelkiej niedoskonałości. Opierając się na łokciu i leniwie popijając tutejsze wino opowiadać zaczął o spalonych słońcem skałach i jałowej ziemi swojej ojczyzny. Świat Krasnoludów, na który one same mówią Terra Nostra, jest ogromny - być może największy ze wszystkich, jakie istnieją w Znanym Wszechświecie — lecz jałowy i niezbyt przyjazny. Dominują w nim wysokie góry w barwach ochry, sieny i sepii, skaliste, lecz podatne na erozję, powycinane więc przez wiatr w fantazyjne kształty. W ich dolinach znajduje się, owszem, nieco żyznej ziemi, przeznaczana jest jednak w całości pod uprawy, te ceni się tam bardziej, niż kopalnie Krysztálu, w który świat jest niesłychanie zasobny.

Prócz tego, nad brzegami zielonego morza o wodzie tak gęstej, że zdolnej utrzymać na powierzchni Krasnoluda, który ani w ząb nie potrafi pływać, ciągną się równiny, w większości kamieniste i spękane, na których rosną wyłącznie agawy i kaktusy. Dlatego właśnie Krasnoludy kochają się w zieleni drzew i ogromnych, porośniętych dziewiczą puszcza przestrzeniach, dla nich samych las jest bowiem zupełnie niedostępny i wśród drzew spacerować mogą wyłącznie w parkach, zakładanych w centrach ludnych miast. Oczywiście, jak szybko dodał mój przyjaciel, są w Terra Nostra również lasy, te jednak są bez wyjątku własnością bogatych grandów, którzy budują na ich skraju rezydencje i przeznaczają tereny na polowanie, ukochana rozrywkę arystokracji. Zdziwiłem się zaraz, skąd wzięła się słynna krasnoludzka flota, skoro brak w królestwie drzew, z których można budować okręty, Lope odparł jednak z uśmiechem, że wiele światów skłonnych jest wymieniać drewno na Krysztál, a poza tym - o czym zresztą powinienem doskonale wiedzieć — najlepsze statki Krasnoludy kupują w mojej ojczyźnie, Mieście Tysiąca Kolumn.

Kiedy wracaliśmy, rozmyślałem o niegościnniej ojczyźnie Lopego, ziemi spalonej bezlitosnym, czerwonym słońcem, gorejącym na lazurowym niebie, po którym prawie nigdy nie uganiają się chmury, o wszechobecnym, czerwonym piasku i ciężko pracujących wieśniakach, coraz bardziej zachodząc w głowę, czemu wybieramy się właśnie do tak nieprzyjaznej krainy, kiedy - zupełnie bez ostrzeżenia — wyszliśmy wprost na pobojuwisko. Bitwa musiała rozegrać się wiele lat temu, gdyż pole, na którym ją toczono, wzięły już w posiadanie wszechobecny mech, wciąż jednak znaczyły je kikuty zwalonych w bitewnym zamęcie drzew — wyglądało, jakby przeszedł przez nie huragan. Dokładnie pośrodku, ociekając kaskadami bluszczu, leżał wrak elfiego okrętu o połamanych masztach z filigranu i ogromnej wyrwie w burcie, a był tak wielki, że przypominał mi truchło lewiatana. Dokoła rozrzucone były jego szczątki - malowane, błękitne deski, poskręcane od gorąca fragmenty dział i kości, niemal zupełnie przykryte mchem. Kiedy ostro żnie zbliżaliśmy się do martwego okrętu, pod naszymi stopami pękały z trzaskiem ukryte w mchu, zwietrzałe i kruche piszczele, a sterczące tu i ówdzie, wyszczerzone czaszki o ogromnych oczodołach Elfów patrzyły oskarżycielsko. Gdzieniedzie z kęp roślinności wyglądała pordzewiała i zniszczona broń - tuż obok kadłuba w ziemię wbiła się sztorcem wąska szabla z nadmetal, którą oplótł dziś bluszcz i kwiaty. Jej właściciel leżał tuż obok - szkielet w zbutwia łych strzępach kapitańskiego munduru, patrzący w niebo martwym wzrokiem.

Dotarliśmy wreszcie do burty okrętu, tak zbutwiałej, że aż rozsypującej się pod dotykiem, i naszym oczom ukazał się widok jeszcze bardziej ponury. Tuż za stępką wraku zaczynało się ogołoczone



z drzew, stromo opadające w dół zbocze, otwierające się na ogromną dolinę. Kipiała wprawdzie od jadowitej zieleni mchu i bluszczów, wciąż jednak widać było na niej porozrzucane niby zabawki olbrzyma, okaleczone statki o potrzaskanych masztach, bielejące na słońcu kości setek poległych, rozrzuconą broń i zbroje. Tu i ówdzie skrzyły

się jeszcze, choć minąć musiało już wiele lat, bloki błękitnego lodu, wynik uderzeń bomb Elfów. W ich wnętrzach dostrzegaliśmy zastygłe na wieki sylwetki obrońców tego świata, ludzi w zielonych płaszczach utkanych jakby z liści oraz walczące z nimi ramię w ramię Krasnoludy. Zresztą, nawet gdybym ich nie dojrzał, wszystko wyczytałbym z miny mojego towarzysza, który na widok pobojuwiska zbladł, zacisnął usta i zmarszczył brwi — a potem oczy gwałtownie mu się rozszerzyły i wyszeptał coś bezgłośnie. Staliśmy jak skamieniali na skraju urwiska, zapatrzeni w pamiątkę niegdysiejszej bitwy i wsłuchani w ciszę, która panowała w tym miejscu wręcz niezwykła. Nie słyszeliśmy ani szumu drzew, ani rozhoworu mieszkańców lasu, zdawało nam się jednak, że gdzieś daleko brzmi jeszcze słabe echo komend, wyrzaskiwanych w rozmaitych językach, szczęku oręża i krzyków rannych, umierających pod nie znającym litości, seledynowym niebem. Wtem coś poruszyło się we wnętrzu wraku, obok którego staliśmy — dziś myślę, że to najpewniej jakieś zwierzę, które obrało sobie zbutwiały okręt za mieszkanie — i jak na komendę wzięliśmy nogi za pas, ścigani pełnym wyrzutem spojrzeniem zbiegających na słońcu czaszek.

Tego wieczora rozmawialiśmy o wojnie. Gdy zagadnęliśmy króla o pobojuwisko, przyglądał brodę, a potem, wpatrzony w płomień buzujące na kominku opowiedział nam o cenie, którą mieszkańcy jego świata zapłacili za swoją dzisiejszą idyllę.

Jeszcze pięćdziesiąt lat temu, jak się okazało, Stars był częścią Cesarstwa Lodowych Elfów, które rządziły nim bez najmniejszej litości z wyniosłego pałacu pośrodku miasta. Niewola ta trwała od wieków i raz bywała znośniejsza, raz cięższa, tak naprawdę jednak nikt nie przeciwstawił się nie znającym litości władcom. W końcu jednak do granic świata zbliżyć się zaczęła linia frontu wojny Cesarza ze Smoczym Królem i jarzmo stało się zbyt ciężkie, Elfy zwielokrotniły bowiem wymagania, by wspomóc wojenny wysiłek.

Ludzie zaczęli coraz mocniej się burzyć, przeprowadzono więc kilka pokazowych egzekucji i wzmocniono jeszcze represje. Tymczasem na powierzchni świata wylądowali, w najściślejszej tajemnicy, krasnoludscy emisariusze, którzy zajęli się tworzeniem ruchu oporu i szkoleniem mieszkańców do zbrojnej walki z okupantami.

W końcu okręty Smoczego Króla dotarły do orbity świata i wydały bitwę cofającej się przed nimi flocie Cesarstwa, zmuszając ją szybko do zejścia nad powierzchnię. Wówczas z lasu wychynęli powstańcy i rozpoczęła się straszliwa, śmiertelna bitwa, której pole mieliśmy możliwość oglądać.

Elfy walczyły mężnie, bez śladu strachu czy wahania, decydując się na wszystkie desperackie rozwiązania, byle opóźnić pochód zwycięskich Krasnoludów w stronę swej stolicy i gotowe były zмагаć się do ostatniego żołnierza. Równie bohatersko stawały Krasnoludy, zawsze gotowe przelewać krew za wolność tych, którym tejże brakuje i czując ogromny ciężar odpowiedzialności za mieszkańców świata. Działa huczały przez bite cztery dni, aż w końcu krasnoludzki admirał nazwiskiem Baltasar Mafaraxas y Serrano Tunon (mój krewny, dodał Lope) odniósł niezmiernie kosztowne zwycięstwo — zniszczył wprawdzie całą flotyllę, z którą się zmagał, tak, że nie uszła z niej żywa noga, sam stracił jednak cztery okręty i ogromne mnóstwo dzielnych żeglarzy. Polegli też prawie wszyscy powstańcy - z dwóch tysięcy, które poszły w bój, wróciło zaledwie trzystu.

Wkrótce Elfy wycofały się ze Starsu, a przywódcę powstańców okrzyknięto królem. I oto on właśnie opowiadał nam, z twarzą poszarzałą ze zgrozy, jak wysoką cenę płaci się za wolność. Kiedy skończył, poczułem falę palącego wstydu — nie tylko dlatego, że początkowo tyle miałem pogardy dla mężnych obywateli tego świata, lecz i przez postawę Dziewięciu Miast, do których z taką namiętnością go przyrównywałem. Moi rodacy mają bowiem ten zwyczaj, że gdy u ich bram staje najeźdźca, otwierają je i zapraszają do wnętrza, pokornie przyjmują obcą zwierzchność, potem zaś, dzięki chytrym matactwom, w których są mistrzami, zdobywają dla siebie przywileje, które pozwalają im żyć pod obcą władzą tak, jakby wcale nie miała nad nimi zwierzchności. Tak właśnie było w zamierzchłych czasach, kiedy Dziewięć Miast popadło w zależność od Cesarstwa i nie inaczej przed setką lat, kiedy bez zmrużenia oka oddaliśmy naszą niepodległość w zamian za spokój i komfort zbliżającej się flocie Imperium Kryształowego.

Ledwie jednak król skończył swoją opowieść, natychmiast powstał Lope. Zamiótł przed nami kapeluszem i zaczął własną historię, opowiadając ją w sposób wymagany przez

protokół, a więc bez pomijania nazwisk zasłużonych wodzów i z mnóstwem ozdobników oraz bezpośrednich zwrotów do słuchaczy. Oczywiście, nie było w niej pasji i napięcia, z jakim o wojnie mówi naoczny świadek zmagają, a jedynie chłodna i bezstronna relacja historyka, pozwoliła nam jednak umieścić dramatyczne wydarzenia, które rozegrały się ledwie o wyciągnięcie ręki, w szerszym kontekście. Dowiedzieliśmy się zatem, że Lodowe Elfy przybyły do świata Krasnoludów, które nie znały wówczas prawideł żeglugi wśród gwiazd i toczyły bezustanne wojny, przed sześciuset laty. Początkowo najeźdźcy podbili go bez trudu, niszcząc miasta i bombardując lodowymi bombami pola uprawne, Krasnoludy mają jednak tę niezwykłą właściwość, że choć skłócone, potrafią w mgnieniu oka zjednoczyć się w obliczu nieprzyjaciela. Oczywiście, gdybym słabiej znał Lopego nie dałbym wiary w cudowną zgodę między walczącymi od wieków Książętami, zdążyłem jednak nauczyć się, że Krasnolud zawsze gotów jest poświęcić się dla swoich bliskich. Pojęcie zaś bliskiego zmienia się w zależności od tego, z kim przedstawiciel tej niezwyklej rasy ma do czynienia – kiedy mówi z sąsiadem, bliskimi dla których się stara jest wyłącznie rodzina, w kontaktach z przybyszem z innego Księstwa — wszyscy rodacy, i tak dalej. Podczas wojny z Lodowymi Elfami zadziałał ten właśnie mechanizm i poddani Smoczycy Książąt – urząd Smoczego Króla wówczas jeszcze nie istniał – w mgnieniu oka czuć zaczęli więź ze wszystkimi innymi Krasnoludami, niezależnie od ich pochodzenia.

Wybuchło więc powstanie, które Elfy początkowo zbagatelizowały, wkrótce jednak zmuszone były dokonać drugiego podboju.

Ledwie jednak ten się zakończył, Krasnoludy znów chwyciły za broń – i tak walczyły i ginęły przez wiele lat. Stopniowo jednak koleje wojny zaczęły się odwracać, podbita rasa zdobyła bowiem pierwsze okręty i zaczęła budować flotę, przenosząc walkę w przestrzeń międzygwiazdną. Oczywiście, stulecia zmagają odcisnęły piętno na samym świecie, który nigdy nie był szczególnie przyjazny, dopiero jednak na skutek działań wojennych zmienił się w pustkowie, o którym opowiadał mi Lope. Tymczasem wojna przybierała coraz gorszy obrót dla Lodowych Elfów, zwłaszcza, że w tym mniej więcej

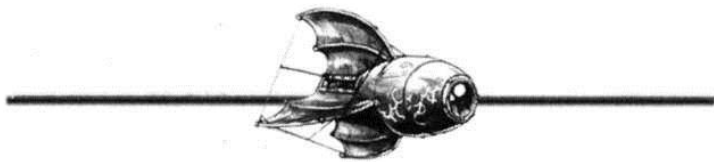
czasie pojawił się Prorok, kładąc zręby pod Imperium Kryształowe i zadając Cesarstwu cios na drugim froncie.

Wreszcie Cesarz porzucił pretensje do Terra Nostra, to jednak nie wystarczyło altruistycznej rasie, która wiedziała doskonale, że inne światy również cierpią niewolę. Rozpoczęła się niemal dwustuletnia kampania wyzwolenicza, podczas której Cesarstwo cofało się coraz bardziej, z inicjatywy Krasnoludów kolejne światy chwyciły za broń, a ich okręty przyłączały się do triumfującej floty.

W końcu – konkludował Lope – admirał Tunon zadał Elfom druzgocącą klęskę i wymusił podpisanie pokoju, po raz pierwszy w liczącej niemal dwa tysiące lat historii Cesarstwa zmuszając je do kapitulacji. I tak, kończył Krasnolud, zaplótłszy ręce na piersiach, wspólnie zniszczyliśmy imperium zła, które dławiło nas przez tyle wieków — dziś jednak powstaje kolejna potęga. Jeśli więc Imperium Kryształowe, jednoczące dziś coraz więcej światów, wyciągnie ręce zbyt daleko, raz jeszcze Krasnoludy, a u ich boku wszystkie inne rasy, staną, by zadać mu cios, po którym już się nie podniesie.

Co powiedziawszy, podkręcił węża, błysnął zębem i usiadł, po czym przeszliśmy do rozmów na inne zgoła tematy.

135



Krasnoludzki statek handlowy, ciężki trójmasztowiec Mercader, który zawinął do portu po dwóch tygodniach naszego oczekiwania, był tak łudzaco podobny do Viaggiatore, że nie miałem najmniejszych wątpliwości, iż zbudowano go w mojej ojczyźnie — oczywiście, dostosowując do niższego wzrostu armatorów. Ledwo okręt rzucił cumy, Lope już giął się w ukłonach przed jego kapitanem, wywijając kapeluszem i donalmerikując, ile wlezie.

Szyper powitał go z równą rewerencją i przez jakiś czas zarówno załoga, jak i ja, staliśmy beczynnie, czekając, aż skończy się wymienianie tytułów, odznaczeń i koligacji. O ile jednak ja czułem już po chwili pewne zniecierpliwienie i tylko z szacunku do przyjaciela nie zacząłem nerwowo przechadzać się po żurawiu, marynarze byli wyraźnie oszołomieni tak przejmującym pokazem tytułów, więc gdy tylko ich dowódca skończył prezentację, sami zaczęli witać Lopego tak, jak nakazuje protokół w wypadku spotkania z osobnikiem znaczniejszym od siebie.

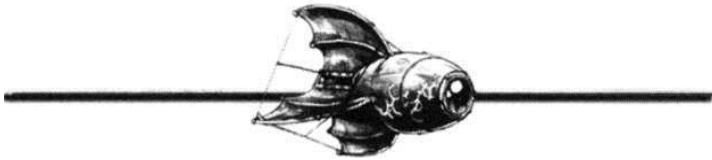
Co ciekawe, ani wówczas, ani później Lope nie podniósł sprawy przyjęcia nas na pokład w charakterze pasażerów, a gdy go o to upomniałem, zgromił mnie wzrokiem mówiąc, że w ten sposób znieważymy kapitana, który nie dość, że przyjmuje naszą obecność na Mercaderze za sprawę oczywistą, to jeszcze do niego należy zaproszenie nas do odbycia podróży. Przez cały więc tydzień zapraszaliśmy szypra na zamek, przedstawialiśmy naszym gospodarzom, sami byliśmy podejmowani kolacjami, nieodmiennie przebogatymi i arcyznakomitymi. Tymczasem Krasnolud kończył interesy, które miał w tym świecie, i coraz bardziej traciłem nadzieję, że dostaniemy się na pokład jego okrętu. Lope tryskał jednak humorem, kazał mi spakować kuferek i pożegnać się ze wszystkimi, pewny, że wszystko potoczy się po jego myśli. Gdy wyraziłem moje wątpliwości, wruszył ramionami, błysnął zębem i orzekł, że bardzo dużo muszę się nauczyć o grzeczności. Wreszcie przyszedł dzień, w którym Mercader wyruszyć miał w podróż, Lope nie ruszył się nawet z zamku i kiedy ja nerwowo kręciłem się po komnacie, on siedział na łóżku, gwizdał przez zęby i kręcił młynka palcami, zupełnie rozluźniony i pewny swego. I faktycznie, po jakimś czasie służący zaanonsował krasnoludzkiego szypra, który wszedł do naszej sypialni w pełnym stroju galowym, z krótką, obszywaną futrem peleryną, krótkim mieczem o szerokim ostrzu i złoconej rękojeści oraz kapeluszu ozdobionym piórami, zamiatając tym ostatnim drogę przed sobą.

Serce zabiło mi mocniej – i jakież było moje rozczarowanie, gdy z formuł, którymi raczyli się z Lopem wywnioskowałem, iż kapitan chce się tylko pożegnać! Ciężko opadłem na łóżko, nie mogąc wyjść z szoku, nie do końca więc dotarło do mnie znaczenie rzuconej zupełnie mimochodem uwagi, iż dowódca Mercadera byłby

zaszczycony, gdybyśmy wzięli udział w podróży. Tymczasem mój przyjaciel zaczął natychmiast gorąco wymawiać się od wojażów, tłumacząc urojonymi dolegliwościami i ogólną niechęcią do żeglowania, kapitan zaczął zaś naciskać, byśmy wyruszyli wraz z nim i tłumaczyć, jak troskliwie się nami zaopiekuje. Po niespełna kwadransie tych dziwacznych targów zarzuciliśmy na ramię bagaże i ruszyliśmy do portu.

W mieście panował nieopisany rozgardiasz, który musiał wybuchnąć, gdy my odprowadziliśmy krasnoludzkie ceremonie. Ludzie biegali w tę i z powrotem, zabezpieczali drzwi domów i zabijali gwoździami okiennice, na ulicach pełno było straży, a jej wąsaty przywódca stał na największym placu, wymachując toporem i wywrzaskując komendy. Powszechna panika udzieliła mi się niemal natychmiast i nie wiem czemu wbiłem sobie do głowy, że oto powraca flota wojenna Lodowych Elfów. Lope, jak zwykle, zachował spokój, złapał któregoś z przechodniów i zagadnął przyjaźnie, co się stało. Nie słyszałem dokładnie odpowiedzi, ujrzałem jednak, że twarz Krasnoluda blednie, pojąłem więc, że dzieje się naprawdę niedobrze. Tymczasem mój przyjaciel dołączył do nas i, nie mówiąc

137



ani słowa, szybkim krokiem pomaszerował w stronę Mercadera.

Gdy próbowałem go zatrzymać, krzyknął tylko przez ramię, że musimy ratować okręt. Słyszając to, kapitan ruszył jeszcze szybciej, a ja, chcąc nie chcąc, pognałem za nimi, już z daleka widząc, że Lope miał zupełną słuszność. W porcie tłoczyli się bowiem ludzie o twarzach wykrzywionych przerażeniem, a kilku strażników bezskutecznie broniło przed nimi wejścia do żurawia, przy którym dokował nasz statek. Biegając na złamanie karku widziałem, że motłoch wlewa się po schodach i sięga do burt okrętu, a jego załoga usiłuje bronić się bosakami, krzycząc coś do napierającej tłuszczy.



Szczęśliwie, wypatrujący nas oficer dostrzegł nadbiegającego ulicą kapitana. W mgnieniu oka Mercader rzucił cumy i odbił od żurawia — nigdy w życiu nie widziałem, by ktoś z taką sprawnością i szybkością stawiał żagle. Natychmiast przeląknęłam się nieco, do głowy przyszło mi bowiem, że krasnoludzka natura mogła kazać szyprowi ratować statek kosztem naszego życia. Tymczasem żaglowiec przemknął nad głowami motłochu i obniżył lot tuż nad nami, z niesamowitą precyzją i wprawą mieszcząc się pomiędzy wyłożonymi mchem dachami. Rzucono linę i w kilka sekund później oddalaliśmy się już od powierzchni świata, Mercader rwał bowiem pod pełnymi żaglami w górę, a krzepkie ręce żeglarzy wciągały nas pospiesznie na pokład. Patrzyłem, jak faluje pod nami tłum, zadzierając głowy, wygrażając nam pięściami oraz złorzecząc i zastanawiałem się, czemu zawsze skłonne do pomocy Krasnoludy tym razem nie zabrały na pokład wszystkich tych nieszczęśników, przed czym by nie uciekali. Wkrótce jednak sam znalazłem odpowiedź — krasnoludzka natura, ta sama, która nakazuje im stawać po stronie „swoich” w konfrontacji z „obcymi”, kazała im tym razem bronić braci — Krasnoludów przed rozszalałym tłumem, zamiast nieść bezinteresowną pomoc wszystkim, którzy znaleźli się w potrzebie.

Kiedy znaleźliśmy się na pokładzie i okręt nasz oddalać się zaczął od świata Starsu, Lope wreszcie zdecydował się poinformować nas, jakiego zagrożenia uniknęliśmy — i podziękowałem bogom, że zatrzymał tę informację tak długo dla siebie, sądząc bowiem, iż w przeciwnym razie umarłbym ze strachu, nim dostałbym się na pokład. Oto astrologowie wyliczyli, że za kilkanaście godzin zawita tam na poły legendarny, owiany złą sławą Czerwony Księżyc. Fenomen ów, przez niektórych uznawany za wymysł marynarzy, jest na nasze nieszczęście jak najzupełniej prawdziwy.

Księżyc pojawia się znikąd, a jego przybycia nie poprzedzają żadne znaki na niebie czy ziemi — po prostu, w jednej chwili niebo jest jeszcze czyste, w następnej zaś posępny jego kształt wisi już nisko na nieboskłonie, zasłaniając słońce, którego promienie otaczają niezwykle ciało niebieskie niczym korona. Nieszczęsny świat zalewa szkarłatny blask, który budzi w jego mieszkańcach wszystkie najgorsze instynkty, pobudza też w niezwykle sposób siły natury, sprawiając, że najzupełniej niewinne

rośliny i zwierzęta przekształcają się w ohydne, żądne krwi bestie. Do tego w całym świecie przestają działać wszelkie przedmioty, napędzane siłą Kryształu – a więc nadmetalowa broń traci magiczne właściwości, czarodzieje nie mogą posługiwać się zaklęciami, gasną światła a okręty upadają i rozbijają się o powierzchnię świata. Wszystko to trwa zwykle kilka dni, podczas których wszystkich ogarnia krwawe szaleństwo, potem zaś Księżyc znika równie raptownie, jak się pojawił, pozostawiając leżący w zgłiszczach świat, zaludniony przez potwory, zrodzone z jego czerwonego blasku. Jak dotąd nikt nie odkrył sposobu, by przeciwstawić się zgubnemu oddziaływaniu dziwnego ciała niebieskiego. Astrologom Dziewięciu Miast udało się jednak opracować schemat, wedle którego się przemieszcza i teraz przykładają wielką wagę do tego, by zawczasu ostrzegać mieszkańców – co zwykle powoduje głównie wybuchy paniki, w rodzaju tego, który widziałem.

Oczywiście, ulżyło mi, gdy zdałem sobie sprawę, że jesteśmy już bezpieczni, nim bowiem Księżyc się pojawi, zdołamy ująć poza zasięg jego mocy, ciążyło mi jednak na sercu to, że pozostawiliśmy naszych gospodarzy, którzy okazali nam przecież tyle serdeczności, na pastwę losu. Gdy tak siedziałem smutny, zwiesiwszy nogi poza reling, przysiadł się do mnie Lope, z równie stroskanym wyrazem twarzy. Przez chwilę razem wpatrywaliśmy się w kulę skazanego na zniszczenie świata, a potem przyjaciel poklepał mnie lekko po ramieniu, przypominając, że nie mogliśmy odebrać ludności władcy w chwili tak ponurej, a ocalenie wszystkich i tak nie wchodziło w grę. M i m o to, nasza rejterada ciążyła mi na sumieniu — i, szczerze powiedziawszy, nawet dziś, kiedy o niej myślę, odczuwam pewien niesmak. Starłem się jednak wierzyć, że nie mogliśmy postąpić inaczej, dzięki czemu dość szybko otrząsnąłem się z melancholii i zacząłem cieszyć się urokami rejsu. Żegluga w towarzystwie Krasnoludów nie przypominała ani podróży na pokładzie okrętu Dziewięciu Miast, wśród wrzaskliwych komend i wiecznej krzątaniny, ani jachcie Lodowych Elfów z uporczywie milczącą i bezgłośnie wykonującą polecenia załogą. Tu wszystko odbywało się z ogromną precyzją oraz zaangażowaniem, a marynarze pracowali tak sprawnie i samodzielnie, że nie potrzebny był im nadzór bosmanów. Ci jednak zwijali się jak w ukropie, pokrzykując dziarsko lecz bez zbędnej agresji, jak rozumiem, wyłącznie dlatego, że tak właśnie należy żeglować. Co do nas — wpasowaliśmy się w

role pasażerów, co wieczór jedząc kolację z kapitanem, nieodmiennie znakomitą i zawsze złożoną z innych potraw, krasnoludzka kuchnia nie ma bowiem równych w całym Wszechświecie.

Im bliżej Smoczego Królestwa się znajdowaliśmy, tym większą melancholię objawiał Lope. Początkowo obawiałem się, że tęskni za swoją pozycją attache ambasadora, lub obawia się czegoś, co czeka nań w domu, wkrótce jednak zrozumiałem, że rozrzewnie nie to sposób, w jaki mój przyjaciel objawia radość z powrotu w rodzinne strony. Z dnia na dzień stawał się bardziej rozmarzony, aż wreszcie pewnego wieczora poprosił mnie, bym opowiedział mu o mojej ojczyźnie. Wprawił mnie tym w nie lada zakłopotanie, nie byłem bowiem pewien, czy mam mówić o Mieście Tysiąca Kolumn czy o Mieście Twarzy, zamiast więc snuć historie z gatunku podróżniczych, zacząłem opowiadać mu dzieje mego dzieciństwa.

Tego wieczora uroniliśmy wspólnie niejedną łzę i śmialiśmy się wespół do rozpuku – a potem i Lope opowiedział mi o sobie, a była to historia tak barwna, obfitująca w niezwykle zdarzenia i cudowne przypadki, że z szacunku dla mego przyjaciela nie przytoczę jej w tym miejscu, aby jej nie okaleczyć, skracając ją, by zmieścić z moją własną historią w czasie, który pozostał mi do śmierci. Jak dziś pamiętam jednak, że bardzo wyobraźnię moją rozbudził opis miasta, w którym mój druh przyszedł na świat.

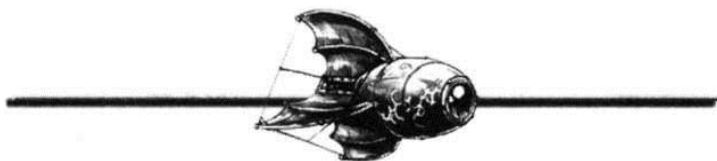
Wydrążono je w trzewiach ogromnej góry, Krasnoludy budują bowiem pod ziemią, by oszczędzać glebę, nadającą się pod uprawy i zabezpieczyć się przed atakami z powietrza, które w czasie wojny z Cesarstwem obracały w perzynę największe nawet naziemne metropolie. Stąd zresztą poszedł zwyczaj, że im bliżej powierzchni, tym gorsze dzielnice, arystokracja zaś mieszka na najniższym poziomie, gdzie najtrudniej byłoby dostać się wojskom nieprzyjaciela.

Całe miasta podzielone są na dzielnice, którymi zarządzają różni członkowie lokalnego rodu arystokratycznego – oczywiście nie sami, lecz za pośrednictwem urzędników. Mieszkańcy każdej dzielnicy starają się, by ich okolica była piękniejsza, czystsza i bardziej dostatnia, niż sąsiednie i prześcigają się w turniejach, które odbywają się

zwykle w parku – jak piękny musi być widok smukłych drzew i wysypanych żwirem alejek, nad którymi zamyka się alabastrowy sufit, jak wielki geniusz budowniczych, którzy potrafią wyhodować rośliny, choć te nigdy nie oglądają blasku słońca!

Lope był doskonałym gawędziarzem, w myślach przechadzałem się więc już szerokimi ulicami, oglądając wystawy sklepów, zaglądając do zawsze zatłoczonych teatrów — w tej sztuce Krasnoludy kochają się bowiem najbardziej – i biorąc udział w ucztach organizowanych przez dzielnice, zasiadłszy przy jednym z dziesiątków stołów i wśród śmiechu i śpiewów rozkoszując się doborową kompanią. Nic dziwnego, że kiedy kapitan wywołał nas na pokład i obwieścił, że oto przed nami świat Krasnoludów, drżałem z podniecenia tak samo mocno, jak mój przyjaciel.

141



Powiadają, że Smocze Królestwo zajmuje największy ze znanych światów i przyznać muszę, że nie ma w tym ani krzty przesady. Planeta, wokół której orbitują nasze Miasta jest wprawdzie imponujących rozmiarów, gdzie jej tam jednak do gigantycznej, złoto — czerwonej sfery, która pojawiła się przed naszymi oczyma!

Zapatrzyłem się jak urzeczony w maleńkie z tej odległości łańcuchy górskie, w lazuruwe morze — szeroką plamę na spalonej słońcem powierzchni świata i długo nie mogłem oderwać wzroku, ciesząc się każdą chwilą, która przybliżała nas do ojczyzny Lopego. Wtem zza globu wyłaniać się zaczął powoli i majestatycznie jego osławiony

Księżyc – w pierwszej chwili tylko ciemny rożek, wkrótce jednak wychynął do połowy, lśniąć ciemną zielenią, wyraźnie kontrastującą z królewskimi barwami globu. Było to cudowne widowisko i choć potem nie raz oglądałem taniec światów, nigdy nie mogłem uwolnić się od wspomnienia majestatycznej kuli Smoczego Królestwa, połyskującego w świetle czerwonego słońca, oraz jego ogromnego satelity, który

wielkością dorównuje niejednemu światu. I kiedy tak stałem, patrząc i marząc, zaatakowali nas korsarze.

Statek o ciemnych żaglach pojawił się jak duch, nie wiedzieć skąd, idąc ostro w naszą stronę. Kapitan kazał dać na maszt prośbę o to, by przybysz wywiesił banderę, ten jednak w odpowiedzi wykonał ostry zwrot przez rufę – widziałem uwijających się na masztach żeglarzy, co do jednego Krasnoludy, ubrane jednak ze znacznie mniejszym fasonem, niż nasza załoga – i wytoczył działa.

Choć był znacznie mniejszy od nas, zadrzałem, widząc kolejno wysuwające się lufy, nigdy dotąd nie byłem bowiem świadkiem bitwy gwiazdnej i wcale nie uśmiechało mi się, że pierwszą z nich zobaczę z ostrzeliwanego pokładu. Nie dałem jednak nic po sobie poznać i co sił w nogach zbiegłem pod pokład, by przypasać Viperę na wypadek, gdyby przyszło nam bronić się przed abordażem.

W chwilę później był już przy mnie Lope, który wydobył z kuferka swoje pistolety, wsunął je pewnym ruchem za pas, i obnażył ceremonialny miecz, który okazał się miec zgoła nieceremonialne, wykonane z nadmetalnego ostrze. W tym momencie Mercaderem szarpnęło i tuż za oknem naszej kajuty eksplodowała kula energii, wybijając wszystkie szyby i ciskając nas, wśród deszczu drzazg, na podłogę. Kiedy podnosiliśmy się na nogi, pokład drżał – to nasz kapitan odpowiadał piratom ogniem. Bitwa zaczęła się na dobre. Wybiegliśmy na pokład ramię w ramię akurat w chwili, kiedy Mercader wykonywał zwrot, by strzelić do pirata z drugiej burty.

Niestety, okazało się, że nieprzyjaciel jest daleko zwrotniejszy i ledwie wypadliśmy z kajuty, zobaczyliśmy wrogą jednostkę tuż przed dziobem. Błyszcząc czarnym żaglem sunęła jak najbezpieczniej, a żeglarze wygrażali nam z jej pokładu bronią i krzyczeli obscenicznie w języku Krasnoludów. Nabrałem tchu w płuca, by odpowiedzieć im wiązką, którą posłyszałem kiedyś na ulicy Miasta Twarzy i której wulgarność nawet dziś mnie zdumiewa — doprawdy, jej autor musiał być poetą – nim jednak z moich ust dobyło się choć słowo, Lope złapał mnie w pól i cisnął o pokład, aż jęknąłem. Chwila była po temu jak najbardziej odpowiednia, gdyż pirat dał ognia ze wszystkich dział i strugi energii Kryształu świsnęły nam nad głowami. Jedna z nich ugodziła w

maszt, eksplodując z hukiem, a dwie dalsze trafiły w rufówkę tuż za nami. Ledwie opadł dym, poderwałem się na nogi, słysząc straszliwy trzask – to nadwerężony maszt nie wytrzymał i padał właśnie majestatycznie, szarpiąc takielunek i strząsając w otchłań pracujących ma wantach żeglarzy jak dojrzałe gruszki. Co gorsza, salwa strzaskała nam również koło sterowe – sternik wisiał martwy, zaczepiony o jego resztki, a na pokładzie wybuchła kompletna panika. Kapitan starał się opanować sytuację, krzycząc gromko, jednak nic nie mogło nas już ocalić. Straciliśmy sterowność, a korsarze bez przeszkód wykonali zwrot, posyłając w naszą burtę jeszcze jedną salwę – nie pozostaliśmy zresztą dłużni, a eksplodujące na wysokości ich kadłuba wiązki energii wyrzucały w górę fontanny drzazg. Tymczasem jednak w powietrzu świsnęły haki i chwilę później trwał już abordaż.

Przyznaję, że zupełnie straciłem wtedy głowę. Kurczowo ściskając Viperę ruszyłem z wrzaskiem na nadciągających nieprzyjaciół i ciałem pierwszego wprost w brodatą, wyszczerzoną w grymasie twarz. Zwalił się, jak rażony gromem, a impet własnego ciosu rzucił mnie do przodu. Niestety, jedną nogą zaczepiłem o linę, pozostałą po powalonym maszcie, i nim zdążyłem zrozumieć, co się stało, przeleciałem na łeb, na szyję przez reling, prosto na pokład statku korsarzy, który tymczasem zdążył przybić do naszej burty. Na chwilę musiałem stracić świadomość — kiedy ją odzyskałem, pokład nieprzyjacielskiego statku był pusty, na naszym zaś walka trwała w najlepsze. Pośrodku, na kikucie złamanego masztu, stał Lope z mieczem w jednej i pistoletem w drugiej ręce, wymierzając razy z morderczą siłą i precyzją. W okolicach płonącej rufówki bronił się kapitan, otoczony garstką marynarzy, wszystko wskazywało jednak na to, że napastnicy biorą nad nami górę.

Podniosłem Viperę i rzuciłem się do relingu, by dołączyć do bitwy, w tym jednak momencie coś spadło mi z wielką siłą na kark, obalając i przygniatając do ziemi. Poczułem na szyi chłodne ukłucie stali i podniosłem ręce na znak tego, że się poddam. Nieprzyjaciel zabrał mi broń i pozwolił się podnieść, obróciłem się więc powoli, by ze wstydem i niedowierzaniem zobaczyć wyrostka, którego policzków nie pokrył jeszcze pierwszy zarost, jak z triumfalnym uśmiechem na dziobatej twarzy przykłada mi do brzucha moją własną szablę.

Resztę bitwy oglądałem z perspektywy rufówki, wprawne związany przez chłopca okrętowego, który spadł mi przed chwilą na kark.

Nie minęło dziesięć minut, a korsarze powalili kapitana Mercadera oraz jego dzielnych żeglarzy i na placu boju został jeden Lope, otoczony zwartym kręgiem nieprzyjaciół, rozdając na prawo i lewo mordercze ciosy. W serce wkradła mi się otucha, nabrałem bowiem przekonania, iż mój przyjaciel w pojedynkę rozgromi piratów i wtem, jakby w odpowiedzi na moje prośby, wśród morskich



rabusiów powstało zamieszanie i jeden przez drugiego rzucili się na pokład swojego okrętu, tnąc abordażowe liny. Widziałem jeszcze Lopego, jak rozgląda się z niedowierzaniem i pochwyciłem jego wzrok, a on, widząc mnie w opałach, zeskoczył na pokład by biec w stronę korsarzy, nim nadmiernie się oddał. I dokładnie w tym momencie Mercader eksplodował – spod pokładu strzeliła ognista kula, pochłaniając w jednej chwili mojego druha, a siła wybuchu odrzuciła nas od płonącego wraku. Czas zamarł dla mnie w miejscu — ze łzami w oczach patrzyłem, jak kadłub naszego dzielnego statku rozpęka się na dwoje i w przestrzeń międzygwiazdną wylatują nadpalone deski, resztki żagli i ciała krasnoludzkich żeglarzy. Szok był tak wielki, że

nie słyszałem nawet wybuchu, nie wiedziałem też kompletnie, co się wokół mnie dzieje. Jedyne, co kołatało mi się w głowie, to że Lope Serrano y Calahorra, najlepszy przyjaciel, jakiego kiedykolwiek miałem, zginął, a ja sam jestem w niewoli piratów.

145



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

*w którym Marco używa całego swego wdzięku, co nijak mu nie pomaga, zmuszony jest więc ratować skórę*



*zgoła innym sposobem.*

*Sargamor Lobo y Carreyro de Vinganca*



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Pierwsze dni na pokładzie statku kaperskiego Vinganca minęły mi jak we śnie. Gdy oddalaliśmy się od płonących szczątków Mercadera, kapitan korsarzy, osobnik o dziobatej twarzy i bujnej, splecionej w warkoczyki, rudej brodzie, bezceremonialnie trzasnął mnie w kark nahajką – z którą, jak się przekonałem, nie rozstawał się nigdy i przygiął moją twarz do cuchnącego skwaśniałym winem oblicza. Nie wiedzieć czemu, w głowie huczały mi opowieści niani, te o najgroźniejszych piratach – zarówno, kiedy zadawał mi jakieś pytanie w gardłowym języku swojego narodu, jak i gdy obalił mnie na pokład ciosem pięści, nie doczekawszy się odpowiedzi. Na wszelki wypadek kopnął mnie jeszcze kilkakrotnie w brzuch, a potem, gdy zwinąłem się w kłębek, pojękując z bólu, wybuchnął ochryplym śmiechem i wydał jakiś rozkaz — dwóch krzepkich piratów dźwignęło mnie z pokładu i bezceremonialnie cisnęło do ładowni. Nie miałem siły ani się bronić, ani protestować, za mocno paliła mnie bowiem hańba, którą okryłem się, dostając w tak durny sposób do niewoli. Do tego dokładał się jeszcze żal po śmierci Lopego — na myśl, że nigdy już go nie zobaczę, popadłem w zupełną rozpacz i kompletną apatię.

Rudobrody pirat próbował przesłuchiwać mnie jeszcze dwa razy. W kilka godzin po zakończeniu bitwy zszedł do luku, w którym leżałem, wciśnięty między beczkę i zwój liny – tym razem był wyraźnie pijany. Wciąż nie reagowałem na jego zaczepki, po pierwsze dlatego, że nie rozumiałem ani słowa, po wtóre zaś na skutek upiornej pustki, którą czułem w piersiach, sprzął mnie więc nahajką i odszedł, złorzecząc pod

nosem. Zostałem sam, porzucony w ciemnej ładowni, obolały i nieszczęśliwy, z głową wspartą o zwój liny, a w mojej głowie kotłowały się czarne myśli. Byłem pewien, że czeka mnie los straszliwy. Dobrze poznałem wielu Krasnoludów ze Smoczego Królestwa i mniej więcej znałem historię jego Księżyca, na którym schronili się renegaci, którzy nie uznają władzy Smoczego Króla i postępują w sposób, który urąga krasnoludzkiej naturze, tradycji i obyczajom. Toczą też ze swymi pobratymcami bezustanną wojnę, dysponują bowiem ogromną flotą piracką, na którą składają się okręty takie, jak ten, na pokład którego trafiłem, i bez miłosierdzia napadają jednako na ciężkie od bogactw konwoje handlowe, jednostki wojenne oraz samotne statki w rodzaju Mercadera. Wszystkie Krasnoludy, jakie spotkałem do tej pory, wyrażały się o zbuntowanym Księżycu z ogromną niechęcią, nabiłem sobie więc głowę przekonaniem, iż wyrabiać się na nim muszą rzeczy przechodzące najśmielsze pojęcie. A że obawy moje potwierdzały się jak na razie w stu procentach, wyobrażałem sobie, leżąc w ciemnościach, katusze, jakich zaznam. Co ciekawe, nie czułem z tego powodu strachu, a jedynie dziwaczny marazm, jakby wszystko to przydarzało się komuś innemu.

Nie wiem, ile czasu spędziłem w ciemnicy, minęło jednak przynajmniej kilka dni. Co jakiś czas przynoszono mi jedzenie i picie, które jednak kompletnie ignorowałem, aż wreszcie zeźlony Krasnolud, któremu nakazano najwyraźniej utrzymać mnie przy życiu, zaczął siłą lać mi wodę w gardło. Nic mnie to nie obchodziło – gdy mnie poił, przełykałem, kiedy jednak odchodził, leżałem z twarzą tuż przy talerzu pełnym jada, nie czując ani głodu, ani apetytu. Nic więc dziwnego, że kiedy wreszcie wywleczono mnie na pokład, ledwo trzymałem się na nogach, a światło krasnoludzkiego słońca raziło mnie boleśnie w oczy. Wreszcie jednak mogłam przyjrzeć się moim oprawcom, jak ich cokolwiek na wyrost nazywałem. Załoga Vingancy składała się wyłącznie z Krasnoludów, ku mojemu jednak zdumieniu, zróżnicowana była niezmiernie pod względem płci i wieku – byli w niej siwi, choć krzepcy starcy, Krasnoludy w sile wieku, pozbawiona zarostu młodzież, a nawet pętające się pod nogami dzieci i jedno niemowlę, które czule tulił do piersi przysadzisty opryszek o rozłożystej niczym łopata brodzie i długiej bliźnie, przecinającej twarz. Bardziej jeszcze zdumiała mnie obecność kobiet, zawsze sądziłem bowiem, że Krasnoludki trzymają się z dala od męskich zajęć i

nigdy nie pracują w charakterze marynarzy. Tu jednak wcale ich nie brakowało — widziałem matki, za spódnicami których kryły się dzieci, młode dziewczyny, które patrzyły na mnie wyzywająco i siwiuteńką staruszkę, która szczyrzyła ku mnie jeden pozostały ząb. Całe to towarzystwo mogło liczyć z pięćdziesiąt osób — nie pojmowałem, jakim cudem mieszczą się wszyscy na niewielkim przecież okręcie — i znakomita większość odznaczała się rudymi włosami, mocną budową oraz masywnymi nosami. Bez słowa patrzyli, jak mój opiekun — równie ryży i krzepki, jak pozostali — wlecze mnie ku kajutom kapitana, a ja dumałem, czy umysł płata mi figle, przydając załodze rodzinnego nieomal podobieństwa.

Kapitan podjął mnie daleko uprzejmiej, niż w dzień bitwy. Tym razem miał na sobie elegancki, zielono — brunatny strój i bielutką kryzę, a w warkoczyki brody wplótł wstążki - co pewnie większości Krasnoludów nadałoby wygląd komiczny, u niego podkreślało jednak tylko dzikość spojrzenia i brutalność ruchów. Kajuta nie była wielka, znajdowało się jednak w niej ogromne łóżko z baldachimem i jeszcze większe biurko, zavalone dziesiątkami map. Pirat położył na nim również nahajkę, by mieć ją stale pod ręką. Kiedy wszedłem, zaproponował mi wino, a kiedy odmówiłem, sam nalał sobie kielich i łamanym językiem Imperium Kryształowego, który szczęśliwie mi wpojono, zapytał o moje imię i powód podróży do Smoczego Królestwa. Zachnąłem się tylko i dumnie zadarłem



głowę, kapitan westchnął więc i wytłumaczył, że jeśli nie ma nikogo, kto zapłaciłby za mnie okup, wyrzuci mnie za burtę. Podziałało to na mnie piorunująco — w mig wyznałem mu nazwisko i na wszelki wypadek dodałem, iż podróżowałem na dwór Smoczego Króla w misji dyplomatycznej. Na to pirat uśmiechnął się i zapytał o szczegóły. Raz zełgawszy, nie miałem wyboru, zacząłem pleść więc androny, dziękując w duchu wujowi, że wpoił mi szlachetną sztukę kłamstwa. Kiedy skończyłem, kapitan był ukontentowany do tego stopnia, że kazał mnie rozwiązać i znaleźć hamak. Przyznał mi też wolność poruszania się w obrębie statku, o ile nie spróbuję ucieczki, a

potem odesłał wyniosłym gestem. Kiedy spadały ze mnie więzy, czułem rosnącą ulgę — choć jeszcze przed chwilą moje serce wypełniała pustka, teraz na nowo pompować zaczęło krew i zrozumiałem, że ocale na razie życie. I choć myśl o Lopem wciąż sprawiała mi ból, postanowiłem przetrwać choćby tylko po to, by – w stosownym czasie – pomścić przyjaciela.

Rejs trwał jeszcze prawie miesiąc, okazało się bowiem, że Vinganca napadła na nas wkrótce po opuszczeniu portu i zebrawszy tak marny łup – ograniczała się przecież do mojej skromnej osoby — nie zamierzała jeszcze wracać na Księżyc. Ulokowano mnie wśród załogi, w ciasnym kubryku, gdzie przygotowano mi hamak tuż obok pośłania mojego anioła stróża, który na imię miał Estevao. Nie odstępował mnie ani na krok i wciąż łypał spode łba, jakby podejrzewał mnie o najgorsze. Wkrótce, nie mogąc znieść jego ponurych spojrzeń, spróbowałem do niego zagadać, okazał się jednak rozmowny niczym kawał drewna, z którego wydawał się wyrzeźbiony. Postanowiłem zatem ignorować jego natarczywą obecność i zaznajomić się z załogą, która z każdym dniem intrygowała mnie bardziej. Nawykłem wszakże do Krasnoludów grzecznych, uczynnych i spętanych dyktaturą manier, ci zaś wydawali się nieokrzesani i niezmiernie bezpośredni, by nie rzec: gburowaci. Nie przywiązywali wielkiej wagi do eleganckiego wyglądu, nosząc się w kolorowych kamizelkach, płóciennych koszulach oraz szerokich spodniach, i często uzupełniając strój o chustki i dziwaczne kapelusze z niewielkim rondem. Kobiety zachowywały się równie hardo, jak mężczyźni i nie stroniły od sprośności, które oblałyby policzki każdej dobrze urodzonej niewiasty rumieńcem. Dzieci wydawały się wspólne, zajmował się nimi bowiem ten, kto akuratnie miał czas – nawet niemowlak przechodził z rąk do rąk, rychło jednak nauczyłem się rozpoznawać jego matkę, czarnowłosą kobietę, która co jakiś czas bez zenady karmiła oseska piersią na pokładzie.

Jedyną osobą, która poświęcała mi początkowo uwagę był wyjąwszy mojego ponurego strażnika — chłopak, który wziął mnie w niewolę. Choć sięgał mi raptem do pępka, pysznił się swoim triumfem przed wszystkimi rówieśnikami i zaczął mnie zagadywać, by zyskać pojecie, kogo tak naprawdę zwyciężył. Początkowo ignorowałem jego zaczepki i pytania, zadawane w języku Imperium, którym władał wcale sprawnie,

opędzając się od niego jak od uprzykrzonej muchy. Potem jednak zrozumiałem, że nie opowiedział nikomu mojej haniebnej historii i utrzymywał, że walczyliśmy w zaciekłym pojedynku, co w pierwszej chwili poprawiło mi nastrój, wkrótce jednak uświadomiłem sobie, że robi to nie dla ocalenia mojej twarzy, lecz podniesienia własnego prestiżu. W końcu udało mi się zbyć go na dobre wyniosłym milczeniem — i zaraz doskwierać mi zaczęła samotność, Estevao wciąż bowiem nie zaszczycił mnie ani słowem, a wszyscy pozostali członkowie załogi przeganiali mnie tylko z miejsca na miejsce lub szydzili po swojemu, szczerząc zęby. Zaraz więc odszukałem mojego pogromcę — miał na imię Bento - i nieco pokorniej zgodziłem się zaspokoić jego ciekawość.

Nafaszerowałem go następnie łągastwami, które opowiedziałem kapitanowi i musiałem być wielce przekonujący, bo chłopak wybałuszył na mnie oczy i stwierdził, że jestem strasznie odważny — potem dopiero dowiedziałem się, że mieszkańcy Księżyca mają w wielkiej pogardzie kulturę dworów Smoczego Królestwa i uważają wszelkiej maści dyplomatów, emisariuszy i dworaków za bojaźliwych nieudaczników. Stąd moja szarża na nieprzyjacielski pokład, choć przypadkowa, stała w sprzeczności z zajęciem, do którego się przyznałem i stanowiła o mej dzielności.

Zachwycony, że pojmał personę tak znaczną, Bento nie odstępował mnie od tej chwili ani na moment, chyba, że odegnał go akurat Estevao, wymierzając celny cios w ucho. Chłopak trajkotał przy tym jak najęty i wkrótce głowę pełną miałem historii o naszym kapitanie, który nazywał się Sargamor Lobo y Carreyro de Vinganca i słynął ponoć jako żeglarz i żołnierz fortuny jak Wszechświat długi i szeroki, choć ja usłyszałem o nim, jako żywo, po raz pierwszy. Bento z wypiekami na twarzy opowiadał, jak nieustraszony pirat, mając tylko jeden okręt, wtargnął w sam środek strzeżonego konwoju, przewożącego Kryształ, i uprowadził z niego największy transportowiec, grając na nosie ochraniającym go jednostkom.

Wysłuchałem cierpliwie, jak schwytyany przez żołdaków Smoczego Króla kapitan umknął, porywając w dodatku córkę ich kapitana i zestaw map Wszechświata, który oddał następnie Królowej Księżyca. Dowiedziałem się, że osobiście odkrył cztery nowe gatunki ryb, wynalazł dwa węzły okrętowe i znalazł drogę do nieznanego wcześniej

świata, bogatego w Kryształ. Na koniec Bento zaśpiewał mi nawet szantę, traktującą o wyczynach dzielnego Sargamora, która melodię miała wcale skoczną, nie zrozumiałem jednak ani słowa.

Oczywiście, nie raz już słuchałem opowieści żeglarzy, wyraziłem więc powątpiewanie w niezwykle osiągnięcia dowódcy korsarzy, zwłaszcza grubymi nićmi szytą historyjkę porwaniu córki Smoczego arystokraty. Słyszając to, Bento zachnął się tylko i zakomunikował mi, że tak się składa, że on sam jest synem kapitana i teźże właśnie branki, która po dziś dzień pozostaje na pokładzie – i nawet wskazał mi czarnowłosą kobietę w sile wieku, która pracowała akurat na żaglach. Gapiłem się na nią przez chwilę z otwartą gębą, w głownie nie chciało mi się bowiem pomieścić, że małżonka kapitana — w dodatku branka – może zajmować się zajęciem zwykłego marynarza.

154



Widząc moje zaskoczenie, Bento parsknął śmiechem i powiedział, że tym właśnie jego matka lubi się zajmować. Uprzedzając dalsze wątpliwości objaśnił mi również, że pokrewieństwo z kapitanem w żaden sposób go nie wyróżnia, wszyscy bowiem członkowie załogi są z nim skoligaceni. Księżycowe Krasnoludy mają, jak się okazało, w zwyczaju osiedlać się na kaperskich statkach całymi klanami, a kapitana i oficerów wybiera się spośród krewniaków — zresztą, tym samym słowem określa się w ich języku dowódcę okrętu i ukochanego stryjaczka. Piractwo jest zatem rodzajem zajęcia rodzinnego, a korsarze spędzają na pokładach swoich statków całe życie, wychowując dzieci w przerwach pomiędzy potyczkami i starzejąc się wraz z okrętami. Dlatego właśnie wszystkie rodziny korsarskie podkreślają zajęcie, dodając do nazwisk, które pochodzą od ojca i matki, tak samo jak u ich Smoczych kuzynów, nazwę okrętu, na którym przyszli na świat – stąd wszyscy żeglujący pod kapitanem Sargamorem nosili przydomek de Vinganca. Rozdział obowiązków pomiędzy krewnych jest zadaniem kapitana i zależy najczęściej od preferencji żeglarzy oraz ich zdolności — stąd moje początkowe wrażenie, że dzieci wychowuje się wspólnie, trudnią się tym bowiem

przeznaczeni do tego właśnie zajęcia. Nadto, panuje tu zupełne zrównanie w prawach kobiet i mężczyzn, które nawet mnie wydawało się dziwaczne — choć tak samo przecież rzecz stawiają Elfy — i jest zupełnie sprzeczne z drugą krasnoludzka kulturą, wyraźnie rozgraniczającą kobiety i mężczyzn.

Spokrewniona załoga pracowała nadzwyczaj sprawnie — lepiej jeszcze, niż tak podziwiani przeze mnie marynarze z Mercadera — o niezwykłej jej wprawie miałem się jednak dopiero przekonać. Po kilkunastu dniach rejsu, kiedy na dobre zapoznałem się już z pokładową codziennością, dano znać z bocianiego gniazda, że w oddali bliższą żagle okrętu Smoczego Króla. Na pokładzie natychmiast zjawił się kapitan, ze swoimi warkoczykami w brodzie, nieodłączną nahajką i jak zwykle na rauszu. Rzucił kilka gardłowych poleceń — i w mgnieniu oka otwarto zbrojownię, młodsi zaczęli wspinać się na wanty i rozkładać czarne żagle bojowe, starsi zaś ulokowali się przy działach. W moim sercu natychmiast zakiełkowała nadzieja, że piraci zostaną pobici, a ja odzyskam wolność, nie okazywałem jednak podniecenia i nawet zaproponowałem Sargamorowi moje wsparcie podczas bitwy. Kapitan zachnął się tylko, poinformował mnie, że w wojnie ze Smoczym Królestwem nie prosi się o wsparcie sojuszników, a potem kazał związać mi na wszelki wypadek ręce i wrzucił do ładowni, w której zacząłem podróż. Tak więc, drugą bitwę gwiazdną mojego życia spędzić miałem pod pokładem, wsłuchując się tylko w jej odgłosy.

Tych jednak początkowo nie słyszałem — kiedy bowiem Vinganca zbliżała się do swej ofiary, na pokładzie zaległa śmiertelna cisza.

Natychmiast przyszedł mi do głowy pomysł, by podnieść krzyk i ostrzec atakowanych, nabrałem więc powietrza w płuca, nim jednak wrzasnąłem, usta zatkała mi sękata dłoń. Estevao pojawił się za mną jak duch — i ścisnął mnie w mocarnych, choć krótkich, ramionach tak długo, aż zupełnie opadłem z sił. Na pół uduszony złożyłem mu szeptem obietnicę, że więcej wrzeszczeć nie będę, mimo to jednak siadł naprzeciw, wpatrując się we mnie ponuro i bawiąc paskudnym nożem o szerokim ostrzu. Tymczasem na górze rozgorzała walka — poczułem wstrząs, gdy nasze działa dały palbę, i usłyszałem huk eksplozji, kiedy energetyczne pociski roztrzaskały się o cel. Rzuciło mnie na bok — to Vinganca robiła gwałtowny zwrot, szykując się do salwy z

drugiej burty. Cel musiał być naprawdę blisko, słyszałem bowiem gardłowe okrzyki i jęki rannych, niosące się przez przestrzeń. Piraci wystrzelili jeszcze raz i usłyszałem straszliwy trzask, który oznaczać musiał, że na atakowanej jednostce padł maszt. Nad moją głową zerwano ciszę korsarze wydawać zaczęli radosne okrzyki, a Sargamor dał rozkaz do abordażu. Po chwili gdy szczepiły się burty okrętów, rozległ się straszliwy trzask. Poprzednio słyszałem ten odgłos stojąc na pokładzie i już wówczas uznałem, że brzmi przerażająco – o ile jednak straszliwiej brzmiał, gdy siedziałem zamknięty w ładowni, tuż obok siebie mając deski kadłuba, o które tarł bok przeciwnika!

Tymczasem kapitan napadniętego statku nie dał najwyraźniej za wygraną i kiedy piraci wskakiwali z wyciem na jego pokład, rozkazał wystrzelić z dział wprost w burtę szczepionego z nim wroga.

Z mojej perspektywy wyglądało to, jakby świat nagle rozpadł się w kawałki. Huk był tak głośny, że na chwilę odebrał mi słuch, a burta, koło której siedziałem, eksplodowała nagle, z ogromną siłą wrzucając do ładowni deszcz drzazg i potrzaskanych desek.

Wszystko zasnuł dym — straciłem z oczu Estevao, zdmuchniętego gdzieś przez falę uderzeniową, a przez wyłom sączyć się zaczęło światło. Po drugiej jego stronie, na wyciągnięcie ręki, rozwierało się okno działowe – widziałem w nim niepokojącą, rozgrzaną od pobliskiej eksplozji lufę armaty i brodate twarze jej załogi. Niewiele myśląc, rzuciłem się głową naprzód wprost pod pokład atakowanego statku, wciąż mając nadzieję, że uwolni się od napastników i umknie, unosząc mnie ku wolności. Szczęście mi sprzyjało – wprawdzie skacząc rozbiłem czoło o zamek działa, udało mi się jednak stoczyć po jego lufie na deski napadniętej jednostki. Tam porwała mnie para silnych ramion — jeden z krasnoludów postawił mnie na nogi, mówiąc coś, czego nie usłyszałem. W chwilę później coś uderzyło mnie w plecy i ponownie obaliło na podłogę, a marynarz, który mi pomógł, cofał się, zasłaniając wyszarpniętym zza pasa długim nożem. Wciąż nie rozumiałem, co się dzieje, zwłaszcza, że krew zalewała mi oczy — dopiero, gdy odwrócono mnie na plecy i spojrzałem w wyszczerzone oblicze Benta, rozumiałem, że kiedy ja wykonywałem mój desperacki skok, piraci zdobywali



właśnie dolny pokład i oto znów dostałem się do niewoli, z tą różnicą, że tym razem byłem, dla zaoszczędzenia kłopotu, od razu skrępowany.

Gdy zaprowadzono mnie przed Sargamora, ten – stojąc pośrodku pokładu z nogą opartą o ułomek masztu — wybuchnął ochrypłym śmiechem. Rzucił pod adresem mojej brawury jakiś niewybredny komentarz, który rozbawił pozostałych piratów, a potem smagnął mnie kilka razy nahajką i kazał zaprowadzić na pokład Vingancy razem z pozostałymi jeńcami – oficerami, których miał nadzieję zamienić na okup. Okręty przedstawiały sobą widok straszliwy. Po pokładzie zdobytej jednostki walały się ciała zabitych, wszystko osmalone było ogniem z dział i gdzieś tam tliły się płomienie, w ładowniach grasowali zaś piraci. Rufówkę i ster pirackie salwy rozbiły dokumentnie, w dziobie ziała zaś straszliwa wyrwa — stąd wywnioskowałem, że korsarze musieli przepłynąć najpierw przed samym nosem atakowanego, a potem, gdy próbował zrobić zwrot, przedostali się za jego rufę. Szczęśliwie poddani Smoczego Króla nie zostali dłużni – w burcie Vingancy wybito ogromne dziury, uniemożliwiające, jak sądziłem, żeglugę. Mimo to piraci odnieśli wspaniałe zwycięstwo, biorąc bogate łupy, szlachetnie urodzonych jeńców i nie tracąc przy tym ani jednego człowieka — tylko kilku rabusiów odniosło rany. Wszystko to oceniałem nader pospiesznie, szybko bowiem przeprowadzono mnie oraz kilku skrępowanych krasnoludów na pokład pirackiego statku i wrzucono do ładowni, gdzie czekał już Estevao, który kilkoma kopniakami podziękował mi pięknie za ucieczkę.

Ładownie szybko wypełniły zdobyte dobra, a potem Sargamor uczynił rzecz zgoła niesamowitą – dał rozkaz do przecięcia lin i, pozostawiwszy niedobitki załogi wroga własnemu losowi, mimo uszkodzeń podjął podróż. Żeglarze z Księżycy rozpoczęli reperację podczas rejsu – tymczasem jednak, nie chcąc stracić łupów podczas zwrotów, kapitan nakazał przybić wzdłuż ziejącej w ścianie ładowni dziury belkę, o którą zapieraliśmy się nogami my — jeńcy, plecami utrzymując skrzynie i beczki na miejscu. Wraz ze mną na Vingancy przebywało teraz sześciu oficerów oraz kapitan zaatakowanej jednostki, z którym szybko się pokumałem, nie dość bowiem, że siedziałem tuż obok niego, to jeszcze biegle władał mową Dziewięciu Miast. Pomimo żałosnego położenia, don Hortuno nie stracił ani rezonu, ani manier, cały czas

zachowywał się wobec mnie taktownie, acz bez przesadnej wylewności, posługując się dziesiątkami grzecznościowych komunałów, zupełnie, jakby podejmował

158



mnie we własnej kajucie. Nie traciłem czasu i zacząłem podpytywać go o piratów z Księżyca i wszystko, co się z nimi wiązało, miałem bowiem nieprzyjemne wrażenie, że gdy już znajdę się na powierzchni owianego złą sławą satelity, moje szalbierstwo w mig zostanie wykryte i będę musiał posiłkować się kolejnym łgarstwem.

Dowiedziałem się zatem, że lunarne państwo jest bardzo młode i wywodzi się od jedyne Smoczego Księstwa, które nie znalazło się **pod władzą króla podczas wojny z Elfami**.

Zasmucony odstępstwem współbraci szyper opowiedział mi, jak bardzo różnią się oni od pozostałych Krasnoludów. Gdy jeszcze mieszkali na Terra Nostra, zbłądzili i popadli w herezję, twierdząc, że Siedem Smoków posiada płęć i zrównując w prawach kobiety oraz mężczyzn. Nic więc dziwnego, że kiedy na tronie księcia zasiadła kobieta, Smoczy Król zyczliwie próbował wspomóc jej zagubionych poddanych, odsuwając ją od władzy i włączając jej ziemie w obszar swego państwa poprzez małżeństwo z władczynią.

Ta pozorowała zgodę, ociągała się jednak – taniec dyplomatyczny trwał ponoć wiele lat, aż wreszcie okazało się, że sprytna księżna przeprowadziła w tym czasie swój lud na Księżyc. Odstępstwo to było tym straszliwsze, że satelita ów był zawsze poświęcony Smokom i nawet w chwilach największej potrzeby Krasnoludy nie ważyły się wylądować na jego powierzchni. Tymczasem szczywana władczyni ogłosiła się jego Królową i od tego czasu prowadzi wojnę z niedawnymi współplemieńcami. Stało się to wszystko nie dalej, jak przed sześćdziesięciu laty – Smoczy Król wciąż jednak nie uporał się z buntowniczką i jej poplecznikami, Księżyc jest bowiem mocno zalesiony,

co umożliwiło skonstruowanie potężnej floty korsarskiej, skutecznie broniącej jego niepodległości.

159



Tymczasem, gdy my dzieliliśmy czas pomiędzy osłanianie ładunku własnym ciałem oraz dworne rozmowy, Vinganca wzięła kurs na Księżyc. Dotarliśmy tam zresztą zaskakująco szybko, zwłaszcza, iż przekonany byłem, że oddaliliśmy się od Smoczego

Królestwa na wcale sporą odległość. Dziękowałem jednak bogom, że piraci krążyli najwyraźniej w pobliżu macierzystego układu, nie potrafię sobie bowiem nawet wyobrazić, jak długo jeszcze wytrzymałbym w charakterze zastępcy burty. Do portu weszliśmy nocą – przez otwór w kadłubie widziałem wyraźnie zbliżającą się bryłę satelity, który okazał się znacznie większy niż Stars, na którym gościłem przecież tak niedawno. Z daleka lśnił seledynowym blaskiem, w miarę jednak zbliżania stawał się coraz ciemniejszy, aż wreszcie zacząłem rozróżniać lśniące punkciki krasnoludzkich osiedli. N i m jeszcze przekroczyliśmy pułap nieba, zbliżyły się do nas dwie śmigłe, niewielkie jednostki z pytaniem o tożsamość naszego statku – Vinganca musiała jednak cieszyć się niejaką sławą, kiedy bowiem ją rozpoznano, eskorta zbliżyła się tyle, by wymieniać z załogą Sargamora radosne okrzyki i gratulacje z powodu udanej wyprawy. Słyszając to, don Hortuno ukrył ze wstydem twarz w dłoniach, mruczając pod nosem coś o upadku rasy krasnoludzkiej, a ja struchlałem, nie dotknąłem jeszcze bowiem nogą Księżyc, a już wszystkim oznajmowano, że piraci pochwycili ważnego jeńca z Dziewięciu Miast. Marnym pocieszeniem był mi fakt, że przynajmniej podchodziliśmy dzięki temu do portu w atmosferze festynu.

Lope bardzo wiele opowiadał mi o krasnoludzkich miastach, tym bardziej zaskoczyło mnie miejsce, do którego przybyliśmy. Przekonany byłem, iż wszelkie mieszkania tego narodu ryje się głęboko pod ziemią i zarówno ogromne, wielopoziomowe metropolie, jak i liche wioseczki głębiej ciągną się pod powierzchnią świata, niż na niej.

Pracochłonny ten zwyczaj ma dwa powody - po pierwsze, budynki usytuowane na powierzchni były przez długie wieki systematycznie niszczone z powietrza przez flotę Lodowych Elfów, po wtóre zaś Smocze Królestwo nie należy do przyjaznych, a ziemia uprawna jest tu zbyt cenna, by ją zabudowywać. Tymczasem Krasnoludy Księżycowe za nic najwyraźniej mają ten obyczaj, osiedla ich bowiem ciągną się na powierzchni, i to bardzo szeroko. Port, do którego zawinęła Vinganca, okazał się więc miastem o szerokich, oświetlonych pochodniami ulicach i domach o potężnych fasadach. Zaskoczył mnie ponadto fakt używania drewna jako podstawowego budulca. Z kamienia wzniesiono tu niewiele budowli - żurawie portowe, najeżoną działami twierdzą broniącą wejścia do tegoż i kilkanaście może jeszcze obiektów w rodzaju świątyń, arsenału i siedziby władz. Poza tym niepodzielnie królowało jasne, aromatyczne drewno i ciemniejszy od niego znacznie gont na dachach - obu materiałów prędko zresztą krasnoludom nie zabraknie, wokół miasta, jak wszędzie tutaj, szumiała bowiem dziewicza dżungla.

Sargamor nie zasypiał gruszek w popiele i nie minęła godzina, a jego załoga przystąpiła do rozładunku. Nas, jeńców, brutalnie wypchnięto na pokład, co okazało się trudne o tyle, że po tak długim czasie pękały mi krzyże, a nogi nie chciały utrzymać. Szczęśliwie moi towarzysze niedoli ulepieni byli z twardszej gliny i pomogli mi iść, inaczej bowiem niechybnie posmakowałbym znowu nahajki kapitana. Kiedy łupy zostały wyładowane, korsarz, nie bacząc na późną porę, zarządził, iż udamy się bez zwłoki do lorda mera, by przekazać mu wszystko, co rozbójnicy winni byli swojej koronie.

Słyszając to, w pierwszej chwili nie posiadałem się z radości, pewny, że jako jeńiec o dużym znaczeniu przekazany zostanę pod opiekę arystokraty, dzięki czemu uwolnię się od przykrego towarzystwa piratów, wnet jednak przypomniałem sobie o swoim oszustwie i struchlałem na myśl, co będzie, gdy sprawa się wyda. Tymczasem jednak powiązano nas liną i cały ród de Vinganca ruszył długim korowodem na ulice miasta. Pomimo wszystkich przykrości, które mnie spotykały, przyznać muszę, iż pochód prezentował się nader imponująco. Prowadził go Sargamor, w paradnym stroju z kryzą i okrągłym kapeluszu o wąskim rondzie. Nahajkę zamienił na krótki, szeroki

miecz, jakim walczą krasnoludy, a za czerwoną szarfę, którą się przepasał, zatknął aż cztery zasilane kryształem pistolety.

Szedł dumnie, trzymając się pod boki, za nim zaś postępowała załoga – wszyscy wystrojeni i pod bronią, na ramionach nieśli łupy: skrzynie, dzbany, worki pełne rozmaitych dóbr, bele materiałów z Miasta Twarzy, skrzynie owoców, butelki wina i wszystko, co udało im się zagrabić. W środku prowadzono nas, na postronku wprawdzie, lecz również w czystych strojach, Sargamor nakazał nam bowiem zrzucić przepocone ubrania, byśmy nie przynieśli mu wstydu.

Procesja nasza długo wędrowała krętymi ulicami, na które wyległy tłumy gapiów, w większości w nocnych strojach. Wiwatowali oni i wznosili okrzyki na cześć pirata, dziewczęta rzucały mu do stóp kwiaty, a chłopcy wspinali się na palce i gapili na nie z rozdziawionymi gębami. Co jakiś czas ktoś pozdrawiał de Vinganców głośnym okrzykiem lub pytał o to i owo, piraci zaś gromko odpowiadali. Właściciele tawern częstowali kapitana kubkiem wina, które ten wychylał jednym haustem, nic więc dziwnego, że im dłużej trwał nasz przemarsz, tym bardziej Sargamor stawał się buńczuczny i agresywny. Korsarze zwracali na mnie niewiele uwagi i początkowo szukałem dogodnej okazji do ucieczki, zewsząd jednak otaczał nas tłum, który przerastałem co najmniej o głowę, wtopienie się w tłuszcę nie wchodziło więc w grę. Ograniczyłem się zatem do obserwacji, którą tym prościej było mi prowadzić, że żaden dryblas niczego mi nie zasłaniał — doprawdy zresztą, było na co patrzeć. Oglądane z bliska miasto sprawiało wrażenie zbudowanego w ogromnym pośpiechu. Domy różniły się wprawdzie wysokością i fasadą, lecz znakomita większość z nich przypominała łądząco stodoły, którym ktoś dorobił wsparte na kolumnach balkony. Ulice były szerokie, nie wybrukowano ich jednak, miejscami więc grzęźliśmy po kostki w błocie. Nigdzie nie widać było ozdób czy ornamentacji, które – jak twierdził Lope – są bardzo bliskie sercom Krasnoludów, a jeśli już jakiś budynek był ozdobiony, to najczęściej szyldem, malowanym na desce.

Ulice wytyczano najwyraźniej wedle doraźnej potrzeby, wiły się bowiem i przecinały pod najróżniejszymi kątami, wszystkie jednak szerokie i błotniste. Szczęściem po obydwu ich stronach ciągnęły się drewniane chodniki, na których kłębiła się teraz

gawieź. Ona również zaskoczyła mnie i rozczarowała, próżno bowiem było szukać tu krasnoludzkiej uprzejmości — tłum zachowywał się hałaśliwie, pokazywano nas sobie palcami i pokrzykiwano. Jedynie stroje, w które ubrani byli gapie, nie pozwalały mi przyjąć, że Krasnoludy Księżycowe są wrogami wszystkiego, co piękne. Ubierano się tu kunsztownie i wytwornie, ubiory skrzyły się też feerią barw – błękitów, zieleni, złota czy czerwieni. Przypominały mi tym wielobarwne stroje z Miasta Twarzy i dramatycznie odbiegały od ubiorów zwyczajnych Krasnoludów, które woła odziewać się w sposób daleko bardziej stonowany, najchętniej w czerń z dodatkami czerwieni i złota. Don Hortuno zwiesił głowę i przez cały czas naszego przemarszu wpijał wzrok w ziemię, a na jego twarzy malowało się głębokie zażenowanie faktem, iż jego współbracia tak daleko odeszli od dobrych obyczajów, ja natomiast mało nie ukręciłem sobie głowy, wodząc wzrokiem po wszystkich tych haftkach, sięgających do pól uda pelerynach, okrągłych kapeluszach, barwnych kamizelkach, wystawnych sukniach – oraz koszulach nocnych, ci bowiem, którzy wylegli na ulicę w nocnych strojach także prezentowali się znakomicie.

Pochód nasz zatrzymał się wreszcie na szerokim, trójkątnym placu, przy którym zbiegało się ze sześć ulic, a jedno z jego ramion stanowiła murowana ściana ponurej twierdzy o przysadzistych wieżach — siedziby lorda mera. Ten czekał już zresztą na nas u szczytu stromych schodów, otoczony przez sześciu uzbrojonych w halabardy gwardzistów w morionach. Ubrany był w długi, aksamitny szynel w kolorze nocnego nieba, lamowany złotem i wspierał się na okutej lasce, stylizowanej na kształt topora. Musiał mieć przynajmniej sto lat — Krasnoludy są wszakże rasą długowieczną — nosił długie, siwe włosy, opadające na plecy, a sięgającą do pasa brodę zaplótł w dwa grube warkocze, spięte masywnymi klamrami ze szczerzego złota. Wyglądał naprawdę imponująco i spodziewałem się po nim dostojęstwa, jakim tchnął ambasador Smoczego Króla, którego poznałem na dworze Cesarza Lodowych Elfów – tu jednak lord mer bardzo mnie zaskoczył. Ledwie bowiem Sargamor wspiął się na pierwsze stopnie, arystokrata zszedł do niego, postukując laską i rzucając gniewne spojrzenia spod krzaczastych brwi, a potem uściśnił pirata serdecznie i powitał tak, jak wita się dawno nie widzianego przyjaciela.

Załoga, a za nią tłuszcza, zgromadziła się u stóp ponurego zamku, lord mer dokonał tymczasem przeglądu łupów, komenderując, które przedmioty przechodzą na własność korony. Następnie kazał postawić przed sobą jeńców – wystarczyło mu jedno spojrzenie na don Hortuna i jego oficerów, by ocenić, że okup za nich należy się de Vingancom. Ze mną bawił się dłużej, zadając pytania o moją przeszłość i powód, dla którego żeglowałem na Mercaderze, a ja łąłem coraz bardziej, wyznając mu swoje powinowactwo z najlepszymi rodami Miasta Twarzy — uznałem bowiem, oglądając tutejsze stroje, że spośród Dziewięciu Miast z tym łączy Księżyc najwięcej – i przyznając się do arcyważnego zadania, które gnało mnie, incognito, na dwór Smoczego Króla. Z każdym słowem grzęłem głębiej, za wszelką cenę walcząc o to, by lord mer uznał mnie za więźnia korony i nie oddawał Sargamorowi. W duchu błogosławiąc mojego wuja, który tyle lat kształcił mnie w kłamstwie, w końcu musiałem arystokratę przekonać, skinął bowiem na mnie laską i obwieścił, że zostanę postawiony przed Królową.

Na tym dzielenie łupów się zakończyło, Sargamor wspiął się jednak ponownie na schody i obwieścił coś gromko, po czym bez dalszej zwłoki wręczył arystokracie moją wierną Viperę. Struchlałem, widząc, jak zmienia właściciela – wnet jednak przyszło mi na myśl, że w przeciwnym razie zostałyby na Vinganicy i już nigdy bym jej nie oglądał. Obdarowany moją szablą mer poklepał pirata po ra—

164



mieniu, po czym skinął na służbę, by przeniosła królewską część łupów do pałacu. Jeden z żołnierzy podszedł do mnie i szarpnął bez słowa za linę, którą byłem skrępowany, ciągnąc mnie w górę schodów do wnętrza zamczyska. W kilka minut później zatrzasnęły się za mną ciężkie drzwi ponurej, jak cała twierdza, celi na szczycie jednej z baszt i pozostało mi obserwować przez zakratowane okno, jak ród de Vinganca rozdaje znakomitą część łupów pomiędzy mieszkańców miasta, co jest – jak się potem dowiedziałem — praktyką zupełnie tu zwyczajną.

Lord Mer zawezwał mnie następnego dnia koło południa, dzięki czemu wcale dobrze się wyspałem. Podjął mnie w ogromnej sali z szarego kamienia, ciemnej i nieprzyjaznej, w której za jedyne ozdoby służyła rozwieszona na ścianach broń, przy prostym, drewnianym stole. Podano nam posiłek, złożony z wielu dań i arcyznakomity, jak to zwykle w wypadku kuchni Krasnoludów, która nigdy chyba nie przestanie mnie zadziwiać. Rzuciłem się na niego z wielką łapczywością, a mer przyglądał mi się spod krzaczastych brwi. Musiały rozbawić go zdziwione spojrzenia, którymi strzelałem w około, a może odczuwał potrzebę rozmowy — dość, że gdy ja pałaszowałem, on, bez zbędnych ozdobników i formuł, wyjaśnił mi dlaczego wokół panuje tak niezwykła szpetota. Opowiadał o wspaniałych miastach, które jego lud zamieszkiwał przed sześćdziesięciu jeszcze laty, kiedy dzielił świat z pozostałymi Krasnoludami, o cudach architektury i inżynierii, ogrodach, parkach i pałacach. Wszystko to Krasnoludy Księżycowe utraciły, gdy za przewodem swojej władczyni opuściły dawne ziemie — wówczas przekonały się naocznie o niewielkiej wartości każdej rzeczy, którą tak łatwo zaprzepaścić. Od tej pory zaniedbuje się tu sztuki plastyczne, architektura ma przede wszystkim zapewniać mieszkanie, przyjemność zaś czerpie się ze zgoła innych dziedzin sztuki, odkąd bowiem zaludniono Księżyc, kwitnie teatr, poezja i muzyka.

Lord mer opowiadał niezmiernie sugestywnie, aż zapomniałem o jedzeniu i wsłuchiwałem się w jego głęboki głos, wyobrażając sobie jak czuje się lud, który utracił dorobek całych pokoleń swych przodków. Słuchając o tym, jak zaciekle Krasnoludy Księżycowe broniły swojej niepodległości oraz o ofiarach, które przy tym ponoszą, zacząłem nawet współczuć im – choć czułem się przy tym jak zdrajca, przez wzgląd na pamięć Lopego. Dlatego wyniośle odmówiłem, kiedy rozmówca zaproponował mi grę w vidy, dorzucając kilka ostrych słów na temat tego, jak traktowali mnie słudzy jego Królowej, na co stary arystokrata wpadł w gniew i kazał wtrącić mnie z powrotem do wieży. Szczęśliwie, złość starca nie trwała długo i w trzy dni później znów zaprosił mnie na obiad — korciło mnie, by zaproszenie zignorować, siedząc jednak w celi i ryjąc łyżką na ścianie swoje inicjały wielokrotnie powtarzałem sobie, iż od przychylności lorda zależeć może mój przyszły los. Stąd też kolejny miesiąc spędziłem na wcale przyjemnych pogawędkach, za każdym jednak razem wracając do swojej celi. Unikałem mówienia o sobie, bałem się bowiem, że przy okazji zdradzę



cokolwiek za dużo, mer okazał się jednak gadułą i chętnie odpowiadał na wszystkie moje pytania. Dowiedziałem się więc, iż powodem konfliktu między Księżycem a Smoczym Królestwem jest religia oraz stosunek do kobiet, Krasnoludy Księżycowe uważają bowiem, iż Siedem Smoków, które czczą wszyscy przedstawiciele tej rasy, podzielone jest wedle płci, na czterech samców i trzy samice, Smoczy zaś Kościół uważa, że istoty te pozbawione są w ogóle płciowości. Do tego Księżycem rządzi Królowa, a wszystkie kobiety mają takie same prawa jak mężczyźni, co nie chce pomieścić się w głowach drugiemu narodowi, spętanemu regułami etykiety. Nadto, w świecie Smoczego Królestwa każdy może mieć tylko jednego małżonka, na Księżycu zaś wolno posiadać aż trzy żony, wszystkie zaś kobiety wybrać sobie mogą po czterech mężów.



Rozmawialiśmy również często o samym nieprzyjacielskim królestwie i powoli zacząłem pojmować, że porozumienie pomiędzy dwiema nacjami Krasnoludów jest kompletnie niemożliwe, zbyt dużą darzą się bowiem nawzajem pogardą. Zarówno Lope, jak don Hortuno twierdzili zawsze, iż uciekinierzy na Księżyc popadli w barbarzyństwo, odrzucając to wszystko, co czyni kulturę Krasnoludów niezwykłą, a za główne źródło utrzymania przyjmując piractwo. Sam jednak przekonałem się, iż obraz ten nie jest do końca prawdziwy, że ich kultura nie ustępuje w niczym dokonaniom krewniaków Lopego, a powodem mniemanego prostactwa jest wciąż świeży ból po utracie dziedzictwa. Teraz z kolei lord mer budował przede mną obraz poddanych Smoczego Króla, mocno wprawdzie przerysowany, tak jednak sugestywny, że gdybym nie znał tak wielu spośród nich i nie miał dla nich wiele sympatii, pewnie uległby jego perswazjom i w konflikcie wziął stronę Księżycy. Słuchałem zatem o niewoli, która znaczy całą krasnoludzką cywilizację, począwszy od zniewolenia kobiet, poprzez ścisłe reguły etykiety, ukształtowaną przed wiekami i nieprzenikalną strukturę społeczną aż po obsesję narzucania swojej kultury wszystkim rasom. Mieszkańcy

Księżycyca odrzucili zatem wszystko to, co uznali za objaw zniewolenia — idąc za przykładem swojej Królowej zrezygnowali z nakazów protokołu oraz imion publicznych i prywatnych, zachowując się wobec wszystkich tak, jak w Smoczym Królestwie traktuje się przyjaciół i rodzinę. Usłyszawszy to, zrozumiałem, co tak bardzo raziło mnie w tutejszym sposobie postępowania – bezpośredniość, którą się tutaj okazuje, jest równie sztuczna i wystudiowana, jak sztywne normy zachowań drugiej z krasnoludzkiej nacji. Odrzucając bowiem jedną skrajność, poddani Królowej popadli w drugą, równie krępującą i nienaturalną, a przy tym daleko bardziej nieprzyjemną, zasadzającą się bowiem na spoufaleniu.



Okolejnych nedorzecznościach wywołanych przez zupełną rezygnację z etykiety przekonać się miałem po nie całym miesiącu mojego uwięzienia. Podczas obiadu lord mer zakomunikował mi między jednym kęsem, a drugim, że wkrótce do miasta przybędzie Królowa z całym dworem, a wówczas mój los się zdecyduje. Oczywiście, ja sam przekonany byłem, iż to mnie zawiezie się przed oblicze władczyni, więc gdy okazało się, iż to ona przybędzie na miejsce, gdzie przetrzymuje się moją skromną osobę, z mety zakrzusiałem się pysznym jedzeniem i gdyby gwardzista nie zaczął klepać mnie mocno po łopatkach, byłbym się niechybnie udusił. Lord mer ubawił się moją reakcją tak serdecznie, że aż łzy pociekły mu po policzkach, a potem wytłumaczył mi, że zwyczajem władczyni jest przez pół roku podróżować i odwiedzać wszystkie miejsca, w których żyją jej poddani, lubi bowiem przekonać się na własne oczy, jak im się powodzi. Uspokojony, że jej wizyta nie ma nic wspólnego ze mną, dokończyłem obiad i zacząłem sposobić się do mowy obronnej.

Królowa zjechała po tygodniu, poprzedzona całą zgrają dworzan i suplikantów, którzy wypełnili pałac lorda mera. Ten zaprzestał zapraszania mnie na obiady, teraz bowiem każdego dnia przy jego stole gromadził się tłum szlachejnych gości. Nie narzekałem też wcale, dostarczano mi bowiem jedzenie równie smakowite, a trwając przy moim

zakratowanym okienku mogłem podziwiać orszaki kolejnych przybyszów, wszystkie w papuzich kolorach i skrzące się przepycham, Krasnoludy Księżycowe lubią bowiem obnosić się ze swoją zamożnością. Widziałem zatem, jak w lektykach i na grzbietach małych, przysadzistych koników przybywają arystokraci, obserwowałem zbitych w ciasne gromady prostaczków, którzy przyszedli zanosić prośby przed oblicze władczyni, butnych korsarzy – w ich liczbie i Sargamora – niosących dary czy pewne siebie tru—py teatralne, ciągnące do rozmówianej w przedstawieniach władczyni niczym ćmy do światła.

W końcu przybyła i ona, otoczona zbrojną gwardią i tłumem dworaków, stąpająca wprawdzie pieszo, lecz pod niesionym przez czworo dzieci baldachimem. Pochód ciągnął się przez dobrą godzinę, a szli w nim wojownicy w czarno — złocistych zbrojach, połyskujący Kryształami osadzonymi w nadmetalowej broni, dworzanie w papuzio kolorowych szatach i okrągłych kapeluszach, ubrane w biel i zieleń kobiety, które – jak się później przekonałem – stanowią elitarną gwardię królowej, oraz całe mnóstwo mniej lub bardziej znaczących sług i klientów dworu. Obserwując to wszystko nie mogłem nie porównać przepychu władzy krasnoludzkiej do żalonych pustek, którymi świeciła sala tronowa Cesarstwa Lodowych Elfów – na samo jej wspomnienie zdjął mnie dreszcz. Resztę dnia spędziłem więc na rozważaniach, ile pokoleń trzeba jeszcze, by Lodowe Elfy upadły na dobre i choć dziś wiem już, że Cesarstwo z pewnością mnie przeżyje, uważam, że wnuki nasze nie będą już żyć w strachu przed jego cieniem.

Królowa przyjęła mnie trzeciego dnia pobytu w mieście. Przebrałem się w eleganckie ubranie, wiedząc, jak wielką wagę przywiązuje się tu do stroju i ruszyłem w eskorcie gwardzistów do ogromnej, ponurej sali, którą na czas wizyty władczyni oświetlono setkami zasilanych Kryształem lamp. Ścisk panował tu ogromny i dworzanie pchali się jeden przez drugiego, byle tylko stanąć bliżej władczyni, zasiadającej na skromnym, drewnianym zydłu, ustawionym na niewielkim podwyższeniu. Jeśli spodziewałem się ujrzeć zjawiskową piękność, którą widzą w Królowej jej poddani, spóźniłem się o sześćdziesiąt lat. Władczyni ubrana była w przepyszną suknię w barwach ciemnej zieleni i złota, z wysokim kołnierzem i szerokimi rękawami, a na jej zupełnie siwych

włosach spoczywał misternie wykonany diadem. Twarz miała szeroką, o wydatnych wargach i obwisających policzkach, w dodatku skrytą pod taką ilością pudru, że niemal nie mogłem rozróżnić rysów. W tej twarzy lśniły jednak zielone, żywe oczy, tchnące złośliwą inteligencją i niemal hipnotyzujące. Po lewej ręce władczyni siedział lord mer, po prawej zaś czarnobrody Krasnolud w półpancerzu, którego mylnie wziąłem za następcę tronu, nie mając podówczas pojęcia, że Królowa nie ma potomków, a osobnik, z którym właśnie cicho konwersowała, jest najnowszym z jej często zmieniających się faworytów. Całości obrazka dopełniał wianuszek gwardzistek, otaczających władczynię półkolem — wszystkie ubrane w białe — zielone suknie, przepasane srebrnymi szarfami, za które zatknęły zwieńczone Kryształem berła, jedna w drugą młode i śliczne. Z trudem powstrzymałem się, by nie wodzić po nich wzrokiem, trzeba wam bowiem wiedzieć, że choć krasnoludzkie kobiety sięgają nam w najlepszym razie do piersi, są naprawdę ujmujące i kuszą nader ponętnymi kształtami, jakich brak zazwyczaj Elfkom.

Gwardziści postawili mnie przed obliczem władczyni i ktoś gromko obwieścił, że oto mam zaszczyt stać przed Castelhaną Cidreyra y Verdas, drugą tego imienia, władczynią Księżyca. Mnie nikt nie zaprezentował i wkrótce zaległa niezręczna cisza, postanowiłem zatem przedstawić się sam. Skłoniłem się zatem dwornie i zacząłem prezentację, dodając tu i ówdzie dyskretne informacje o znaczeniu mego rodu, by przydać sobie znaczenia. Gdy byłem mniej więcej w połowie perory, władczyni przerwała mi bezceremonialnie, zwracając się do zgromadzonych z pytaniem, czy etykiety uczyłem się od Smoczego Króla. Wybuchły śmiechy, a ja zaczerwieniłem się ze złości, słysząc, jak Castelhaną Drugą podsumowuje mnie jako więźnia imieniem Marco di Mirandeo.

Stłumiłem jednak szybko gniew i zacząłem prezentować swoją sprawę, trochę krócej i bez ozdobników, zaszokowany bezpośredniością władczyni, która nie dość, że mówiła do mnie wprost, to jeszcze po imieniu i dość lekkim tonem. Dopytywała zresztą o wszystko – i nie ona jedna, ośmieleni dworzanie zaczęli zadawać mi kolejne pytania, chcąc podważyć wiarygodność mojej opowieści, przerywając bezceremonialnie mnie, sobie nawzajem, a nawet Królowej.

Wkrótce podniósł się taki harmider, że gwardziści musieli siłą usunąć z sali kilku co bardziej dociekliwych Krasnoludów, bym mógł kontynuować, stwierdzając w duchu, że protokół i dobre maniery bywają wcale dobrym wynalazkiem.

Gdy pozwolono mi mówić, naprawdę rozwinąłem skrzydła.

Kłamałem niczym prawdziwy artysta, pewnie, bez zająknięcia, dramatycznie, grając na emocjach słuchaczy, odwołując się do ich miłosierdzia i czarując całym urokiem, jaki zdołałem z siebie wykrzesać. Na pytania odpowiadałem pewnie, choć niezbyt butnie, udając wielokrotnie, że nad czymś się zastanawiam lub szukam w pamięci. W pancerzu mego łgarstwa, wykuwanym podczas długich, samotnych godzin w celi, nie pojawiła się najmniejsza szczelina i kiedy skończyłem, cała sala miała mnie za dyplomatę w służbie Miasta Twarzy, dziedzica wysokiego rodu i osobę szalenie wartościową, za którą rodacy skłonni są wypłacić okup w złocie.

Lepiej jednak dla wszystkich, gdy bez ceregieli zostanę wypuszczony na swobodę, by nie zaognić sytuacji między Księżycem a Dziewięcioma Miastami, które gotowe są dochodzić zbrojnie zadośćuczynienia za moje krzywdy. Na koniec zgrabnie przypodobałem się gospodarzowi, dodając, jakich wygód zaznałem w gościnie szlacheśnie urodzonego lorda mera.

Gdy skończyłem, Królowa świdrowała mnie przez chwilę zielonymi oczyma, a potem zaczęła śmiać się nisko i gardłowo, ku zdumieniu wszystkich zebranych, a potem zapytała, czy potrafię na zawołanie opowiadać i inne, tak zabawne kłamstwa. Nie pojmuję, jakimż to cudem, przejrzała jednak wszystkie moje wymysły i kolejno, ku uciesze zebranych, obalała je – począwszy od mojego mniemanego pochodzenia z Miasta Twarzy, poprzez wagę misji, aż po szlachetność urodzenia lorda mera, czym wzbudziła na Sali wielką wesołość, najgłośniej zaś śmiał się sam zainteresowany.

Skąd jednak miałem, u licha, wiedzieć, że gdy wraz z poddanymi przeniosła się na Księżyc, anulowała wszystkie tytuły szlacheckie i powołała nową arystokrację, w której tytuł i zaszczyty otrzymać może każdy, kto wykaże po temu zdolności? Nigdy

nie pytałem mojego gospodarza o pochodzenie, gdyż istnienie rodowodowej szlachty było dla mnie w owym czasie pewne, niczym następstwo



dnia i nocy, w najśmielszych więc marzeniach nie sądziłem, że urodził się w rodzinie szewca. Początkowo usiłowałem się, oczywiście, bronić, pogrążałem się jednak w ten sposób coraz bardziej, aż w końcu zamilkłem, wystawiając się na bezlitosne szyderstwa Królowej.

Kiedy usłyszałem wreszcie wyrok, serce podeszło mi do gardła.

Przekonany byłem, że uszczypliwa władczyni wypuści mnie, wyszydziwszy, ta jednak zawyrokowała, iż wobec moich zdolności skazuje mnie na dziesięć lat służby przy jej dworze w charakterze trefnisia. Na to nie wytrzymałem i oburzony zacząłem powoływać się na swój honor i żądać sprawiedliwszego traktowania. Nie mogłem przecież pozwolić, by zmuszono mnie, potomka Mirandków, urodzonego szlachcica, do biegania w czapce obwieszanej dzwoneczkami! Królowa zachnęła się i stwierdziła, że trzeba mi było myśleć o własnej godności, nim zacząłem tak bezwstydnie łąć, zmieniła jednak sentencję wyroku – zamiast dziesięciu lat na dworze spędzić miałem resztę życia w kajdanach, pracując przy wyrębie dżungli wspólnie z mordercami, gwałcicielami i przestępcami tego autoramentu. Padłem Castelhanie do stóp, było już jednak za późno — gwardziści odciągnęli mnie i zawlekli, wyrrywającego się i wrzeszczącego o swej niewinności, z powrotem do celi.

Przyznaję z niejakim wstydem, że zupełnie się rozkleiłem.

Choć nie zagrażała mi śmierć, bardzo boleśnie zdałem sobie sprawę, że tylko sobie zawdzięczam moje położenie, choć młodzieńcza buta kazała mi obarczyć winą wszystkich dookoła. O ile kłamstwo na pokładzie Vingancy zagwarantowało mi bezpieczeństwo, po cóż oszukiwałem lorda mera, który przecież nie okazał mi żadnej

wrogości, i co pozwoliło mi sądzić, że ja, nieudolny i raptem dwudziestoletni dyplomata zdołam przechytrzyć kobietę, która zagrała na nosie Smoczemu Królowi, przez lat sześćdziesiąt broniąc niepodległości swego ludu? Oczywiście, zanosilem modły do bogów, łomotałem w kamienne ściany w bezsilnej złości, kłamałem wszystkie Krasnoludy, od Królowej poczynając, na Lopem, który namówił mnie na tę podróż, kończąc. Słowem, winilem wszystkich, tylko nie siebie, choć wyłącznie ja tu zawiniłem, do czego dziś, w przede dniu śmierci, mogę się przed samym sobą przyznać.

W końcu, zmęczony, zasnąłem gdzieś w kącie i nie mam pojęcia, jak długo spałem — kiedy otworzyłem oczy, była głęboka noc.

Obudził mnie dziwaczny dźwięk, którego źródła przez chwilę nie mogłem zlokalizować. W końcu jednak, w jasnym świetle księżyca – wnet zgañilem się w myślach za tę pomyłkę, byłem wszakże na Księżycu, a na niebie lśnił glob Terra Nostra — zobaczyłem że z drzwiami do celi dzieje się coś dziwnego. Zawiasy, na których je umocowano, gięły się i jęczały, a całe odrzwia drżały. Kiedy się do nich zbliżyłem, nagle z trzaskiem ustąpiły, a potem zawisły w powietrzu, w połowie szerokości korytarza. Choć zdumiało mnie niezwykle to zjawisko, nie wahałem się ani chwili — w gnieniu oka opuściłem celę, a wówczas drzwi wróciły na swoje miejsce.

Wprawdzie zawiasy zostały zerwane, z daleka wyglądały jednak na całe, miałem więc nadzieję, że nikt nie dostrzeże mojej ucieczki przynajmniej do rana. Tymczasem, rozejrzałem się po wąskim i ciemnym korytarzu w poszukiwaniu osoby, która mnie uwolniła i wnet dostrzegłem ciemną sylwetkę, która opuszczała właśnie delikatnie połyskujące, zdobione Kryształem berło. Wówczas nie miałem o tym pojęcia, rychło jednak zrozumiałem, że mam do czynienia z osobą władającą mocą czarodziejską, magia Krasnoludów polega bowiem na manipulowaniu przedmiotami na odległość, niejednokrotnie z ogromną siłą, a przy tym precyzyjnie – tak, jak to uczynił mój tajemniczy wybawca, wyrywając z zawiasów drzwi, a potem wstawiając je na miejsce.

Choć tajemniczy mag zaczął się co rychlej oddalać, bez trudu go doścignąłem — i z niejakim zdumieniem ujrzałem, że moją wybawicielką jest jedna z kobiet otaczających

Królową, śliczną, czarnowłosa dziewczyną o pełnych, lśniących wargach i bardzo kobiecych kształtach. Zielono — białą suknię zamieniła na spodnie oraz luźny kaftan, a pod moim spojrzeniem spłoniła się wdzięcznie i szalenie niewinnie. Uśmiechnąłem się i już miałem do niej zagadać, położyła jednak palec na ustach i szeptem oznajmiła, że jedynym ratunkiem jest dla mnie ucieczka do dżungli. Ona sama zamierza zaprowadzić mnie w bezpieczne miejsce, a potem zaaranżować ucieczkę z Księżyca. Nie rozumiałem zupełnie, dlaczego czarodziejka postanowiła mi pomóc, przyjąłem jednak jej ofertę z wdzięcznością. Najpierw jednak postanowiłem załatwić jedną jeszcze, niecierpiącą zwłoki sprawę, poprosiłem więc moją wybawicielkę, by zaczekała i ruszyłem, by odzyskać moją wierną szablę.

Kłamstwo, którym szermowałem do tej pory, okazało się słabą bronią w zmaganiach z krasnoludzką Królową, szczęściem jednak zacny wuj nie ograniczył mojej edukacji do wpojenia mi zasad szalbierstwa. Wędrując ciemnymi, wąskimi korytarzami, które przemierzałem tyle razy w asyście strażników, przypominałem sobie z dawna nie ćwiczone talenty — poruszałem się cicho jak duch, stapiając się z cieniem i unikając wzroku gwardzistów. Choć w ciemności rysowały się zaledwie zarysy kształtów, stąpałem pewnie i szybko, przypominając sobie bez trudności każdy detal oglądanej po wielokroć drogi. Miałem szczęście, na dole trwało bowiem wciąż przedstawienie — pomimo grubych murów dolatywały mnie śmiechy rozbawionej widowni — i większość żołnierzy zajmowała się ochronieniem Królowej lub podglądała aktorów pod drzwiami. Ledwie raz czy dwa natknąłem się na straż, udało mi się jednak sprytnie ją wyminąć i ani się obejrzałem, a stałem pod drzwiami sali, w której lord mer podejmował mnie obiadami i gdzie zawiesił na ścianie Vipereę. Zamek również nie stanowił dla mnie problemu — wystarczyła szpilka, którą przemyślnie wypiąłem z włosów krasnoludzkiej czarodziejki, i w chwilę później byłem już w środku. Powrót nie sprawił mi wcale większej trudności, z każdą chwilą odzyskiwałem więc rezon. Przed chwilą jeszcze moja przyszłość rysowała się w ciemnych barwach, fortuna odmieniła





się jednak w mgnieniu oka. Oto znów byłem uzbrojony, wróciła mi wiara we własne umiejętności oraz determinacja. Na miejsce, gdzie oczekiwała mnie czarodziejka wróciłem z pewną siebie miną i ognistym spojrzeniem, pod którym spłoniła się znowu – a potem wzięła mnie za rękę i razem ruszyliśmy krętym korytarzem ku dżungli i ku wolności.

*Castelhana II*



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

*w którym Marco zostaje przypadkowo zaplątany w nie  
swoją wojnę i po raz pierwszy musi ugiąć karku.*

*Baetan Mac Cernach*



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Przekonany byłem, że moja urocza wyzwolicielka poprowadzi nas w dół wieży, ku jakiemuś wyjściu kuchennemu czy innej drodze ucieczki i nieomal zacząłem na głos protestować, kiedy poprowadziła mnie schodami w górę, na płaski szczyt baszty.

Uznałem jednak, że mimo wszystko jej zaufam — bogom dziękuję, iż wśród tylu błędów, jakie w życiu popełniłem, znalazła się ta jedna mądra decyzja — i bez słowa wspiałem się po krętych schodach.

Pod nami rozpościerała się isticie bajeczna panorama, w mieście trwał bowiem niekończący się festyn, towarzyszący przybyciu Królowej. Pośród brzydkich, drewnianych budynków uwijała się cała chmara Krasnoludów, uczujących przy oświetlonych kolorowymi lampionami stołach, podziwiających popisy akrobatów i połykaczy ognia, targujących się przy otwartych i w nocy straganach — a wszystko to w świetle pochodni oraz lampionów, które przydawały całej tej krzątaninie niezwykle wręcz uroku. Jak urzeczony obserwowałem, jak biedacy gromadnie lgną do bogato odzianego dworzanina, który rzuca im lśniące w blasku lamp monety, jak na łagodnym wietrze kołyszą się statki, zakotwiczone w pobliskim porcie, jak tu i ówdzie, na pospiesznie skleconych platformach uwijają się tańczące pary. Do moich uszu dobiegała skoczna muzyka i doprawdy nie myślałem o ciemnej i cichej dżungli, która zamykała horyzont ze wszystkich stron.

Tymczasem czarodziejka stanęła pośrodku krenelaża, przymknęła powieki i zaczęła oddychać tak głośno, że aż zacząłem zastanawiać się, czy aby nic jej nie jest. Wtem moją czupryną szarpnął gwałtowny powiew wiatru, który zatańczył na szczycie

baszty, zamiatając zeschnięte liście i wzbijając tuman kurzu. Czarne włosy dziewczyny rozsypały się na wietrze i zaczęły dziko tańczyć wokół jej głowy, a ona sama, lśniąca dziwnym blaskiem, wzniosła się na kilkanaście centymetrów w powietrze. Otworzyła oczy – biło od nich silniejsze jeszcze światło. Wtem szarpnęło ją do przodu, jakby jakaś niewidzialna siła uderzyła ją w plecy. Wokół unoszącej się w powietrzu sylwetki tańczyć zaczęły wyładowania energii i dopiero wówczas zrozumiałem, co się dzieje – dziewczyna szykowała się do rzucenia wyjątkowo potężnego zaklęcia i kumulowała właśnie moc magiczną. Patrzyłem jak urzeczony, jak jej twarz oświetlają różnobarwne tęcze wyładowań, aż wreszcie wyciągnęła do mnie rękę. Podałem jej dłoń – przeskoczyły pomiędzy nami błękitne i zielone iskry – a potem czarodziejka wykonała zamaszysty gest berłem i skierowała je ku ziemi. Ze zdumieniem spostrzegłem, że wieża oddala się i maleje – choć czułem, że wciąż stoję na twardym gruncie, szybowałem w powietrzu! Przeląknęłem się i objąłem ramieniem moją towarzyszkę, i tak płynęliśmy razem, unoszeni magią, ponad dachami miasta, nad głowami bawiących się Krasnoludów, a potem nad koronami potężnych drzew. Cudowny ten lot trwał dobre dwadzieścia minut, nim wreszcie czarodziejka skinęła berłem jeszcze raz i miękko zapadliśmy pomiędzy konary rozciągającej się w dole kniei.

Wylądowaliśmy u stóp ogromnego drzewa, które wyglądało, jakby nie przypadła mu do gustu tutejsza ziemia i gotowe było w każdej chwili uciec, wszędzie wokół wiły się bowiem jego korzenie. Ledwie dotknęliśmy stopami ziemi, a Krasnoludka osunęła 180



się miękko w moje ramiona, skrajnie wyczerpana tak długim utrzymywaniem zaklęcia. Rozłożyłem na ziemi opończę i ułożyłem na niej dziewczynę, po czym przysiadłem na pobliskim korzeniu i na wszelki wypadek dobiłem Vipery, gotów bronić mojej wybawicielki przed każdym niebezpieczeństwem. Początkowo dżungla wydała mi się niezmiernie cicha i spokojna, po chwili jednak zacząłem dostrzegać lśniąca tu i ówdzie w ciemności ślepia stworów, których kształtu nawet sobie nie

wyobrażałem, zaś do moich uszu dochodzić zaczęły najprzeróżniejsze odgłosy – niektóre tak dziwaczne, że zdumiałem się iż pochodzą od zwierząt. Początkowo grałem zucha, im dłużej trwałem jednak na mojej samotnej warcie, tym większy zdejmował mnie lęk. Słyszałem, że coś łązi po konarach drzewa, wprost nad moją głową, ślepia lśniły coraz bliżej, a w głuszy coś ryczało przeraźliwie. By dodać sobie odwagi, zacząłem chodzić tam i z powrotem wokół nieprzytomnej dziewczyny, a potem usiadłem tak blisko, by słyszeć jej oddech. Pamiętam jeszcze, że przez chwilę zastanawiałem się nad tym, cóż wydawać może tak przejmujące odgłosy, a potem ani się spostrzegłem, jak zapadłem w sen.

Ocknąłem się czując, że coś łązi mi po twarzy i z obrzydzeniem strząsnąłem z siebie barwną, upierzoną jaszczurkę wielkości mojej dłoni. Byłem potwornie obolały i niezwykle spragniony, a po karku płynął mi obficie pot, w dżungli było bowiem niesamowicie duszno i gorąco. Zdziwiłem się, że wcześniej nie doskwierał mi upał, zaraz jednak skarciłem sam siebie, do tej pory chroniły mnie wszak przed nim grube, kamienne mury. Jęknąłem i przewróciłem się na plecy, nie dostrzegłem jednak ani skrawka nieba, zasłaniała je bowiem szczelnie płatanina gałęzi i listowia w rozmaitych odcieniach błękitu oraz zieleni, w której tu i ówdzie błyskały fantastycznie kolorowe kwiaty. Wśród grubych konarów kołysały się długie, przypominające macki liany i aż roiło się od niewielkich zwierzątek, które widziałem po raz pierwszy w życiu, a które przyglądały się nam z ciekawością. Moja towarzyszka spała jeszcze, oddychając równo i spokojnie, uznałem zatem, że jej zdrowiu nic nie zagraża. Czując obowiązek wywdzięczenia się za ratunek, postanowiłem, że na początek wyprawię się w głąb kniei w poszukiwaniu wody i ewentualnego posiłku, by — gdy się przebudzi — mogła od razu zaspokoić głód i pragnienie. Oczywiście, przez myśl mi nawet nie przeszło, że samotna wycieczka w dżunglę może skończyć się dla mnie tragicznie.

Spośród wszystkich znanych światów, Planeta, wokół której krąży Dziewięć Miast uchodzi za najbardziej idylliczny, nie oceniacie więc nazbyt surowo mojej brawury. Wychowałem się przecież na orbicie globu, który w znakomitej większości został spenetrowany i przekształcony na potrzeby człowieka, choć wciąż odkrywa się czasem niezbadane ruiny cywilizacji, która żyła tam przed nami. Większość niebezpiecznych

zwierząt dawno już wytopiono, puszcze wycina się, by budować okręty, a na łagodnych, zielonych wzgórzach uprawia winogrona i oliwki. Jeśli jest na Planecie cokolwiek niebezpiecznego, siedzi głęboko w ruinach lub służy w najemnych armiach Miast, walcząc w nieustającej wojnie o dominację nad żyznym światem. Poza tym niewiele miałem kontaktów z dziką przyrodą, Alexandreon oglądałem bowiem z wysokości pałacowych okien, a na Ochukromie zapoznałem się wyłącznie ze śniegiem. Nocą dżungla przerażała mnie, za dnia jednak wydała mi się wesoła i spokojna.

Niewiele myśląc, zagłębiłem się w las, mijając ogromne drzewa o rozłożystych koronach i pniach porośniętych pnączem, kwiaty o odurzającym zapachu, płosząc bajecznie kolorowe ptaki i z zaciekawieniem oglądając baraszkujące w koronach drzew zwierzątka. Upajałem się tysiącem odcieni zieleni, cieszyłem jak dziecko, dostrzegając kolejną nie znaną roślinę i ani przez myśl mi nie przeszło, by w jakikolwiek sposób znaczyć drogę powrotną. Wkrótce też usłyszałem radosne bulgotanie wody i bez wahania ruszyłem w tamtym kierunku. Oczko wodne, na które natrafiłem, było szczególnie urodziwe – choć gęsto zarośnięte niewielkimi kwiatami o błękitnych liściach i przeźroczystych płatkach, utrzymującymi się na jego powierzchni, lśniło srebrzyście i aż kusiło chłodnym orzeźwieniem. Wokół wiły się grube jak moje ramię, ciemnozielone pnącza, na całej długości upstrzone szerokimi kielichami kwiatów w barwach szkarłatu, bieli oraz złota, z pochylonych zaś nad taflą szerokich, długich liści dziwnego drzewa kapwały wprost do jeziora lśniące w słońcu krople. Nie dostrzegłem nigdzie dzikich zwierząt i ośmielony tym faktem dziarsko ruszyłem w stronę źródła.

Oczywiście, i dziś nie mogę mienić się znawcą przyrody, zdumiewa mnie jednak moja niefrasobliwość – dlaczegoż nie zastanowiło mnie, czemu, pomimo upalnego dnia, nad wodą nie gromadzą się spragnieni mieszkańcy dżungli? Zbliżyłem się do źródła bez trudu, tratując po drodze pnącza, które wydzielać zaczęły natychmiast słodki zapach, przykucnąłem i zacząłem głowić się, jak zaczerpnąć napoju. Tymczasem odurzająca woń zdeptanych pnączy coraz bardziej mnie ogarniała, w głowie zaczęło mi szumieć, a wzrok stracił ostrość i by nie runąć wprost w taflę wody, złapałem się pierwszej rzeczy, która nawinęła mi się pod rękę – traf chciał, że był o pień drzewa o szerokich

liściach. Pod moją dłonią roślina ożyła, a pień, służący mi oparciem, skręcał się jakby zrobiono go z gumy. Wstałem niepewnie i, starając się walczyć z wpływem zapachu lian, patrzyłem na żyjące drzewo jak urzeczony – życie ocalił mi fakt, że odstąpiłem dwa kroki, by wyraźniej przyjrzeć się dziwowisku. Nagle bowiem drzewo zakreśliło się jak fryga, a szerokie liście zawirowały w powietrzu. Kilka zawadziło o rękaw mojej koszuli – szczęśliwie omijając rękę — i przecięło ją bez najmniejszego trudu, okazały się bowiem niezmiernie ostre i twarde. Niewiele myśląc, odskoczyłem w tył, obawiając się, że nieprzyjazna roślina potnie mnie na plastry, potknąłem i runąłem wprost w powódź kwiatów.

Przez chwilę słyszałem jeszcze złowieszczy furkot liści, potem jednak drzewo uspokoiło się i spróbowałem podnieść głowę, szyja odmówiła mi jednak posłuszeństwa. Zapach pnączy otaczał mnie zewsząd, wysysając siłę i odbierając przytomność umysłu — szczęśliwie, zachowałem jej dość, by powoli, cał po calu, pełznąć w kierunku ściany lasu. Każdy ruch wymagał coraz większego wysiłku, woń działała na mnie bowiem coraz mocniej i wzbierała we mnie ochota, by znieruchomieć na dobre i nigdy już nie podnosić się z pachnącego kobierca. Szczęśliwie, duma i upór, które tyle razy niemal przywiodły mnie do zguby, kazały mi wciąż pełznąć dalej, aż wreszcie opuściłem zaklęty krąg lian. Miałem wielkie szczęście, musiałem bowiem poczołgać się w zupełnie inną stronę, niż przyszedłem i tuż za granicą lasu trafiłem na ostro opadającą skarpe.

Nie mając sił uchwycić się czegokolwiek, potoczyłem się w dół, objając po drodze o pnie drzew, i w końcu znieruchomiałem u stóp zbocza, z dala od śmiercionośnego aromatu.

Nie mam pojęcia, jak długo leżałem półprzytomny, w końcu jednak złowróżbna woń wywietrzała z mojej głowy na tyle, bym podniósł się i zaczął zastanawiać nad swoim położeniem. Ani mi się śniło wracać nad jeziorko, musiałem jednak odnaleźć swoje ślady, by wrócić po nich do miejsca, gdzie zostawiłem śpiącą czarodziejkę, postanowiłem więc wspiąć się z powrotem na skarpe, tak jednak, by ominąć nieprzyjazną polankę. Ruszyłem dziarsko pod górę i już po chwili dotarłem do miejsca

porośniętego wysokimi na dobry metr roślinami o rozłożystych, ciemnoniebieskich liściach.

Zawahałem się, ostrożnie wdychając powietrze, nie poczułem jednak żadnych niepokojących zapachów, zagłębiłem się więc w dziwaczny zagajnik. Faktycznie, okazał się on całkowicie niegroźny i w pięć minut później maszerowałem już przezeń beztrąsko, podśpiewując pod nosem dla kurażu. Wtem tuż spod moich nóg poderwało się stado niewielkich, ślicznie upierzonych ptaszków o długich dziobach. Cofnąłem się, zaskoczony, a one przez chwile krążyły szybko w powietrzu, po czym zapikowały w stronę mojej głowy. Przerazony, zasłoniłem oczy i rzuciłem się do ucieczki, a one wciąż krążyły wokół mnie, kalecząc mi policzki i zasłaniające je dłonie ostrymi dziobami i wydając dziwaczne dźwięki, które straszliwie drażniły uszy, każdy bowiem z ptaszków pisał tę samą melodyjkę, lecz w innej tonacji. Próbowałem się od nich opędzać, to pogorszyło jednak tylko sytuację, najwyraźniej ośmielając je do dalszych ataków. Uciekałem więc, co sił w nogach, nie patrząc, gdzie biegnę, serce waliło mi jak młotem, a do mojego przerażonego umysłu dotarło, że dziwaczny trel, który tak mnie drażni, jest fragmentem mojej piosenki, którego ptaki najwyraźniej nauczyły się i teraz powtarzają.

Atak trwał jakiś czas aż w końcu, skrajnie wyczerpany i przerażony, zwałem się na ziemię. Napastnicy przez chwile jeszcze krążyli nade mną, śmigając szybko i pewnie, a potem odlecieli nie wiedzieć dokąd. Przez chwilę nie mogłem uwierzyć, że ptaki pozostawiły mnie przy życiu — dopiero potem dowiedziałem się, że istotki te nie żywią się mięsem ani krwią, lecz emocjami, atakują więc, by przerazić ofiarę, a potem napawają się jej lękiem. Jak to czynią – nie pytajcie, gdyż pozostaje to dla mnie nierozwiązaną zagadką.

Gdy udało mi się w końcu pozbierać i cały obolały stanąłem na nogi, stwierdziłem, że w czasie mojej ucieczki kompletnie i beznadziejnie się zgubiłem. Zacząłem błądzić w poszukiwaniu własnych śladów, nijak jednak nie potrafiłem znaleźć tropu. Coraz bardziej dokuczało mi pragnienie, czułem głód, zmęczenie i rezygnację oraz narastającą wściekłość, nie po to bowiem wykaraskałem się z tylu straszliwych opresji, by zginąć marnie, wybrawszy się w poszukiwaniu wody. Kompletnie straciłem



poczucie czasu, zwłaszcza, że korony drzew przysłaniały mi słońce, i wydawało mi się, że wędruję już od wielu dni. Wspominałem przyjaciół — mojego wuja, Lopego, Straceńca i Oksenię, przed oczyma stawały mi wszystkie kobiety, w których się durzyłem — słowem, zachowywałem się jak w gorączce. Tymczasem musiało zrobić się późno, zaczął bowiem zapadać zmrok. Oczywiście, pogrążony w desperacji w pierwszej chwili uznałem, że to któraś z roślin odbiera mi powoli zdolność wi-



dzenia, kiedy jednak ujrzałem, jak rozchylają się kielichy nocnych kwiatów, pojąłem, że oto czeka mnie samotna noc w nieprzyjaznej puszczy — noc, której najpewniej nie przeżyję.

Drapieżnika nie zauważyłem — nie miałem zresztą szans, porusza się bowiem zupełnie bezszelestnie. Czatował chyba na gałęzi, pod którą się znalazłem, a może śledził mnie od dłuższego czasu - dość, że nagle liście nade mną poruszyły się gwałtownie i przybrały kształt ogromnego, gibkiego kota o świecących oczach, który tę ma właściwość, że zamarłszy bez ruchu przyjmuje barwy otoczenia i zupełnie się z nim zlewa. Teraz jednak atakował — syknął na mnie przeraźliwie i skoczył mi wprost na twarz, którą w ostatniej chwili osłoniłem przedramieniem. Uderzenie obaliło mnie na plecy, a kot wylądował na mojej piersi, wbijając mi ostre jak brzytwa pazury w boki i usiłując rozszarpać gardło. Walczyłem rozpaczliwie, wbijając mu jedną dłoń w szyję, drugą zaś usiłując powstrzymać uderzającą mnie łapę, która zamiast rozorać mi szyję trafiła w policzek, raniąc go głęboko - blizny po tym spotkaniu noszę do dziś, choć zbladły już i stały się niemal niewidoczne. Szarpałem się i wilem, nie miałem jednak najmniejszych szans i byłbym niechybnie zginął, gdyby jakaś siła nie oderwała nagle zwierzęcia ode mnie i nie cisnęła nim z wielką mocą o pień drzewa. Drapieżca syknął jeszcze, zjeżył się, po czym umknął w zarośla, a nade mną stanęła moja czarodziejka. Nie miałem nawet siły, by jej podziękować - skrajnie wyczerpany pozwoliłem, by z pomocą berła uniosła mnie w powietrze i zaniósła w bezpieczne miejsce.

Eskapada, w której nieomal postradałem życie, sprawiła, że następny tydzień spędzałem leżąc w konarach ogromnego drzewa i lizałem rany, troskliwie pielęgnowany przez moją opiekunkę. Miała na imię Brisida i faktycznie należała do elitarnej gwardii czarodziejek, chroniących Królową. Początkowo nie poruszaliśmy tematu mojego oswobodzenia, śmiejąc się jedynie z mej niefortunnej przygody i ciesząc, że zostawiłem ponoć ślad tak wyraźny, że wytropiłoby mnie nawet dziecko, w końcu jednak zapytałem, dlaczego zdecydowała się opuścić swoją władczynię i uwolnić mnie. Brisida natychmiast stanęła w pasach i wyjąkała, że Królowa potraktowała mnie bardzo niesprawiedliwie, a moja piękna i pełna pasji obrona zasługiwała, by ktoś jej wysłuchał.

Nie drążyłem głębiej, choć wydawało mi się dziwne, że rezolutna i dowcipna dziewczyna rumieni się na jakiegokolwiek wspomnienie nocy naszej ucieczki. Zwaliwszy to na karb zawstydzenia faktem opuszczenia posterunku, nie mówiłem więcej o tym wydarzeniu i starałem się bawić ją rozmową na tematy bardziej neutralne, opowiadając o swoich przygodach i wszystkim, co podczas moich podróży widziałem. Znalazłem w niej zresztą wiernego słuchacza — musiała bardzo interesować się podróżami, spijała bowiem każde słowo niczym umierający z pragnienia życiodajny nektar.

Nie muszę chyba dodawać, że bardzo szybko się zaprzyjaźniliśmy i dziś wspominam czas spędzony w dżungli jako jeden z najmilszych okresów mojego, zbliżającego się do raptownego końca, życia. Bardzo dużo żartowaliśmy, opowiadając sobie rozmaite dyktetyki, upajaliśmy się słodkim, naturalnie alkoholowym sokiem pewnego gatunku tutejszych owoców, jedliśmy wyłącznie płody ziemi – i choć kilka razy wypadło nam skryć się wśród korzeni naszego drzewa, nad wierzchołkami drzew płynął bowiem powoli okręt, który najwyraźniej nas wypatrywał, nie mieliśmy żadnych innych trosk. Szybko przyzwyczałem się do upału i uznałem, że jest daleko przyjemniejszy od zimna, ba, zamyślałem nawet, czy nie zrobić w tym miejscu chaty i nie osiedlić się na dłużej. Kiedy opowiedziałem o tym Brisidzie, od razu się do rzeczy zapaliła i zaczęła kreślić na ziemi plany budowli, ja zaś rozmarzyłem się, myśląc, że mógłbym ściągnąć tu Sandrę, moją ukochaną z Miasta Twarzy, i skryć się wraz z nią przed zemstą jej

rodziny. Zresztą, i czarodziejka mogłaby sprowadzić swojego ukochanego — nie wątpię bowiem, że dziewczyna tak śliczna nie może opędzić się od adoratorów — i zamieszkamy wspólnie, z dala od praw ludzkich i krasnoludzkich, zgodnie z rytmem przyrody... Kiedy jednak zwierzyłem się mojej towarzysze ze swoich rojeń, zaczęła smucić się, a kiedy chciałem ją pocieszyć, odeszła i skryła się wśród korzeni.

Uznałem zatem, że z jej ukochanym wiązać się musi jakaś szalenie dramatyczna historia, której postanowiłem nie drążyć.

Chcąc za wszelką cenę rozweselić Brisidę przygotowałem zatem szalenie smaczną kolację, opiekając mięso upolowanych własnoręcznie, pierzastych jaszczurek na rozgrzanych kamieniach i chłodząc alkoholowe owoce w nieodległym źródleku. Kiedy zapadł zmrok, rozpałem ognisko i spałaszowaliśmy tę ucztę, a humor czarodziejki zdecydowanie się poprawił. Rozmawialiśmy zatem i żartowaliśmy jakby popołudniowy incydent w ogóle nie miał miejsca, aż wreszcie w głowach zaczęło szumieć nam od nadmiaru sfermentowanego soku. Stopniowo, atmosfera robiła się coraz bardziej melancholijna, wspominaliśmy więc niegdysiejsze sukcesy i porażki, zawiedzione nadzieje i nieoczekiwane zdarzenia, a potem snuliśmy marzenia piękne i pełne kolorów. W pewnym momencie dostrzegłem, że w oczach mojej towarzyski pełgają dziwaczne ogniki, i popatrzyłem na nią zdumiony, a wtedy ona przywarła do mnie całym ciałem i jęła namiętnie całować w usta.

W pierwszej chwili zbaraniałem, kompletnie zaskoczony, a potem odskoczyłem jak oparzony i gapiłem się na nią otwierając i zamykając usta, w których wciąż czułem smak jej warg. Brisida spłoniła się natychmiast, bąknęła coś pod nosem i uciekła w noc, a ja pobiegłem za nią. Znalazłem ją siedzącą na korzeniu i płaczącą cicho, kiedy jednak chciałem podejść i ją pocieszyć, spojrzała na mnie tak groźnie, że wycofałem się do ogniska. Spędziłem resztę nocy, dokładając do ognia i snując czarne myśli.

Czarodziejka wróciła do obozowiska rano. Wyglądała jak zwykle świeżo i tryskała energią, miałem więc nadzieję, że puściła nocny incydent w niepamięć, zacząłem jednak nieśmiało ją przeproszać.

Słyszając moje niewyraźne zapewnienia Brisida machnęła tylko ręką, stwierdzając, że czas wyprawić mnie z powrotem do domu — tego samego dnia wyruszyliśmy do miasta. Pozornie wszystko układało się pomiędzy nami jak najlepiej i wciąż byliśmy przyjaciółmi, czułem jednak wyraźnie, że tamtej nocy coś się skończyło i nie potrafię wskrzesić naszej dawnej zażyłości. Tymczasem obeszlśmy miasto szerokim łukiem, by zbliżyć się do niego od strony portu, gdzie mieliśmy nadzieję znaleźć statek zmierzający do Dziewięciu Miast i wkraść się na jego pokład. Oglądana z perspektywy ziemi przystań zrobiła na mnie ogromne wrażenie — wysokie wieże żurawi, wykonane z szarego kamienia, kończyły się drewnianymi platformami, do których cumowały okręty. Było ich prawdziwe mnóstwo — brzuchy niektórych lśniły jeszcze nowością, inne nosiły zaś ślady długiej eksploatacji, porysowane były przez międzygwiazdny drobiazg i oblepione skorupiakami, wgryzającymi się w drewno.

Oczywiście, port był pilnie strzeżony - z góry spoglądały na nas działa kamiennego fortu, nad blankami którego łopotały żagle, zasilające jego artylerię słonecznymi promieniami. Wszędzie kręciło się mnóstwo Krasnoludów w strojach marynarskich, noszących paczki i worki, wciągających ogromne skrzynie na skrzypiących linach przymocowanych do szczytów żurawi i czyszczących kadłuby okrętów ze wszelkich zanieczyszczeń. Nie brak było i oficerów, doglądających prac na okrętach - i choć kryłem się bezpiecznie wśród gęstych zarośli, zadrzałem, widząc z dala sylwetkę Sargamora, który wydawał polecenia skutnikom, wciąż jeszcze latającym burtę Vingancy.

W pobliżu portu spędzić nam przyszło prawie trzy dni, podczas których usiłowaliśmy dyskretnie wywiedzieć się, czy któryś z okrętów wyrusza w najbliższym czasie do Dziewięciu Miast.

Oczywiście, było to tylko kwestią czasu, Krasnoludy bowiem — tak Księżycowe, jak Smocze - korzystają ogromnie na przewozie towarów i międzygwiazdnym handlu, dzięki smykałce do żeglarstwa śmiało pokonując przestrzeń i w związku z krasnoludzkim charakterem ciesząc się nieposzlakowaną opinią. Oczywiście, na mieszkańcach Księżyca cieniem kładzie się skłonność do piractwa, na-



wet najśmielsi z tutejszych korsarzy napadają jednak niezmiernie rzadko okręty bogatych i zawsze spragnionych nowych, niezwykłych dóbr Dziewięciu Miast, w wielkim poważaniu mając łączące Księżyc i moją ojczyznę kontakty handlowe. Faktycznie zresztą, kiedy Brisida wróciła drugiego wieczora ze zwiadu – mnie zabroniła wkradać się do portu, uznając, że nazbyt rzucam się w oczy — oznajmiła mi, że jeden z gotujących się do podróży okrętów udaje się do Miasta Ptaków. Ucieszyłem się niezmiernie i zacząłem rozważać, jak dostaniemy się na pokład, czarodziejka oświadczyła mi jednak, że nie zamierza wybierać się w podróż razem ze mną. W pierwszej chwili zaniemówiłem, potem chciałem oponować, wystarczył mi jednak rzut oka na zaciśnięte w zdecydowanym grymasie usta, by przekonać się, że wszelkie moje prośby byłyby bezcelowe. Zapytałem jednak ze strachem, co się z nią stanie, skoro umknęła ze służby i pomogła w oswobodzeniu jeńca, błysnęła jednak oczyma i stwierdziła, iż zezna jakobym porwał ją i przymusił do pomocy pod groźbą utraty życia. Oczywiście, miałem w pamięci fiasko moich łgarstw w rozmowie z Królową i wyraziłem obawę, iż również tym razem nie da się oszukać. Brisida uśmiechnęła się jednak swobodnie i orzekła, że władczyni ją zrozumie.

Wyjaśniwszy zatem sobie wszystko przystąpiliśmy do realizacji naszego szalonego zamierzenia. Uknuliśmy, że dostanę się na pokład zamknięty w skrzyni, którą ładować się będzie na okręt i spędzę podróż, czając się w ładowni, gdzie z pewnością nie zabraknie mi ani jedzenia, ani wody. Gdy nadejdzie odpowiedni czas, znów skryje się w kufrze i pozwolę, by mnie sprzedano, potem zaś wychynę z ukrycia, bezpieczny na pokładzie okrętu należącego do Dziewięciu Miast lub, jeśli dopisze mi szczęście, na jednej z platform. Realizacja przedsięwzięcia poszła nam nadspodziewanie gładko – kiedy już ustaliliśmy, które pakunki załadowane zostaną na nasz statek, bez trudu odwróciliśmy uwagę strażnika składu, wywołując czarodziejskim sposobem poruszenie w pobliskich zaroślach i przeniknęliśmy do środka. Tam znaleźliśmy skrzynię dość dużą, bym bez trudu się w niej zmieścił, ja sforsowałem zamek, a Brisida

usunęła jednym machnięciem berła jej zawartość, ładunek prostych, ciężkich mieczy. Oczywiście, już wówczas powinno mnie zastanowić, dlaczego mieszkańcy Dziewięciu Miast, słynni i ze swoich płatnerzy, kupują tak toporną broń, jednak podekscytowany perspektywą powrotu do domu ani przez chwile o tym nie pomyślałem.

Ułożyłem się zatem w kufrze, czarodziejka cmoknęła mnie na pożegnanie w policzek — przysięgam, że w jej oczach zakręciły się łzy - i zatrzęsła wieko, znikając z mojego życia. Zaległy ciemności, w których rychło straciłem poczucie czasu, nie mam więc pojęcia, jak długo czekałem, nim poczułem, że skrzynię moją podnoszą z ziemi i nie usłyszałem tuż przy uchu gardłowej mowy mieszkańców Księżyca - nie rozumiałem wprawdzie, o czym tragarze rozmawiają, wbiłem sobie jednak do głowy, że dziwią się niewielkiemu ciężarowi kufra i wstrzymałem oddech, kładąc dłoń na rękoności Vipery. Szczęśliwie, obawy moje okazały się płonne, nie minęło bowiem wiele czasu i nierówny krok tragarzy ustąpił miarowym szarpnięciom liny, gdy skrzynię wciągano w górę żurawia.

Dopiero wówczas przyszło mi do głowy, że jeśli w ładowni ustawią na wieku mojego kufra ciężkie bagaże, najpewniej nie wydobanę się ze środka i przyjdzie mi umrzeć z głodu - i gdy tylko poczułem, że jestem na pokładzie, musiałem wyteńczyć całą wolę, by opanować strach i nie wyskoczyć z kryjówki. Udało mi się jednak opanować i poczekać, aż zanoszą mnie do ładowni. Potem wyteżyłem słuch, szczęście jednak mi sprzyjało - choć wokół kręcili się marynarze, nie usłyszałem, by przygnietli czymś wieko. Przez chwilę tylko serce mi zamarło, gdy drewno nad moją głową jęknęło pod ciężarem, rychło jednak zdałem sobie sprawę, że to któryś marynarzy przysiadł na chwilę na kufrze i nic mi nie grozi.

Tak właśnie rozpoczęła się moja kolejna podróż. Spędziłem w ciemnym wnętrzu skrzyni długi jeszcze czas, czekając, głodny i spragniony, aż uszu moich dojdzie łopot żagli, a szarpnięcie pozwoli sądzić, że oto ruszyliśmy. W końcu usłyszałem stłumione komendy i tupot biegnących po pokładzie stóp, dyskretnie uchyliłem więc wieko. Tak jak się spodziewałem, w ładowni nie było nikogo i panował w niej półmrok, który nie raził moich nawykłych do ciemności oczu. Korzystając z tego, że wszyscy pracują teraz na pokładzie, szybko zlokalizowałem paki z żywnością i wodą, pospacerowałem

chwilę dla rozprostowania kości po czym wróciłem do mego schronienia akurat na czas, by uniknąć spotkania z dwoma Krasnoludami, kontrolującymi, czy podczas startu ładunek nie uległ przemieszczeniu. Potem znów zapadła cisza, a ja leżałem w ciemnościach, nie mając pojęcia, jak wiele dni przyjdzie mi spędzić w zamknięciu.

Początkowo najbardziej obawiałem się wykrycia, tego jednak stosunkowo łatwo było uniknąć. Załoga statku nie była aż tak liczna, jak na Vingancy, a jej zachowaniem rządziła nieubłagana żeglarska rutyna wacht i obowiązków. Szybko odkryłem jednak zagrożenie po stokroć gorsze, straszliwe i niemożliwe w moich warunkach do uniknięcia – przerażającą wręcz nudę. Pozostawiony samemu sobie, skazany na pobyt w ładowni, początkowo oddawałem się marzeniom i wspominałem, potem, ośmieliwszy się trochę, ćwiczyłem dużo z Viperą, wszystkie te zajęcia stopniowo nużyły mnie coraz bardziej. Od przesiadywania w skrzyni bolały mnie wszystkie kości, a język wręcz wyrывał się, by do kogoś zagadać. Zacząłem więc wyprawiać się na dyskretne wycieczki po statku i odkryłem, że stosunkowo łatwo mogę dotrzeć na sam tył okrętu, skryć się za przepierzeniem i uchylić luk jednego z dwóch ustawionych na rufie dział. Dzięki temu popatrywać mogłem na gwiazdy i wdychać ożywcze tchnienie otwartej przestrzeni, zapach Pustki – gdy po raz pierwszy ośmieliłem się to uczynić, zachłysnąłem się czystym powietrzem i zakręciło mi się w głowie, jakbym napił się przejrzystego alkoholu Elfów. Niestety, nawet obserwacja gwiazd i cudów Wszechświata, początkowo pasjonująca, zaczęła nudzić mnie już po dwóch tygodniach rejsu. Wciąż bałem się penetrowania ludniejszych części statku, samotność i nuda doskwierały mi jednak do tego stopnia, że powoli zacząłem bawić się myślą o ujawnieniu.

Cóż mogliby mi zrobić? Przecież nie wyrzucą mnie za burtę, dowodziłem sam sobie, co najwyżej zmuszą do pracy na pokładzie, co jawiło mi się po stokroć ciekawszym, niż bezczynne tkwienie w ładowni. Oczywiście, zawsze zachodziła szansa, że kapitan nakaże mnie pojmać i wrócić do mojego więzienia, tym razem jednak w kajdanach. Gdybym jednak zdołał go przekonać, by przyjął mnie na pasażera – myślałem — jakże cudownym stałoby się życie! Przez bite dwa dni zbierałem się na odwagę, wyobrażając sobie urocze wieczory w towarzystwie starych wilków gwiezdnych, wypełnione

opowieściami z dalekich stron, doskonałe posiłki, które z pewnością przyrządza krasnoludzki kuk, wesołe i skoczne szanty załogi i całe okrętowe życie, które na razie mogłem co najwyżej podsłuchiwać.

Wreszcie podjąłem decyzję — postanowiłem wyjść na pokład i oddać się w ręce kapitana. I wtedy właśnie statek nasz dobił do burty jakiegoś okrętu, a ja zrozumiałem, że zaraz dokona się transakcja, a moje niemal miesięczne odosobnienie nie pójdzie na marne – wnet znajdę się w mocy moich rodaków.

Serce biło mi tak mocno, że niemal słyszałem jego echo, dudniące o ściany kufra, w którym jak najpośpieszniej się skryłem.

Minęło raptem kilka chwil – moje policzki płonęły i drżałem z podniecenia tak, że zacząłem poważnie lękać się wykrycia – i silne ręce krasnoludzkich żeglarzy chwyciły mój kufer by zataszczyć go na pokład. Potem zawirowałem powoli, co znaczyło najwyraźniej, że ładunek został zaakceptowany i oto przenoszą go z pomocą przywiązanych do masztów lin. Uderzenie o pokład, zwiastujące przybycie na jednostkę Dziewięciu Miast, przyjąłem z ulgą tak wielką, że musiałem zagryźć wargi, by nie krzyknąć z radości. Wiedziałem jednak, iż muszę zaczekać na rozszczepienie okrętów, by nie zawrócono mnie na pokład Krasnoludów. Leżałem w ciemnościach, czując, że nawet powietrze w moim schronieniu uległo dziwacznej przemianie – co oczywiście było tworem mojej wyobraźni — i nasłuchiwałem dźwięków ojczystej mojej mowy. Na pokładzie panowała jednak dziwaczna cisza, postanowiłem więc dyskretnie wyrzeć. Jakież było moje przerażenie, gdy odkryłem, iż wieko nie chce ustąpić! To tłumaczyło niezwykle brak odgłosów – mój kufer, załadowany przez Krasnoludy na samym końcu, siłą rzeczy znalazł się wśród pierwszych przedmiotów, jakie przeniesiono i teraz spoczywał na dnie ładowni, przygnieciony nie wiedzieć jak wielką górą pakunków. Natychmiast poczułem, że się duszę, i wpadłem w straszliwą panikę — czy tak wyglądać miał mój koniec, w chwili, gdy znalazłem się tak blisko celu? Zacząłem walić dziko w wieko kufra, tłuc się i nawoływać pomocy, próbowałem nawet wyciągnąć Viperę i rozciąć ściany drewnianego więzienia, brakło mi jednak miejsca, by oswobodzić broń z pochwy. Wołałem jeszcze przez chwilę, lecz nikt nie



odpowiadał. W końcu, zrezygnowany, zrozumiałem, że koniec ze mną. Zwinąłem się w kłębek i zapadłem w dziwny letarg, który wkrótce przerodził się w sen.

Obudziło mnie światło. W pierwszej chwili sądziłem, że oto umarłem i przodkowie przyszedli po moją duszę, rozbudziwszy się jednak całkiem doszedłem do przekonania, iż dwie sylwetki, pochylające się nade mną z pochodnią, są ludźmi z krwi i kości — ludźmi, braćmi moimi - i że najwyraźniej otworzyli mój kufer. Zerwałem się jak oparzony i zacząłem witać się wylewnie, jak najpiękniej potrafiłem. Dopiero po chwili dotarło do mnie, iż dwaj marynarze popatrują na mnie zupełnie zdumieni, nie rozumiejąc ani słowa.

Nagle spostrzegłem, że proste stroje z grubego płótna, rajtuzy i szerokie kaftany, nijak nie przypominają ubrań noszonych przez moich krajan, a baryłkowaty kształt ścian ładowni różni się niezmiernie od smukłych sylwetek okrętów mojej ojczyzny. Tymczasem dwaj marynarze wymienili porozumiewawcze spojrzenia i w jednej chwili rzucili się na mnie, wykręcając ręce i wyciągając przemocą ze skrzyni. Zawlekli mnie na pokład — byłem tak zrezygnowany, że nawet nie próbowałem się opierać - i dopiero tam, pod rozgwieź-



dzonym niebem, zrozumiałem mój fatalny błąd. Wprawdzie Krasnoludy, na których okręt się wdarłem, płynęły faktycznie do Dziewięciu Miast, po drodze robiły jednak interesy ze złowrogim Imperium Kryształowym. I to właśnie na okręt Imperium mnie sprzedano.

Gdy opuszczałem Miasto Tysiąca Kolumn, by reprezentować je przy dworze Cesarza Lodowych Elfów, dławił mnie strach, nie wiedziałem bowiem nic pewnego o upadającym Cesarstwie i lęk mój brał się z niewiedzy. Tymczasem, znalazłszy się na okręcie Imperium Kryształowego, drżałem jak osika, wiedząc o międzygwiazdnej potędze dość dużo, by lękać się jej panicznie.

Po raz pierwszy usłyszeliśmy o Imperium jakieś dwieście lat temu, wcześniej bowiem wyznawcy Kościoła Kryształu wegetowali w jakimś zapomnianym kącie Wszechświata, słuchali swojego Proroka i ani myśleli, że wkrótce ich sztandary powiewać będą nad znakomitą większością znanych światów. Potem jednak ruszyła niepowstrzymana nawała rycerstwa, która w imię swojej wiary podbijać zaczęła kolejne światy i urządzać je wedle własnego upodobania.

Szeregi Imperium były nieprzeliczone, a jego rycerze, w ogromnych, nadmetalowych zbrojach – niepokonani. Początkowo próbowano stawiać najeźdźcom opór, szybko jednak mieszkańcy Znanego Wszechświata przekonali się, że nikt nigdy nie władał magią tak potężną, nie walczył z taką zaciekłością i nie parł do przodu tak zdecydowanie, jak Imperium właśnie. Stąd też, kiedy flota Imperatora stanęła wreszcie u wrót Dziewięciu Miast, przed około stu laty, moi krajanie bez wahania poddali się, by potem wywalczyć sobie przywileje, które uczyniły brzemię niewoli nie tyle lekkim, co wręcz niewyczuwalnym.

Nie wszyscy jednak mieszkańcy Wszechświata obdarzeni są tym rodzajem dyplomatycznej przebiegłości, która cechuje moich rodaków, dziesiątki więc światów zmuszono do przyjęcia wiary Kościoła Kryształowego, na wszystkich rekrutując coraz to nowych Rycerzy, by Imperium wciąż mogło się rozrastać. Filarami, na których wspiera się jego potęga, są cztery Zakony Rycerzy Kryształowych, każdy z nich związany z którymś rodzajem Kryształu, a więc z jednym z żywiołów. Okręt, na którym się znalazłem – jak wszystkie niemal jednostki Imperium – należał do Zakonu Powietrza, co stwierdziłem bez trudu, nie raz widziałem bowiem jego statki, przybijające do nabrzeża Miasta Tysiąca Kolumn. Przyznam, że pocieszyło mnie to nieco, Rycerze Powietrza słyną bowiem jako bardziej przystępni i daleko mniej fanatyczni, niż członkowie pozostałych Zakonów, co pozwoliło mi żywić nadzieję, że los mój nie będzie może aż tak straszliwy.

Okręt sam był przysadzistą, potężną jednostką, której przeznaczeniem było najwyraźniej transportowanie ładunków oraz rycerstwa, choć z całą pewnością posiadała również liczącą się siłę bojową, burty najeżone były bowiem potężnymi działami. Marynarze pracowali w nabożnym skupieniu, popatrując na wlekących

mnie ludzi spode łba i jakby ukradkiem. Wówczas zdziwiło mnie to cokolwiek, wszyscy marynarze, których do tej pory znałem, byli bowiem niezmiernie ciekawscy, potem jednak powiedziano mi, że obsługa okrętu jest ich świętym obowiązkiem i podczas pracy muszą w pełni się na niej koncentrować i nie zwracać uwagi na otoczenie. Pracowali więc, pochyleni nad pokładem, wspinając się na wanty, zwijając liny, wszystko w nabożnym skupieniu. Odziani byli w wąskie spodnie, miękkie ciżmy i szerokie kaftany o wycinanych w zęby kołnierzach – wszyscy szczupli, wysocy, jasnowłosi i smutni. Szybko zrozumiałem, że żaden z nich nie jest prawdziwym Rycerzem Kryształowym – to ludzie pospolici, z a b r a n i ze swoich domów i służący Imperium w charakterze prostych marynarzy. Było w ich twarzach coś takiego, że zaraz poczułem wobec nich litość i zacząłem się zastanawiać, jakich to okrucieństw dopuszcza się wobec nich zakon.

Prawdziwi Rycerze zgromadzili się na kasztelu rufowym, szerszym i wyższym niż w okrętach, które oglądałem do tej pory. Reling jego wycinany był w zęby, które przypominały blanki muru, deski zaś pokładu dokładnie i precyzyjnie natarto kamieniem, tak, że stały się śnieżnobiałe. Marynarze cisnęli mnie bezceremonialnie na ten ślicznie utrzymany pokład, z taką siłą, że aż potoczyłem się pod nogi najbliższego z Rycerzy. Ten zatrzymał mnie dość bezceremonialnie, ciężkim, podkutym butem – gdy spojrzałem w górę, zobaczyłem ogromnego mężczyznę w półpancerzu z ciemnego nadmetal, spowitego w ciężki, aksamitny płaszcz. Miał długie, sięgające połowy pleców, czarne jak skrzydło kruką włosy, takąż brodę i przeszywające na wskroś oczy — pod jednym wytatuowano mu czarny symbol, którego znaczenia nie znałem. Wspierał się na największym mieczu, jaki w życiu widziałem — niemal tak wysokiej jak on sam, dwuręcznej broni, z której lśniły ponuro Kryształy. Rycerz spojrzał na mnie z góry, jakbym był robakiem i odezwał się w języku Imperium, który – szczęśliwie – znałem.

Oczywiście, nie zwracał się do mnie, lecz do pozostałych trzech wojowników, towarzyszących mu na mostku. Spojrzałem i na nich, żaden nie robił jednak aż tak wstrząsającego wrażenia — nie nosili panczerzy, ubrani byli w różne odcienie brązu i błękitu, a przy pasach nosili krótkie, szerokie ostrza. Okazało się jednak szybko, że to

właśnie jeden z nich dowodzi okrętem, olbrzym zaś, który wciąż przygniatał mnie stopą do ziemi, przebywa tu jedynie na prawach gościa.

Rycerz, do którego gigant się zwrócił, był niewiele niższy od niego, choć znacznie węższy w barach i bardziej gibki. Pochylił się nade mną — zakuty w pancierz osobnik wciąż nie pozwalał mi wstać – i zapytał, powoli i bardzo wyraźnie, co też robię na jego statku.

Mówił w języku Dziewięciu Miast, bez pudła rozpoznając we mnie ich mieszkańca, uznałem więc, że rozsądniej będzie nie zdradzać się ze znajomością mowy Imperium i odpowiedziałem mu w mojej ojczystej mowie. Znając reputację Zakonu Powietrza, który reprezentował dowódca jednostki, zamierzałem wyznać mu prawdę i liczyć na to, że mnie zrozumie, wystarczył mi jednak jeden rzut oka w jasne, płonące oczy, by zrozumieć, że nie podziela on łagodnego podejścia do wiary, charakterystycznego dla wielu jego konfratrów. Zełgałem więc natychmiast, że choć urodziłem się w przesiąkniętych grzechem Dziewięciu Miastach, zawsze pragnąłem służyć Kościołowi Kryształu, wkradłem się więc na pokład powodowany szczerą wiarą i przywiązaniem do jego przykazań. Dziękując w duchu bogom, że wuj nie zaniedbał mojej edukacji i w tym względzie, przypominałem sobie specyficzne podejście do Kryształu, właściwe dla Rycerzy Kryształowych, perorując więc z wysokości podłogi, dyskretnie wyjąłem z Vipery obydwa Kryształy i dla potwierdzenia moich słów rzuciłem je pod nogi kapitana.

Na ten widok chmurne oblicze wypogodziło się nieco — zakonnik pochylił się i podniósł klejnoty, obracając je w palcach. Trzeba wam bowiem wiedzieć, iż jeden z fundamentów wiary Imperium uznaje Kryształ za istotę żywą i wzór doskonałości, tych zaś, którzy używają go w celu innym, niż zbożny, uważa za heretyków i „kryształobójców”. Sam uznaję to wprawdzie za czcze zabobony, w naukach Proroka Kryształu musi tkwić jednak ziarnko prawdy, Imperium posiada bowiem niezrozumiałą zdolność wykorzystywania żywych, a więc wciąż rosnących Kryształów. Oczywiście, klejnoty wprawione w Vipere dawno już zostały wydobyte, uśmiercone i oszlifowane, Kościół potrafi jednak je przebudzić, zdobycie więc przedmiotów tego rodzaju jest dla Rycerza sprawą wielkiej wagi.

Ochota, z jaką oddałem moje Kryształy — które dla mnie nie miały aż takiego znaczenia — przekonała kapitana okrętu o szczerości moich wyznań i pozwolono mi wreszcie wstać. Jasnooki dowódca obwieścił mi, że okręt, którym wędruję, rusza właśnie na wojnę, i że przyda się każda para rąk, zdolnych dzierżyć broń, zostaną zatem przyjęty na łono Kościoła i wcielony do załogi. Pozostali dwaj przedstawiciele Zakonu Powietrza wyrazili aprobatę dla tego pomysłu i jedynie czarnobrody pasażer zarzucił mi w języku Imperium kłamstwo i sugerował, by bezzwłocznie pozbawić mnie życia, jako szpiega nieprzyjaciela. Kapitan wybuchnął śmiechem



i odparł, że wróg ma dość rozumu, by nie zawierzyć misji szpiegowi tak nieudolnemu. To przesądziło sprawę, choć brodacz do końca rejsu popatrywał na mnie wilkiem.

Wojna! Wpadłem zatem z deszczu pod rynną i szczywany mój plan, który zakładał ucieczkę w najbliższym porcie, spełznąć miał na niczym. Musiałem jednak robić dobrą minę do złej gry, czując na sobie wciąż podejrzliwe spojrzenie zakutego w nadmetal pasażera, który okazał się ważnym reprezentantem Zakonu Ziemi w drodze na swój okręt. Pozwoliłem zatem pokornie wcielić się w szeregi załogi, przywdziałem błękitny kaftan majtka i ruszyłem do pracy. Marynarze okazali się ludem ponurym, zaciętym i niemłym. A n i jeden z nich nie mówił językiem Dziewięciu Miast, a ja ani myślałem zdradzać się ze znajomością mowy Imperium, żyłem więc wśród nich otoczony barierą milczenia.

Polecenia wykonywałem bez szemrania, choć wiele mnie to kosztowało, szlachecka bowiem dusza nie jest stworzona do słuchania rozkazów i niechętnie podporządkowuje się tyranii gburowatych bosmanów. Było to tym cięższe, że gnano mnie do najpodlejszych prac — musiałem szorować pokład i cegiełkować mostek, by zawsze lśnił nieskazitelną bielą, spuszczano mnie na ławie wantowej na samo dno

statku, bym oczyszczał je z międzygwiazdnych skorupiaków i zmuszano do wszystkich brudnych zajęć.

Tymczasem kapitan przygotowywał mnie do wstąpienia na łono Kościoła. Każdego popołudnia prowadzono mnie do jego kajuty, której ściany zdobiły kolorowe gobeliny, gdzie siadałem na ziemi u jego stóp i wysłuchiwałem nauk o Proroku i Kryształ. Dowiedziałem się, że Rycerze nie czczą żadnego boga, wierzą jednak w nieśmiertelność duszy, którą osiągnąć można przez bezustanne jej doskonalenie, by była na wzór Kryształu. Wpajano mi prawidła porannej medytacji, uczono o tym, jak wielką zbrodnią jest odbieranie życia, w tym życia Kryształu — tu zdumiała mnie rozbieżność między tą nauką, a bezustannymi podbojami Imperium — i ponurym końcu świata, który nadejdzie, gdy zbyt wielka ilość cennego minerału zostanie zniszczona. Choć zabrzmiało to nieco fantastycznie, nauki te wydały mi się wcale spójne i dość przekonujące, a na przeszkodzie mojemu nawróceniu stanęła inna zgoła trudność. Otóż, kapitan nasz, Baetan Mac Cernach, w przeciwieństwie do większości członków swego Zakonu, żywił wiarę bezwzględną i fanatyczną, nie potrzebował więc rozumowego usprawiedliwienia dla wielu kwestii. Ja sam wychowałem się jednak w Dziewięciu Miastach, w dodatku rok spędziłem wśród Lodowych Elfów, trzeba mi więc było odpowiedzi na cisnące mi się na usta pytania. Raz tylko ośmieliłem się je zadać — na co fanatyczny dowódca wpadł w gniew, że oto podważam prawdę najwyższą, zawezwał swoich podkomendnych i nakazał im mnie wychłostać.

Próżno protestowałem, próżno błagałem i argumentowałem, iż pytanie moje jest tylko objawem szczerzej woli poznania Kościoła — Baetan był nieubłagany. Następnego ranka przywiązano mnie do podstawy masztu i w obecności całej załogi zdarto koszulę. Kapitan wygłosił płomienną mowę, w której mówił o potrzebie wiary i zbawienia duszy, a potem bosman wymierzył mi dwadzieścia straszliwych razów, które przecinały skórę i bolały tak niemiłosiernie, że za każdym uderzeniem wyłem pod niebiosa. Chłosta była tak brutalna, że dwa dni spędziłem pod opieką okrętowego lekarza, Rycerza o znacznie bardziej elastycznym kręgosłupie religijnym, nim znów powrócić mogłem do pracy i do nauki. Lekcja ta miała trojaki skutek — wybiła mi z głowy wszelkie skargi na warunki, w których muszę się trudzić, zmusiła do

zaniechania pytań i spowodowała, że znienawidziłem Imperium Kryształowe i wszystko, co się z nim wiąże. Szorowałem więc pokład i zwijałem liny z ponurą determinacją, a podczas lekcji religii pilnie zapamiętywałem każdy szczegół, zastanawiając się, jak obrócić go przeciwko moim ciemiężcom. Nienawiść moja – która dziś zresztą rozgorzała na nowo, to za przyczyną Imperium moje życie dobiega bowiem tak raptownego końca – była tak ogromna, że przemyślałem nawet, czy nie zniszczyć w jakiś sposób okrętu, ginąc wprawdzie, lecz zabierając ze sobą fanatycznego kapitana i dumnego rycerza w czarnej zbroi. Niestety jednak, zabrakło mi odwagi, by zakraść się do Kryształów napędu i wysadzić statek w powietrze. Dziś wyrzucam to sobie, śmierć bowiem przyjdzie do mnie tak czy inaczej, zabijając zaś tajemniczego pasażera nie dopuściłbym najpewniej do mających rozegrać się w Imperium wydarzeń, które tak potwornym piętnem odcisnęły się na tysiącach jego mieszkańców.

Tymczasem jednak dni mijały mi niepostrzeżenie, a ja coraz niżej uginałem się pod ciężarem moich obowiązków. Szczęśliwie, Baetan orzekł po jakimś czasie, że wiem już dość i kiedy tylko dołączymy do floty, zostanę przyjęty na łono Kościoła. Zaniechał zatem swoich nauk, dzięki czemu zyskałem w ciągu każdego dnia kilka wolnych chwil, które spędzałem w swoim hamaku, planując krwawą zemstę. Przyznać muszę, że od czasu chłosty zmienił się stosunek załogi do mej osoby — przestano traktować mnie jak wroga i nawet okazano mi sympatię, marynarze przekonali się bowiem, że nie jestem pupilkiem kapitana i cierpię jak oni wszyscy. Wciąż nie zdradzałem się ze znajomością ich mowy, kilku z nich mówiło jednak w języku Lodowych Elfów, wprawdzie równie słabo jak ja, na tyle jednak zrozumiałe, byśmy mogli się porozumieć. Od nich dowiedziałem się, że nasz kapitan cieszy się wyjątkowo złą sławą, z przyjemnością znęcając się nad każdym, kto w jakiś sposób wejdzie mu w drogę. Jest jednak pierwszym oficerem Mistrza Zakonu Powietrza, cieszy się więc wielką władzą wśród Rycerzy i choć niejeden szemrze przeciw niemu, nikt oficjalnie go nie potępia. Podobno sytuacja na innych okrętach była o niebo lepsza i wszyscy marynarze modlili się o zmianę dowódcy, ochoczo przyłączyłem się więc do ich próśb, dumając, jakby tu wymknąć się na inną jednostkę.

Rozmowa ta, toczona szeptem w odległym zakątku kubryku, miała efekt zgoła nieoczekiwany, następnego bowiem dnia Baetan osobiście wywołał nas wszystkich z szeregu i poinformował załogę, iż doniesiono mu o naszym wicherzycielstwie. Jeden z żeglarzy, starszy jegomość imieniem Cano, próbował protestować i bronić nas, kapitan podszedł jednak do niego szybkim krokiem i uderzył w twarz tak mocno, że aż posypały się zęby. Następnie, jakby od niechcenia, kazał wymierzyć nam wszystkim po dwadzieścia batów, staremu zaś czterdzieści. Wyrok wykonano niezwłocznie i kolejne dwa dni spędziłem w lazarecie, starego natomiast Cano, który zmarł pod batem okrutnego kapitana, pożegnano w tym czasie w obrządku Kościoła Kryształu i oddano jego ciało gwiazdom. Jeśli przedtem moja nienawiść skierowana była w stronę całego Imperium, teraz skierowałem ją ku Baetanowi w szczególności, poprzysięgając sobie, że pewnego dnia pozbawię go życia w sposób wymyślny i okrutny, tak, jak na to zasłużył. Długie, bezsenne noce, spędziłem obmyślając najlepszy sposób wywarcia strasznej pomsty i wspominając wszystkie nauki mego wuja, które okazać się mogły pomocne.

W końcu postanowiłem, że jak nikt inny nadaję się do tego, by niepostrzeżenie zakraść się do komnat kapitana i poderznąć mu gardło we śnie i lazaret opuściłem z mocnym postanowieniem wcielenia mego zamiaru w czyn przy najbliższej sposobności.

Niestety, los znów pokrzyżował moje plany, nim bowiem nadarzyła się okazja, której tak pilnie oczekiwałem, okręt nasz dotarł do zgrupowania floty. Odpoczywałem właśnie po wyjątkowo męczącej wachcie, gdy pod pokład wpadli podoficerowie, wzywając nas znowu do pracy. Jak oparzony zeskoczyłem z hamaka i wbiegłem wraz z pozostałymi po stromych schodkach, by jak najszybciej znaleźć się na stanowisku – ledwie jednak stopa moja dotknęła pokładu, stanąłem jak urzeczony, wpatrując się z otwartymi ustami w widok, który okazał się moim oczom. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, widać było okręty — ich wydęte żagle lśniły w blasku gwiazd, malowane kadłuby skrzyły się wszystkimi barwami, sztandary łopotwały, a działa szczyrzyły groźne paszcze. Było ich nieprzeliczone mnóstwo — setki, jeśli nie tysiące, unoszących się nad nami, pod nami i wokół nas jednostek wszystkich klas i rodzajów. Zdumiony,



rozpoznawałem okręty Dziewięciu Miast, śmigłe i zdobne, szerokie, dzielne jednostki Krasnoludów, dostrzegłem nawet kilka lekkich i groźnych



okrętów Lodowych Elfów, wszystkie jednak obsadzone były ludźmi, wyznawcami Kościoła Kryształu, który zgromadził tę niewiarygodną wręcz potęgę, by zmiążyć kolejnego nieprzyjaciela.

Zwinęliśmy część żagli i powoli posuwaliśmy się w głąb zgrupowania, by zająć przeznaczoną dla nas pozycję. Tymczasem ustawiono nas wszystkich w równe rzędy, pomiędzy którymi przechadzali się podoficerowie, czyli giermkowie, którzy nie zdobyli jeszcze rycerskich ostróg. Wszyscy Rycerze, łącznie z naszym pasażerem, zgromadzili się na rufowym kasztelu — tym razem nawet członkowie Zakonu Powietrza przywdziali zbroje, jasnobłękitne, lżejsze znacznie od pancerza gościa z Zakonu Ziemi, nie mniej jednak imponujące i również napełnione energią zamocowanych na nich, żyjących Kryształów. Prezentowali się niezmiernie imponująco, międzygwiazdny wiatr rozwiewał bowiem ich długie, ciężkie płaszcze i szarpał włosy, a oni spoglądali wzrokiem jasnym i nieustraszoną, tak pełnym męstwa, że na chwilę zapomniałem nawet o mojej nienawiści i zachwyciłem się ich postawą. Tymczasem przemówił do nas kapitan, informując o celu naszej wyprawy –

gdy o nim usłyszałem, nogi się pode mną ugięły i musiałem podeprzeć się na ramieniu stojącego obok marynarza, by nie upaść.



## ROZDZIAŁ ÓSMY

*w którym Marco ogląda z bliska wojenną zawieruchę*

*i dochodzi do wniosku, że ta wcale, ale*

*to wcale mu się nie podoba.*

*Imperator*



## ROZDZIAŁ ÓSMY

Gdy okręt nasz połączył się z gigantyczną flotą Imperium, los mój uległ zdecydowanej poprawie. Czy to w obawie przed przełożonymi, czy z innych, niejasnych dla mnie powodów, kapitan nasz zaprzestał wietrzenia spisków, a bosmański bat trafił na dno kufrów. Zgromadzona w punkcie zbornym flota ciągnęła się tak daleko, że trzeba było nam dwóch dni, by dotrzeć do samego jej centrum, które okazało się miejscem naszego przeznaczenia. Po drodze naoglądałem się nieprzeliczonych cudów sztuki skutniczej, nasłuchiwałem nabożnych pieśni, płynących z pokładów rozlicznych jednostek, i nadziwowałem potędze Zakonów Rycerzy Kryształowych, zajmując wreszcie, czemu – przy swym braku subtelności – zdołali podporządkować sobie trzy czwarte Wszechświata. W y obrażałem sobie przy tym, że tak właśnie wyglądać musiała flota Lodowych Elfów za czasów największej ich świetności i dumałem, czy Krasnoludy zdołałyby pokonać wciąż głodne nowych ziem mocarstwo. Przestałem też dziwić się temu, co tak niedawno zakomunikował nam kapitan: że Imperium zgromadziło największą flotę w dziejach Znanego Wszechświata w jednym tylko celu — by pobić i rzucić na kolana niezwyciężoną Astonię.

Cały splendor wojennej floty Kościoła Kryształowego wydał mi się jednak tylko prochem na wietrze, gdy wreszcie znaleźliśmy się tam, gdzie znaleźć się mieliśmy i oczom naszym ukazała się duma Imperium, osławione Krążowniki. Nigdy w życiu nie oglądałem czegoś podobnego i gdy rosły przed moimi zdumionymi oczyma, czułem narastające z każdą chwilą i dławiące mnie coraz mocniej przerażenie. Było ich trzy

— wszystkie nieomal takie same, różniące się tylko drobnymi szczegółami, szare i niewiarygodnie ogromne.

Wzniesiono je na powierzchni któregoś ze światów, tak, jak buduje się zamki — Krążowniki były bowiem w istocie właśnie fortecami, które dźwignięto przy pomocy Żywego Kryształu, wyrrywając je z ziemi wraz ze skałą, na której powstały i przekształcając w napowietrzne okręty. Kształt miały trójkątny, zwężając się ku dziobowi, strzeżonemu przez ogromną strażnicę, będącą jednocześnie bramą dla wpływających na pokład Krążownika okrętów. Dalej piętrzyły się fortyfikacje, bastiony, krenelaże, baszty i wszelkie obronne utensylia, rozszerzając się ku rufie, gdzie pyszniła się ogromna Katedra Kryształowa, przykryta kopułą świątynia, w której odbywają się wszelkie obrzędy religijne Kościoła Kryształu.

Oczywiście, by utrzymać ten ogrom w powietrzu potrzebne są Kryształy o niewyobrażalnej wręcz mocy, daleko większe od tych, które się wydobywa. Mało tego, gdyby jakakolwiek inna nacja porwała się na pomysł równie szalony, okręt zniknąłby zupełnie pod ogromem żagli niezbędnych, by dostarczać Kryształom energię. Dlatego właśnie potęgą Krążowników rozporządza wyłącznie Imperium, które potrafi posługiwać się Żywym Kryształem. Kiedy bowiem klejnot znajduje się w stanie wzbudzenia, w jaki wprawiają go kapłani Kościoła, bezustannie przyrasta, zupełnie, jakby pozostawał wciąż w ziemi. Z czasem więc wyhodowano Kryształy dość duże, by wznieść ku gwiazdom ogromny zamek z nadmetal i kamienia. Mało tego — zwyczajny Kryształ prędko się rozładowuje i trzeba wciąż napełniać go promieniami słońca. Inaczej rzecz ma się z ożywioną jego wersją, która wprawdzie również stopniowo traci moc, potem jednak samoistnie, bez pomocy jakiegokolwiek aparatury, odzyskuje utraconą energię i ponownie można się nim posługiwać. Dlatego na Krążowniku wystarczy regularnie wymieniać Kryształy i nie potrzeba mu żagli, by przemierzać międzygwiazdne szlaki.

Gdy ja przypominałem sobie wszystkie te wiadomości, statek nasz wpłynął pod dno jednego z Krążowników — wyrosło ono nad naszymi głowami na podobieństwo kamiennego nieba. Tu i ówdzie wybito w nim otwory — towarzysze objaśnili mi, że to przez nie właśnie opuszcza się na łańcuchach specjalne kaplice, w których

ciężkozbrojni Rycerze schodzą na powierzchnię podbijanych światów. W końcu wychynęliśmy po drugiej stronie gigantycznego okrętu i unieśliśmy się w górę, płynąc początkowo wzdłuż nagiej skały, a potem wyrastającej z niej, ogromnej baszty, najezonej dziesiątkami dział. Wszystko było tu niewiarygodnie wielkie, majestatyczne i budzące grozę – wykrzywiałe twarze maskarony, którymi zwieńczono wykusze, gigantyczne bloki, z których wzniesiono mur, a nawet przerastający większość ludzi strażnicy, którzy gromko zapytali nas o nazwę okrętu i cel przybycia.

Gdy odpowiedzieliśmy, w baszcie ze zgrzytem otwarła się gigantyczna, żelazna brama, zdobiona wizerunkiem poczwórnego Kryształu, symbolem Imperium, a my zrobiliśmy zwrot i ruszyliśmy wprost w jej paszczę. Przez dłuższą chwilę przesuwaliśmy się nad naszymi głowami sufit, znaczony tu i ówdzie otworami machikułów, aż wreszcie przepłynęliśmy nad dziedziniec, gdzie wzniesiono kilka żurawi – do większości przycumowane były okręty. Posłano mnie na dziób, bym rzucił cumy, z bliska więc przyjrzałem się ogromnej platformie, ku której zmierzaliśmy, i dziesiątkom ustawionych na niej w równych rzędach pancernych.

Wszyscy, bez wyjątku, nosili ciemne zbroje Rycerzy Ziemi, wspierali dłonie na ogromnych mieczach i skrywali twarze pod pełnymi hełmami. Stali bez ruchu i tylko lśnienie wprawionych w ich pancerze Żywych Kryształów zdradzało, że nie wyrzeźbiono ich z tego samego szarego kamienia, którym posłużono się do budowy samego okrętu. Kiedy jednak rzucono trap, jak jeden mąż



zwrócili się w naszą stronę, chrzęszcząc przy tym zbroją. Ledwo przebrzmiało tupnięcie stawianej w jednym momencie przez blisko setkę ludzi stopy, u szczytu trapu stanął nasz pasażer z Zakonu Ziemi, Cernach O Mael Muire, powiewając swym długim płaszczem. Głowę miał odkrytą, a rogaty hełm niósł za nim kilkunastoletni giermek, ubrany w prosty, brązowy strój. Czarnobrody Rycerz zszedł na platformę u szczytu żurawia, a potem uniósł dłoń i pozdrowił zgromadzonych. Odpowiedział mu

chór gromkich głosów, spotęgowanych przez echo — i zrozumiałem, że osobnik, który przez cały czas podróży traktował mnie tak podejrzliwie, jest kapitanem jednego z trzech Krążowników Imperium. Tymczasem Cernach pomaszerował dalej, nie oglądając się za siebie, a gdy zniknął na schodach wiodących w dół żurawia, Rycerze odwrócili się i kolejno poszli w ślady swego wodza. Dopiero kiedy platforma opustoszała zajęliśmy się swoim zajęciem - rozładunkiem broni, którą Imperium zakupiło od Księżycowych Krasnoludów.

Na pokładzie Krążownika spędziliśmy kilka dni, podczas których nie oglądałem ani naszego kapitana, ani Cernacha, zajętych innymi zgoła sprawami — w ogóle, widywałem tylko dwóch starszych wiekiem Rycerzy, nadzorujących rozładunek.

Cały ten czas przebywałem więc w towarzystwie załogi, zarówno z mojego statku, jak i służącej na Krążowniku, przydzielono nam bowiem do pomocy kilkunastu tutejszych marynarzy. Jeden z nich okazał się pochodzić z Dziewięciu Miast i szybko znalazłem z nim wspólny język, wypytując o rozmaite kwestie związane z Imperium.

Rozmawialiśmy wieczorami, kiedy, zmęczeni całodziennym przenoszeniem paczek, zasiadaliśmy w jednym z kilkunastu tutejszych refektarzy, ogromnej sali o wysokim, łukowatym suficie, na ścianach której wyobrażono sceny z życia pierwszego Imperatora, który poprowadził Rycerzy na podbój Znanego Wszechświata. Tam dawano każdemu z nas miskę pożywnej brei, w której pływały jarzyny i kawałki mięsa oraz ogromne pajdy ciemnego, pachnącego chleba — posiłkom naszym daleko było do wystawności kuchni Krasnoludów, trudno też było nazwać je smakowitymi, po całym dniu pracy rzucałem się jednak na nie z ogromną łapczywością.

Rodak mój siadywał zwykle naprzeciw mnie — niewysoki, zgarbiony człowieczek, z którego twarzy z łatwością wyczytać mogłem, iż przyszedł na świat w ubogiej rodzinie. Na imię miał Papino i odznaczał się gorącym rodzajem pobożności, charakterystycznym dla świeżo nawróconych oraz obłudników. Z przyjemnością wyjaśnił mi, dlaczego zdecydował się służyć Zakonowi Ziemi jako prosty żołnierz i marynarz, rzucając tym samym nieco światła na powody, które kierowały i moją załogą. Otóż, wierząc w nieśmiertelność duszy i wiekuiłą nagrodę w Kryształowym

Raju wyznawcy Kościoła Kryształu uważają, iż zaszczytu tego dostępują wyłącznie Rycerze Kryształowi. Prosty człowiek, nim zasmakuje wiecznego szczęścia, musi spędzić całe życie na wypełnianiu przykazań, potem zaś dusza jego zginie na zawsze — jeśli nie żył dość cnotliwie — lub odrodzi się jako Rycerz Kryształowy, z ciała którego prosta droga prowadzi do raj. Oczywiście, służba w szeregach Zakonu przybliża prostaczków znacznie do celu, którym jest odrodzenie w ciele Rycerza – stąd popularność instytucji Półbraci, czyli osobników służących w charakterze marynarzy, żołnierzy czy posługaczy.

Niemożliwość przyjęcia w szeregi Kryształowego Rycerstwa, nad którą bardzo długo rozwodził się Papino, potwierdziła, oczywiście, wszystko, co przeczuwałem już wcześniej — otóż, na terenie Imperium Zakony wyszukują wszystkie dzieci, które rezonują z nadmetalem, widząc w tym oznakę czystości duszy, koniecznej do pełnienia rycerskiej posługi. Dzieci takie, nie starsze, niż trzy lata, zabiera się następnie od matek i oddaje na wychowanie domom zakonnym, najczęściej w innym świecie. Dlatego właśnie każdy Rycerz jawi się prostaczkom z Imperium nadczłowiekiem i nie ma żadnej innej rodziny, niż jego zakonni bracia. Co tłumaczy, rzecz jasna, w pełni ślepe oddanie Rycerzy oraz potęgę bojową Imperium Kryształowego, które wyposaża wszystkie Zakony w ogromne zbroje wykonane z nadmetal i zasilane Żywymi Kryształami, zapewniając tym samym swoim obrońcom nadludzkie wręcz możliwości. Wszystko to musiało bardzo imponować Papinowi, nie potrafiłem jednak pojąć, dlaczego odszedł od wiary w bogów i zaprzedał duszę ponuremu Kościołowi. W końcu zapytałem go o to wprost — i usłyszałem, iż tylko Imperium dało mu nadzieję na lepsze jutro, tradycyjna religia Dziewięciu Miast obiecuje bowiem wiekuiste szczęście po śmierci, jednak tylko tym, którzy odznaczyli się odpowiednio i osiągnęli status patrona. Dusze pozostałych trafiają w Szary W i r , gdzie krążyć będą aż po kres czasu, szarpane wiatrem i pozbawione wspomnień na temat swego przeszłego życia. Papino wywodził się z ludu i nigdy nie udało mu się uczynić niczego, czym zapracowałby na lepszy los. Kiedy więc usłyszał słowa misjonarza Kryształu, zrozumiał, że tylko Kościół może przynieść mu poprawę bytu, nie wahał się więc i przyjął chrzest, po czym wstąpił w szeregi Półbraci. Było to jakies

dwa lata temu i bardzo mnie zdumiało, kiedy bowiem opuszczałem moją ojczyznę, nie było w niej ani jednego misjonarza, zachęcającego do wstępowania na służbę Kościoła.

Po czterech dniach pracy ładownie naszego okrętu opustoszały i zaczęliśmy sposobie się do wypłynięcia. Pod okiem oficerów klarowaliśmy liny i myliśmy pokłady, łataliśmy dziury w żaglach i zajmowaliśmy się wszystkim, czego wymaga konserwacja okrętu, a ja coraz mocniej przekonywałem się, że życie żeglarza, o którym marzyłem w dzieciństwie, składa się głównie z ciężkiej pracy i szczupłych posiłków. Ręce zupełnie zgrubiały mi od ciągnięcia lin, plecy zaczęły garbić się i traciłem postawę szermierza, zacząłem więc obawiać się, czy nie stracę zupełnie umiejętności przystojnych szlachcicowi. Po dwóch dniach statek był gotów – ładownie wypełniały zapasy wody i żywności, wszelkie drobne usterki zostały naprawione, a załoga, w przeciwieństwie do mnie, miała coraz wyższe morale. Wreszcie na pokładzie zjawił się Baetan Mac Cernach, w skupieniu oceniając stan okrętu i zdawkowo komentując naszą pracę. Inspekcja musiała wypaść pomyślnie, zgromadził nas bowiem na pokładzie i oświadczył, że za dwie godziny statek wyrusza. Zadrzałem na samą myśl o dalszym rejsie pod komendą fanatycznego kapitana, a mój grzbiet z mety przypomniał sobie, jak smakuje bat. Wtedy jednak kapitan obwieścił, że z chwilą obecną przekazuje dowodzenie swojemu pierwszemu oficerowi, owemu miłemu osobnikowi, który pielęgnował moje rany. Załoga wydała okrzyk radości, który najwyraźniej nie przypadł Baetanowi do gustu, skrzywił się bowiem, jakby zjadł coś wyjątkowo niesmacznego.

Kiedy wiwaty umilkły, kazał nam się rozejść, do mnie podszedł jednak młody giermek, nakazując spakować rzeczy. Zdziwiłem się nielicho, a ten uśmiechnął się i zakomunikował mi, że Baetan wprawdzie otrzymał zupełnie nowy przydział, postanowił jednak zabrać mnie ze sobą w charakterze stewarda i ordynansa.

I tak, po upływie dwóch godzin stałem już na szczycie żurawia, obserwując, jak odbija jednostka, która mnie w to miejsce przywiozła – gdy rozwarły się bramy i ujrzałem otwartą Przestrzeń, aż się zachłysnąłem, przebywając bowiem na pokładzie Krążownika zupełnie nie odczuwałem, iż wciąż płynie między gwiazdami.



Mój nowy pan patrzył pozbawionym wyrazu wzrokiem na ciemną sylwetkę oddalającego się kadłuba, a potem bez słowa odwrócił się w moją stronę i niemal od niechcenia spoliczkował mnie tak mocno, że aż się zachwiałem. Baetan zakomunikował mi, że w ten sposób zamierza kształcić moją duszę, aż uczyni mnie doskonałym, i odszedł, a ja, chcąc nie chcąc, podreptałem za nim, czując pieczenie na twarzy i straszliwy gniew w sercu. Wędrowaliśmy długo, przez cały port, w którym podziwiać mogłem zacumowane do żurawi okręty, i dalej, w stronę wyrastającej wysoko ponad zabudowaniami, ogromnej katedry. Mój pan nie odwrócił się ani na chwilę i szedł tak szybko, że z trudem dotrzymywałem mu kroku, kiedy stanęliśmy wreszcie u stóp wieży, którą dano mu na kwatery, z trudem łapałem oddech. Wystarczyło jednak jedno spojrzenie błękitnych oczu Baetana, bym natychmiast wyprostował się i co rychlej



otworzył przed nim drzwi. W ten sposób dotarłem do szczytu upokorzenia, musiałem bowiem zajmować się wszystkim tym, czego nie robił giermek mojego Rycerza — a zatem przygotowywać mu stroje, ścielić ogromne łóża z baldachimem, nalewać czerwonego, cierpkiego wina do srebrnego kubka i usługiwać, kiedy podejmował współbraci. Do tego każdego wieczora katował mnie lekcjami religijności, a gdy tylko zrobiłem najłżejszy błąd, bił mnie po twarzy bez śladu miłosierdzia. Na domiar złego nakazano mi spać jak psu, na progu jego komnaty, gdzie drżałem z zimna na kamiennej podłodze i po całych nocach marzyłem, by zatopić okrutnemu Rycerzowi sztylet w sercu, nigdy się jednak na to nie zdobyłem.

Katorga moja trwała dwa tygodnie, po upływie bowiem tego czasu na Krążowniku zacumował okręt, którym mieliśmy podróżować dalej. Był on największą i najpiękniejszą jednostką, jaką do tej pory oglądałem, a widziałem ich przecież nie mało — na czterech masztach lśniły malowane w znak Kryształu żagle, z burt szczyrzyły się dwa rzędy dział, a pokład lśnił bielą. Na dziobie wyobrażono figurę jednookiego starca, wznoszącego miecz w ręce wykonanej z kryształu — nie

potrzebowałem pytać, by rozpoznać w nim Proroka. Dumna jednostka nosiła nazwę Faistine i przybyła na Krążownik celem zaopatrzenia się w żywność oraz zabrania na pokład mojego pryncypała, którego awansowano na jej dowódcę.

Przyznaję, że mimo całej nienawiści do Baetana ucieszyłem się, że zeglował odtąd będąc na pokładzie tak wspaniałego okrętu, na dodatek zajmując się stosunkowo lekką pracą. Bez słowa skargi przeniosłem więc swój tobołek do kajuty kapitana i upchnąłem pilnie w schowku dbając, by nikt nie zauważył w nim Vipery. Marynarze, których pełno kręciło się po pokładzie, pozdrawiali mnie uniesieniem ręki i przyjaznym okrzykiem – wcale nie wyglądali na przygnębionych ani źle traktowanych. Wykonywali swoją pracę z radością, energią i entuzjazmem, często dowcipkowali i w ogóle, zachowywali się znacznie swobodniej, niż moi dotychczasowi towarzysze. Jednocześnie na pokładzie nie odczuwało się atmosfery świętoszkowatości, którą do tej pory wyczuwałem wyraźnie wszędzie tam, gdzie pojawiali się Rycerze Imperium. Przypomniałem sobie, jak mój kapitan wielokrotnie narzekał w rozmowach z braćmi z Zakonu Ziemi na to, że zbyt częste podróże osłabiają wiarę jego własnych konfratrów i uznałem, że to właśnie przytrafiło się załodze Faistine. Współczułem jej więc w duchu, wyobrażając sobie, jak Baetan weźmie ich w karby i jednocześnie odczuwałem z tego powodu dziwną, mściwą satysfakcję. Przeraziłem się, że oto staje się równie okrutny jak człowiek, który mnie upokorzył, skarciłem się więc w duchu i od tego dnia miałem się na baczności, całą nienawiść kierując wyłącznie na mojego dowódcę.

Bardzo szybko przekonałem się, że moje obawy są zupełnie bezpodstawne. Kiedy przygotowałem kajutę i Baetan przybył na pokład, na mostku czekał już na niego stary Rycerz o szarych włosach i pomarszczonej twarzy, w oczach którego jarzyły się dziwaczne chochliki. Był bardzo niski — sięgał mi najwyżej do ramienia — i nosił prosty strój złożony z brązowej kamizelki, błękitnej koszuli i wycinanego w zęby kaptura, mimo to jednak nowy kapitan Faistine ukląkł przed nim i pokornie ucałował drobną dłoń mężczyzny.

Ten ujął Baetana za obydwa ramiona i pomógł mu wstać, a potem zwrócił się do załogi w języku Imperium oświadczając, że od tej pory jego okrętem dowodzi nowy kapitan. Wówczas zrozumiałem, że niewielki staruszek jest Wielkim Mistrzem Zakonu

Powietrza, a mój pryncypał dowodzić ma okrętem wodza całej floty. Zaskoczyło mnie to nielicho, wyobrażałem sobie bowiem Mistrzów jako ogromnych wojowników w rodzaju Cernacha O Mael Muire i niewielka postura jednego z nich wydała mi się nagle komiczna.

Na mojej twarzy nie drgnął jednak ani jeden mięsień, wiedziałem bowiem, że okazując zaskoczenie zasłużyłbym na karę i aż bałem się pomyśleć, co by było, gdyby mój pan dowiedział się, iż władam językiem Imperium.

Choć przez kolejne tygodnie pozostawałem na służbie u Baetana, rejs na Faistine wspominam dziś niezmiernie miło. Wielki Mistrz okazał się osobą szalenie ujmującą, dowcipną i serdeczną, często kręcił się wśród marynarzy i wdawał w konwersację z każdym, nawet ze mną. Odkrywszy zresztą w mojej skromnej osobie dobrego rozmówcę, często zaczepiał mnie na korytarzyku, łączącym kajuty oficerów z pokładem, i gawędził o rozmaitych sprawach.

To zyczliwe zainteresowanie zaowocowało poprawą warunków mojego życia, mój pan bał się bowiem wyraźnie, że poskarżę się Mistrzowi na złe traktowanie i zupełnie zaniechał bicia mnie za byle przewinienie. Nie miał zresztą racji, pomimo sprowadzenia do roli służącego pozostało we mnie bowiem dość honoru i godności, by nie parać się donosicielstwem, nawet na skończonego nikczemnika. Miałem zresztą znacznie ciekawsze tematy do rozmowy – Wielki Mistrz bardzo zainteresowany był krainami, które widziałem, zwłaszcza Cesarstwem Lodowych Elfów, z przyjemnością słuchał też o Straceńcu, Astończyku z załogi Alawastra. Wracając dziś myślą do tamtych wydarzeń nie mogę nadziwić się, z jaką łatwością staruszek brał mnie na spytki, nie minęły bowiem dwa dni rejsu, a już wiedział kim jestem i skąd pochodzę. Stopniowo wyciągnął ze mnie całą moją historię i dziś myślę, że gdybym miał choć trochę oleju w głowie, nie dałbym Mistrzowi tak bardzo sobą manipulować, wówczas jednak uważałem go za mojego jedynego przyjaciela i z przyjemnością zwierzałem się ze wszystkiego, wyjąwszy nienawiść do Baetana i znajomość języka Imperium.

Mistrz rewanzował mi się zresztą, uzupełniając moją wiedzę o Imperium. Dowiedziałem się więc, że ogromne państwo wspiera się na czterech filarach, które

stanowią cztery Zakony – i że każdy z nich odpowiedzialny jest za coś zgoła innego. Jak się domyślałem, Zakon Powietrza zajmuje się międzygwiazdną żegluga – nie posiada żadnych budowli, wzniesionych na powierzchni światów, a każdy jego okręt jest osobną komandorią. Do Zakonu należą zresztą wszystkie jednostki w obrębie Imperium, wyjąwszy dwa Krążowniki, wszystkie bowiem żaglowce unosi w powietrze moc Kryształu, a Kościół mówi wyraźnie, że substancją tą posługiwać się mogą wyłącznie zaprzysiężeni Rycerze. Oczywiście, nie każdy szyper drobnego okrętu handlowego nosi rycerska zbroję – znakomita większość z nich to Półbracia, którzy mogą podróżować wyłącznie w granicach Imperium, poza które zapuszczać się wolno tylko wybranym braciom Powietrza. Oczywiście, równie często granice opuszcza najliczniejszy z Zakonów, Zakon Ziemi, który stanowi trzon armii Imperium. W jego szeregach przyjmuje się wyłącznie mężczyzn, którzy od małości szkoleni są na żołnierzy i dowódców, potrafią więc odnaleźć się na polu walki, przewodzić oddziałom Półbraci, walczyć przy zachowaniu żelaznej dyscypliny i zdobywać wciąż nowe światy. Zakon Męski, jak niekiedy nazywał go mój rozmówca, słynie wprawdzie z nieokrzesania i żarliwej, nieomal fanatycznej wiary, nie znaczy to jednak, że jego członkom brak rozsądku czy sprytu. Pozostałe dwie organizacje mają charakter mniej wojskowy, choć Zakon Ognia wcale nie stroni od orężnej walki. O ile jednak Rycerze Ziemi to żołnierze, paladonny z Zakonu Ognia, czyli Żeńskiego, specjalizują się w walce indywidualnej, poza rygorem formacji i bitewnym zgiełkiem. Dziewice Ognia przysięgają bronić samego Cesarza i potrafią osiągnąć niesamowitą sprawność we władaniu orężem, jednak niewielka ich liczebność i chroniczny brak dyscypliny obniżają ich wartość w regularnej armii.

Ostatni z Zakonów, Zakon Wody, jest łącznikiem pomiędzy zwyczajnymi ludźmi, a Kościołem Kryształu. To jego członkowie siedzą po wsiach i opiekują się kościółkami, niosąc pocieszenie i naukę swoim parafianom, oni też przeprowadzają najniezwykleszy z cudów Imperium – podczas odbywających się w ogromnych Katedrach uroczystości ożywiają raz wydobyty Kryształ, który od tej pory zaczyna rosnąć i potrafi odzyskiwać energię bez dodatkowej maszynierii, dzięki czemu możliwa jest budowa pozbawionych żagli okrętów, w rodzaju Krążowników. Najwyższe wtajemniczenie osiągają w Zakonie Wody wyłącznie ci, którzy potrafią posługiwać się

mocą magiczną — kryją się oni za wysokimi murami klasztorów, gdzie w odosobnieniu prowadzą badania i rozmyślenia nad naturą Kryształu, dbając, by Imperium na zawsze zachowało to, co stanowi o jego potędze: żarliwość wiary i potęgę mocy magicznej, jego czarodzieje słyną bowiem jako najpotężniejsi we Wszechświecie. Słuchając tego wszystkiego czułem na przemian dumę, że oto uczestniczę w tak niezwykłym przedsięwzięciu, zadowolenie, że moi przodkowie otworzyli przez Imperium bramy i nie dopuścili do zniszczenia Dziewięciu Miast, oraz żal nad Astończykami, którzy cieszą się wprawdzie opinią niepokonanych, nie potrafiłem jednak wyobrazić sobie, jaką moc mogliby przeciwstawić niewyobrażalnej potędze, jaka ruszyła na Wyprawę Kryształową, której częścią przypadkowo się stałem.

Nasz okręt zajął miejsce w centralnej części awangardy sił Imperium, daleko przed ogromnymi Krążownikami i niezliczonymi statkami z zaopatrzeniem. Teraz otaczały nas wyłącznie jednostki bojowe, o smukłych kadłubach i żaglach, na których wyobrażono herby poszczególnych komandorii Zakonu, dzięki czemu osoba znajdująca się na heraldyce odczytać może, który z dowódców stoi na danym mostku. Przez dłuższy czas ledwie posuwaliśmy się do przodu, w końcu jednak dano znak, że Imperator jest już na pokładzie Krążownika Ognia, a więc Wyprawa została rozpoczęta.

Stałem akurat na mostku, trzymając dzban kwaśnego, czerwonego wina, którym raczył się mój pan, kiedy wykrzyczano kilka krótkich komend i o pokład zadudniły stopy. W mgnieniu oka na wantach zaroiło się od marynarzy, stawiających dodatkowe żagle - wszędzie zresztą dookoła widziałem, jak na masztach rozkwitają kolejne płachty — i Faistine zaczął przyspieszać. Spod pokładu wybiegł Wielki Mistrz - staruszek w kilku susach był już obok nas i wdał się z Baetanem w konwersację na temat szyku i prędkości.

W powietrzu unosiła się namacalna wręcz atmosfera radosnego podniecenia, która udzieliła się nawet mnie — serce zaczęło walić mi jak młotem, a włoski na karku zjeżyły z przejęcia.



Tymczasem pracujący na żaglach zaczęli śpiewać pieśń, która z pewnością była szantą, jej zadaniem było bowiem wyznaczać rytm pracy, przerastała jednak skomplikowaniem wszystkie żeglarskie przyśpiewki, jakie w życiu słyszałem. Jej zawity tekst poruszał sprawy wiary i tchnął pokorą oraz mocą, wyrażając gotowość na poświęcenie życia w obronie Kryształu przed tymi, którzy bezczeszczą go i pozbawiają życia. Kapitan i Mistrz umilkli, wsłuchując się w wielogłosową melodię, podjęli ją też marynarze z kolejnych statków – i po chwili całe niebo rozbrzmiewało wyśpiewywanym przez tysiące gardeł dźwiękiem pieśni. I tak stałem, międzygwiazdny wiatr rozwiewał mi włosy, a wszędzie dookoła brzmiał głos wiary szczerzej i serdeczniej, wiary w rzeczy daleko większe, niż my sami, lepsze i piękniejsze, dla których warto poświęcić życie. Powiadam wam, jeśli kiedykolwiek bliski byłem nawrócenia, to właśnie w tamtej chwili, gdy wśród gwiazd niosła się nabożna pieśń, wobec której czułem się tak żałośnie mały i samotny.

Do granic Astonii szliśmy prawie dwa miesiące, powoli, z namaszcczeniem, nie kryjąc się wcale ze swoją obecnością. Było to zupełnie wbrew zasadom sztuki wojennej, jakie wyznajemy w Dziewięciu Miastach, nie śmiałem jednak napomknąć o tym ani Baetanowi, ani Wielkiemu Mistrzowi, który całe dni spędzał teraz w swojej kajucie, śląc z niej nieprzerwany strumień rozkazów i przyjmując dwa razy więcej raportów, przesyłanych z pokładów wszystkich statków stanowiących awangardę floty.

Im bliżej granic państwa ludzi — zwierząt się znajdowaliśmy, tym większą miałem pewność, że Astończycy, o ile na wszystkich nie padła ślepotą, doskonale znają nasze położenie i od bogowie wiedzą jak dawną sposobią się, by odeprzeć atak. Gdy o tym myślałem, serce podchodziło mi do gardła, wiedziałem bowiem, że u granic niezwykłego państwa klęskę poniosła niegdyś niezwyciężona armada Lodowych Elfów.

Miałem jednak nadzieję, że Wielki Mistrz ma w zanadrzu szczywany plan, który, wcielony w życie w ostatniej chwili, zaskoczy kompletnie przeciwnika.

Czas mijał jednak nieubłaganie, wciąż nosiłem za moim panem dzban wina, zarabiałem kolejne sińce, szykowałem ubrania oraz spałem pod progiem i nic nie wskazywało na to, że zamierzamy przechytryć nieprzyjaciela. W serce moje wstąpiła jednak otucha, gdy Wielki Mistrz postawił swoje ogromne siły w dryf na dzień przed przekroczeniem granic i zawezwał na pokład Faistine wszystkich kapitanów. Doprawdy, choć tkwiliśmy w samym sercu floty Imperium, nawet dziś drzę na myśl o tym szaleństwie — wszak wystarczyłoby jedno precyzyjne uderzenie, by pozbawić nasze siły dowódców! Szczęśliwie, Astończycy nie zaatakowali, na naszym pokładzie zgromadziła się dobrze ponad setka kapitanów, ubranych w bogate szaty i prześcigających się w zadzierzystości miny. Widziałem ich wszystkich z wysokości mostku, gdzie, jak zwykle, trzymałem dzban wina – spoglądali ku górze, odziani w lekkie, błękitne pancerze, ciężkie płaszcze spinane kunsztownie wykonanymi broszami, przy boku mając krótkie miecze Zakonu Powietrza. Gdy zgromadzili się wszyscy i Wielki Mistrz przemówił do nich, przekonany byłem, że zaraz objaśni im szczegóły swego planu – i jakże zdziwiłem się, słysząc, że prosi o ochotnika, który przekroczy granicę Astonii jako pierwszy, by poinformować nieprzyjaciela o przybyciu floty Imperium! Posunięcie to uznałem za szczyt idiotyzmu i musiałem wyteńczyć całą wolę, by nie okazać, że zrozumiałem słowa Mistrza – tymczasem kapitanowie rzucili się jeden przez drugiego, gotowi ruszyć na tę samobójczą misję. Patrzyłem okrągłymi ze zdumienia oczyma, jak Mistrz wybiera jednego z nich, jasnowłosego młodzieńca o policzkach ledwie przyprószonych zarostem, i nakazuje kapitanom rozejść się i pogrążyć w modlitwie. Nie minęła godzina, a z szyku naszego wysforował pojedynczy statek, niosąc na pokładzie herolda Imperium. Moje nadzieje na uniknięcie straszliwej rzezi prysły niczym bańka mydlana.

Tego wieczora, gdy przyniosłem Mistrzowi posiłek, ten przywitał mnie uśmiechem smutnym i zmęczonym. Nakazał mi usiąść i zapytał, czy rozumiem, dlaczego postanowił obwieścić nasze przybycie. Przyznałem szczerze, że zdumiewa mnie to niezmiernie, on zaś wytłumaczył mi, jak potężną siłą jest wiara. Flota Imperium mogła

wedrzeć się na terytorium Astonii i uderzyć na przeciwnika, wówczas jednak ten nie otrzymałby szansy poddania się i dobrowolnego nawrócenia na Kościół Kryształu. Oczywiście, Mistrz nie miał co do tego złudzeń – Astonia to nie Dziewięć Miast, które pokornie złożyło broń w obliczu potęgi Imperium. Zdawał sobie również sprawę, że wydając otwartą bitwę utraci znacznie więcej ludzi, niż gdyby zastosował podstęp lub wykorzystał zaskoczenie – ocali jednak wiarę Rycerzy. Każdy z nich – tłumaczył mi – jest gotów bić się i zginąć, dokonawszy czynów wielkiego męstwa, o ile wierzy, iż jego sprawa jest słuszna. Zakonnicy kochają swój rycerski honor i przekonani są, że podbijając kolejne światy ratują niezliczoną ilość istnień, co jest ich powinnością. Właśnie dlatego walczą z wrogiem twarzą w twarz, otwarcie, stosując podstęp wojenny tylko wtedy, gdy wojna już trwa, i zawsze dają szansę złożenia broni. Gdyby im to odebrać, konkludował staruszek, wprawdzie wygralibyśmy więcej bitew, stracilibyśmy jednak Imperium, które silne jest tylko tak długo, jak długo Rycerze Kryształowi uznają swą misję za świętą. Wysłuchałem tego wszystkiego w niemym osłupieniu, w najśmielszych snach nie spodziewałem się bowiem, iż będę świadkiem zwierzeń Wielkiego Mistrza Zakonu Powietrza. Natychmiast też zrozumiałem, że staruszek rozgryzł mnie już dawno i doskonale zdaje sobie sprawę, że w sercu wciąż wyznaję bogów mojej ojczyzny, choć bez szczególnego zapału. Przeraziłem się więc, co ze mną będzie, a Mistrz uśmiechnął się tylko i odesłał mnie gestem dłoni. Odszedłem i przez całą resztę pobytu na pokładzie Faistine drżałem ze strachu, że Mistrz nakaze mnie zgładzić.

Tymczasem, gdy ja oglądałem się wciąż przez ramię, zbyt przestraszony, by uknuć spisek przeciwko Baetanowi, co przecież planowałem, powrócił wysłany z poselstwem statek i wśród okrętów Imperium rozeszła się w mig radosna wieść — Astończycy przelękli się naszej potęgi i gotowi są przejść na wiarę Kryształową. Pod niebiosa uderzyła gromka pieśń i Mistrz natychmiast podjął decyzję o wkroczeniu na terytorium wroga, celem przyjęcia jego kapitulacji.



By okazać przyjaźń świeżo nawróconym, wybrał do tego celu tylko czwartą część sił, jakieś dwadzieścia pięć okrętów, które wkroczyć miały w granice Astonii pod jego osobistym przewodem i rozmówić się z tamtejszymi władcami. Oczywiście, cudowne nawrócenie wroga na miłą śmierdziało mi podstępem, Mistrz wydawał się jednak ufny jak dziecko, a na domiar złego unikał mnie, jak mógł, nie mogłem go więc ostrzec. W desperacji wyznałem więc moje podejrzenia Baetanowi, ściągając mu wieczorem wysokie buty. Rycerz w pierwszej chwili zaniemówił, a potem wybuchnął straszliwym gniewem i sprzął mnie za brak wiary grubym, skórzanym pasem.

Kiedy wspominam dziś straszne chwile na służbie u okrutnego kapitana, nie potrafię wytłumaczyć sobie, czemu tak szybko dałem się sprowadzić do roli chłopca do bicia i ani razu nie próbowałem mu się przeciwstawić. Czułem się jednak wówczas zupełnie bezsilny, co jest najpewniej udziałem wszystkich służących świata. Cóż bowiem, jeśli nie poczucie bezsilności, powstrzymuje ich przed wznieceniem buntu i obaleniu tych, którym służą? Dziękujmy więc bogom, że człowieczy charakter jest tak słaby i łatwy do złamania, tylko dlatego nie utonęliśmy bowiem we krwi.

Astońska pułapka przygotowana była nader elegancko. Kiedy tylko przekroczyliśmy granicę, do naszego skromnego konwoju przyłączyło się kilkanaście ogromnych ptaków o barwnych piórach i zakrzywionych dziobach, które wyglądały jak odlane ze spiżu — na grzbiecie każdego z nich siedziało kilku Astończyków, kotów o ludzkich kształtach, odzianych w powłóczyste szaty w barwach złota i czerni. Widok dziwacznych ptaków, bez trudu szybujących pomiędzy światami, zdumiał nie tylko mnie — marynarze ze wszystkich okrętów tłoczyli się przy relingach, by podziwiać naszych niezwykłych przewodników i nawet Baetan przyglądał im się ze zdumieniem, choć desperacko usiłował ukryć wszelkie zainteresowanie. Ptaki okazały się niezmiernie szybkie i zwinne, bez trudu śmigając wokół naszych okrętów i wykonując niezwykle akrobacje pomiędzy masztami, ku uciesze Półbraci oraz Wielkiego Mistrza, który z dziecięcą radością zachęcał Astończyków do coraz nowych popisów. Dzięki tej wesołej asyście po kilkudziesięciu godzinach podróży dotarliśmy do układu, w którym odbyć się miał chrzest Astonii — czerwona kula słońca zalała pokłady naszych jednostek ciepłym, pomarańczowym blaskiem, sam zaś świat, złocisty i lśniący, wydał

mi się niezwykle piękny. Na jego orbicie czekała już na nas ogromna platforma z jasnego drewna, podtrzymywana przez dziwaczne ptaki o długich dziobach i rozłożystych, kolorowych ogonach, które zaprzężono do każdego z ośmiu jej narożników. Dokładnie pośrodku wzniesiono niewielki pawilon wsparty na pięciu kolumnach i zadaszony rzeźbioną pracowicie, ostro zakończoną kopułą, która przepuszczała światło w taki sposób, by wydawało się, iż wewnątrz wirują w powietrzu pomarańczowe liście. Pod nią czekali astońscy oficjele, koty w przebogatych strojach — nosili wysokie, czerwone buty o zakręconych noskach, złociste koszule, purpurowe kamizelki wyszywane klejnotami, płaszcze zdobione w zawile wzory i złoto — czarne zawoje na głowach.

Wszyscy mieli również długie, miękkie rękawice, które — jak się później dowiedziałem — są w Astonii oznaką wysokiego statusu, informując że ich posiadacz — obdarzony przecież ostrymi pazurami — nie musi bronić się sam, gdyż ktoś gotów jest walczyć za niego.

Rycerze, którzy zeszli z pokładu Faistine prezentowali się znacznie skromniej, co nie znaczy, że mniej okazałe. Prowadził ich W i e l k i Mistrz zakuty od stóp do głów z błękitną zbroją — twarz skrywał pod pełnym hełmem, na szczycie którego osadzono pancerną dłoń, ściskającą ogromny, pulsujący światłem Kryształ. Kroczył za nim giermek, chłopiec może dziesięcioletni, niosąc tarczę, na której wyobrażono okręt na tle gwiazdy, osobiste godło Mistrza. Dalej postępowało dziesięciu zakutych w zasilane Kryształem zbroje Rycerzy, pod dowództwem Baetana, dumnie zamiatającego ziemię długim płaszczem wyszywanym w gwiazdy. Wszyscy nosili pełne hełmy, czemu nieco się zdumiałem, któryś ze starszych marynarzy wyjaśnił mi jednak, że Astonia poddaje się Imperium, a nie konkretnym osobom, stąd osłonięte twarze i brak herbów, wyjąwszy znak Mistrza. Zdziwiłem się, słysząc głos przemawiający w moim języku, zwłaszcza, że żaden z Półbraci nie powinien mieć wstępu na mostek, skąd przyglądałem się uroczystości, obróciłem się więc i ze zdumieniem spojrzałem w twarz Wielkiego Mistrza Zakonu Powietrza. Staruszek nosił skromną szatę, a w jego oczach lśniły chochliki. Widząc moje zdumienie zapytał, czy naprawdę sądzę, że wszedłby prosto w pułapkę i wrócił do obserwacji platformy, gdzie kilku kotów

klękało właśnie przez wyprężonym przebierańcem w zbroi Mistrza. Jeden z nich wznosił do góry tacę pełną Kryształów, dar dla Imperium — i na ten znak spod kopuły zeskoczyło kilkunastu zbrojnych Astończyków, w mgnieniu oka spadając na głowy rycerzy. Jednocześnie na niebie zaroilo się od ptaków i innych latających bestii, rzucających się na nieprzygotowane okręty Imperium. Mistrz wybuchnął suchym, starczym śmiechem i dał znak – z obu burt Faistine wyrzały lufy dział. Rozpoczęła się pierwsza bitwa Wyprawy Kryształowej przeciwko Astonii.

Wielokrotnie słuchałem opowieści weteranów, nieodmiennie opowiadających o krwawym chaosie bitwy, niemożności ogarnięcia wszystkiego, co dzieje się dookoła, zgiełku i przerażeniu.

Moje wspomnienia są dramatycznie inne – stojąc tuż obok głównodowodzącego widziałem przebieg bitwy z niezwykłą ostrością, nie czułem też strachu, choć nie mam pojęcia dlaczego. Na masztach Faistine co rusz wykwiwały flagi sygnałowe, przekazujące rozkazy na sąsiednie żaglowce. W chwilę po rozpoczęciu starcia okręt nasz odbił od platformy i zrozumiałem, że Mistrz skazuje wszystkich tam obecnych, nawet mojego pana, na śmierć — połowa Rycerzy padła zresztą, nim zdołała dobyć broni, gdy koci zabójcy wprawnie wbili im długie, zakrzywione noże w miejsce, gdzie hełm łączy się z płytami zbroi. Pozostała przy życiu piątka zgromadziła się wokół ciała mniemanego Mistrza – długie płaszcze Rycerzy powiewały leniwie na międzygwiazdowym wietrze, a Kryształy na ich zbrojach lśniły upiornie. Nie dano mi jednak oglądać dalszego przebiegu starcia, okręt nasz wykonał bowiem zwrot i ze wszystkich stron opadła nas chmara ogromnych ptaków, niosących na grzbietach zbrojnych jeźdźców. Plunęliśmy ogniem z obu burt i w powietrzu rozległ się głośny skrzek ranionych bestii, nasza salwa nie powstrzymała jednak ataku. Mistrz zwinął dłonie w trąbkę i gromko nakazał wspiąć się natychmiast na wanty — nie rozumiałem dlaczego, wnet jednak pojąłem, że marynarze chronić mają żagle przed zniszczeniem.

Zadanie to było na poły samobójcze i z przerażeniem oglądałem, jak gigantyczne bestie chwytają nieszczęsnych Półbraci w spizowe szpony i na moich oczach rwą na kawałki, to jednak nie zmniejszyło zapału walczących po naszej tronie żeglarzy. Tymczasem spod pokładu wysypali się kolejni Rycerze, przeschuglowani tam nie

wiedzieć kiedy – było ich zaledwie pięciu, dali mi jednak wyraźne pojęcie o możliwościach bojowych zakonników Kościoła Kryształu. Ich zbroje lśniły niesamowitym blaskiem – i nagle jeden z nich wystrzelił w powietrze, uniesiony dziwną trąbą powietrzną.

W dłoniach miał krótki miecz swojego Zakonu, wystarczył mu jednak, by czystym cięciem rozplatać gardło bestii o szyi grubszej, niż główny maszt naszego Faistine. Drugą dłonią chwycił za kark jednego z siedzących na jej grzbiecie Astończyków i złamał go jak źdźbło trawy, po czym cisnął niczym szmacianą lalkę na pokład.

Choć bitwa na pokładzie naszego okrętu przybierała stosunkowo korzystny dla nas obrót, pozostałe jednostki nie radziły sobie aż tak sprawnie. Widziałem, że jedną z nich opanowali Astończycy, zeskakujący na pokład i wanty z grzbietów swoich potworów i bez litości mordujący marynarzy długimi, zakrzywionymi szablami o szerokich ostrzach. Kolejny statek przechylał się na burtę, straciwszy dwa maszty, a po jego pokładzie miotał się ranny ptak o spizowym dziobie. Pozostałe jednostki desperacko przebijały się ku Faistine, wszędzie jednak, w górze i na dole, roiło się aż od upierzonych potworów, które śmigwały pomiędzy nimi, rwąc żagle i łamiąc maszty, a siedzący na ich grzbietach Astończycy szyli z krótkich łuków, rasa ta nie zna bowiem broni kryształowej i się nią nie posługuje. Tymczasem na platformie trwała rzeź, Rycerze rychło otrząsnęli się bowiem z zaskoczenia i teraz zbierali krwawe żniwo, niosąc śmierć kolejnym napastnikom. Sami również ponosili straty — jeden z nich na moich oczach zwałił się na kolana, ściskając sterczącą mu z szyi strzałę — pojąłem jednak, ile prawdy jest w powiedzeniu, iż jeden Rycerz Kryształowy wart jest setki żołnierzy. Otoczeni zalewającą ich ze wszystkich stron falą astońskich wojowników, zwinnych i sprytnych kotów w lekkich kolczugach, stali wyprostowani, zwrócenii plecami do siebie, chroniąc się wzajemnie i niosąc śmierć, gdziekolwiek skierowali ostrza. Górował nad nimi Baetan, który unosił się dzięki swej zbroi w powietrzu i fechtował z niewiarygodną prędkością, siłą i precyzją, a pod jego stopami rósł bezustannie stos trupów.

Wtem usłyszałem łopot i w twarz uderzył mnie gwałtowny podmuch. Tuż za naszym mostkiem unosił się straszliwy, spizodzioby ptak, bijąc gwałtownie skrzydłami, a z

grzbietu jego spoglądało ku nam trzech Astończyków o kocich twarzach — dwóch z nich szykowało właśnie łuki, trzeci zaś trzymał pewnie w garści uzdę potwora. Świsnęły strzały - jedna z nich wpiła się w pokład, druga zaś trafiła mnie w przedramię, przyszpilając je do relingu. Bałem się tak, że nie poczułem bólu - dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że w istocie nie jestem ranny, strzała przeszła bowiem tylko szeroki rękaw mojej koszuli. Tymczasem, nim łucznicy zdążyli wystrzelić po raz wtóry, Wielki Mistrz wziął zamach tak gwałtowny, że jego dłoń wydała mi się zamazaną plamą, i w powietrzu poszybowały cztery lśniące srebrem, płaskie noże — dwa z nich ugodziły w pierś nieprzyjaciela sterującego bestią, pozostałe utkwili w gardłach łuczników. Wyczyn ten wydał mi się zupełnie niesamowity, zwłaszcza, że trafieni jak na komendę zachwiali się i posypali z grzbietu potwornego ptaka niczym dojrzałe gruszki. Oswobodzony potwór zaskrzeczał przeraźliwie i rzucił się ku nam, nim jednak dosięgły nas spiżowe szpony, na mostku był już Rycerz Kryształowy, który skoczył wprost na ptaka, wypychając go poza krawędź pokładu, i runął wraz z nim w otchłań, wbijając raz za razem miecz w upierzoną pierś. Mistrz uśmiechał się cierpko — przez mgnienie oka patrzył tam, gdzie jeszcze przed chwilą unosiła się bestia, wnet jednak otrząsnął się i wrócił do dowodzenia bitwą.

Ta, trzeba przyznać, przyjmowała obrót coraz dla nas gorszy. Wprawdzie Faistine bronił się dzielnie, choć stracił już prawie połowę załogi, pozostałym jednak okrętom szło znacznie gorzej.

Kilka z nich przebiło się ku nam i wspólnie stawialiśmy czoła śmigającym w powietrzu zastępom nieprzyjaciół, większość jednak została zdobyta lub ciężko uszkodzona. Zachodziłem w głowę, dlaczego pozostałe załogi radzą sobie tak źle, skoro Wielki Mistrz spodziewał się pułapki - i wtem zrozumiałem całą perfidię planu starca. Przypomniałem sobie wszystko, co mówił o sile wiary i pojąłem, że cyniczny wódz nie ostrzegł pozostałych kapitanów i wprowadził ich, ufnych, wprost w zasadzkę. W pierwszej chwili nie mogłem tego zrozumieć, wnet jednak elementy układanki ułożyły się w logiczną całość. Przegrywając bitwę Mistrz wygrywał wojnę, pozwolił bowiem Astończykom zaatakować pierwszym, podstępnie i niehonorowo, wiedząc, że rozpali w ten sposób płomień nienawiści pozostałych Rycerzy, a za

każdego zabitego dziś człowieka śmierć poniesie dziesięciu zwierzokształtnych. Utrata jednej czwartej forpoczty to przecież niewielka cena za uruchomienie straszliwego, niszczycielskiego potencjału fanatyzmu — nie pojmowałem tylko, dlaczego Mistrz, człowiek ewidentnie pozbawiony wiary, która rozgrzewa serce pozostałych zakonników zdecydował się oddać życie w tak mało znaczącej walce.

Wkrótce jednak i to stało się jasne. Kiedy bitwa zaczęła przyjmować prawdziwie dramatyczny obrót, nagle wśród gwiazd załśniły żagle. Z ciemności wyłaniać się zaczęły statki — wszędzie dookoła zabrzmiały bojowe okrzyki rycerstwa Imperium, wystrzeliły działa, a powietrze wypełniły strzały. Z pomocą przyszły nam oto trzy czwarte floty, pozostawione przy granicy Astonii, a wraz z nimi trzy ogromne Krążowniki, okręty, których nijak nie da się zdobyć z grzbietów latających bestii. Piersi nagle wypełniła mi nadzieja — aż krzyknąłem, pojawiaj się, że jednak ocaleję — i nie zaprzętałem sobie głowy dociekaniem, jakimż to cudem flota pojawiła się na wyciągnięcie ręki od nas i ani my, ani Astończycy nie widzieli, by się zbliżała. Jakiś czas potem dowiedziałem się prawdy — sprytny plan Wielkiego Mistrza Zakonu Powietrza zakładał, że w tajemnicy podąży za naszymi szczupłymi siłami główna siła uderzeniowa, która włączy się do bitwy akurat na czas, by nas ocalić. Okręty płynęły wciąż za nami, ukryte za pomocą magii Zakonu Powietrza, którego czarodzieje potrafią omamić wzrok tak, by nie dostrzegał kształtu żaglowca. To wszystko pojąłem jednak później — na razie wiedziałem tylko, że nie słałiśmy nikogo z prośbą o pomoc, a jednak płynęła ku nam cała potęga Imperium Kryształowego.

Losy bitwy odwróciły się błyskawicznie. Widząc nadciągającą flotę, Astończycy, zapomniawszy o honorze, rzucili się do ucieczki, a my długo wykrzykiwaliśmy pod ich adresem obelgi. Choć rozumiałem, że wszystko to było ukartowanie, nawet moje serce wypełniła radość, podniecenie i duma na widok ciągnącej ku nam odsieczy i podobnie jak pozostali krzyczałem i wiwatowałem, póki zupełnie nie ochrypłem. Tymczasem Mistrz nakazał przybić Faistine do platformy, która wciąż unosiła się w powietrzu, ciągnięta przez dziesiątki ptaków, które najwyraźniej nie potrafiły robić nic innego. Jasne drewno zaścielał gruby dywan porąbanych ciał, zewsząd spoglądały na nas martwe oczy, a w powietrzu cuchnęło śmiercią. M i m o to Mistrz zdecydował się

zejść na jej powierzchnię i skinął na mnie, bym mu towarzyszył. Widziałem już kiedyś pobojuwisko, było jednak stare i zapomniane, to zaś okazało się upiorną kroniką wszystkich rozgrywających się tu wydarzeń. Nie chciałem patrzeć na potworne rany, zadane Astończykom przez Rycerzy, ani na nich samych, leżących wśród zwałów trupów niczym straszliwe chrabąszcze, zakutych w zbroje i zbryzganych krwią.



Wszędzie błyszczały oczy – straszne, puste, wpatrzone w nicłość, szeroko rozwarte i lśniące w twarzach, na których zastygł grymas przerażenia lub nienawiści. Ślizgałem się i potykałem, brnąc przez zwłoki, i patrzyłem na nie, wypełniony chorobliwą fascynacją, Mistrz tymczasem przeskakiwał pomiędzy trupami, jakby zupełnie nie robiły na nim wrażenia. Wreszcie dotarliśmy do pawilonu — był cudownie lekki i prześliczny, kontrastował więc mocno z wszechobecną makabrą. W samym jego centrum leżał twarzą ku ziemi Baetan, mój Rycerz, wsparty ciężko o stos pokonanych wrogów.

Choć krwawił z wielu ran, a spomiędzy płyt jego zbroi sterczały brzechwy strzał, oddychał ciężko i zrozumiałem, że jeszcze żyje.

Mistrz nakazał mi dźwignąć Rycerza i po chwili ruszyliśmy z powrotem, wspólnie niosąc okrutnego kapitana, który – jako jedyny – przeżył bój na platformie. Choć szczerze nienawidziłem mojego pana, wzruszyło mnie poświęcenie Mistrza, który zdecydował się osobiście odszukać wiernego zakonnika i moja sympatia do staruszka niemal wróciła. Dopiero później zrozumiałem, że wcale nie powoduje nim miłość do Rycerza – chciał tylko dać swojej armii bohatera, by tym bardziej wzmocnić jej morale.

Następnego dnia na pokładzie Faistine odbyła się narada wojenna. Wokół świata, na orbicie którego toczyła się bitwa, zgromadziła się większa część floty Imperium, a na jego powierzchnię wysłano już Rycerzy Ziemi, by zniszczyli wszelki opór. Tymczasem

powrócili zwiadowcy, donosząc o koncentracji nieprzyjaciela, Mistrz Powietrza zaprosił więc pozostałych dowódców, by podzielić się z nimi swym planem. Narada odbyć się miała na mostku, przy suto zastawionym stole, gdzie na obrusie gwiazdnych map postawiono złote półmiski, wazy i dzbany, podając zebranim najlepsze pasztety, ryby w ciężkim sosie, prażone orzechy, wina i wszelkie delikatesy.

Półbraci wygnano pod pokład i na straży stanęli czterej Rycerze, po jednym z każdego Zakonu. Zakuci byli w zbroje — czarną, błękitną, granatową i złotą — okrywające ich tak szczelnie, że gdybym nie wiedział, iż w Zakonie Ognia służą tylko kobiety, nigdy nie rozpoznałbym płci wojowniczek. Mnie samemu przypadło w udziale zadanie zaszczytne, miałem bowiem usługiwać przy obiedzie, wobec mojej kompletniej nieznajomości języka Imperium. I tak właśnie, dzięki kłamstwu, dane mi było oglądać ostatnią naradę przywódców najpotężniejszego z państw Wszechświata — kto wie, czy nie byłem ostatnim, który widział ich wszystkich razem?

Pierwszy na pokład przybył W i e l k i Mistrz Zakonu Wody, starzec o białych włosach, wspierający się ciężko na wyższej od niego, ozdobionej ogromnym, żyjącym Kryształem lasce. Ubrany był w powłóczystą szatę, usta miał zaciśnięte, a oczy płonęły mu niezdrowym blaskiem. Kasłając, zajął swoje miejsce, złożył na stole długie, pomarszczone dłonie i znieruchomiał. Tymczasem ja witałem już ukłonem Mistrza Zakonu Ziemi, łysęgo jak kolano olbrzymia o rozłożystej brodzie i wytatuowanej twarzy, ubranego w największą zbroję, jaką w życiu widziałem, i dźwigającego mierzący dobrze ponad dwa metry miecz z nadmetal. Okazał się przeciwieństwem Mistrza Wody, śmiał się bowiem przez cały czas i, nie czekając na pozostałych, nalał sobie wina. Coś w jego postawie przypominało mi kondotiera, który niedawno wywalczył sobie tron Miasta Ogrodów, jednej z platform mojej ojczyzny, zapalałem więc do niego irracjonalną sympatią. Potem przy stole zasiadł Mistrz Powietrza, przystrojony na tę okazję wyjątkowo wytwornie.

Jako ostatni przybył Imperator, w towarzystwie chroniącej go bezustannie Mistrzynie Zakonu Ognia, wysokiej i postawnej kobiety o kruczoczarnych włosach i pełnych, namiętych wargach, które na mój widok wygięły się w pogardzie. Najpotężniejszy z władców Znanego Wszechświata okazał się barczystym osobnikiem w sile wieku, o



siwiejącej powoli brodzie i długich, opadających na ramiona puklach włosów, ubranym w skromny strój żołnierski. Nie nosił korony, znak jego władzy był bowiem daleko niezwyklejszy — gdy Imperator wstępował na tron, odjęto mu prawą rękę tuż poniżej łokcia i doprawiono zamiast niej wykonaną z błękitnego Kryształu kończynę, w pełni sprawną i funkcjonalną. Patrzyłem zafascynowany, jak wymodelowane z Kryształu palce zaciskają się na kielichu, który władca podniósł w pierwszym toaście, wsłuchując się w stukot kamiennych opuszków o złocisty brzeg naczynia. Kryształowa Ręka była jedynym tego rodzaju przedmiotem w całym Wszechświecie i nie potrafiłem sobie nawet wyobrazić, jak niewyobrażalne moce zapewnia swojemu właścicielowi.

Narada trwała bardzo długo, a ja przysłuchiwałem się jej pilnie, rozważając, czy lepiej rozdzielić siły, jak sugerował Mistrz Powietrza, i nękać nieprzyjaciela na obrzeżach, czy też zmiażdżyć jednym uderzeniem całej potęgi Imperium świętą stolicę Astonii, świat zwany Pawaną, a potem dopiero podbijać kolejne układy.

Każdy z dowódców miał mocne argumenty i przemawiał wielce przekonująco — w końcu jednak głos zabrał Imperator. Władca podniósł się i z mocą przemówił do Mistrzów, stwierdzając, że Imperium uderzy na Pawanę, pilno mu bowiem odnieść zwycięstwo i chciałby być w domu na dzień święta Proroka, trzeba więc sposobić się do jak najszybszej ofensywy. Usłyszawszy to, Mistrz Wody dołączył do protestów przywódcy Zakonu Powietrza, na co w oczach Imperatora zapaliły się jednak iskry gniewu. Tymczasem zwierzchnik Zakonu Wody mówił przez cały czas, podając kolejne argumenty przeciwko zbyt gwałtownemu posunięciu i chyba powiedział o jedno zdanie za dużo, Imperator wpadł bowiem nagle w iście morderczy szał. Poderwał się, a wokół jego Kryształowej Ręki załśniła magiczna energia. Uderzył nią w stół, który w jednej chwili rozsypał się w drzazgi, porażony ogromną mocą, po czym wyciągnął dłoń w stronę starca. Ręka jarzyła się coraz mocniejszym blaskiem, najwyraźniej czerpiąc siłę z gniewu władcy, który bardzo powoli zacisnął palce w powietrzu. Zobaczyłem, że nieszczęsny Mistrz sinieje na twarzy i podnosi ręce do szyi, jakby ktoś go dusił, i już wydawało mi się, że z nim koniec, kiedy Imperator złagodniał równie szybko, jak się rozgniewał. Rozluźnił uścisk, Mistrz Wody zwałił się na podłogę, ciężko kaszłąc, a władca bez słowa opuścił mostek i wrócił na Krążownik

Zakonu Ziemi, który udzielał mu gościny. Tuż za nim Faistine opuścili pozostali Mistrzowie — jako ostatni odszedł Mistrz Wody, zanosząc się spazmatycznym kaszlem.

Zostaliśmy sami — pomogłem mojemu gospodarzowi pozbierać rozsypane mapy i podałem kielich wina. Przełknął kilka łyków i zapytał mnie w języku Dziewięciu Miast, co o tym wszystkim myślę. Próbowałem migać się od odpowiedzi, Wielki Mistrz oznajmił mi jednak, że dobrze wie, iż kryję się ze znajomością języka Imperium i że celowo wybrał mnie do usługiwania przy stole, chciał bowiem usłyszeć moją opinię o poczynionych postanowieniach.

Z mieszaniną strachu i ulgi opowiedziałem mu więc o swoich obawach oraz przypomniałem los, który spotkał Lodowe Elfy. Wysłuchawszy mnie, Mistrz pokiwał głową i uspokoił mnie mówiąc, że potęga Astonii dawno już przeminęła i dziś nie jest ona państwem zdolnym przeciwstawić się Imperium. Jego oczy mówiły jednak coś innego – wyczytałem w nich obawę oraz zniechęcenie, a ich wyraz prześladowe mnie po dziś dzień. Schodząc z mostka czułem coraz bardziej dławiący strach, który nie opuścił mnie nawet, gdy zamiast kolacji wypilem cały dzban wina. Padłem potem na kolę, walcząc z zawrotami głowy, i zapadłem w niespokojny sen — śniło mi się, że znów wędruję przez zasłaną makabrycznie okaleczonymi ciałami platformę, zewsząd jednak patrzą na mnie martwe oczy moich przyjaciół — Lopego, Eirene, nawet wuja Gianerasmo. Gdy w końcu dotarłem do pawilonu, ujrzałem w nim leżące twarzą w dół ciało, którego nie musiałem nawet odwracać, by zrozumieć, że należy do mnie. W chwilę później siedziałem już na koi, drżąc z przerażenia, i biłem się z myślami. Choć sprowadzony do roli sługi, wciąż byłem honorowym szlachcicem, synem Dziewięciu Miast, a piekło, które rozpętało Imperium na astońskiej ziemi ani trochę mnie nie dotyczyło. Jeśli jednak pozostanę na Faistine, myślałem, najpewniej zginę, walcząc za sprawę, która nic mnie nie obchodzi, pozostaje mi zatem jedno tylko wyjście. W kilka minut później sunąłem już przez uśpiony pokład, cichy jak duch, zmierzając w stronę szalupy, której majaczący w półmroku kształt wydał mi się zwiastunem wolności.





## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

*w którym Marco, chcąc — nie chcąc zostaje*

*Astończykiem i zupełnie schodzi na psy.*

*Tahir ibn Abbas al-Sinni*



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Flota Imperium malała przed moimi oczyma, a ja, oddalając się od jej okrętów w marnej łupince, zasilanej drobnym Kryształem, raz jeszcze zdumieć się mogłem potędze Zakonów. Część statków wyruszyła już wprawdzie, by oczyścić głównym siłom drogę do Pavany, stolicy Astonii, znakomita jednak ich większość wisiała nieruchomo na orbicie, która była areną pierwszej z bitew.

Okręty wyglądały niczym uśpione zwierzęta — na masztach nie błyszczały zwinięte na noc żagle i gdzieś tam tylko paliły się światła, a przez przestrzeń niosły się nawoływania pełniących wachtę marynarzy. Ciemna i cicha, groźna niby uśpiony potwór, czekała, by pożreć kolejne światy, sprzeciwiające się woli Imperatora. Oczywiście, w najśmielszych nawet marzeniach nie roiłem, że łódeczka moja minie rozliczne posterunki i wydostanie się poza pierścień statków, by zanieść mnie do odległego domu. Dlatego podjąłem jedyną decyzję, która wówczas wydała mi się rozsądna i skierowałem się w dół, ku powierzchni złotego świata, by skryć się wśród jakichś pustkowi i poczekać, aż siły Imperium ruszą w dalszą drogę.

Oczywiście, pamiętałem, iż świat rzucają właśnie na kolana Rycerze Ziemi, miałem jednak nadzieję, iż zdołam ukryć się przed nimi tak, jak uszedłem Krasnoludom Księżycowym. Niemal przeoczyłem chwilę, gdy przekroczyłem linię nieba, było bowiem bezchmurne i tylko nieznaczne drżenie powietrza powiedziało mi, iż nie znajduję się już w przestrzeni układu. Chwilę później uderzył mnie chłód — nad ogromną, złocistą równiną, która ciągnęła się daleko w dole, szalał zimny, nieprzyjemny wiatr, niosąc z sobą drobnutki ziarenka złotego pyłu. Skierowałem się ku grupie skał, którą dojrzałem wśród pustyni, podziwiając przy tym majestat jej przestworu. Powierzchnia świata zbliżała się z każdą chwilą, coraz wyraźniej rozróżniałem więc złociste wydmy, drobne zmarszczki na powierzchni pustyni, które nadawały jej wygląd morza, oraz wysuszone kanały, którymi prawdopodobnie co jakiś

czas płyną rzeki. Skały, ku którym się kierowałem, były bardzo wysokie i szalenie zniszczone przez wiatr i pył — przypominały przedziurawione w setce miejsc palce, wyciągnięte ku niebu. Nagle ziąb stał się znacznie dotkliwszy i w mgnieniu oka niebo nade mną pociemniało, a w powietrzu zatańczyły drobiny kurzu. Chwyciłem mocniej ster łódki, było już jednak za późno. Wokół moich skał zawirował ogromny tuman piasku, podniesiony gwałtownym podmuchem wichru. Łódką szarpnęło i nagle powietrze wokół mnie zamieniło się w piasek. Niesiony porywistym wiatrem, smagał mnie po twarzy, wciskał się w usta i uszy, kaleczył dłonie i rwał ubranie, a szalupa, nad którą kompletnie straciłem kontrolę, miotała się jak wściekła, jęcząc przeraźliwie. Serce waliło mi jak młotem i wszystko, na co potrafiłem się zdobyć, to kurczowe ściśnięcie Vipery i skulenie się na dnio łódki. Przez dłuższą chwilę szarpało nią to w górę, to w dół, a przez burty przesypywał się złocisty pył, zasypując mnie niemal do połowy. W końcu usłyszałem straszny trzask i szalupa przełamała się na dwoje, zahaczywszy najwyraźniej o którąś ze skał.

Machając desperacko rękami runąłem w dół i z całej siły uderzyłem w twardy grunt. Nie straciłem przytomności i leżałem, kto wie, jak długo, czując na sobie coraz większy ciężar piasku i mroźny oddech pustyni.

Wichura ustała równie nagle, jak się rozpoczęła, a ja długo leżałem, zbyt osłabiony, by spróbować wygrzebać się z pyłu. Kiedy w końcu odzyskałem siły i zdołałem dźwignąć się na nogi, powietrze było już zupełnie spokojne. Wciąż panowała noc, a na doskonale przejrzystym niebie lśnił kadłub Krążownika Imperium, błyszcząc niby trójkątny księżyc. Pustynia, która z góry wydawała mi się złota, jarzyła się delikatnym, srebrnym poblaskiem, który rozświetlał ją aż po horyzont, widziałem więc wszystko równie wyraźnie, jak w dzień. Jeśli cokolwiek żyło w tym regionie świata, musiało skryć się przed burzą, równina była bowiem doskonale gładka, niczym woda, a jej harmonii nie zaburzały ślady ani inne znaki czyjejś obecności.

Skały, ku którym zmierzałem z orbity, znalazły się w epicentrum wichury, która niemal do połowy wysokości zasypała je drobnym, złotym piaskiem, sterczały więc teraz ze szczytu wydmy, niczym dziwaczne kolumny. Zacząłem pięć się mozolnie w ich stronę, pełznąc na czworakach i zapadając się po kolana i łokcie w miękkie, przed

chwilą naniesiony piasek. Kiedy byłem już prawie u szczytu, wyprostowałem się, a wtedy pył osypał się spod moich stóp – nie zdołałem utrzymać równowagi i stoczyłem się na dół, wzbijając tuman kurzu. Podniosłem się i ruszyłem znowu ku majaczącym na tle nieba skałom — i znów, będąc prawie u celu, stoczyłem się do miejsca, w którym zacząłem wędrówkę. I tak, roniąc łzy ze złości, uparcie pełzłem ku szczytowi wzniesienia i raz za razem ponosiłem porażkę, aż wreszcie, po wielu godzinach, udało mi się zacisnąć dłoń na szorstkim, żółtym kamieniu. Piersi rozpięła mi triumf – ściskając kurczowo skałę wyprostowałem się, by ujrzeć, że oto nad równiną wstaje słońce, w mgnieniu oka zapalając ją złocistym blaskiem, po drugiej zaś stronie wzgórza, które szturmowałem z takim uporem, ciągnie się jak okiem sięgnąć pustynia, równie monotonna, jak ta, którą miałem za plecami. Nie pozostało mi nic innego, jak sięść pomiędzy skałami i z zapartym tchem obserwować bajeczne widowisko wschodu słońca, przyznając w duchu, że na okręcie Imperium miałem przynajmniej jakieś szanse przeżycia.

I wtedy właśnie skały, o które się wspierałem, ożyły. Z niezliczonych szczelin i pęknięć wystrzeliły ku wstającemu słońcu liście – grube, mięsiste, szerokie jak moja dłoń. Ich srebrzysta, połyskliwa powierzchnia odbijała światło, przez chwilę mnie oślepiając, tak, że minęła dłuższa chwila, nim zorientowałem się, dlaczego niezwykle rośliny pojawiły się wraz ze świtem – z każdą chwilą stawało się cieplej i na kamieniach pojawiły się grube krople rosy. Spływała ona drobnymi strumyczkami wprost na pokrytą delikatnym meshkiem powierzchnię liści, a te piły ją jak gąbki, zapewne dostarczając w ten sposób wody skrytym w trzewiach skały pnączom. Niewiele myśląc, zacząłem rwać rośliny — ustępowały bez oporu i wkrótce mogłem usiąść w cieniu skały i zatopić zęby w soczystym mięszu. Przyznaję, że jadałem w życiu lepiej, jednak tylko ktoś, komu w oczy zajrzało widmo śmierci z głodu i pragnienia zrozumie ulgę, jakiej doznałem, przełykając mdły sok. Wkrótce odkryłem też, że moje liście mają jeszcze jedną właściwość – barwią mocno na intensywnie srebrzysty kolor, tak, że nim się obejrzałem, mogłem puszczać świetlne zajączki językiem. Posiłałem się zatem, a tymczasem słońce wznosiło się coraz wyżej i zalała mnie fala złota. Skąpany w słonecznych promieniach piasek pustyni miał barwę złocistą i delikatnie lśnił, jakby u moich stóp rozlał się ocean płynnego kruszcu. Również niebo, po którym płynęły

drobne, brązowe obłoki, okazało się mieć barwę starego złota, z trudem więc mogłem ocenić, gdzie kończy się pustynia, a zaczyna nieboskłon. Jednocześnie wciąż rosła temperatura — i jeśli nocą doskwierał mi ziąb, to już wczesnym rankiem poczułem skutki upału. Wszelkie życie, które wychynęło z kryjówek o świcie, znikło jeszcze przed południem i nawet moje liście zwinęły się w trąbki i schowały z powrotem w szczeliny skalne. Znowu zostałem sam – i w straszliwym skwarze mogłem co najwyżej wypatrywać kształtów okrętów, które co jakiś czas pojawiały się poza linią nieba, najpewniej dowożąc zaopatrzenie dla pacyfikującego ten świat Zakonu Ziemi.



Nie wiem, jakim cudem udało mi się przetrwać pierwszy dzień u podnóża skały – zdaje mi się, że wówczas, kiedy tak mało wiedziałem o świecie, odznaczałem się znacznie większą wytrzymałością i hartem ducha. Faktem jest jednak, że mimo piekącego żaru, który rozpalał pustynię tak, że jej blask boleśnie ranił mnie w oczy, zdołałem jakoś dotrzeć do zmierzchu. Kiedy kula słońca zaczęła skrywać się za horyzontem, a temperatura gwałtownie opadła, ze szczelin skalnych znowu wyjrzały srebrne liście, by spać wieczorną rosą, a na pustyni pojawiło się życie. Wczoraj jeszcze nie dostrzegłem drobnych jaszczurek o szerokich kołnierzach, które polowały na owady, łapiąc je za pomocą tychże kołnierzy, nie dane mi było oglądać również płynącej majestatycznie tuż nad piaskiem pustynnej płaszczki, ryby o nakrapianym grzbiecie i długim ogonie, którym wciąż niespokojnie porusza. Śledziłem wszystkie te cuda z wysokości mojego wzgórza, bojąc się wstać, by nie zsunąć się znowu na dół, i zamyślając co by tu dalej począć.

Srebrne liście pozwoliły mi zaspokoić głód i po jakimś czasie leżałem już na plecach, wpatrując się w niebo. Było równie przejrzyste, jak poprzedniego dnia, i równie wyraźnie widziałem na nim trójkąt Krążownika, świadczący jak najdobitniej o tym, że siły Imperatora wciąż czekają na orbicie. I tak, wpatrując się w niebo, które wydawało się spoglądać na mnie groźnie, zapadłem w płytki i niespokojny sen, gdzie wędrowałem przez pustynię, nawołując Sandrę Celeste, ilekroć jednak wspiąłem się na



wydmę, by jej wypatrywać, pojawiał się przede mną Sargamor i z ochrypłym śmiechem zrzucał mnie w dół.

Na moim wzgórzu spędziłem kilka jeszcze dni, żywiąc się srebrnymi liśćmi i sposobiąc się do wyprawy przez pustynię. Za dnia zagrzebywałem się w płytkiej jamie, którą wykopałem w piasku dla ochrony przed upałem i obserwowałem okręty Imperium, które co jakiś czas pojawiały się na niebie, oraz równie często przelatujące nade mną spizodzioby, niosące na grzbietach astońskich wojowników. W końcu ustaliłem w przybliżeniu, gdzie znajdować się mogą jakieś osiedla i zebrałem się na odwagę, by ruszyć w ich kierunku. Udało mi się również znaleźć szczątki mojej łodzi i wykonać coś na kształt plecaka z podartego kaftana i w miarę prostej deski.

Odnalazłem też Kryształ, który napędzał szalupę, i wrzuciłem go na dno mojego tobołka, licząc na to, że przyda mi się w przyszłości. Załadowałem poza tym pakunek srebrnymi liśćmi – odczuwałem lekkie wyrzuty sumienia, że zebrałem prawie wszystkie i roślina najpewniej uschnie teraz z braku wody, co było tym dziwniejsze, że nigdy wcześniej nie zastanawiałem się nad dołą zwierzątek, lądujących na moim talerzu. Wykonałem też, wykorzystując szczątki szalupy, coś w rodzaju śniegowych rakiet, tak, jak nauczyłem się od ludu Chinua, by mniej zapadać się w sypki piasek. Przyznaję, że dumny byłem z tych przygotowań i sam chwaliłem się za spryt i zapobiegliwość, opuszczając kryjówkę i zapuszczając się na pustynię. Początkowo wędrowałem ochoczo i dziarsko, podśpiewywałem nawet, wkrótce jednak nogi zaczęły odmawiać mi posłuszeństwa, wygrzebałem więc jamę i umościłem sobie w niej posłanie, by przeczekać dzień. Najadłem się też do syta srebrnych liści i zapadłem w sen, dumny i zadowolony z siebie.

Niestety, każdej nocy wędrowki mniej miałem powodów do dumy. Najpierw beznadziejnie obtarłem sobie stopy, kiedy drobny pył dostał mi się do butów, a ja go zlekceważyłem. Potem naruszyłem legowisko jakiegoś pustynnego drapieznika, przed którym uciekłem w popłochu, gubiąc po drodze rakiety i od tej pory zapadałem się głęboko w piach, co straszliwie mnie spowolniło. Coraz rzadziej trafiałem też na skupiska srebrnych liści i musiałem zacząć oszczędzać, cały czas odczuwałem więc pragnienie, a moje wargi spierzchły i popękały. Nie to jednak było najgorsze –

prawdziwe chwile grozy przeżyłem, kiedy — piątego dnia wędrówki - trafiłem na wyraźny ślad wędrowca i stwierdziłem, że kręcę się w kółko. Usiadłem wtedy na piasku i płakałem rzewnymi łzami, prosząc w duchu bogów, by zaprowadzili mnie gdzieś, gdzie najem się i napiję do syta — choćby to miała być astońska niewola. Dopiero następnej nocy zebrałem w sobie dość siły, by ruszyć dalej - i tak błąkałem się przez dobry tydzień, polując na jaszczurki, które jadłem na surowo, co jakiś czas odnajdując srebrzyste rośliny lub głązy, z których zlizywałem rosę. Wreszcie, o świcie ósmego dnia mojej tułaczki na horyzoncie zamajaczyła mi ciemna plama. Nie zważając na piekący skwar, czując rosnącą nadzieję, parłem w jej stronę, aż wreszcie dostrzegłem wierzchołki ciemnozielonych drzew.

Ten widok dodał mi skrzydeł, szedłem więc przez rozpaloną pustynię przez cały dzień, nie zważając na spiekotę i marząc o chwili, gdy odpocznę w cieniu rozłożystej palmy. Czyż nie jest ironią, że mój brak cierpliwości sprawił, że do skraju życiodajnej oazy doczołgałem się resztką sił, czując zawroty głowy, poparzony i nieszczęśliwy?

Wystarczyłoby zaczekać do nocy i stojąc nad niewielkim oczkiem wodnym, wokół którego wyrastały drzewa, czułbym się niczym sam Imperator — tak jednak wystarczyło mi sił tylko na to, by zanurzyć rozpaloną głowę w odmętach. Następnie straciłem przytomność - i tylko szczęściu zawdzięczam, że upadłem na błotnisty brzeg jeziora i nie utonąłem.

Minęło kilka dni, nim w pełni doszedłem do siebie. Zawroty głowy sprawiły, że przez długi czas mogłem przełknąć jedynie wodę - a i dieta, którą odżywiałem się na pustyni, nie przysłużyła się mojej figurze. Szczęśliwie, kiedy nudności ustąpiły i znów zacząłem myśleć jasno odkryłem, że w oazie aż gęsto jest od pożywienia.

Rosło tu mnóstwo rodzajów owoców, którymi bez trudu syciłem głód, szczególnie rozsmakowawszy się w dużych, złocistych kulach, których sok uderzał mi do głowy niczym wino. Nocą do wodopoju ciągnęły zwierzęta — pustynne płaszczki i rozmaite odmiany ja szcurów, zasadzałem się więc na nie z Viperą, a potem, jeśli polowanie zakończyło się sukcesem, piekłem ich mięso nad ogniskiem i zjadałem z apetytem - a gdy po kilku dniach odkryłem, że w pobliżu oazy znajdują się skały, na których osadza

się sól, moje posiłki stały się naprawdę smaczne. Zbudowałem też sobie szałas, w którym wygodnie skryć się mogłem przed promieniami słońca i spać, nie niepokoiony przez owady i zwierzęta. Oczywiście, gdy postanowiłem zatrzymać się w oazie, powtarzałem sobie, że opuszczę ją, kiedy tylko odzyskam siły. Dni płynęły jednak jeden po drugim, a ja wciąż żyłem w moim niewielkim królestwie, poczynając sobie coraz śmielej i urządzając się coraz wygodniej. Każdego dnia, kładąc się spać, powtarzałem sobie, że jeszcze dzień, i ruszę w dalszą drogę — wystarczyło jednak, bym pomyślał o trudach podróży przez pustynię, by odwlec ją o kolejny dzień czy tydzień.

W ten właśnie sposób przeżyłem leniwie prawie trzy miesiące, nim wreszcie stało się coś, co wyгнаło mnie z mego schronienia. Jeźdźcy pojawili się wczesnym rankiem – najpierw na horyzoncie zamajaczył mi kłęb kurzu i początkowo sądziłem, że zbliża się stado jakichś zwierząt. Wystarczyło jednak, bym wspiał się na drzewo, by wyraźnie dostrzec, że w stronę mojej osady ciągną dwie grupy – pierwsza z nich wyprzedzała drugą o jakiś kwadrans. Po jakimś czasie zacząłem rozróżniać kształty wędrowców i wyraźnie dostrzegłem, że pierwsza grupa składa się z jednego zaledwie podróżnika, jadącego na grzbiecie jakiegoś wierzchowca, w skład drugiej wchodzi natomiast przynajmniej sześć osób, również podróżujących wierzchem. Chwilę trwało, nim zrozumiałem, że pierwszy jeździec najwyraźniej ucieka przed pozostałymi. Nie mając pojęcia, kto i dlaczego rozpoczął pościg uznałem, że najbezpieczniej będzie skryć się gdzieś i poczekać na rozwój wydarzeń. Nie miałem szans zatrzeć śladów mojej obecności, wskoczyłem więc tylko do jamy, którą wykopałem w piasku na taką właśnie okoliczność, i przykryłem ją darnią tak, że nijak nie dało się jej dostrzec, ja sam zaś obserwować mogłem wcale wygodnie, co też się dzieje na górze. Na wszelki wypadek obnażyłem też Viperę, gotów dźgnąć nią każdego, kto odkryje moją kryjówkę i z bijącym sercem oczekiwałem, co się stanie.

Pierwszy z jeźdźców dotarł do oazy po niecałym kwadransie.

Dosiadał ogromnego, białego jak kość wierzchowca, który z pyska przypominał nieco konia, pokryty był jednak twardymi płytkami pancerza, a nad czołem wyrastał mu krótki, ostry róg. Gdy przybysz zeskoczył na ziemię i pochylił się nad jeziorkiem, by

napić się wody, nieszczęsny rumak zarżał cicho i zwałił się na bok, grzebiąc zadnią nogą w ziemi. Jeździec zaklął cicho w języku Imperium i wyprostował się na całą wysokość — a ja zobaczyłem wreszcie, że jest najwyraźniej Rycerzem Kryształowym. Miał krótkie, zmierzwione włosy, obcięte pod hełm, i powyginany, mocno nadwerężony półpancerz — część zbroi znacznie lżejszej, niż ogromne, zasilane Żywym Kryształem pancerze Imperium. Zakonnik był wychudzony i brudny, jakby jechał bez wytchnienia przez wiele dni, pewnie jednak trzymał się na nogach i gdy przybyli Astończycy, był już gotów do obrony.

Ścigający Rycerza zwierzoludzie dosiadali ogromnych jaszczurów o szerokich stopach, które nie poruszały się wprawdzie z taką gracją, jak biały wierzchowiec, nie zapadały się jednak w piasek i najwyraźniej znacznie mniej męczył je bieg przez pustynię. Cała szóstka miała na sobie kolczugi, okryła je jednak szerokimi, zwiewnymi szatami, by żelazne ogniwa nie nagrzewały się od słońca.

Głowy i twarze zabezpieczały im dziwaczne zawoje, spod których wзираły jedynie duże, lśniące oczy i szpiczaste uszy, ozdobione prostymi, okrągłymi kolczykami. Jeden z nich zagadał coś w gardłowej mowie Astonii, a Rycerz prychnął tylko i ujął mocniej ogromny miecz. Wówczas trzech zwierzoludzie zeskoczyli gładko na ziemię, dobywając szerokich bułatów, i rzucili się na człowieka, zasypując go gradem ciosów, z których część parował niezgrabnie, inne zaś starał się przyjmować na znoszoną płytę pancerza. Struchlały, obserwowałem morderczy taniec, toczący się tuż nad moją głową, i z trudem powstrzymałem okrzyk zgrozy, gdy jeden z Astończyków ranił Rycerza w ramię. Oczywiście, nie żywiłem miłości do synów Imperium, zaszczytu wojownik wywodził się jednak z mojej rasy, a ja nie potrafiłem wykrzesać w sobie sympatii dla osobników, którzy we trzech atakują jednego przeciwnika. Tymczasem, Rycerz zawył z furją, jakby wstąpiły w niego nowe siły, i mimo rany zasypał przeciwników gradem ciosów. Przywódca pościgu, wciąż siedzący w siodle, poruszył się niespokojnie, a walczący Astończycy zaczęli



się cofać — i przez kilka sekund miałem nadzieję, że człowiek zwycięży swych kocich prześladowców. Niestety, w chwili, gdy zaczynał brać nad nimi górę, nastąpił całym ciężarem na pokrywę z darni, pod którą się skryłem. Drewniany szkielet pękł z trzaskiem i wojownik zwałił mi się wprost na głowę, pozbawiając przytomności.

Kiedy się ocknąłem, panowała noc, a ja wznosiłem się i opadałem w rytm kroków ogromnego, wierzchowego jaszczura, przez grzbiet którego mnie przerzucono. Ręce i nogi skrępowano mi sznurem, cienkim wprawdzie, lecz na tyle wytrzymałym, by nie dało się go zerwać, a przy tym nieprzyjemnie wgryzającym się w skórę. W głowie huczało mi jak w ulu, wysuszony język przywarł do podniebienia, a powieki miałem opuchnięte, stwierdziłem zatem, że koci wojownicy musieli bez wahania wrzucić mnie na grzbiet zwierzęcia i zabrać z oazy, nie przejmując się możliwymi konsekwencjami upału. Przekręciłem się lekko i rozwarłem powieki — nade mną, na siodle, tkwił nieporuszony Astończyk, zawinięty w złoto — czarne szaty i osłaniający twarz zawojem, tak, że w świetle gwiazd widziałem tylko ciemną sylwetkę i ogromne, lśniące oczy.

Nie wiedząc, jak zareaguje, na próbę jęknąłem cicho, a wtedy kot spojrzał na mnie ciekawie, sięgnął do boku i przytknął mi do ust skórzany bukłak, pełen ciepłej wody, którą łykałem jednak łapczywie, jakby tryskała z krynicznego źródła.

Doszedłszy nieco do siebie rozejrzałem się po najbliższej okolicy, stwierdzając, że i Rycerz został pochwycony i przerzucono go, podobnie jak mnie, przez grzbiet jaszczura. Sześciu Astończyków, którzy prowadzili pościg, jechało teraz niespiesznie, jeden za drugim, zachowując absolutnie milczenie. Potem dopiero zorientowałem się, że wszyscy, poza jeźdźcem dosiadającym mojego jaszczura, spali w siodle, wyprawiając się bowiem często na pustynię do perfekcji opanowali sztukę maksymalnego wyzyskania możliwości wierzchowego jaszczura, który może iść bez wody i odpoczynku nawet przez dziesięć dni. Dlatego właśnie skrępowano nas tak dokładnie, by nie dać nam szans ucieczki gdy pilnujący nas kot zapadnie w sen. Tymczasem jednak nie zdawałem sobie sprawy z tego pustynnego obyczaju i uznałem Astończyków za naród milczków i ponuraków, dochodząc do wniosku, że Straceniec najpewniej opuścił kraj nie mogąc znieść towarzystwa gburowatych rodaków.

Przez chwilę obserwowałem jeźdźców, potem zaś zacząłem lustrować wzrokiem otoczenie. Pustynia lśniła srebrnym blaskiem, a w zasięgu wzroku nie było nic, co zakłócałoby jej monotonię – wokół wznosiły się grzbiety wydm i gdzieś tam widziałem ślady drobnych istot, które nocą wychodzą z kryjówek. Wreszcie, przeniósłem spojrzenie na niebo i po raz pierwszy od czasu wyruszenia spod skały, u stóp której roztrzaskała się moja szalupa poszukałem wzrokiem śladów floty Imperium. Nie ujrzałem jednak ani trójkąta Krążownika, ani śladu obecności okrętów i nagle poczułem się bezradny i opuszczony. M o j a niechęć do wyznawców Kryształu wcale nie zmalała, bliskość wroga znanego budziła jednak we mnie otuchę. Wiedziałem, czego spodziewać się po ludziach, Astończycy zaś byli dla mnie wielką niewiadomą. Od dziecka słyszałem, że są rasą tajemniczą, okrutną i wręcz ludożerczą, a to, że poznałem jednego z nich, wcale nie działało na ich korzyść, mój przyjaciel został bowiem z astońskich ziem wygnany. Tak oto, zaciskając ze złości szczęki i rozpamiętując haniebną pułapkę, którą zwierzkształny lud zastawił na Rycerzy Kryształowych, jechałem na spotkanie przyszłości, która znów rysowało się przede mną nader czarno.

Wędrówka przez pustynię trwała dobre pięć dni i tyleż nocy – nie zatrzymywaliśmy się przy tym ani na chwilę, nie pędziliśmy też na złamanie karku. Astończycy poili nas i karmili wąskimi paskami suszonego mięsa, obtoczonego w nieznanym mi zupełnie przyprawach. Z czasem okazali się rozmowniejsi i co jakiś czas przerzucali się komentarzami, których ni w ząb nie rozumiałem, nie zwracali się jednak bezpośrednio do nas. W ogóle, zdawali się nie zwracać uwagi ani na mnie, ani na Rycerza, z czego ten ostatni próbował skwapliwie skorzystać, zsuwając się drugiego dnia podróży z grzbietu jaszczura i rzucając się do ucieczki – nie mam pojęcia jakim sposobem pozbył się więzów na nogach. Dwóch Astończyków natychmiast pogalopowało za nim i gdy zbliżali się do zbiega, jeden z nich rzucił w jego stronę rozkręconym nad głową sznurem, na końcu którego znajdowała się pętla. Ta w mgnieniu oka zacisnęła się na szyi Rycerza, dławiąc go i obalając na ziemię. Astończycy podjechali do niego, zatoczyli łuk i, nie zwalniając ani na chwilę, pociągnęli na sznurze aż do naszego korowodu. Dopiero wówczas jeden z nich zeskoczył na gorący piasek, rozluźnił pętlę, od której zakonnik zupełnie już posiniał, po czym związał go i przerzucił przez grzbiet

wierzchowca. Rycerz nie próbował już więcej ucieczki, a mnie wszelkie o niej myśli w mgnieniu oka wywietrzały z głowy.

O świcie piątego dnia wędrówki krajobraz zaczął się zmieniać. Pustynia stawała się coraz bardziej skalista i gdzieś tam pojawiać się zaczęły kępy sztywnej, szarej trawy. Potem grunt wznosić się zaczął do góry i pojąłem, że dotarliśmy go masywu górskiego, którego zbocza, od lat chłostane pustynnym piaskiem, gięły się w fantastycznych kształtach. Jeźdźcy bez trudu odnaleźli ścieżkę i jaszczury pewnym krokiem ruszyły w górę, aż wreszcie znaleźliśmy się na wystrzępionej, żółtej grani i dane mi było spojrzeć na drugą stronę masywu. Widok ten kompletnie zaparł mi dech w piersiach, skały opadały bowiem stromo ku dolinie skrzącej się wszystkimi odcieniami zieleni i błękitu. Środkiem jej płynęła niesamowicie kręta, szeroka rzeka, której fale lśniły w promieniach słońca niby zwierciadło. Na obydwu brzegach porozrzucane były wioski, niewielkie skupiska białych domków, które z tej odległości wglądały jak drobiny piasku wśród wysokich traw. Nigdzie nie widziałem lasu — jak okiem sięgnąć rozciągały się pola, pastwiska i sady, w których trudzili się chłopci. Pośrodku tej rajskiej krainy wyrastało miasto, wielkie i niezwykle, skrzące się bielą ścian i czerwienią, złotem oraz lazurem dachów. Wybudowano je na planie ogromnej

spirali - centralny gościniec oplatał niczym wąż niezbyt strome wzgórze, biegnąc od położonej tuż nad rzeką bramy aż ku wzniesionemu na samym szczycie pysznemu pałacowi. Wzdłuż ulic tłoczyły się domy o płaskich dachach, okrągłe wieże, szerokie tarasy, niezliczone bazyry, kramy, sklepiki i lepianki, budowane najwyraźniej bez szczególnie przemyślanego planu, zdało mi się bowiem — choć przyznaję, że byliśmy jeszcze bardzo daleko — że piękne, białe pałace sąsiadują tu z ciemnymi chatynkami biedoty, co byłoby nie do pomyślenia we wszystkich krainach, które do tej pory odwiedziłem.

W każdym razie, miasto wydało mi się piękne i ludne, nim jednak dobrze się mu przyjrzałem, przywódca naszej grupy dał sygnał do odjazdu i ruszyliśmy ścieżką w dół zbocza, a ja straciłem metropolię z oczu.

Oglądana z bliska sielska dolina przestała robić na mnie tak sympatyczne wrażenie. Początkowo jechaliśmy wśród wysokich traw, które okazały się ostre i nieprzyjemne w dotyku, co jakiś czas mijając kompletnie nie zainteresowanych naszym przemarszem pasterzy. Im bliżej miasta byliśmy, tym więcej widziałem jednak wojennych zniszczeń. Część pól stratowano lub spalono, a wsie nosiły ślady pożarów i intensywnych walk. Nigdzie nie widziałem Rycerzy Kryształowych, choć wydawało mi się, że powinno być ich tu pełno, nie widać też było trupów, ani ludzkich, ani astońskich. Kiedy wjeżdżaliśmy do pierwszej wsi, drżałem, sądząc, że jej mieszkańcy zechcą wyrzucić na nas pomstę, byliśmy jednak kompletnie ignorowani i tylko dzieci przyglądały nam się ciekawie, gdy nasza grupa zatrzymywała się u studni, leżącej nieodmiennie w centrum osady. Miałem przy tej okazji szansę dokładnie przyjrzeć się życiu tutejszego chłopstwa i przyznaję, że zrobiło ono na mnie ogromne wrażenie. Oczywiście, pamiętałem, że niedawno przetoczyła się tutaj wojna, bieda jednak, którą widziałem wszędzie wokół, była dobrze zasiedziała, a w wynędzniałych obliczach wieśniaków widziałem wyraźnie, że przywykli do niedostatku. Białe, kwadratowe chatki były ledwie lepiankami, w których gnieździły się całe rodziny – matki, otoczone gromadką dzieciarni lub grupy dorosłych kotów w prostych, workowatych szatach i szaroburym turbanach. Na domiar złego przeważającą większość mieszkańców wioski stanowili starcy, wychudli mężczyźni o poszarpanych uszach i siwiejącym futrze i skurczone, okryte od stóp do głów kobiety, noszące na głowach ogromne, gliniane dzbany oraz dzieci, które biegały za nami rozwrzeszczane i półnagie. Sądziłem wówczas, że znakomita większość Astończyków w sile wieku zginęła podczas wojny i coraz bardziej bałem się o życie, pewny, że koty zechcą wziąć pomstę na każdym człowieku, który wpadnie w ich ręce. Jednocześnie współczułem tutejszym wieśniakom, nigdy bowiem, nawet w państwie Lodowych Elfów, nie zetknąłem się z nędzą tak przerażającą i niewytłumaczalną, okoliczne pola dawały bowiem obfite plony, chłopcy powinni więc opływać we wszelkie dostatki.

Po kilku dniach dotarliśmy do miasta, które zrobiło na mnie większe jeszcze wrażenie. Z daleka wyglądało na piękne i szczęśliwe, kiedy jednak jechałem jego ulicami, uderzało mnie, jak ostentacyjne wręcz bogactwo może sąsiadować w tak wielkiej bliskości z niewiarygodną nędzą. Oczywiście, miasto ucierpiało podczas wojny — co i



rusz widziało się zgliszcza spalonych domów oraz żałobne pochody, wyprawiające zmarłych w ostatnią drogę — jednak to nie wojenne zniszczenia tak mnie zaszokowały. Przede wszystkim okazało się, iż metropolia jest niewiarygodnie wręcz ludna - na głównej ulicy panował ogromny ścisk i gdy wspinaliśmy się mozolnie w górę wzniesienia wielokrotnie groziło mi uduszenie pod naporem dziesiątków ciał. Wisząc głową w dół na grzbiecie jaszczura nie miałem może szczególnie dogodnej do obserwacji tłumu pozycji, jednak nawet ze swego miejsca mogłem rozeznaczyć w nim dość dobrze, by zachłysnąć się różnobarwnością i różnorodnością cisnących się wszędzie Astończyków. Większość z nich nosiła się skromnie i prosto, w długich szatach, rozciętych na boku tak, by odsłaniać szerokie spodnie i kolorowych, spiętych broszą turbanach, z których wystawały szpiczaste uszy - nie brakowało jednak biedoty w obszarpanych szmatach, nachalnie domagającej się wsparcia, kradnącej po straganach i próbującej najać się do pracy. Pomimo ścisku sklepikarze wystawiali swój towar na straganach — większość domów, które mijaliśmy miała bardzo wąskie okna i nigdzie nie widziałem sklepowych witryn. Interesy załatwiano więc pod gołym niebem i kramy z rybami czy mięsem sąsiadowały tu ze stoiskami sprzedawców dywanów, handlarzy przypraw, którzy sypali ze swego towaru różnobarwne kopce na stojących wprost na ziemi talerzach, balwierzami, fryzującymi wprost na ulicy futro i szcztokującymi ogony czy tawernami, przed którymi, na poduszkach, rozsiadali się starzy Astończycy, garbiąc się nad planszą do kompletnie nieznanego mi gry. Co jakiś czas tłum ten rozstępował się niby cofająca się fala, drogą wędrował bowiem jakiś bogacz w długich rękawiczkach i złotym turbanie, chroniony przez grupy uzbrojonych w bułaty wojowników w kolczugach.

Jeśli na ulicy bogacze bez zenady mieszały się z biedotą, w dwójnasób stwierdzenie to odnieść można było do architektury miasta.

Tuż przy ulicy i nieco głębiej, w płątaniu ciasnych zaułków, w niebo wznosiły się pyszne, wielopiętrowe pałace o lśniących, białych ścianach, zdobionych mozaikami układanymi w fantazyjne kształty.

Okna takich domów były szerokie, dachy - płaskie i obsadzone roślinnością, a we wspartych o smukłe kolumny podcieniach czaili się zbrojni strażnicy. Tuż jednak

obok, nierzadko przyklejone do ścian pałacu, wybudowano nędzne lepianki i malutkie domki o wąskich oknach lub zgoła okien pozbawione. Uderzyło mnie przy tym, że większość domów nie ma tu drzwi, a ich rolę spełnia zawieszona w wejściu kotara lub koraliki, nawleczone na długie sznury, zupełnie, jakby przyzwoite zamknięcie było luksusem, na który pozwolić sobie mogą wyłącznie bogacze. Rychło jednak zdałem sobie sprawę, że Astończycy nie uważają wejścia do czyjegoś domu za naruszenie jego prywatności, nie robią jednak tego, gdy rzecz nie przynosi im korzyści. Brak drzwi odstrasza zatem wyraźniej, niż solidne futryny, mówi bowiem wprost – nie mam niczego, co warto ochraniać, możesz więc wejść, jeśli tylko masz ochotę. Być może dlatego właśnie wszystkie interesy, które robi się w Astonii, załatwia się albo w zaciszu pałacu, albo wprost na ulicy, stąd obfitość straganiarzy i ulicznych sprzedawców. Im dłużej jechałem przez miasto, tym



mocniej się mu dziwiłem, nie pojmując, dlaczego szlachta mieszka tu przez ścianę z biedotą i tak chętnie miesza się z pospolitymi ludźmi na ulicach, korzystając często z usług tych samych pucygonów czy zatrzymując się w tłumie obdartusów, by wraz z nimi oklaskiwać połykaczy ognia czy zonglerów nożami, stojących tu na każdym właściwie rogu. Kiedy mi to wreszcie objaśniono, poczułem się, jakby uderzył mnie grom – stąd oszczędzę wam na razie tej informacji i spróbuję bliżej zapoznać was z kulturą Astonii, a być może przyjmiecie prawdę z mniejszym zażenowaniem czy przestraczeniem.

Korowód nasz zaczął wędrowkę po mieście niedługo przed zachodem słońca, do miejsca przeznaczenia dotarliśmy jednak dobrze w nocy, posuwaliśmy się bowiem przez zatłoczone ulice w tempie łączy ślimaczym. Jeźdźcy zaprowadzili nas do ogromnej bramy jednego z białych pałaców, o przysadzistej, okrągłej wieży, którą trafić musiał niedawno armatni wystrzał, gdyż w jej murach ziała osmolona dziura.

Przejechaliśmy za bramę, na zadaszony, wykładany płytkami dziedziniec i tam dopiero jeźdźcy zrzucili nas brutalnie na ziemię i oddali jaszczury pod opiekę służących. Przez chwilę leżeliśmy na chłodnym kamieniu, słuchając tylko szumu fontanny, wszedłszy bowiem w progi domu wojownicy wymienili wysokie buty na miękkie pantofle o zakręconych noskach, w których poruszali się zupełnie bezszelestnie. W ogóle, zaskoczyła mnie panująca tu cisza – kiedy zamknięto bramy, gwar ulicy ustał jak ucięty nożem. Nie słyszeliśmy bezgłośnych kroków, nie brzmiały też rozmowy, co w pierwszej chwili złożyłem na karb wrodzonej małomówności Astończyków, o którą ich tak niesłusznie podejrzewałem. Mnóstwo czasu minęło, nim zorientowałem się, że dom, do którego przybyliśmy, pogrążony był w żałobie, nie grały w nim więc instrumenty, a służbie zakazano rozmów. Tymczasem, po dłuższym czasie jeźdźcy powrócili, przebrani już w stroje domowe, wszyscy jednak przy szerokich bułatach. Towarzyszyła im okutana w czarną szatę staruszka o siwiusieńkich włosach, poruszająca się jednak niezmiernie dostojnie, oraz młodszy od niej opasły mężczyzna w bogato haftowanym kaftanie. Wówczas dopiero ktoś rozciął nam więzy na nogach i siłą postawiono nas przed parą, którą uznałem za gospodarzy. Sześciu kotów otaczało nas z obnażoną bronią i zjeżonym futrem, starsza zaś kobieta podeszła najpierw do mnie, spoglądając mi w twarz, potem zaś do Rycerza, któremu spojrzała w oczy z zimną furią po czym nagle, gwałtownym ruchem, uderzyła go otwartą dłonią w twarz. Z jej palców wysunęły się ostre pazury, które głęboko przeorały policzek zakonnika, ten jednak ani drgnął.

Tymczasem głos zabrał grubas, przemawiając do sześciu młodych zwierzołudzi, którzy gwałtownie mu odpowiadali. Nie potrzebowałem znajomości języka, by w mgnieniu oka zorientować się, że gra idzie o nasze życie — starszy jegomość próbuje je ocalić, szóstka zaś młodszych aż pali się, by tu, na miejscu, poszatkować nas na plastry. W końcu autorytet starszego zwyciężył i zaprowadzono nas do ciasnego pokoju w na pół zwalonej wieży — pozbawiony był okien a za jedyny mebel służył tu gliniany dzban. Rozwiązano nam ręce – poczułem mrowienie, gdy wracać zaczęła do nich krew – wepchnięto brutalnie do środka i zatrzaśnięto solidne drzwi.

Zaległa nieprzenikniona ciemność, do wnętrza sączyło się bowiem tak mało światła, że nawet przywykły do mroku z trudem rozróżniałem kształt mojego współwładcy. Przez dłuższy czas trwaliśmy w milczeniu, w końcu jednak zdecydowałem się zacząć rozmowę, podpytując Rycerza o to i owo w jego rodzinnym języku. Sterując delikatnie rozmową udało mi się doprowadzić towarzysza mojej niewoli do przekonania, że jestem rozbitkiem który trafił na pustynię po dramatycznej bitwie na orbicie świata i na wszelki wypadek nie przyznałem się do dezercji, obawiając się, że fanatyczny zakonnik skrzyknąłby mi za to kark. Stopniowo rozwiązywałem mu w ten sposób język, aż wreszcie całkiem się rozluźnił i wdał w rozmowę, relacjonując mi wszystkie wypadki, które miały miejsce, odkąd opuściłem pokład Faistine. Sam Rycerz wiedział niewiele, trafił bowiem na powierzchnię świata w pierwszym kontyngencie, który miał zdławić opór niedobitków armii, która się z nami starła.

Imperium radziło sobie lepiej, niż świetnie, niewielu bowiem kotokształtnych, którzy — jak mi powiedział — sami mówią na siebie Ka-Dis, zdecydowało się stawiać opór.

Nie minęły dwa dni, a całe miasto było w rękach Imperium, komtur z Zakonu Ziemi, który dowodził ofensywą, zajął pałac tutejszego władcy, a Rycerze rozeszli się po domach wielmożów, zachowując się zgodnie z obyczajem zwycięzców – biorąc, co im się spodobało. Jeśli o towarzysza mojej niewoli idzie, w oko wpadł mu pałac, w którym obecnie się znajdowaliśmy, z pomocą więc Półbraci opanował go, wtrącił właścicieli do celi, którą teraz zajmowaliśmy, a ich córkę wziął sobie na służącą. Była ona podobno młodą i piękną kotką, o gibkim ciele i przyjemnym głosie, w końcu więc Rycerz zapalał do niej żądzą – kiedy jednak próbował wziąć ją, ta zaczęła wściekle bronić się pazurami. Wówczas zakonnik wpadł w gniew i chwycił za miecz, zabijając krnąbrną dziewczynę na miejscu, a potem zatknął jej głowę nad bramą, jak to jest w zwyczaju na świecie, gdzie się wychował. Dwa dni później do miasta dotarła wiadomość, że flota Imperium została pokonana w bitwie o Pawanę, że Imperator postradał życie, a wraz z nim zginęli Wielcy Mistrzowie Zakonów Ziemi i Ognia, że okręty poszły w rozsypkę i desperacko próbują uciec do domu. Rycerze wpadli w panikę, a wówczas miasto zaatakowali Astończycy, którzy do tej pory kryli się na pustyni. Było wśród nich sześciu braci zabitej przez mego współwładcy dziewczyny,

którzy napadli go i próbowali pozbawić życia, zdołał jednak wskoczyć na siodło i umknąć. I wszystko pewnie skończyłoby się dla niego pomyślnie, gdyby nie wpadł w moją zasadzkę, dokończył z pretensją w głosie, a ja z każdą chwilą czułem większe obrzydzenie do okrutnego zakonnika, wyobrażając sobie piękną i słodką dziewczynę oraz słuszny gniew jej braci.

Wysłuchałem opowieści Rycerza i zacząłem się nad nią zastanawiać, miałem bowiem wrażenie, że coś się w niej nie zgadza.

Przez dłuższy czas nie pojmowałem, na czym ta niespójność miałaby polegać, potem jednak uderzyło mnie z całą mocą, że sześciu wojowników nijak nie mogło być braćmi pięknej dziewczyny, wszyscy byli bowiem w tym samym wieku, mogła ich więc łączyć co najwyżej przyjaźń. Zadowolony ze swojej przenikliwości zakomunikowałem to współwięźniowi, ten zaś zaśmiał się ochryple i powiedział, że początkowo też tak sądził, ba, próbował się nawet z napastnikami układać. Ci jednak uparcie twierdzili, że łączą ich z dziewczyną więzy krwi oraz że wyczuli grożące jej niebezpieczeństwo, czuli jej ból i pustkę po jej śmierci. Nie pozostało mi nic innego, jak uwierzyć Rycerzowi, sprawa ta jednak nie dawała mi spokoju i dużo później upewniłem się, że rozwścieczeni wojownicy faktycznie byli braćmi zabitej. Astończycy nie rodzą się bowiem, jak wszystkie istoty, pojedynczo, lecz w miotach, liczących od trzech do ośmiu osobników — jeśli urodzi się tylko jedno dziecko, lub tylko jedno przeżyje, otacza je przez resztę życia powszechny lęk, mówi się bowiem, że wyssało życie ze swojego rodzeństwa. Astońska para może w ciągu całego życia dochować się kilku takich miotów, dzieci spłodzone przez tych samych rodziców, lecz w różnym czasie nie są jednak rodzeństwem i w ogóle nie uważają się za krewnych.

Miot pozostaje w domu rodziców do chwili osiągnięcia dorosłości, jedno z dzieci nie opuszcza go jednak nigdy, by na starość opiekować się ojcem i matką. W ten sposób pary, które dochowały się wielu potomków, dysponują za darmo całą grupą opiekunów.

Członków astońskiego miotu łączy więź bardzo szczególna — przez całe życie pozostają w bliskiej komitywie i opiekują się sobą nawzajem. Gdy kobieta chce wyjść za mąż, jej wybranek musi wykupić ją od braci, obsypując każdego z nich podarkami,

a gdy mężczyzna bierze sobie żonę, potrzebna mu do tego aprobata wszystkich sióstr. Mało tego — kiedy któreś z rodzeństwa jest w niebezpieczeństwie lub dzieje się z nim coś szczególnego, pozostali zawsze o tym wiedzą, choćby dzieliła ich od zagrożonej osoby nie wiedzieć jaka odległość. Oczywiście, jeśli któreś z rodzeństwa zginie, bracia i siostry mają obowiązek je pomścić, tak, jak bracia zabitej kotki mścili się na Rycerzu, schwytawszy go by stanął przed obliczem władcy i został osądzony. Astończycy szanują bowiem prawo i wystrzegają się samosądów, o ile odpowiednio wysoko postawiony możnowładca nie dał im przyzwolenia. W zasadzie więc, choć zostałem schwytany, nie groziło mi wówczas szczególne niebezpieczeństwo. Oczywiście, nie miałem o tym pojęcia, stąd dziwaczna miękkość, którą czułem w nogach, kiedy po niewiarygodnie długim czasie, którego nawet dziś nie jestem w stanie precyzyjnie określić ze względu na brak okien w naszej celi, poprowadzono nas przed oblicze sędziego. Zeszliśmy na dziedziniec pałacu, a tam dano nam czyste szaty, byśmy stanęli przed władcą właściwie odziani, i nakazano obmyć się, ponieważ lud Ka-Dis lubuje się w czystości. Potem sześciu Astończyków wsadziło nas na wierzchowe jaszczury, jakby nie obawiali się, że uciekniemy, i poprowadziło na ulicę. Zaskoczyło mnie, że wyruszamy o zmroku, nie miałem bowiem wówczas pojęcia, że Ka-Dis przesypiają zwykle dzień, życie prowadzą zaś po zachodzie słońca - przynajmniej tam, gdzie to możliwe, rolnicy muszą bowiem trudzić się za dnia.

Im wyżej się wspinaliśmy, tym bardziej zatłoczone były ulice i nasi strażnicy musieli głośno domagać się drogi, by rozstąpili się przed nami Astończycy podziwiający linoskoczka czy grupa prowadząca żywą dysputę na niewiadomy mi temat. Wreszcie jednak dotarliśmy do murów pałacu - jego szeroka, ostro sklepiona brama była otwarta i płynął przez nią ogromny sznur suplikantów, którzy pragnęli zanieść przed oblicze władcy jakiegoś rodzaju prośby.

Strażnicy przepuścili nas, nie zadając pytań - przez chwilę czekaliśmy na zatłoczonym, oświetlonym kulistymi lampami dziedzińcu, szybko jednak ktoś nas

wywołał i całą ósemką przebiliśmy się do jednego z niezliczonych wejść, znajdujących się w cieniu otaczającej dziedziniec kolumnady. Czekał tam na nas urzędnik w skromnych szatach, uzbrojony w rysik i tabliczkę do pisania, który rozmówił się z Astończykami i wskazał nam drogę, cały czas maszerując przed nami tyłem i kłaniając się w pas. Zrozumiałem więc, że młodzieńcy, którzy nas pojмали, cieszą się szacunkiem i z pewnością nie są byle kim — zwłaszcza, że niezliczone drzwi otwierano przed nami bez zadawania pytań. W końcu trafiliśmy do niewielkiego ogródka, gdzie, pod rozłożystym drzewem o włochatych liściach, tuż obok szumiącej fontanny, siedział szczupły, stosunkowo młody Ka-Dis w niewiarygodnie bogatych szatach. Strój jego aż skrzył się od złotych nici, na turbanie lśniły klejnoty, a na zakręconych noskach pantofli dźwięczały złociste dzwoneczki. Okrywał go udrapowany na jednym ramieniu płaszcz, wyszywany perłami w zawile wzory, a rękawy jego koszuli spinały obręcze ze szczerzego złota.

Dłonie skrywał w złoto — czarnych rękawicach, na znak tego, że nie musi bronić się sam. Otaczała go zresztą spora gromadka: kobieta w zwiewnych szatach, gibka kotka o ponętnych kształtach, rosły jegomość o pręgowanym futrze, odziany w kolczugę i wsparty na ogromnym bułacie oraz zgarbiony pisarz. Nie miałem wątpliwości, że jest to władca tej planety, niewiele myśląc padłem więc na kolana, podobnie jak nasi strażnicy, i jeden Rycerz został, wyprostowany jak struna.

Kot spojrział na nas z uśmiechem, pozwolił, by kobieta podała mu do ust kandyzowany owoc, który wyjęła ze złotej misy i przez chwilę trwaliliśmy w milczeniu a ja zastanawiałem się, jak zepsuty musi być władca, by nurzać się bogactwie, gdy większość jego poddanych cierpi straszliwą nędzę. W końcu władca skinął leniwie końcem ogona, na co pisarz natychmiast rzucił się do przyborów, a jeden z braci zaczął zdawać relację z celu naszego przybycia. Kot wysłuchał go w zamyśleniu, po czym zwrócił na nas lśniące, zielone oczy i zapytał w nienagannej mowie Imperium, co mamy na swoją obronę. Niewiele myśląc, rzuciłem się mu do stóp i zacząłem zdawać relację ze swych niedoli — opowiadałem, jak porwano mnie na statek Imperium i jak umknąłem z niego, by nie brać udziału w niesprawiedliwej wojnie, jak

błąkałem się po pustyni i przypadkowo dostałem się w ręce Astończyków, za co nie omieszkałem podziękować bogom.

Oddałem się następnie pod opiekę słuchacza, który przez cały czas przypatrywał mi się z autentycznym zainteresowaniem i odwołałem do jego miłosierdzia. Co tu dużo mówić – wygłosiłem oratorski majstersztyk, który musiał bardzo spodobać się kotu, słuchał bowiem w napięciu, zadawał pytania i na koniec rozczulił się nad moim losem. Odetchnąłem z ulgą, a możnowładca przeniósł wzrok na Rycerza. Ten wciąż stał wyprostowany, patrząc butnie, a potem w krótkich zdaniach opisał swoją zbrodnię. Nikogo za nią nie przeproszał, nie korzył się ani nie błagał łaski — najspokojniej na świecie opowiadał, dlaczego przybył do Astonii, o swoim powołaniu i Kościele, na koniec zaś, w akcie zapierającej dech w piersiach odwagi lub ślepego fanatyzmu, ostrzegł kota, że jeśli nie przystąpi dobrowolnie do Imperium, to samo się o niego upomni. Nie potrafiłem pojąć, dlaczego ktoś, kto potrafi zamordować niewinną dziewczynę, umie zdobyć się również na taką dumę i odwagę w obliczu śmierci, przyznam jednak, że postawa Rycerza zrobiła na mnie spore wrażenie i przez chwilę wstyd mi się zrobiło mojej tchórzliwej tyrady.

Tymczasem kot przez chwilę rzecz rozważał, potem zaś zeskoczył lekko ze swego miejsca i gestem kazał nam iść za sobą. Tak zaczęła się nasza pielgrzymka, całonocny masz, pod koniec którego ledwie trzymałem się na nogach, ślaniając ze zmęczenia. Młody Ka-Dis, którego wziąłem pochopnie za władcę tego świata, zaprowadził nas do niewielkiej komnaty, po sam sufit wypełnionej zwojami, które zastępują Astończykom księgi i tam padł na kolana przed jeszcze pyszniej ubranym, szarym kocurem, a następnie długo z nim mówił – jak się dowiedziałem później, relacjonował mu nasze zeznanie. Potem rozmawiali, przerzucając się anegdotami i cytując powiedzenia znanych mędrców, by tym głębiej rozpatrzeć nasz przypadek. Wreszcie szary kocur wstał i zaprowadził nas dalej – i tak stawaliśmy kolejno przed kilkunastoma sędziami coraz to wyższych szczebli, z których każdy usłyszeć musiał, z czym przychodzimy, po czym prowadził nas dalej, do coraz wy-stawniej ubranych i rezydujących w coraz bogatszych komnatach zwierzchników, których za każdym razem brałem za władcę. Jest bowiem, o czym w tak niezwykłych okolicznościach się przekonywałem, astońską



tradycją dzielenie urzędników, którzy sprawują władzę nad tym krajem, na ściśle szczeble i kasty. By sprawa dotrzeć mogła do uszu władcy, trzeba przedstawić ją kolejno wszystkim, którzy dzielą od niego suplikanta, każdemu wolno bowiem zanieść prośbę tylko o jeden stopień wyżej. Zazwyczaj droga ta trwa długie tygodnie, większość sędziów jest bowiem bardzo zajęta, my jednak sądzeni byliśmy w czasie wojennym, i władca, tytułujący się emirem, nakazał, by wszystkich schwytanych ludzi prowadzić wprost do niego.

Przed obliczem emira stanęliśmy wczesnym rankiem, gdy szykował się powoli do snu. Przyjął nas w półkolistej sali o ogromnych oknach, wychodzących na pałacowe ogrody. Marmurowa podłoga inkrustowana tu była złotem, na ścianach umieszczono gigantyczne mozaiki z drogich kamieni, zewsząd zwieszały się też jedwabne draperie. Władca okazał się niewyobrażalnie grubym, rudym kocurem w szkarłatnym turbanie ozdobionym złotą broszą, którego strój kapał wręcz od drogich klejnotów i kosztowności. Poza nami w przepysznej sali tłoczyła się setka zbrojnych w złoconych kolczugach i przy nadmetalowych bułatach, w których lśniły Kryształy, drugie tyle doradców i pochlebców i przynajmniej pięćdziesiąt ślicznych kotek o puszystych ogonach, które – przyodziane w skąpe stroje – podawały emirowi łakocie z kryształowych mis, wachlowały go i masowały. Najstarszy rangą sędzia zapowiedział nas, a kolejni urzędnicy podawali sobie tę informację z ust do ust, aż wreszcie dotarła do niskiego, bardzo starego wezyra, który wyszeptał ją do ucha władcy. Ten poruszył się, jakby dopiero teraz nas zauważył i powiedział coś cicho. Zabrzmiał szmer głosów, powtarzających informację, aż wreszcie kot, do którego zwracał się nasz sędzia, oznajmił, że mamy się zbliżyć. Całą grupą padliśmy na kolana i najstarszy sędzia wyłożył zgromadzonym sprawę, opowiadając długo, zawile, nie szczędząc ozdobników i posiłkując się rozlicznymi przypowieściami. G d y skończył, a mnie na dobre rozboleły kolana, zgromadzeni zaczęli debatować, spierać się i powoływać na mędrców — wszystko to trwało dobrą godzinę, podczas której emir nie wypowiedział ani słowa. W końcu jednak skinął dłonią, przywołał do siebie wezyra i przez chwilę mówił z nim szeptem, nim go wreszcie odprawił. Wezyr skłonił się wiele razy, zamiatając pręgowanym ogonem, i podszedł do naszego sędziego, powtarzając mu cicho słowa władcy. Rozpoczęliśmy wielogodzinną drogę powrotną, odprowadzając

każdego z urzędników w miejsce, z którego z nami wyruszył, gdzie powtarzał on cichcem sentencję wyroku następnemu w kolejności sędziemu. Wreszcie, około południa, dotarliśmy, skrajnie wycieńczeni, do ogrodu, w którym zaczęła się nasza peregrynacja. Kot wskoczył na swoje miejsce i najpierw zakomunikował coś sześciu braciom zabitej przez Rycerza dziewczyny, a potem zwrócił się do nas.

Choć wszyscy śłaniailiśmy się już na nogach, a w oczach nam ciemniało, Ka-Dis długo mówił o tym, że za każdą zbrodnię należy zadośćuczynić, opowiadając nam przy tej okazji o dwóch wieśniakach i wyschniętej studni, o chciwym wezyrze i pędach winorośli oraz o dwóch królach i dwóch labiryntach. Na koniec wreszcie spojrzął na Rycerza i oznajmił mu, że emir uznał go winnym zbrodni zabójstwa, która jest najcięższym z możliwych grzechów. Dodatkowo, ciąży na nim zarzut udziału w zbrodniczej Wyprawie Kryształowej, która pochłonęła życie wielu istot obydwu gatunków. Wszystkiego tego nie można wybaczyć, a za odebrane życie zadośćuczynić można tylko życiem, Rycerz zostanie więc stracony przez kata o zmiernychu, a jego odrąbana głowa wystawiona na widok publiczny. Usłyszawszy to wszystko zakonnik uśmiechnął się i odparł, że choć żał mu, iż w szale zabił dziewczynę, nie wstydzi się barw, które nosi, ani świętego zadania, którego się podjął, ofiara zaś jego życia zapewni mu trwanie w Kryształowym Raju.

Potem, nie zaszczycając mnie ani spojrzeniem, odwrócił się sztywno i dał odprowadzić zbrojnym gwardzistom. Tymczasem przyszła kolej na mnie i dowiedziałem się, iż sam urzędnik współczuje mi głęboko, podobnie jak wszyscy pozostali sędziowie. Usłyszawszy to, struchlałem, a po karku zaczęły biegać mi mrówki



— i gdy ogłoszono wyrok, padłem na twarz, roniąc łzy. Od tamtej pory wierzyłem, że wiem, co czuje skazany na śmierć, teraz jednak wiem, że to nieprawda. Słuchając słów młodego sędziego, które - skądinąd — miały nastawić mnie przychylnie, Astończycy uważają bowiem, że współczucie jest ważniejsze od udzielania pomocy, wciąż

trwałem w niepewności. Dopiero po latach usłyszeć miałem słowa, których tak bardzo bałem się wtedy — i wiem teraz, że dopada wówczas człowieka ten straszliwy spokój, gdy wie, że nic nie zdoła go już ocalić. Dlatego dziś, siedząc w celi i nasłuchując ciężkich kroków kata, mogę z takim opanowaniem oceniać wszystko, co mi się w życiu przydarzyło i zastanawiać się, w którym momencie przypieczętowałem swój los.

Wówczas jednak usłyszałem z ust kociego sędziego słowa co najmniej niezwykle. Poinformował mnie, że emir nie znalazł we mnie winy innej, niż to, że jestem człowiekiem, a więc przynależę do rasy, która tak podstępnie zaatakowała Astonię, przynosząc śmierć i zniszczenia. Oczywiście, nie jest to moim wyborem, muszę jednak za zbrodnię tę odpokutować – od tej pory miałem z woli emira stać się Astończykiem, respektować wszystkie tutejsze prawa oraz obyczaje i służyć krainie ludzi — zwierząt ze wszystkich sił przez tyle lat, ile spędziłem jako człowiek. G d y to usłyszałem, zakręciło mi się w głowie i padłem na twarz, płacząc jak bóbr. na poły z ulgi, na poły ze złości. Nie trzeba przecież było znajomości obyczaju, by zrozumieć, iż gruby kocur zakpił sobie ze mnie, a jego okrutny żart godził nie tylko w moją wolność, lecz i w to, czego – jak sądziłem — nie można mnie pozbawić. W moją tożsamość.



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

*w którym Marco odbywa zdumiewającą podróż po Astonii,*

*by wreszcie przekonać się, że los czuwa nie tylko nad nim.*

*Raija bint Abbas al - Sinni*



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Słowa młodego sędziego przebrzmiały, a ja wciąż nie miałem pojęcia, że oto zaczyna się najniezwyklesza przygoda mojego życia. Oczywiście, usłyszałem wyraźnie sentencję wyroku, poczułem nawet gniew i wzbierał we mnie powoli zamiar protestu, nagle jednak za moimi plecami wyrosli nie wiedzieć kiedy okryci kolczugami strażnicy, którzy chwycili mnie pod łokcie i siłą wyprowadzili z ogrodu, choć wierzgałem i wrzeszczałem co sił. Wywleczono mnie na szeroki taras, który okazał się płaskim dachem którejś z niższych partii pałacu. Tam strażnicy rzucili mnie na rozgrzane południowym słońcem kamienie — przez chwilę mrużyłem oczy, by przyzwyczaić je do blasku srebrzystego nieba i białego miasta, wreszcie jednak podniosłem się niepewnie i wówczas ujrzałem najbardziej makabryczny widok, jaki w życiu oglądałem. Wokół półkolistego tarasu, na złocistych pikach, zatknięto głowy — była ich dobra setka.

Patrzyły w stronę miasta pustymi, nie widzącymi oczyma, a na ich twarzach zastygł wyraz ponurej determinacji, dziwacznej ekstazy czy zwyczajnego przestrawu. Wszystkie bez wyjątku miały ludzkie rysy, choć tu i ówdzie zniekształcone już przez padlinożerne ptaki, i nie musiałem szczególnie wysilać intelektu, by domyślić się, że odrąbano je Rycerzom Zakonu Ziemi, którzy usiłowali podporządkować ten świat władzy Imperium.

Patrzyłem zatem na makabryczną pamiątkę inwazji i w głowie nie chciało pomieścić mi się podobne okrucieństwo — tymczasem na balkon wkroczyły kolejne osoby. Pierwszą z nich był drobnej postury Ka-Dis, niosący z wyraźnym wysiłkiem szeroki, płaski kamień, w którym widniało dziwaczne wyżłobienie. Za nim wkroczyło dwóch strażników, prowadząc spętanego sznurem Rycerza, którego skazano wraz ze mną. Pochód zamykał ogromny, niewiarygodnie mocno zbudowany, choć przy tym stosunkowo spasiony kot o czarnym jak noc futrze, który przyodziany był wyłącznie w karmazynowy turban, szerokie, białe szarawary i także pantofle. Na ramieniu niósł

obnażony bułat z nadmetal, o ostrzu płaskim i lśniącym, które podejrzenie przypominało mi tasak. Nie zważając na mnie kompletnie, strażnicy i Rycerz obeszlą cały taras wzdłuż zewnętrznej jego krawędzi, by zakonnik mógł spojrzeć w twarz wszystkim swoim zabitym braciom, a tymczasem kat i jego pomocnik ustawili kamień dokładnie pośrodku bielutkiej podłogi. N i m jednak rozpoczęła się egzekucja, zbrojni znów chwycili mnie mocno pod ramiona i dźwignęli w powietrze, najwyraźniej stwierdziwszy, że zobaczyłem już dość, by w pełni docenić wspaniałomyślność emira, który skazał mnie na wyrok tak łagodny. Wleczony do drzwi widziałem jeszcze, jak Rycerz staje wyprostowany tuż obok kota, który miał zadać mu śmierć, i bez słowa wpatruje się w słońce, po raz ostatni medytując nad naturą Kryształu. Potem zniknął mi z oczu na zawsze.

W ciemnej celi spędziłem raptem trzy dni, zastanawiając się w tym czasie nad istotą wydanego na mnie wyroku oraz astońską sprawiedliwością – i dziś mogę powiedzieć z pewnością, że w obydwu kwestiach myliłem się straszliwie. Po pierwsze, sądziłem, iż zmuszony zostanę do życia między Astończykami, respektowania ich praw oraz wykonywania poleceń władców – czyli stanę się częścią społeczeństwa tak, jak zostałem niegdyś barbarzyńcą z plemienia Chinua. O tym, jak bardzo jestem w błędzie, przekonać się miałem bardzo niedługo. Również i moje utyskiwania na niesprawiedliwość emira, który nie tylko wydaje niesłuszne wyroki, lecz i pławi się w luksusach, gdy jego poddani cierpią okrutną biedę, były z gruntu chybione. Oczywiście, zrozumiałem to znacznie później i początkowo nie chciało mi się to pomieścić w głowie, faktem pozostaje jednak, że w języku Astonii w ogóle nie istnieje słowo oznaczające „sprawiedliwość”. Nikt nie może być zatem potraktowany niesprawiedliwie, nie ma bowiem uniwersalnego kodeksu mówiącego, co się komu należy. Wszystkie wyroki i decyzje władców podejmowane są zgodnie z potrzebą chwili i osobistym wyczuciem, najważniejszym zaś przewodnikiem pozostaje dla nich poczucie zadośćuczynienia. Jeśli zatem kogoś skrzywdzono, obowiązkiem krzywdziciela jest mu to wynagrodzić, zależnie od jego możliwości, a gdy ktoś odczuwa gniew, ma pełne prawo szukać zemsty. Dlatego właśnie wydano na mnie tak dziwny wyrok, bym – jako człowiek – zadośćuczynił Astonii za najazd przedstawicieli mojej rasy. Mało tego, ten sam czyn był niekiedy uznawany za

występek, innym znów razem akceptowany i ceniony — przykładem niech będzie tu choćby kradzież, która bywa karana, gdy wynika z chciwości, lub tolerowana, kiedy złodziej uprawia swój proceder, gdyż inaczej nie zdoła wyżywić rodziny lub dla dowiedzenia swego sprytu i śmiałości.

Wszystko to nie mieściło mi się wówczas w głowie, gdziekolwiek bowiem przebywałem do tej pory, przestępców sądziło się wedle uniwersalnych praw, które mówiły wyraźnie, iż za niektóre czyny przewidziana jest kara i precyzyjnie określały jej rodzaj, nie pozwalając, by werdyktem kierowały emocje. Jest to, oczywiście, spadek, który pozostał nam po Lodowych Elfach, twórcach pierwszego i najbardziej znanego kodeksu, eliminującego z sali sądu wszelką litość, współczucie czy inne objawy słabości. Tak oto upadłe i umierające Cesarstwo wciąż oddziałuje na nasze życie — jeśli się bowiem nad tym zastanowić, gdyby nie te dumne, nieludzkie istoty oraz ich pęd do podporządkowania sobie Wszechświata, wszystkie nasze cywilizacje byłyby pewnie wciąż w powijakach. Piszę to z pełną



świadomością, choć wiem, że nie poparłby mnie żaden z moich rodaków, w Dziewięciu Miastach wierzy się bowiem, iż kultura nasza liczyła setki lat, gdy Cesarstwo było jeszcze młode.

Wszystkie te dywagacje - zadziwiające, jak bardzo oczekiwanie na wykonanie wyroku pobudza człowieka do myślenia — przerwano mi trzeciego dnia, kiedy to, wraz ze zmiernym, drzwi mojej celi otworzyły się i uzbrojeni strażnicy znów powlekli mnie przez niezmierny labirynt pałacowych korytarzy. W końcu postawiono mnie znowu przed obliczem emira — tym razem bez pośrednictwa armii biurokratów, gdyż na wyraźne jego polecenie.

Władca spoczywał na miękkich poduchach, otoczony - jak zawsze - przez ponętne, skąpo odziane kocice oraz wianuszek obwieszonych klejnotami dworzan w złocistych turbanach, a u jego stóp siedział stary wezyr. Kiedy strażnicy rzucili mnie brutalnie na posadzkę - jak sądzę, by mieć pewność, że przyjmę przed obliczem emira odpowiednio unizoną postawę — wezyr podniósł się i zaczął długo oraz zawile przemawiać, gładząc co jakiś czas wąsy. Trwałem więc na kolanach, z czołem przy ziemi, na samym środku wyobrazonej na podłodze, czerwono - złotej gwiazdy, niepewny, co się ze mną stanie i co jakiś czas popatrywałem na władcę, w którego oczach lśniły złośliwe ogniki. W końcu wezyr skończył przemowę i z tłumu dworzan wysunął się starszy jeszcze i daleko bardziej pomarszczony Ka-Dis, który prawił o czymś w nieskończoność, a ja, czując, że chwyta mnie skurcz, uznałem, że najważniejszą sztuką, którą opanować musi tutejszy dworzanin jest nieokazywanie znudzenia, wszyscy bowiem wyglądali na żywo zainteresowanych. Potem, kiedy dobrze już zrozumiałem kulturę Astonii, odkryłem z zaskoczeniem, że dworaków faktycznie interesowało, co starcy mają do powiedzenia. Nie dość bowiem, że w krainie tej panuje niesamowity wręcz kult mądrości, to jeszcze ta przemycana jest zawsze w przypowieściach i alegorycznych historyjkach, które bywają bardzo zajmujące i niezmiernie zabawne.

W końcu jednak męczarnie wysłuchiwanie długich przemów w języku, którego zupełnie nie rozumiałem, skończyły się. Emir niedbale skinął dłonią i z tłumu wystąpił kot o śnieżnobiałym futrze znaczonej czarnymi jak noc pręgami i dziwacznych, niebieskich oczach. Bez słowa skłonił się nisko, zamiatając podłogę końcem długiej szarfy, którą był przepasany, po czym wyjął gdzieś z przepastnej pazuchy przedmiot, którego przeznaczenia wówczas się nie domyślałem, dziś jednak wiem, że był lampą oliwną. Obiekt wykonany był bez wątpienia z wysokiej próby nadmetal i połyskiwał w nim Kryształ, domyśliłem się więc, że służy do czynienia magii. Ledwie to pojąłem, czarownik zaczął pocierać lampę mankietem i mruzczyć pod nosem zaklęcia, które najwyraźniej pomagały mu skupić magiczną energię, poczułem bowiem na twarzy uderzenie wiatru i płomień wszystkich umieszczonych w sali świec zakołysały się gwałtownie. Powietrze wokół maga zaiskrzyło i uformował się w nim lśniący nimb, otaczający jego postać. Potem rozległ się huk, gdy zewsząd - z



sufitu, pomiędzy kolumn, z mozaik i zza okien uderzyły błyskawice, jednocześnie godząc w otaczający czarownika krąg światła. To rozjarzyło się tak mocno, że musiałem zakryć oczy dłonią, po czym raptownie znikło, wessane przez magiczną lampę. Przez chwilę wokół trwało milczenie tak straszne, że aż dzwoniło w uszach, potem lampa eksplodowała światłem, którego główny strumień uderzył we mnie. Wokół zapachniało wyładowaniem, a strumień energii porwał mnie do góry.

Nie wiem dokładnie, co się działo, byłem bowiem zbyt oszołomiony rozbłyskiem, by cokolwiek zapamiętać z magicznego procesu. Gdy wróciła mi świadomość, leżałem znów na podłodze, a sala skąpana była w półmroku — a przynajmniej tak mi wydawało, gdyż przed oczyma latały mi wciąż kolorowe plamy. Nie rozumiałem co się stało, czułem się jednak dziwacznie, w niemożliwy do sprecyzowania sposób i dopiero, gdy spróbowałem się podnieść, pojąłem co mi się przydarzyło. Kątem oka spojrzałem na swoje dłonie i z przerażeniem pomieszanim z niedowierzaniem stwierdziłem, że porasta je krótkie futro w barwie pustynnego piasku. Zrozumiałem, że za sprawą magicznej mocy przemieniono mnie w Astończyka.

Magia Astonii jest równie niezwykła, jak cała ta kraina, i równie mocno zdaje się przeczyć prawom natury, choć — z drugiej strony — sami zwierzoludzie uważają ją za rzecz zupełnie naturalną i na widok czyjegoś zdziwienia tłumaczą mu łagodnie, że w przyrodzie wszystko podlega ciągłym zmianom. Wyposażony w swą lampę czarownik potrafi przekształcić się w dowolną żywą istotę, przyjmując kształt zwierzęcia, przedstawiciela innej rasy, a nawet potwora, lub odmieniając się znacznie subtelniej, by ująć sobie lat czy przydać sił. Zazwyczaj taki efekt mag może zastosować wyłącznie względem samego siebie, najpotężniejsi jednak rzucić mogą zaklęcie również na inne istoty — tak, jak przytrafiło się to mnie.

Szczęśliwie, zaklęcie nigdy nie trwa wiecznie, choć w pierwszej chwili sądziłem, że już na zawsze pozostanę uwięziony w kocim ciele.

Gdy strażnicy unieśli mnie za łokcie i powlekli w stronę wyjścia, tłusty emir zaczął delikatnie chichotać i po chwili cała sala radośnie śmiała się z mojego nieszczęścia, a ja zacząłem — zupełnie nieświadomie — prychać ze złości i wysunąłem nawet pazury,

choć nie mam pojęcia, jak tego dokonałem. Tymczasem gwardziści pozwolili mi stanąć na nogi, a ja natychmiast runąłem do tyłu. Podniosłem się ostrożnie, tym razem wiedząc już, jak złapać równowagę i przez chwilę uczyłem się, jak stać prosto pomimo wystającego z miejsca, w którym kończy się szlachetna nazwa pleców, puszystego ogona. Potem poprowadzono mnie do niewielkiego ogródka, gdzie przywitał mnie znany mi już młody sędzia. Przemówił w języku Imperium zapewniając, że bardzo cieszy się z mojej przemiany, a potem zwrócił Viperę i wszystkie moje rzeczy, dokładając jeszcze skromny strój złożony z długiego do kolan, żółtego kaftana, szerokich szarawarów, sandałów oraz turbana. W końcu poinformował mnie, że wolą emira jest, bym wziął udział w pracach



nad obudową miasta i że strażnicy odprowadzą mnie do nowego domu. Na tym moja tułaczka po pałacu władcy skończyła się — ani się obejrzałem, a już prowadzono mnie zatłoczonymi ulicami, na których wzbudzałem nieliczne zainteresowanie ekscentrycznym strojem, odziany bowiem byłem wciąż w szaty sługi z Imperium Kryształowego.

Mieszkania robotników, gdzie mnie zaprowadzono, były maleńkimi, glinianymi domkami o podłodze wykładanej trzcina, jednoizbowymi i pozbawionymi okien, do którego światło wpadało przez przesłonięte kotarą wejście. Za całe umeblowanie starczyć mi miała prosta prycza, niski stolik, gliniany dzban i drewniana szafka — nie było tu nawet krzeseł, tylko kolorowe poduszki.

Oczywiście, zasłonięte drzwi nie przepuszczały wiele światła, odkryłem jednak, że moje nowe ciało znakomicie widzi w ciemności.

Gwardzista zaczekał uprzejmie na zewnątrz, aż się przebiorę, co zajęło mi dłuższą chwilę, z nieustającym zdumieniem oglądałem bowiem moje nowe kształty — wąskie dłonie, z palców których wysuwały się pazury, szpiczaste, sterczące do góry uszy, puszysty ogon, który wydawał się żyć własnym życiem i miękkie futro o barwie

piasku, które porastało mi nawet twarz. Ubranie się nastręczyło mi nie lada problemów, nie potrafiłem bowiem samodzielnie zawiązać turbana, ani — co gorsza — trafić ogonem w otwór w spodniach. Tymczasem szok związany z przemianą mijał i powoli zacząłem zdawać sobie sprawę, że w ciele Astończyka spędzę — zgodnie ze słowami sędziego — przynajmniej tysiąc i jedną noc, po którym to czasie zaklęcie rzucone zostanie ponownie. Im dłużej zmagalem się z własnym ciałem, tym większą czułem gorycz, przerażenie i złość — w końcu złapałem nawet niepokorny ogon w garść i dobyłem Vipery, by go co rychlej odrąbać. Wówczas jednak szabla zadrżała i — kierowana jakimś przewrotnym poczuciem humoru — powoli przekształciła się na podobieństwo astońskiego bułata. Cisnąłem zdradziecką broń w kąt i, niewiarygodnie rozgoryczony, wyszedłem z domku.

Strażnik odstawił mnie na plac budowy i oddał w ręce tamtejszego majstra, objaśnwszy, skąd przychodzę — obaj chichotali przy tym pod nosem. Ja tymczasem rozejrzałem się po okolicy, dostrzegając przynajmniej dwie setki robotników, trudzących się w miejscu, gdzie niedawno jeszcze stać musiał pałac, spalony najpewniej przez Rycerzy Kryształowych i zburzony do gołej ziemi. Z ciekawością patrzyłem, jak podają sobie duże bloki kamienia oraz niewielkie, brązowe cegły, biegają po rusztowaniach i z gracją wspinają po linach, niosąc na plecach kosze pełne budulca, podczas gdy inni, najpewniej obdarzeni większym talentem, cyzelują w kamieniu delikatne zdobienia. Obserwacje moje nie trwały jednak długo, bo już po chwili majster, mocno zbudowany kot o płaskiej głowie i krótkich uszach — to niezwykle, że w tej postaci natychmiast zwróciłem na to uwagę — wepchnął mnie na moje miejsce wśród robotników. Resztę nocy spędziłem, taszcząc obrobione bloki kamienia, z których konstruowano szeroką wieżę.

Od tej pory wszystkie moje dni wyglądały tak samo — ledwie słońce zaczynało zbliżać się do horyzontu, wyrwał mnie z pryczy, gdzie w snach widziałem się wciąż w ludzkiej postaci, przenikliwy gwizd nadzorcy. Następnie posiłkiem miłą smaku o ostrym, lekko słodkawym smaku, krzepiłem kubkiem wody, a potem do utraty tchu biegałem podczas odbudowy tego, co zniszczyli przedstawiciele mojej rasy. Z każdym dniem bardziej bolał mnie grzbiet, ręce mi twardniały, a nogi niosły z coraz większym

trudem, w dodatku cierpiałem ogromne katusze, z morderczą regularnością przytrzaszkując sobie czymś ogon. Szczęśliwie, podstuchując pozostałych robotników i coraz częściej wdając się z nimi w pogaduszki zacząłem porozumiewać się w języku astońskim, bez nadmiernej wprawdzie finezji, lecz w sposób zrozumiały. Od robotników dowiedziałem się, że wszyscy pochodzą z najniższej kasty, czyli spoza urzędników, i że stawili się do pracy na rozkaz emira, tak bowiem stanowi tutejsze prawo. Zdumiało mnie przy tym, że w zwyczajnej rozmowie tak często powołują się na imię swojej bogini, brzmiące Ila - co i rusz, tłumacząc mi coś, robotnicy wtrącali twierdzenia w rodzaju „jeśli Ila pozwoli” czy „za sprawą Ili”, co intrygowało mnie do tego stopnia, że wreszcie o to zagadnąłem. Dowiedziałem się zatem, iż tutejsi wierzą, że bogini kieruje wszystkim, co się dzieje na świecie, nadmierna zaś pewność co do przyszłych wydarzeń mogłaby ją obrazić, zaś przypisywanie sobie zasług zdradzałoby butę. Nic bowiem, co się stało, co się dzieje i co się stanie, nie zajdzie bez woli i wsparcia bóstwa.

Bogini Ila jest w Astonii obecna na każdym kroku — tutejsi bezustannie się na nią powołują, wszystko przypisują jej ingerencji i nieomal odmawiają samym sobie wolnej woli, z której jako człowiek jestem tak dumny, ufając, że nic nie dzieje się bez jej namysłu. Religia ta jest tak wszechogarniająca i przejawia się w tylu dziedzinach życia, że dziś z trudem przychodzi mi przedstawienie jej w możliwie prostych słowach. Nie ma zatem w Astonii niczego, co nie zrodziłoby się z wiary i jej nakazów — nawet przywiązanie do przyjemności, charakterystyczne dla ludu Ka-Dis, wywodzi się z przykazania dbałości o ciało, które jest przecież dane przez boginię. O ile dobrze rzecz pojmuję — a mimo lat spędzonych wśród tego ludu wciąż nie jestem tego pewien - religia tamtejsza zakłada, iż po śmierci Astończyk przenosi się do raj, gdzie żył będzie wiecznie, całe więc doczesne życie podporządkowane jest perspektywie wieczności. Oczywiście, tak samo dzieje się w Imperium Kryształowym, co jednak odróżnia Astończyków od ponurych Rycerzy to fakt, iż wedle doktryny Imperium na wieczność należy sobie zapracować, doskonaląc duszę, wedle zaś zwierzołudzi jakość życia po śmierci zależy od tego, jak dobrze było się postrzegającym przez otoczenie. Dlatego każdy dba tu bardzo o pozory i pragnie uchodzić za osobę szczodroliwą, łagodną, mądrą i piękną, cieszyć się podziwem oraz oddaniem — dlatego właśnie

młody sędzia tak bardzo podkreślał, że współczuje mi wyroku, bym nie obarczył go odpowiedzialnością i nie uznał za nikczemnika, zagrażając tym samym wiekuistemu szczęściu.

Tymczasem, gdy ja zgłębiałem zawilóści tutejszej kultury i teologii, przekazywane mi przez osoby nieuczzone, budowa nasza zbliżała się do nieuchronnego końca. Gdy minęły trzy miesiące – a więc pierwsze dziewięćdziesiąt dni mojego wyroku – majster obwieścił, że oto nasze dzieło jest skończone i pracę kontynuować mają jedynie artyści, upiększający odbudowany pałac. Następnie odprawił nas wszystkich do domów — i gdy udałem się do swojej lepianki, odkryłem, że moje rzeczy ułożono już przed wejściem, a inna zgoła grupa robotników burzy gliniane domki, które – wraz z odejściem zaangażowanych w pracę – przestały być potrzebne.

Przerażony, zapytałem któregoś z nich, gdzie mam się podziać, a on spojrzał na mnie jak na raroga i zapytał, czym się trudnię. Gdy nie potrafiłem odpowiedzieć na to pytanie, zachnął się tylko i wrócił do pracy, a ja zostałem na bruku, na własnej skórze poznając kolejne z tutejszych dziwactw. W Astonii nie ma bowiem, jak się okazało, prywatnych budowli — wszystko należy do państwa i zasiedlane jest przez osoby, które akuratnie w danym miejscu powinny zamieszkać. Zawód wiąże się więc ściśle z kwaterunkiem i inaczej wygląda dom sprzedawcy dywanów, inaczej zaś sędziego czy wezyra. Zmieniając zajęcie, Astończyk przenosi się do innego domu – obszerniejszego, jeśli jego pozycja wzrosła – i może zatrudniać inną ilość służby, jeśli, oczywiście, należy do urzędników, którym służących wolno posiadać. Ja tymczasem pozbawiony byłem zajęcia, a więc i dachu nad głową, nie pozostało mi więc nic innego, jak powlec się ulicą w poszukiwaniu jakiegoś schronienia.

Tak rozpoczął się najbardziej żalorny okres mojego życia. Ileż razy w ciągu kolejnych miesięcy starałem się zostać przyjętym pod jakiś dach — zawsze z tym samym skutkiem! Każdy zagadnięty przeze mnie Astończyk uprzejmie słuchał mojej opowieści, czasem obdarowywał mnie nawet drobnymi pieniędzmi czy fundował posiłek, zawsze współczuł i wyrażał żal, nie zapraszając jednak do siebie. Kilka razy próbowałem wejść do pozbawionego drzwi domu, lecz za każdym razem jego mieszkańcy uprzejmie mnie wyprasali, wysłuchawszy uprzednio mojej historii i

powzdychawszy gromadnie nad moim nieszczęściem. Raz, gdy próbowałem być bardziej stanowczy, wyrzucono mnie siłą. Podkuliwszy ogon, haniebnie wówczas uciekłem, by uniknąć zawleczenia do pałacu, przed oblicze któregoś sędziego. Oczywiście, próbowałem imać się jakiś zajęć, za słabo poruszałem się jednak w niuansach tutejszej kultury, by przyjęto mnie na służącego, jako pucyogon w ogóle nie potrafiłem sobie poradzić i jedyne, co mi wychodziło, to popisy z Viperą na rogach ulic. Rychło odkryłem, iż większość sztukmistrzów to, tak jak ja, zakamuflowani żebracy, którzy w najlepszym razie spiąją po zajazdach, na co rzadko było mnie stać. N i c więc dziwnego, że w dzień kryłem się po zaułkach, unikając miejsc, w których mógłbym wpakować się w kłopoty, i trzymając się z dala od innych żebraków, zazdrośnie strzegących miejsc dziadowania oraz kryjówek.

Wszędzie byłem nowy, obcy i niemile widziany, choć nawet wśród uliczników niechęć maskowano nienaganną uprzejmością. Tymczasem moje ubranie wystrzępiło się i zmarniało, futro straciło połysk, ogon przestał być aż tak puszysty — słowem, im dłużej koczowałem po ulicach, tym gorzej się miałem. Nic więc dziwnego, że obejrawszy raz moje wynędzniałe oblicze w wypolerowanym mosiężnym talerzu, stojącym na którymś ze straganów, podjąłem decyzję o zajęciu się złodziejstwem.

Nie chciałyby, byście zrozumieli mnie źle – byłem i jestem szlachcicem i głęboko brzydzę się pospolitym rabunkiem, musicie jednak wiedzieć, iż w Astonii złodziej jest osobą o zgoła niecodziennym statusie. Oczywiście, trafiają się i tu zwyczajni grabieżcy, którzy kradną dla łatwego zysku czy z czystej chciwości, najczęściej jednak kradzież ma tu służyć popisowi sprytu i zręczności, które to cnoty lud Ka-Dis ceni ponad wszystkie inne. Nie jest sztuką ukraść ciastko ze straganu — i jeśli uczyniłeś to z głodu, nikt cię tu ścigał nie będzie. Szanujący się złodziej kradnie wyłącznie przedmioty jedyne w swoim rodzaju, pilnie strzeżone i przechowywane w miejscach, do których trudno się dostać. Podczas tak śmiałego przedsięwzięcia wykazać się musi przemyślnością i zwinnością, by niepostrzeżenie wnikać do skarbcza i, przechytrzywszy strażników, wymknąć się z tym jednym, jedynym skarbem. Oczywiście, gdy złodziej zostanie schwytyany na gorącym uczynku, sądzi się go, jak każdego innego przestępcę, jeżeli jednak zdoła ujsć, wolno mu potem obnosić się ze

zdobyczą, a okradziony właściciel — wobec tak widomego pokazu łask Bogini oraz niezwykłych talentów włamywacza — może co najwyżej zgrzytać ze złości zębami. Gdy usłyszałem o tym obyczaju, z miejsca pomyślałem, że oto otwiera się przede mną szansa na zdobycie szacunku i prestiżu, moje nowe ciało było bowiem gibkie i zręczne, a do naturalnie cichego chodu Ka-Dis mogłem dodać umiejętności, które w dzieciństwie wpoił mi wuj. Ziarno zamysłu, które zakiełkowało w mojej duszy, przez jakiś czas trwało uśpione, potem jednak zaczęło rosnąć, aż wreszcie wydało owoc — wybrałem jeden z bogatych pałaców, należących do wysokiego urzędnika, i postanowiłem zakraść się do jego skarbcza.

Zabrałem się do rzeczy pieczołowicie, by nie żałować potem znowu, iż porwałem się na coś zbyt pochopnie. Rozpocząłem zatem od obserwacji, a że mój nędzny wygląd upodobniał mnie do żebraka, zająłem miejsce na rogu naprzeciw pałacu i pilnie wpatrywałem się w każdy szczegół jego konstrukcji. Noc mijała mi wyjątkowo powoli, a ja coraz lepiej poznawałem rozstawienie strażników, dogodne do wspinaczki miejsca, układ okien i zwyczaje właścicieli, którzy co jakiś czas pojawiali się w polu widzenia. Niedługo przed nastaniem świtu uznałem, że jestem gotowy i, wsłuchany w oszalały łomot swojego serca, starałem opanować się na tyle, by rozpocząć zuchwałą kradzież. I wtedy, gdy właśnie miałem opuścić mój punkt obserwacyjny, usiadła obok mnie dziewczyna. W jednej chwili owiała mnie woń jej perfum — odsunąłem się, zaskoczony oraz nieco zażenowany moim zaniedbaniem, i spojrzałem na osobę, która tak bezceremonialnie sadowi się obok żebraka. Z wrażenia zaparło mi dech — była niewiarygodnie wręcz piękną kotką o długich, smukłych, regularnych uszach, pięknym, złocistym futrze oraz dużych oczach w barwie bursztynu. Nosiła wprawdzie prostą, długą sukienkę, która podkreślała gibkość jej ciała, oraz zwyczajną, żółtą tunikę, nie miałem jednak złudzeń — była z pewnością kimś bardzo



wysoko postawionym. Na widok mojej konsternacji uśmiechnęła się tak, że aż zadrżał mi od tego koniuszek ogona, i zapytała, czy to ja jestem Marco di Mirandeo, człowiek przemieniony w Astończyka. Przytaknąłem, i już po chwili zatopieni byliśmy w rozmowie, podczas której moim niezbyt finezyjnym astońskim, którego prostactwo co jakiś czas budziło perlisty śmiech kotki, starałem się opowiedzieć o wszystkim, co widziałem poza granicami jej ojczyzny. Raija, takim bowiem imieniem się przedstawiła, chłonęła wszystko z niekłamana fascynacją, co jakiś czas zadając pytania, na które trudno mi było odpowiedzieć. Po raz pierwszy jednak od niemal roku ktoś ze mną rozmawiał, uczepliłem się więc kurczowo tej konwersacji, nie pozwalając dziewczynie odejść, póki nie zastał nas zmierzch. Wówczas podniosła się i skinęła mi na pożegnanie prosząc, bym spotkał się z nią w tym samym miejscu na godzinę przed świtem.

Tak właśnie z mojej głowy ulotniły się myśli o karierze złodzieja, czemu — jak sądzę — zawdzięczam fakt, że zamiast cieszyć się długim życiem w odległej Astonii siedzę dziś tutaj, nasłuchując, czy już idzie po mnie mistrz małodobry. Wówczas jednak długo błąkałem się po ciasnych zaułkach, błędząc wokół nieobecny wzrokiem i co rusz wpadając na kogoś. W końcu podjąłem decyzję. Dzień ten spędziłem w wygodnym łóżku zacnego zajazdu, wydając na to bodaj połowę pieniędzy, jakie udało mi się dotychczas zgromadzić. Kiedy tylko nastał zmierzch, wyszedłem na ulicę, syty i zadowolony, by oddać się w ręce fryzjera, który natarł moje futro wonnościami i przystrzygł je tam, gdzie trzeba, w czasie, gdy jego pomocnik szczotkował mój ogon. Reszkę pieniędzy wydałem na nowy turban oraz elegancki pas, kiedy więc stawiłem się na miejscu o oznaczonym czasie, wyglądałem dwa razy lepiej, niż dnia poprzedniego. Piersi rozpierała mi radość, czułem się — po raz pierwszy od dawna — dumny, szczęśliwy oraz zadowolony z siebie, szedłem więc ulicą podpierając się pod boki. Co jakiś czas przystawałem tylko przed kramem z talerzami lub lustrami, by rzucić okiem na swoje odbicie i utwierdzić się w przekonaniu, że czarodziej, który mnie przekształcił, nadał mi rysy wcale przyjemne, a przy tym dość szlachetne, w ulotny sposób przywodzące na myśl moją ludzką fizjonomię. Im bliżej byłem miejsca, w którym umówiłem się z Raiją, tym mocniej łomotało mi serce — a pod pół-



przymkniętymi powiekami widziałem już jej smukłe uszy i głębokie, bursztynowe oczy.

Ledwie jednak dotarłem na miejsce, natychmiast pojąłem, że coś jest nie tak. Ulica była nieco mniej, niż zwykle zatłoczona, a w powietrzu unosił się aromat niebezpieczeństwa, od którego jeżyła mi się sierść na karku. Gdybym miał choć trochę oleju w głowie, przycisnąłbym się i nie ujawniał, zbyt mocno gnało mnie jednak wspomnienie pięknej kotki, nie zważając więc na nic stanąłem w wyznaczonym punkcie. W chwilę później otaczał mnie już mur strażników w lśniących kolczugach i turbanach zakrywających twarze — ich dowódca zdecydowanym tonem nakazał mi udać się z nimi do pałacu. Poczułem się, jakby ktoś uderzył mnie buzdycanem w brzuch i jeśli nawet przez głowę przemknęło mi, by dobyć Vipery, myśl tę natychmiast przywalił ogrom rezygnacji. Wbiłem wzrok w ziemię i powlokłem się, spuściwszy smętnie uszy, czując w żołądku i sercu dziwną pustkę. Czas przestał dla mnie płynąć, więc nawet nie spostrzegłem, dokąd się mnie prowadzi — widziałem tylko progi kolejnych drzwi pałacu oraz ginące gdzieś w tyle rozmaite wzory na posadzkach. W końcu jednak jeden z gwardzistów mocno zacisnął mi dłoń na ramieniu i zrozumiałem, że przyszedł czas uklęknąć. Dopiero teraz podniosłem wzrok, w mig orientując się, że oto znowu przyprowadzono mnie do niewielkiego ogrodu, gdzie na kamiennej ławce siedzi młody sędzia, który kiedyś przekazał mi wyrok emira. Jak zwykle otaczała go trzysobowa świta: strażnik, pisarz i dziewczyna podająca owoce, tym razem jednak na ławce towarzyszyła mu kobieta w przebogatej, złotej sukni o szerokich, naszywanych klejnotami rękawach, owinięta nadto malowaną w cudowne wzory chustą. Choć zwyczajem kobiet wysoko postawionych twarz kryła pod szkarłatno — czarnym zawojem, wystarczył mi jeden rzut oka na jej smukłe uszy i bursztynowe oczy, by pojąć, że klęczę przed Raiją. Ta tymczasem odwróciła się do sędziego — który okazał się nosić imię Tahir - i swobodnym tonem oznajmiła mu, że to właśnie mnie przyjmuje do swojej osobistej służby, na co uzyskała już zgodę władcy. Młody urzędnik rozpromienił się, jakby naprawdę się z tego ucieszył, po czym odpowiedział, cytując przypowieść o handlarzu owocami i krnąbrnych jaszczurach.

Służbę u Raiji zacząłem od porządnej kąpieli. Gdy stary, siwy Habib, przełożony służących, zobaczył mnie po raz pierwszy, z mety załamał ręce i zaczął biadolić, że nakazuje mu się pracę z tak marnym i opornym materiałem. Wysłuchałem zatem, jak nikczemnej jakości strój mam na sobie – co nie było dla mnie zresztą żadnym zaskoczeniem — oraz jak fatalnie dobrałem zapach, co z kolei zaskoczyło mnie niepomrotnie. Szybko okazało się, że fryzjer popisał się nieudolnością i pachnidło, którym mnie namaścił nie pasuje ani na okazję spotkania z kobietą, którą jest się zainteresowanym, ani dla osobistego służącego — przystoi wyłącznie żołnierzom, powracającym z frontu. Dlatego właśnie w mig wpakowano mnie do ogromnej balii – przeciw czemu poczułem irracjonalny sprzeciw – i dwie rozchichotane służki wyszorowały mnie dokładnie. Kiedy moje futro wyschło, uperfumowano mnie tak, jak powinien pachnieć Ka-Dis o mojej pozycji i dano stosowne szaty – szeroką koszulę o haftowanych rękawach i kołnierzu, czerwone szarawary i naszywaną cekinami kamizelkę, a do tego turban spięty broszą i krótką pelerynę, zarzucaną na jedno ramię. Następnie Habib zaznajomił mnie z obowiązkiem, który będzie na mnie ciążył — woła pani jest, bym jej usługiwał, podawał jedzenie i towarzyszył wszędzie, gdziekolwiek zachce jej się udać. Uczulono mnie również, że Raija jest osobą niezmiernie kapryśną, która ma w zwyczaju zmieniać faworytów jak rękawiczki, i bezlitośnie obywać się z tymi, którzy utracili jej łaskę. Oczywiście, w to ostatnie nie uwierzyłem, magia bursztynowych oczu kotki okazała się bowiem silniejsza, niż jakiegokolwiek przestrogi.

Komnaty kotki, do których zaprowadził mnie Habib, kapały wręcz luksusem. Wszędzie wały się wyszywane klejnotami poduszki, oprawione w najczystszy złotogłów, aż lśniło od drogich metali i kamieni, wprawionych w niezliczone bibeloty, drobne przedmioty oraz zabawki. Pokojów strzegło czterech strażników w złoconych kolczugach, wyćwiczonych – jak mi objaśniono – tak, by nie dostrzegać ani nie słyszeć niczego, o czym się tu mówi. Stary sługa długo uczulał mnie na zwyczaje swojej pani, objaśniając, jak podawać mam napoje, które łakocie szczególnie lubi i jak masować jej ramiona, by była ukontentowana. Przestrzegł mnie raz jeszcze, że gdy przestanę cieszyć się łaską, marny będzie mój los, i odszedł, pozostawiając mnie do dyspozycji pięknej Ka-Dis. Zostałem sam – i początkowo próbowałem zagadywać strażników, z równym jednak powodzeniem mógłbym rozmawiać z posągami. Z nudów krążyłem

więc po pokojach, podziwiając wąskie kolumny wykładane złotymi płytkami, precyzyjnie cyzelowane, ażurowe zdobienia oraz mozaiki, układane z najdroższych materiałów i zachodziłem w głowę, dlaczego posiadacz tak nieprzebranych bogactw pozwala, by jego poddani cierpieli nędzę. I choć spędziłem w Astonii już prawie pół roku — nie licząc pobytu w mym pustynnym azylu — wciąż nie chciało pomieścić mi się w głowie, dlaczego tutejsze społeczeństwo zbudowane jest wedle tak niesprawiedliwych reguł. Wreszcie, kiedy nie wiedziałem już, co ze sobą robić, strażnicy krzyknęli jednocześnie — przyprawiając mnie nieomal o palpację serca — i przez ciężkie, obite złoconą blachą drzwi weszła z gracją Raija. Natychmiast upadłem na twarz, zgodnie z tutejszym obyczajem, arystokratka podbiegła jednak do mnie ze śmiechem, chwyciła za ramiona i dźwignęła z kolan. Przywitała mnie jak starego przyjaciela, nie jak służącego, po czym zaczęła niewinnie zagadywać, wysuplując się jednocześnie z zawojów oraz chust, którymi była owinięta. W końcu, ubrana w samą wąską suknię, usiadła na poduszce, gestem nakazując mi siąść obok siebie. Przynieśliśmy sobie misę kandyzowanych owoców i, popijając słodki, odurzający alkohol, zatopiliśmy się w rozmowie. Najpierw ona wypytywała mnie swym wesołym, dziewczęcym głosem o cuda dalekich krain, potem zaś ja zapytałem o to, co tak bardzo mnie nurtowało — a odpowiedź, którą otrzymałem, okazała się niezmiernie zaskakująca.

Astończycy, jak mi tłumaczyła Raija, są wobec prawa równi, nie różnią się też urodzeniem — syn emira ma takie same prawa do tytułu jego ojca, jak potomek żebraka z bocznej uliczki. O tym, kto dopuszczony będzie do sprawowania rządów, czyli przyjęty zostanie w szeregi urzędników, zastępujących tu szlachtę, decyduje organizowany co roku pisemny egzamin, do którego przystąpić może każdy, choć tylko trzy razy. Wykazawszy się mądrością — czyli, jeśli dobrze zrozumiałem, znajomością niezliczonych anegdot, powiedzeń oraz przypowieści setek astońskich mędrców — zwierzoczek przyjęty zostaje w szeregi biurokratów i od tej pory nie musi trudzić się pracą fizyczną. Potem, wykazując zdolności, awansować może na kolejne z dziesiątków szczebli drabiny urzędniczej, aż w końcu podniesiony zostać może do godności władcy świata, a nawet najwyższego władcy Astonii, rezydującego w świętej Pawanie Inesza, króla królów. Odpowiedź ta zaskoczyła mnie tym bardziej,

skoro bowiem każdy Astończyk własną pracą dojść musi do wszystkich zaszczytów, tym chętniej — jak sądziłem — powinien dzielić się zamożnością z tymi, którym się nie powiodło, pamiętając, że sam mógł do nich należeć. Usłyszawszy to, Raija aż klasnęła z uciechy w dłonie i wytłumaczyła mi, że z każdym urzędem wiąże się stosowny przepych. Awansując, Astończyk przenosi się do coraz wspanialszych pałaców, żyje w coraz większym luksusie, ma prawo zatrudniać więcej służby i cieszyć się z przywilejów swego statusu.

Oczywiście, urzędnicy są bogatsi od chłopów, którzy utrzymują przecież całą tę kastę swymi podatkami, gdyby jednak rozdawali swe bogactwa, ani prości Astończycy nie byłiby dumni, że ich sprawiedliwy oraz zacny władca otacza się właściwym dla jego pozycji przepychem, ani nikogo nie ciągnęłoby do władzy. O ile bowiem



władca faktycznie ma się w tym świecie lepiej, trudniej mu zachować zyczliwość, która gwarantuje szczęście w życiu pozagrobowym.

Wysłuchawszy tego dziwnego tłumaczenia, zadumałem się przez chwilę nad istotą władzy. Dziwnym wydał mi się niezwykle ten paradoks — wychowałem się w przekonaniu, iż ludzie, czy innego rodzaju istoty, nie są sobie równe i w żyłach niektórych płynie krew daleko lepsza, niż w innych. Samemu przynależąc do arystokracji czułem się jednak odpowiedzialny za wszystkich prostaczków, w głębi serca uważając, że moim obowiązkiem jest ich ochraniać oraz nieść pomoc, jak przystało na uczciwego szlachcica.

Astonia tymczasem, kraina, w której urodzenie nie jest drogą do zaszczytów, to jednocześnie ziemia nierówności, a wyniesiony ponad tłum urzędnik wcale nie czuje odpowiedzialności za tych, którym się nie powiodło i bez zmrużenia okiem patrzy na ich niedolę, samemu pogryzając słodczyce ze złotej misy. Wniosek ten zaskoczył mnie bardzo, rychło jednak go zarzuciłem, poczułem bowiem, że wzdłuż kręgosłupa pełzają mi dziwaczne dreszcze. W pierwszej chwili nie zrozumiałem, co się dzieje,

doświadczalem bowiem po raz pierwszy tak niezwyklej sensacji, wnet jednak zauwazyłem, że to Raija delikatnie splata i rozplata swój ogon z moim, od czego po chwili czułem się, jakby w mym brzuchu wybuchł pożar. Tego dnia już nie rozmawialiśmy.

Księżniczka Raija bint Abbas al-Sini, której miałem zaszczyt i przyjemność służyć gościła u brata ze swego miotu, młodego sędziego Tahira ibn Abbasa, przez trzy tygodnie, które ja spędziłem na nauce, uznała bowiem, że jeśli mam towarzyszyć jej wszędzie, dokądkolwiek się uda, muszę legitymować się odpowiednim wykształceniem. Sprowadzono zatem nauczyciela, który uczył mnie niezmiernie zawiętego, obrazkowego pisma Astonii i godzinami ślęczałem nad setkami przypowieści oraz anegdot, za pomocą których przekazuje się tu wszelką wiedzę. Jednocześnie śledzić mogłem wyraźnie, jak niezwykle paradoksy powoduje tutejszy system społeczny, Tahir był bowiem pierworodnym z miotu Raiji i jako taki miał prawo decydować, na przykład, o zamążpójściu siostry, ciążył też na nim obowiązek opieki nad księżniczką, ona jednak pięła się po szczeblach kariery znacznie szybciej i już od dwóch lat przemierzała Astonię jako oficjalna reprezentantka Vachaspati, wysokiego urzędnika z dworu Inesza. Stąd starszy o bodaj cztery godziny brat był jednocześnie podwładnym swej siostry, więc o ile spotykając się prywatnie Raija okazywała mu należny szacunek, publicznie to on klękał przed nią i padał na twarz, a ja, jako przyboczny sługa, pośredniczyłem w ich rozmowie, przekazując sędziemu słowa księżniczki i powtarzając jego odpowiedzi wprost do jej smukłego ucha.

Kiedy trzy tygodnie minęły, a księżniczka obwieściła, że niezwłocznie wyruszamy w dalszą drogę, odwiedził mnie Habib, gratulując tak długiego utrzymywania zainteresowania Raiji, co bardzo mnie oburzyło, moje bowiem stosunki z piękną kotką dalekie były od zwyczajnych relacji między sługą i jego panią. Już wówczas często służyłem jej radą, a ona opowiadała mi dokładnie o wszystkim, co ją trapi, po cichu więc zacząłem uznawać się za jej opiekuna i obrońcę.

Tymczasem przygotowania do odjazdu trwały, nie tak łatwo było bowiem zorganizować wyjazd prawie setki sług, sześćdziesięciu zbrojnych oraz ogromnej ilości bibelotów, które Raija zwykła wozić ze sobą, uzupełniając kolekcję o egzotyczne

drobiazgi w każdym miejscu, które odwiedzała. W końcu jednak byliśmy gotowi, a ja cały drżałem z podniecenia, pewny, że oto wreszcie dane mi będzie zobaczyć astoński statek, okręty kochałem bowiem wciąż z równą mocą. Nie posiadałem się więc z radości, gdy – idąc tuż za Raiją – wspiałem się na płaski dach pałacu, gdzie odbyła się ceremonia po żegnaniu, na którą pofatygował się sam emir. Gdy wszyscy wymienili się już przypowieściami i dziesiątkami komplementów, co jest zwyczajem bardzo przez lud Ka-Dis poważanym, złociste chmury pękły nagle, a nad naszymi głowami pojawił się najdziwniejszy stwór, jakiego do tej pory oglądałem. W pierwszej chwili wydawał się przypominać niewielkiego lewiatana, był jednak znacznie od niego szerszy, a jego płetwy kończyły się czymś w rodzaju szerokich palców. Miał ogromną głowę, małe oczka, a na jego grzbiecie siedziało czterech poganiaczy, kierujących potwora w żadaną stronę. Najdziwniej wyglądało jednak jego podbrzusze, którego skóra była przezroczysta i wyдутa na kształt ogromnej bani, zamkniętej w klatce zeber. Stwór obniżał lot, sterując wielkim, szkarłatnym ogonem, aż znalazł się na naszej wysokości. Wówczas rozwarł wielką paszczę a Raija bez słowa wstąpiła na miękki, suchy język, i dalej, aż do przejrzystej bani podbrzusza. Niepomnie zdziwiony poszedłem za nią, a dalej postępował cały objuczony bagażami dwór oraz zbrojni strażnicy. W końcu wszyscy znaleźliśmy się wewnątrz potwora, na uginającej się lekko, przejrzystej błonie jego skóry, za sufit mając szkarłatne ciało, z którego wyłaniały się zebra. Niesiony prądem powietrza stwór uniósł się do góry — patrzyłem, jak miasto, w którym tak drastycznie odmienił się mój los, maleje w oddali, a słudzy rozkładali w naszej upiornej kajucie dywany i poduchy, byśmy poczuli się jak w domu.

Tak rozpoczęła się niezwykła podróż po Astonii – i gdyby pozostało mi choć trochę czasu więcej, z jakąż rozkoszą opowiedziałbym o niezwykłych cudach tej bajecznej krainy! Wędrowaliśmy od świata do świata, gdzie Raija zajmowała się różnymi sprawami władców całej Astonii, ja zaś towarzyszyłem jej nieodmiennie i niezmiennie, poznając kulturę dziwniejszej tej ziemi coraz lepiej i lepiej. Podróżowaliśmy przy tym na grzbietach rozmaitych bestii, w ich brzuchach czy napowietrznych rydwanach, przez nie ciągniętych, sztuka skutnicza jest bowiem Astończykom zupełnie obca, potrafią jednak bez trudu wyhodować potwora, który potrafi podróżować przez otwartą przestrzeń. Było to doświadczenie niezwykle i

jedyne w swoim rodzaju, o ile bowiem żeglując na pokładach okrętów czułem się zdobywcą, który ujarzmił bezkres Wszechświata, naginając go do swej woli, przynoszony przez żywe istoty zrozumiałem astońską koncepcję, w myśl której wszystko, co istnieje na świecie, jest częścią kręgu życia i cokolwiek się czyni, nie można się z niego wyłamać. Żyjemy, potem zaś umieramy i nasze ciało staje się pożywieniem dla robaków, jakże więc możemy czuć się od nich lepsi – pytała mnie ze śmiechem księżniczka, gdy tłumaczyłem jej koncepcję supremacji istot rozumnych, równie dla niej niezrozumiałą, jak krąg życia dla mnie. Nie była to, zresztą, najbardziej niepojęta dla niej część moich relacji, o ile bowiem w lot łapała zasady funkcjonowania Kościoła Kryształowego czy zwyczaje pogrzebowe Lodowych Elfów, koncepcją zupełnie niezrozumiałą pozostawał dla mojej piękności honor. Gdy po raz pierwszy o tym usłyszałem, obruszyłem się niezmiernie, wychowano mnie bowiem na człowieka honoru, cierpliwie więc wykladałem Raiji jego zasady.

Te jednak wydały jej się dziwaczne i niepraktyczne, Astończycy bowiem nie tylko bardziej troszczą się o to, co sądzi o nich otoczenie, niż o autentyczną prawość, to jeszcze uznają ideę równej walki za zupełnie chybioną, ich bowiem zdaniem w potyczce należy przede wszystkim przechytrzyć przeciwnika, by pokonać go, minimalnie się przy tym narażając.

Wyjąwszy jednak ten spór układało nam się z wiecznie głodną opowieści o dalekich stronach księżniczką doskonale. Przy jej boku zwiedziłem nieomal całą Federację Astonii, której światy zaludnia ogromna różnorodność istot. Rychło pojąłem, że kotokształtny lud Ka-Dis jest tylko jednym z narodów Astonii i choć jest obecnie najbardziej spośród nich prominentnym, niewiele ustępuje mu tradycyjnie zazdrosny o wszystko, co posiadają koty lud Kalb, którego przedstawiciele przypominają kształtem psy, czy może raczej wilki i lisy. Kalbowie są dumniejsi jeszcze, niż koty, choć brak im charakterystycznej dla Ka-Dis próżności i wciąż gotują się do wojny, od maleńkości doskonaląc się w sztukach wojennych. Zajmują przy tym światy sąsiadujące z Pustką i bezustannie wypatrują zagrożenia, które ma z niej nadejść. Zaskoczyło mnie, że siedziby wojowniczego ludu nie chronią Astonii od strony Znanego Wszech świata, skąd – jak dowiodła tego nieszczęsna Wyprawa Kryształowa

- grozić jej może prawdziwe niebezpieczeństwo, Raija wyjaśniła mi jednak, iż zgodnie ze słowami Boginii nadejdzie kiedyś nieprzyjaciel potężniejszy niż wszystkie siły Znanego Wszechświata i wówczas obowiązkiem Astończyków będzie stanąć z nim do walki. Dlatego właśnie naród Kalb strzeże Federacji od strony, z której ów wróg nadejdzie.

Oczywiście, bogactwo kształtów Astończyków nie ograniczało się do postaci psów i kotów, choć pozostałe rasy są reprezentowane znacznie szczupłej. Trzecim ważnym narodem są ludzie — ptaki z krainy Nilay, istoty mądre i łagodne, spędzające życie na studiowaniu oraz rozmyślaniach, stąd więc powszechne przekonanie, że właśnie spośród nich rekrutować się powinni kapłani i czarodzieje. Do tego na poszczególnych światach spotkać można inne jeszcze gatunki istot, które gdzie indziej są najzwyczajniejszymi zwierzętami, tu jednak, obdarzone ludzkim kształtem, współtworzą cywilizację Astonii, choć ich wkład jest daleko mniejszy, niż dwóch ogromnych narodów. Nie znaczy to jednak, że przedstawiciele niewielkich ludów ma się w Astonii za gorszych, czy zgoła za odmieńców, wszyscy bowiem, jak pouczała mnie Raija, są dziećmi tej samej Boginii. Tymczasem, gdy ja podziwiałem cuda Federacji i co rusz dziwowałem się egzotycznym jej obyczajom, czas płynął nieubłaganie, a tysiąc jeden nocy, które jeszcze niedawno wydawały mi się okresem długim jak całe życie, nieubłaganie zbliżało się do końca. Im mniej czasu pozostawało mi do końca przemiany, tym większe czułem napięcie — sierść na karku jeżyła mi się bez powodu, a koniec ogona poruszał niespokojnie, przyznam bowiem szczerze, iż cudowne dni w towarzystwie księżniczki Raiji oraz namiętne uczucie, które nas połączyło sprawiało, iż myślałem o powrocie do mej prawdziwej postaci ze wstrętem i przestraczem. Pewnego dnia, gdy leżeliśmy na miękkich poduchach, kotka zapytała wreszcie, czym się tak dręcę, a ja, spojrzawszy w jej pełne niewinności, bursztynowe oczy wyznałem, iż obawiam się transformacji w człowieka. Raija próbowała mi tłumaczyć, że ona sama czeka na nią z niecierpliwością, pragnie bowiem zobaczyć mnie w mojej prawdziwej postaci, ja jednak nie dawałem się przekonać. W końcu rozbawiona księżniczka przyznała, że gdy odjeżdżaliśmy z miasta, w którym nasze drogi się zeszły, otrzymała od czarownika – sprawcy mego przeistoczenia Kryształ, w którym zamknięte zostało to samo zaklęcie.



Zamykanie zaklęć w Kryształach jest zwyczajną praktyką magiczną, ja jednak nie miałem wówczas o niej najmniejszego pojęcia — pamiętajcie bowiem, że wychowałem się w Dziewięciu Miastach, gdzie magia zagląda nieczęsto i zwykle w tajemnicy. Cały proces jest bardzo prosty — Kryształ, na który rzuca się czar, wchłania jego energię tak, jak zwykle napełnia się światłem słońca, staje się przy tym jednak niezwykle kruchy, moc magiczna nadweręża bowiem jego strukturę. Potem wystarczy, że ktoś taki Kryształ rozbije, a zamknięte w nim zaklęcie natychmiast uwalnia się i działa dokładnie tak, jak chciał czarownik — nie można więc manipulować jego efektem i siłą, jak to się dzieje zwykle podczas rzucania czarów. Usłyszawszy, że Raija jest w posiadaniu klejnotu, który przekształci mnie na kolejne tysiąc jeden dni i nocy, ucieszyłem się i poprosiłem, by rozbić go jak najszybciej. Księżniczka odmówiła jednak, twierdząc, że wpieryw zyczy sobie obejrzeć mnie w ludzkim kształcie i dopiero później oceni, jak bardziej jej się podobam. To przeraziło mnie niezmiernie, przywykłem bowiem w ciągu długich miesięcy do futra, uszu i ogona, a perspektywa ich utraty spowodowała, że wpadłem w popłoch. Zacząłem błagać księżniczkę, a potem złościć się i dąsać, aż wreszcie wyjęła z kufra lśniącego Kryształ by ze złością rozbić go u moich stóp. W mgnieniu oka ogarnął mnie rozbłysk energii, od którego zakręciło mi się w głowie, jakaś siła uniosła mnie w powietrze i zakręciła niczym wir, po czym magiczne ognie zgasły, a ja upadłem na podłogę. Uspokojony, skoczyłem na równe nogi i uśmiechnąłem się promiennie do Raiji, w jej bursztynowych oczach dostrzegłem jednak dziwny chłód.

Próbowałem pytać, co się stało, gestem jednak kazała mi odejść — i tę noc, po raz pierwszy od niemal trzech lat, spędziłem samotnie.

Następnego dnia przybyliśmy na Pawanę, do świętej stolicy

Astonii, a Raija wciąż nie wzywała mnie do siebie. Początkowo myślałem, że złość niedługo jej minie, uśmiezek Habiba mówił jednak sam za siebie — stary sługa pojął na długo przede mną, że przeciwstawiając się księżniczce wypadłem z jej łask i odtąd moją dolą będzie zwykły los służącego. Na razie jednak piękna kotka nie wydała w tym względzie żadnych poleceń, całe dni spędzając ze swoim panem i zwierchnikiem, a ja błąkałem się po najpiękniejszym miejscu na ziemi ze złamanym sercem i głową

pełną złych przeczuć. Być może dlatego nie zachwycąłem się stolicą Astonii tak bardzo, jak powinienem — a jest ona miejscem nieporównanym z żadnym innym. Nie jest miastem w naszym rozumieniu tego słowa, nie posiada bowiem ani ulic, ani murów, a składające się na nią budynki wyrastają wprost z pełnej kwiatów i bujnego życia dżungli.

Centrum stolicy stanowi Wielki Zikurat, ogromna budowla, która w pełni zasługuje na tę nazwę, wielkością przerasta bowiem nawet pałac Cesarza Lodowych Elfów. Na jej szczycie wzniesiono świątynię, w której Inesz i najwyżsi kapłani otrzymują polecenia od samej Ili — nie dane mi było oglądać jej z bliska, podejrzewam jednak, że ozdobiono ją z niezrównanym przepychem. Poniżej mieści się pałac Inesza, dalej siedziby jego urzędników i tak dalej, aż do samej ziemi, gdzie rezydują sędziowie i pisarze najniższego szczebla. Wokół zikuratu wzniesiono posągi, wyobrażające dawnych bohaterów — wykonano je z białego kamienia i częściowo pozłocono, sprawiają więc tym bardziej przytłaczające wrażenie, wyrastając ponad koronami drzew niby bladolicy giganci, każdy bowiem z nich liczy wiele dziesiątek metrów wysokości. Prócz tego wszystkiego w Pawanie znaleźć można każdy w zasadzie gatunek Astończyków, z jego kulturą, budowlami i obyczajem, niezliczone kramy i stragany, na których sprzedaje się przedmioty zachwycająco pięknie i cudownie niepraktyczne oraz każdy właściwie rodzaj usług, od pucowania ogonów po barwienie wąsów henną.

Radosny zgiełk niezwykłego miasta przyprawiał mnie jednak o ból głowy, a od cudownego przepychu przewracało mi się w żołądku. Spędzałem na ulicach długie godziny, nikomu niepotrzebny, żalorny i opuszczony, stopniowo rozumiejąc, że choć w Pawanie znaleźć można wszystko, jednego towaru zdecydowanie tu brakuje – samotności. Wędrując, zapuszczałem się coraz dalej i dalej, aż wreszcie, po tygodniu naszego pobytu w świętym mieście, niespodziewanie wyszedłem z dżungli na szeroką, białą aleję, która wykonana była z dziwacznej substancji, bez śladów spojeń, jakby stworzono ją z jednego elementu. Zaskoczony zatrzymałem się i uniosłem głowę – i jakież było moje zaskoczenie, gdy ujrzałem, że wzdłuż długiej na jakiś kilometr alei wyrastają smukłe kolumny, białe u podstawy i złote w górnej części. Serce zabiło mi

jak młotem – tyle wieków rodacy moi usiłowali dociec, skąd wzięło się moje miasto, i tu właśnie, w dalekiej Astonii, na własne oczy oglądałem budowle zbudowane przez tych samych inżynierów! Przez chwilę stałem oniemiały, a potem przed oczyma jak żywa stanęła mi stara niania, mistrz Nerozzo, wuj Gianerasmo i wszyscy moi krajanie.

W jednej chwili pielęgnowana przez trzy lata astońskość ustąpiła mej prawdziwej naturze — i znów czułem się Marco di Mirandeo, ambasadorem Miasta Tysiąca Kolumn, człowiekiem, który nade wszystko pragnie wrócić do domu, w pierw zbadawszy, kto wznosił dziwaczne kolumny.

Gdy wróciłem, rozgorączkowany, do naszego pałacu, odkryłem, że służba sposobi się do odjazdu. Panowało wielkie zamieszanie, które zawsze towarzyszyło naszym wędrówkom, a Raija czekała już na mnie w swoich komnatach. Padłem przed nią na twarz, niepewny, co usłyszę, a gdy uniosłem głowę, obdarzyła mnie spojrzeniem twardym i zdecydowanym. Zakomunikowała, iż już się mną znudziła i postanowiła oddać mnie zaprzyjaźnionemu Kalbowi, bym miał możliwość zwiedzenia dalszych regionów Astonii i być może zasmakował wojennego rygoru. Poczułem, jakby wbito mi sztylet w serce — nie dość, że odebrano mi możliwość zbadania tutejszych kolumn, to jeszcze miałem jeszcze bardziej oddalić się od domu!

Pojąłem jednak, że błaganie na nic się nie zda i że jeśli chcę zostać przy pięknej księżniczce muszę posłużyć się fortelem. Poprosiłem zatem o jedną jeszcze łaskę – opowiedzenia jej ostatniej opowieści.

Propozycja okazała się trafiona, Raija wciąż złakniona była bowiem moich opowiadań. Tego ranka znów zaprosiła mnie do swych komnat, tym razem siedziałem jednak z dala od raczącej się łakociami kotki. Spoglądając tęsknie na jej ponętne kształty, zacząłem snuć historię, w której wspiąć się zamierzałem na wyżyny sztuki gawędziarstwa. Przypominałem sobie wszystkie nauki wuja, przywodziłem na pamięć starego króla Starsu, gdy opowiadał nam o bitwie oraz wszystkie sztuczki gawędziarskie, którymi posiłkował się w swych cudownych opowieściach Straceniec i widziałem, jak z każdą chwilą bursztynowe oczy Raiji stają się większe. W końcu

nadszedł jednak wieczór, a ja przerwałem w najciekawszym momencie i zamilkłem, nieczuły na złość i błagania księżniczki.

Podstęp mój udał się w zupełności. Nie mogąc znieść napięcia, Raija zdecydowała się zabrać mnie w kolejną podróż, a ja każdej nocy opowiadałem jej dalszą część opowieści, zawsze przerywając w nieoczekiwanej chwili. Była to niebezpieczna gra, stąpałem bowiem po cienkiej linii pomiędzy ciekawością a kapryśnością mej pani, stopniowo jednak udało mi się przełamać niechęć, jaką wzbudziłem w niej swoją odmową powrotu do ludzkich kształtów i nie minęło pięćset nocy, a stosunki między nami uległy gwałtownemu ociepleniu. Niestety jednak, uczucie, które żywiłem do pięknej kotki, umarło w dniu, gdy spojrzała na mnie jak na służącego i choć ona dawno puściła nasze niesnaski w niepamięć, ja nie potrafiłem zapomnieć pełnego pogardy wyrazu bursztynowych oczu. Udawałem jednak namiętność i nie zanieczywałem kontynuowania mej arcyciekawej opowieści, by mieć pewność, że kotka znów się mną nie znudzi. Jednocześnie wypatrywałem okazji, która pozwoliłaby mi umknąć spod czulej opieki Raiji, opuścić granice Astonii, i — być może — powrócić do od tak dawna nie widzianego domu. Szczęście jednak najwyraźniej mnie opuściło, dni układały się bowiem w tygodnie, te w miesiące, a ja wciąż trwałem u boku mojej księżniczki, służąc jej radą, pomocą i opieką. W końcu, w dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym dniu od mojej powtórnej przemiany z ciężkim sercem zdecydowałem, że na zawsze pozostanę w Astonii i spróbuję znów pokochać piękną kotkę tak, jak na to zasługuje. I wówczas właśnie moje plany znowu legły w gruzach.

Rzecz zaszła, gdy przebywaliśmy w mieście al-Maisan, stolicy wszystkich Ka-Dis, gdzie moja piękność zajmowała się podejmowaniem cudzoziemskich ambasadorów, w czasie bowiem, gdy ja wędrowałem po Astonii kraj ten otworzył swoje granice dla przedstawicieli państw Znanego Wszechświata z powodów, których wciąż nie pojmuję. Siedziałem zatem na miękkiej poduszce u stóp mej pani, która, okutana w szal i chustę, z twarzą pieczołowicie osłoniętą, z trudem ukrywała podniecenie, w jakie wprawia ją kontakt z przybyszami z odległych stron. Nie miałem wiele do roboty, okazja była bowiem zbyt oficjalna, by wolno mi było przemówić, w rozmowie między Raiją a przybyszami pośredniczył bowiem łańcuszek stosownych urzędników.

Próbowałem więc przybrać znudzoną postawę i starałem się wyglądać możliwie godnie, koniuszek ogona drżał mi jednak tak mocno, że aż musiałem wetknąć go pod poduszkę.

Tymczasem przed Raiją giął się właśnie w ukłonach ambasador Dziewięciu Miast, przybyły wprawdzie z Miasta Ptaków i kompletnie mi nie znany, posługujący się jednak moją słodką mową, której dźwięk sprawiał mym uszom niewiarygodną przyjemność.

Wymieniwszy grzecznościowe banały, ambasador wyraził nadzieję, iż stosunki między Astonią a moją ojczyzną będą od tej pory kwitły po czym oddalił się, a ja patrzyłem za nim czując w sercu smutek oraz pustkę. Oczywiście, mogłem odszukać dyplomatę choćby i następnego dnia, by prosić o pomoc w ucieczce z Astonii, nie dość jednak, że dałem sam sobie słowo honoru, to wiedziałem, że jutro Raija zechce przemienić mnie na nowo, moje zniknięcie zostanie więc od razu zauważone. Mało tego, tylko cud mógłby sprawić, by oficjalny przedstawiciel którejś z potęg Wszechświata naraził stosunki z Astonią na szwank, bo pomoc podejrzaney proweniencji kotu, który podaje się za człowieka.

I wtedy właśnie ów cud się zdarzył. Ledwie ambasador Dziewięciu Miast zniknął za drzwiami, szambelan wykrzyczał nazwisko, które w pierwszej chwili wydało mi się pomyłką. Do sali wkroczył, zamiatając przed sobą kapeluszem, don Almerique Serrano y Calahorra. Czyli, prościej mówiąc, Lope.



## ROZDZIAŁ JEDENASTY

*w którym Marco przekonuje się, że w Mieście Gnomów*

*faktycznie znaleźć można wszystko, a nawet znacznie więcej.*

*Benedikt*



## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Świat zawirował mi w oczach i musiałem wyteńczyć całą wolę, by nie okazać zaskoczenia pomieszanego z obłąkańczą radością. Oczywiście, Lope nie miał szans rozpoznać mnie w tej postaci, zresztą, zgodnie z obyczajem, przemawiając do Raiji wbijał wzrok w podłogę. Ja tymczasem z każdą chwilą przekonywałem się coraz mocniej, że oto stoi przede mną najlepszy z moich przyjaciół, którego pogrzebałem już w myślach i opłakałem. Lata, które minęły, odkąd złośliwy los nas rozłączył, przydały mu zmarszczek w kącikach ust i kilku siwych włosów na skroniach oraz w brodzie, poza tym nie zmienił się jednak ani na jotę — wciąż nosił się na czarno, poruszał z tą samą zadzierzystością i mówił ze swadą.

Oczywiście, do setki wciąż brakowało mu wielu lat, nie pełnił więc funkcji ambasadora, reprezentował go jednak, gdyż ten, napiwszy się wody z napotkanego podczas wycieczki na pustynię źródelka leżał złożony okrutną niemocą. Przez chwilę patrzyłem, jak Lope gnie się w ukłonach i wygłasza zwyczajowe krasnoludzkie formuły, a gdy wyszedł, zrozumiałem, że ani moje ponure ślubowania, ani żadne przeszkody nie zdołają mnie teraz powstrzymać – skoro mój przyjaciel powstał z martwych, i ja stanę się z powrotem sobą.

Audycja ciągnęła się jeszcze przez kilka godzin, podczas których siedziałem jak na szpilkach, potem zaś towarzyszyłem Raiji do jej komnat, urządzonej z niemińszym przepychem, niż pierwszy z pałaców, w którym wraz z nią mieszkałem. Jak co dzień, pomogłem jej przebrać się w swobodniejsze szaty, tym razem jednak czynność ta wydała mi się nieznośnie nudna, a potem razem wyszliśmy na balkon, skąd rozciągał

się widok na miasto i dalej, na pustynię. Przez chwilę rozmawialiśmy o rozmaitych banałach i ze wszystkich sił starałem się nie dać po sobie poznać zdenerwowania, wysłuchiwałem więc spokojnie podekscytowanego szczebiotu księżniczki, która wciąż przeżywała spotkanie z tak wielką liczbą cudzoziemców. Następnie Raija orzekła, że jutrzejszej nocy nie uda mi się wykręcić przed powrotem do ludzkich kształtów, a potem zakomunikowała mi, że dzisiejszy dzień spędzę w samotności, do miasta przybył bowiem jej brat Tahir, który poprosił ją o dyskretne spotkanie. Moje serce wywinęło kozła z radości, zachowałem jednak spokój i nawet udałem rozzalenie — gdy moja pani sposobila się do odejścia, skrapiając wonnościami stosownymi na spotkanie z rodziną i przywdziewając właściwy strój, cały czas dopytywałem jak szybko wróci, zapewniając o mojej tęsknocie. Potem kotka opuściła pałac — w drzwiach zatrzymała się jeszcze i posłała mi długie spojrzenie niezwykle, bursztynowych oczu, którego wspomnienie prześladowuje mnie po dziś dzień.

Odczekałem prawie godzinę, krążąc niespokojnie po komnatach księżniczki, i gdy zyskałem pewność, że Raija prędko nie wróci, przebrałem się w proste, podróżne szaty z zawojem skrywającym twarz, który nosi się na pustyni, przypasałem Viperę, która wciąż wyglądała niczym bułat, zyskała jednak w ciągu ostatnich lat aż cztery Kryształ, a potem włamałem się ostrożnie do kufra z precjozami księżniczki, by wydobyć z niego ostrożnie Kryształ z krępującym mnie zaklęciem. Po namyśle zabrałem stamtąd również ozdobną broszkę, by zachować piękną kotkę na zawsze w pamięci i nie zastanawiając się na konsekwencjami wyszedłem na balkon, z którego lekko zeskoczyłem na ulicę po czym wtopiłem się w tłum.

Dziś, kiedy o tym myślę — a przecież wszystko to wydarzyło się tak niedawno! — nie potrafię przypomnieć sobie, co czułem, kiedy opuszczałem swą opiekunkę, kochankę i księżniczkę, u boku której spędziłem długie pięć lat, dziś bowiem czuję tylko straszliwy smutek oraz pustkę w tym miejscu serca, która zarezerwowana była dla długouchej kotki. Wówczas jednak szedłem ulicą i, jak sądzę, upajałem się wolnością, rozpytując, gdzie znajdę krasnoludzkiego ambasadora. Powoli świtało, tłok na ulicach zaczął się więc zmniejszać, wsłuchiwałem się jednak w okrzyki sprzedawców, brzęk nożyc fryzjerów oraz okrzyki zachwyty, które wydawała grupka dzieci obserwująca



ulicznego połykacza ognia o zakręconych wąsach i pręgowanym futrze, myśląc, że być może slysze je wszystkie po raz ostatni. W końcu, rozpytujuac tu i ówdzie, udało mi się dotrzeć do pałacu, w którym zatrzymał się cierpiący na żołądkową przypadłość dyplomata. Przez chwile krążyłem po okolicy, aż wreszcie w jednym z okiem błysnął mi Lope.

Odkrywšy drogę do kwater przyjaciela, zaszyłem się w zaułku za kramem handlarza dywanów i odczekałem kilka godzin, by złane dziennym światłem ulice opustoszały. Gotowałem się na walkę z sennością i upałem, od lat wiodłem bowiem nocny tryb życia, podniecenie nie pozwalało mi jednak odczuć zmęczenia. W końcu zdecydowałem, że nadszedł czas — wysunąłem pazury i bez trudu wspiałem się na ścianę glinianego budynku, z którego przeskoczyłem na parapet pobliskiej wieży. Tam przywarłem na chwile do białego muru, czekając, aż dołem przemkną przechodnie i obserwując zakryte ciężkimi storami okno Lopego, który najwyraźniej próbował nauczyć się spać w dzień. Kiedy ulica pode mną opustoszała, wydobyłem z rękawa cieniutką linkę, którą przywiązałem do rękojeści prostego jataganu, a następnie celnym rzutem wbiłem go w mur pałacu ambasadora, tuż nad upatrzonym przeze mnie oknem. Reszta poszła jak z płatka — przemknąłem po linie na parapet Lopego, po czym dałem susa do środka. Wnętrze pokoju spowijała wprawdzie ciemność, nie stanowiła ona jednak przeszkody dla oczu Ka-Dis. Dlatego bardzo wyraźnie widziałem, że oto ląduje z impetem w ogromnym, rzeźbionym łózku, z którego podrywają się w jednej chwili dwie osoby — Krasnoludy, ze wzrostu sądując.

W tym momencie stopa zaplątała mi się w prześcieradło i runąłem jak długi na podłogę, częściowo skrępowany pościelą. Uderzyłem o podłogę głową tak mocno, że aż zadzwoniło mi w uszach — cud, że nie stłukłem Kryształu z zakłębciem — i nim zdążyłem wyplatać się z bielizny, na karku siedział mi już Lope, ubrany w same galoty, za to z ostrym, krótkim mieczem w dłoni. Zza jego pleców wyglądała twarz krasnoludzkiej kobiety, okrytej nocną koszulą — i jakież było me zdziwienie, gdy rozpoznałem w niej Brisidę, czarodziejkę z osobistej gwardii Królowej Księżyca!

Idiotyczna ta sytuacja trwała może dwa uderzenia serca, nagle bowiem Lope wypogodził się zupełnie i, wyszczerzywszy zęby, zapytał prosto z mostu, co mi się stało, że wyglądam jak Astończyk.

Zaniemówiłem z wrażenia, a on rzucił miecz po czym porwał mnie w ramiona, ściskając serdecznie i dziękując wszystkim Siedmiu Smokom, że znowu się spotykamy. Byłem zbyt zaskoczony, by powiedzieć cokolwiek, Krasnolud tymczasem trajkotał jak szalony, jednocześnie starając się przedstawiać mnie Brisidzie, pytać o moje losy i opowiadać, co się z nim działo. Dopiero po dłuższej chwili opamiętaliśmy się wszyscy na tyle, by raz jeszcze wymienić uściski, nalać sobie trzy kielichy doskonałego, błękitnego wina z Dziewięciu Miast i po kolei opowiedzieć swoje historie. W pierwszym rzędzie wypytałem Lopego, jakim cudem poznał mnie, pomimo przemiany i dowiedziałem się, że u nikogo innego na całym świecie Krasnolud nie widział tego bezczelnego błysku w oku — co, nie wiedzieć czemu, wzruszyło mnie prawie do łez. Następnie opowiedziałem, co mnie sprowadza - o wszystkim, co zaszło odkąd opuściłem Księżyc zamknięty w kufrze. Lope i Brisida słuchali uważnie, potem zaś sami zrelacjonowali mi koleje swoich losów.

Kiedy kupiecki żaglowiec Mercader wyleciał w powietrze, zniszczony przez piratów Sargamora, Lope przekonany był, że już po nim. Poparzony i ranny spadał w stronę słońca, szczęśliwie jednak pęd jego lotu wyhamowała szalupa, wyrzucona z pokładu Mercadera na samym początku bitwy. Na pół świadom, co się dzieje, Krasnolud podziękował Smokom za opiekę i uruchomił Kryształ, po czym padł zemdlny na dno łodzi. Gdy się ocknął, łódź wchodziła właśnie za linię nieba Księżyca — wychylił się więc przez burtę i, omijając miasto, wylądował w głębokiej dżungli. Wciąż cierpiał od rozlicznych ran, znalazł więc tylko schronienie w dziupli ogromnego drzewa i tam zaszył się, żywiąc się jego ożywczym sokiem.

Po kilku dniach odzyskał siły na tyle, by rozejrzeć się po najbliższej okolicy i zaznajomić z urokami dżungli - z uśmiechem słuchałem, że przeżył w niebezpiecznej głuszy podobne, jak ja przygody. W końcu odzyskał siły oraz rezon na tyle, by spróbować przebić się do miasta i znaleźć sposób ucieczki z wrogiego kraju — pech chciał jednak, że tego właśnie dnia do portu przybyła Królowa, zdwojono więc strażę i

wzmociono czujność. Lope ponownie zapadł w dżunglę, gdzie spędził kilka tygodni, żyjąc jak dzikus – co w jego wypadku oznaczało zapewne brak niektórych przypraw, nie wątpię bowiem, że wzniosł sobie wśród głuszy schronienie na miarę pałacu astońskiego księcia. Gdy znów spróbował szczęścia i postanowił dostać się do portu, w zaroślach spotkał młodą Krasnoludkę, zapłakaną i wyraźnie zrozpaczoną.

Lope, jak to Lope, otoczył Brisidę czułą opieką i nie minął miesiąc, a ja już wywietrzałem czarodziejce z głowy – co słysząc poczułem się nieco dotknięty. Między nią a moim przyjacielem rozgorzało płomienne uczucie, postanowili więc razem dostać się do Smoczego Królestwa. Trzecia wyprawa do portu zakończyła się pełnym sukcesem — wprawdzie moi przyjaciele nie zdołali niepostrzeżenie wśliznąć się na statek, zdarzyło się jednak tak, że właśnie w tej chwili Sargamor sposobił się do przekazania swoich więźniów — w tym don Horuna – rodzinom, które zdecydowały się zapłacić okup.

Niewiele myśląc, Lope wychynął z krzaków, podszedł wprost do pirata, grzecznie mu się uklonił, przedstawił oraz poinformował, do kogo zwrócić się należy z żądaniem okupu. Oczywiście, Sargamor połknął haczyk, nie chciał jednak zabrać na pokład również Brisidy.

Wówczas Lope zaczął bez litości się z nim targować, podbijając



stawkę okupu za samego siebie i grożąc, że zrezygnuje z oddania się w ręce piratów — w końcu doprowadzony do ostateczności kapitan uległ. Wkrótce też za mego przyjaciela, skoligaconego wszakże z rodziną Smoczego Księcia, wpłacono wcale ładną sumkę i Lope wraz z ukochaną, oswobodzeni z łap rodu de Vinganca, dotarli wreszcie na Terra Nostra. Nie minął nawet rok, a oni już pobrali się przed obliczem kapłana Siedmiu Smoków i wkrótce Brisida powiła memu druhowi synka, który obecnie miał

już prawie cztery lata i spał spokojnie w sąsiednim pokoju. Lope przywrócony został do służby dyplomatycznej i wraz z Brisidą przeżyli w niej mnóstwo przygód – aż wreszcie los cisnął mnie wprost do ich małżeńskiego łóża.

Wysłuchawszy tego wszystkiego wyłuszczyłem Lopemu, z czym przychodzę, ani przez chwilę nie wątpiąc, że znajdę u niego zrozumienie i liczyć mogę na pomoc. Krasnolud wysłuchał mnie w skupieniu, gładząc się po czarnej brodzie, a potem ze smutkiem oświadczył, iż w tej chwili nie może przetransportować mnie poza obręb Astonii. Pokój zawirował mi przed oczyma — przez chwilę nie mogłem pojąć, czemu ktoś, kto bez wahania wkroczył za mną w ponurą noc Ochuromy i poruszył w swoim czasie niebo i ziemię, by wykaraskać mnie ze straszliwej opresji teraz odmawia mi w sprawie w gruncie rzeczy prostej, jaką jest przetransportowanie na pokład krasnoludzkiego statku. Potem zrozumiałem, że sześć lat, które minęło od naszego rozstania, przekreśliło przyjaźń, którą naiwnie uważałem za nienaruszalną. Wzdychając ciężko podniosłem się z krzesła, posłałem Lopemu smutne spojrzenie i ruszyłem w stronę okna. Krasnolud zdziwił się na to niepomierzenie po czym ze śmiechem objaśnił mi, że jest właśnie w trakcie realizacji zadania niezmiernie niebezpiecznego i arcytajnego, po jego zaś zakończeniu los gna go w inną zupełnie stronę, nie znaczy to jednak odmowy pomocy. Znów padliśmy sobie w objęcia i po chwili już Lope wyłuszczał mi szczegóły ryzykownego przedsięwzięcia.

W komnatach Krasnoluda pozostałem przez kilka następnych dni, pewien, że Raija odchodzi od zmysłów i przetrząsa teraz zapewne całe miasto, byle mnie znaleźć. W tym czasie odzyskałem poprzednią postać — a że stało się to za dnia, gdy pogrążony byłem w głębokim śnie, trudno mi opisać, jak cały proces się odbył. Dość, że wstając wieczorem poczułem dziwaczne uczucie chłodu na całym ciele i niemal natychmiast straciłem równowagę. Na dodatek czułem się, jakby ktoś zatkał mi nos i założył opaskę na oczy, straciłem bowiem możliwość widzenia w ciemnościach, a świat zapachów, który towarzyszył mi przez ostatnie lata niczym wierny przyjaciel odszedł wraz z astońskim zmysłem powonienia. Dłonie miałem niepiękne, różowe, zakończone kruchymi paznokciami a moje stopy czyniły przerażający hałas, najgorsza okazała się jednak utrata ogona. Z uśmiechem przypomniałem sobie, jak ten pozornie nieważny

szczegół anatomiczny drażnił mnie w pierwszych tygodniach po przemianie, teraz jednak odkryłem, iż daleko łatwiej było przyzwyczać się do jego obecności, niż braku. Bezustannie traciłem równowagę, nawykłem bowiem do balansowania ogonem, wiedziałem też, że znacznie straciłem na zwinności. Na dodatek czułem się dziwacznie okaleczony oraz straszliwie nieatrakcyjny — całą noc unikałem moich przyjaciół, o ile bowiem w obecności Lopego czułem się tylko nieco zażenowany, nie zniósłbym kobiecego spojrzenia Brisidy.

Po kilku dniach wszystkie sensacje ustąpiły. W tym czasie zapoznałem się dobrze z synkiem mych przyjaciół, czteroletnim berbeciem imieniem Marcos, nadanym mu na moją pamiątkę. Bardzo szybko znaleźliśmy wspólny język i godzinami uganiał się po rezydencji, pełzaliśmy na czworakach lub służyłem mu za wierzchowca w czasie, gdy Lope przygotowywał wszystko, co niezbędne było do realizacji naszego planu. W końcu, w prawie tydzień po mej ucieczce z domu Raiji – Krasnolud donosił mi tymczasem, że księżniczka przestała pokazywać się na dworze, na co odczułem delikatne ukłucie sumienia – przyniesiono mi ubranie dostosowane do ludzkich proporcji ciała, okryliśmy się płaszczami i we troje wyruszyliśmy w jasny dzień. Było wyjątkowo upalnie, ulice były więc niemal opustoszałe – rzecz jasna, jak na tutejsze standardy, mierząc bowiem tłum zwyczajną miarą trzeba by uznać je za stosunkowo zatłoczone. Tym jednak nie przejmowaliśmy się wcale, za dnia bowiem wszyscy Ka-Dis są ospali, leniwi oraz zmęczeni, trudno im skupić uwagę i opanować potrzebę drzemki, zwracają więc znacznie mniejszą uwagę na to, co dzieje się wokół – jeden z mędrców powiedział nawet, iż nie ma rzeczy, która nie mogłaby poczekać do wieczora. Wędrowaliśmy zatem przez miasto ubrani tak, by jak najmniej rzucać się w oczy – twarze zasłoniliśmy zawojami, których używa się podczas podróży przez pustynię, ciała zaś oblekliśmy strojami przypominającymi tutejsze. Lope wierzył naiwnie, że dzięki temu ktoś wziąć nas może za tubylców, ja jednak zdawałem sobie sprawę, jak bardzo rzuca się w oczy brak uszu i ogona, są to bowiem pierwsze części anatomii, na jakie Ka-Dis zwraca uwagę.

Szczęście jednak wciąż nam sprzyjało – po kilku godzinach dotarliśmy do granic miasta, gdzie czekały już na nas osiodłane jaszczury. Wymieniwszy kilka

porozumiewawczych spojrzeń i brzęczących mieszków z podejrzanym wyglądającym poganiaczem o wyliniałym ogonie ruszyliśmy wreszcie, by popełnić potworne świętokradztwo.

Astończyk dochować się może wielu dzieci, zwykle bowiem małżeństwo owocuje przynajmniej trzema miotami młodych. Nie znaczy to jednak, że spośród jego potomków wybiera się dziedzica, tutejsze prawo stanowi bowiem, że do wszystkiego dojść należy własnym sumptem. Na dodatek w chwili, gdy miot opuszcza dom i wkracza w dorosłość, wszelkie obowiązki rodziców względem dzieci wygasają i od tej pory rodzeństwo zdane jest na samych siebie – tylko jedno z nich pozostaje z rodzicami, by opiekować się nimi na starość i spłacić w ten sposób dług zaciągnięty przez braci oraz siostry. Dlatego, kiedy Astończyk umiera, wszystkie jego doczesne posiadłości grzebie się wraz z nim, a każde z dzieci, będących owocem jego łądzwi, może wybrać tylko jedną rzecz, którą zachowa na pamiątkę. Trudno zatem o bogatszy grobowiec, niż miejsce spoczynku astońskiego wielmoży, który zabrał w ostatnią podróż wszystko, co posiadał za życia, począwszy od dywanów zdobiących ściany i podłogi jego domu, po klejnoty, które skrupulatnie gromadził. Oczywiście, prawdziwą plagą tych stron są rabusie grobów, dlatego nekropolii strzeże się pilnie tak za dnia, jak w nocy, by zapewnić umarłym spokój. My jechaliśmy tymczasem w kierunku największego cmentarzyska na ziemiach ludu Ka-Dis, legendarnej Doliny Królów, gdzie w skalnych grobach spoczywają wszyscy władcy kotów, którzy sprawowali urząd w ciągu ostatnich dwóch tysięcy lat. Gnała nas tam w dodatku zwyczajna legenda, nie potwierdzona niczym pogłoska, która sprawiła jednak, że krew żywiej krążyć zaczęła w moich żyłach, powodzenie bowiem przedsięwzięcia oznaczałoby, że wywiążę się ze słowa danego dawno temu.

Podróż przez pustynię, której piasek miał barwę cegieł, trwała niecałe trzy dni, nasz przewodnik znał bowiem drogę niczym własną kieszeń i najwyraźniej wypuszczał się na tego rodzaju wyprawę nie raz i nie dwa. W pierwszej chwili nie spostrzegliśmy w ogóle Doliny i dopiero kocur musiał wskazać nam szerokie pęknięcie w monotonnej, piaszczystej równinie. Przyznając, że starożytni królowie wybrali na wieczny odpoczynek miejsce szczególnie dobrze ukryte, ruszyliśmy we wskazanym kierunku

ostrożnie, by nie wzbijać tumanów piasku. Szczelina rosła przed nami niczym głęboka rana na ciele świata, trzeba było jednak kilku godzin, byśmy na dobre zdali sobie sprawę z szerokości i ogromu Doliny, wijącej się niby wąż i zakręcającej wielokrotnie pod dziwaczными kątami.

Nigdzie nie widać było wart, zagadnięty o nie przewodnik zachnął się jednak tylko stwierdzając, iż do Doliny dostać się można tylko z jednej strony, jedynym wejściem, i że to właśnie tam pełni się bezustanną straż. Zapytany, czy nikt nigdy nie próbował zejść po zboczach uśmiechnął się tylko i bez słowa powiodł nas naprzód.

Nie minęło dalsze pół godziny, a my stanęliśmy już na skraju przepaści, z wysokości oglądając niezwykle ogrom oraz majestat królewskich grobowców.

Dolina głęboka była na wiele set metrów, a obydwie jej ściany nachylały się w górnych partiach do wewnątrz, tworząc niemal naturalny dach, zabezpieczający nekropolię przed zasypaniem piaskiem. Tutejsze skały miały niezwykle barwy – były czerwone, złote oraz brunatne – i nachylały się tak stromo, że trzeba by nie lada wspinacza, by pokonać je w dół, nie mówiąc już o wspięciu się do góry z ewentualnym łupem. Na dnie rozpadliny wila się droga, niegdyś wyłożona białymi płytami, które w większości pożarł już żąb czasu i pochłonał piasek. Tu i ówdzie ze skał spoglądały w dół ogromne, kute bezpośrednio w ścianach doliny posągi dawnych królów o smutnych obliczach, siedzące na kamiennych tronach. Pomiędzy ich stopami umieszczono wejścia do grobowców – wielkie, kamienne bloki, za którymi skrywały się nieprzebrane bogactwa.

Przewodnik zatarł ręce i przez chwilę prowadził nas skrajem przepaści, aż wreszcie, niedługo przed zachodem słońca, stanęliśmy ponad posągiem króla, którego legenda sprawiła, iż postanowiliśmy wszyscy zabawić się w hieny cmentarne. Dopiero teraz liniejący kocur zaczął tłumaczyć nam, że na pustyni nie sposób zaczepić liny, że górne partie skał kruszą się i łamią pod ciężarem wspinacza oraz że droga na dół oznacza pewną śmierć, sama bowiem pustynia broni dawnych władców. Gdy on perorował, poczułem w powietrzu znajomy zapach, a włosy rozgarnął mi podmuch — i już po chwili opadaliśmy we troje w stronę dna Doliny, niesieni potężną magią berła Brisidy.

Włamanie do grobowca króla Sulaima al-Fatha, zwanego Jednorękim, było niezwykłą przygodą, obfitującą w niebezpieczeństwa i emocje, na opisanie których brak mi czasu, mam bowiem pewność, że już o świcie zostanę wyprowadzony z mej celi i będę mógł po raz ostatni spojrzeć w słońce. Dość powiedzieć, że od chwili, gdy Brisida uniosła magicznym sposobem wielotonowy gład, przegradzający przejście, moje serce biło jak oszalałe, a każdy krok mógł okazać się ostatnim. Mijały godziny, a my wciąż błakaliśmy się wśród korytarzy, pilnie wypatrując pułapek i kierując się wskazówkami, które tak pieczołowicie zebrał Lope. W końcu dotarliśmy do komory grobowej, ogromnej hali, w której piętrzyły się stosy złota oraz klejnotów, a kociogłowi wojownicy czekali, aż rozkaz zmarłego pana nakaze im sięgnąć po misternie rzeźbioną broń. Władca spoczywał w złotym sarkofagu, który nieomal stał się przyczyną naszej śmierci, ledwie bowiem dotknąłem jego powierzchni, natychmiast wysunęły się zeń zatrute igły i tylko cudem uniknęliśmy pokaleczenia. Wewnątrz, skryta za złotą maską, spoczywała zabalsamowana przed prawie tysiącleciem mumia kociego władcy – nie bez fascynacji spoglądałem w jego owinięte bandażem oblicze, zastanawiając się, jak wyglądał świat, gdy kocur spoglądał na niego z wysokości swego tronu. Na piersiach mumii, pomiędzy insygniami władzy, spoczywał przedmiot, po który tu przybyliśmy – połyskujący w świetle pochodni Kryształ, w którym zamknięto potężne zaklęcie. Na jego widok odetchnęliśmy z ulgą, przekonawszy się, że legenda okazała się prawdziwa, a Lope z najwyższą ostrożnością podniósł klejnot i schował do kieszeni. Ledwie uniósł go z piersi mumii, sufit komory zaczął ze zgrzytem opadać. Rzuciliśmy się do wyjścia, w którym tymczasem opadała już kamienna płyta – szczęśliwie, w ciągu tysiąclecia mechanizm zaszedł piaskiem i gródz zatrzymała się w połowie wysokości futryny. Niewiele myśląc rzuciliśmy się w powstałą szczelinę – ledwie przetoczyłem się pod kamienną płytą, ta opadła z hukiem.

Podziękowałem bogom, że nie jestem już Astończykiem, niechybnie straciłbym bowiem ogon. Rozpoczęliśmy długą i mozolną wędrówkę ku wyjściu.

Do miasta wracaliśmy zadowoleni, w doskonałych humorach, zapomniawszy już o niebezpieczeństwach, którym tak niedawno stawialiśmy czoła. Przerzucaliśmy się żarcikami, wybuchaliśmy śmiechem i ani przeszło nam przez głowę, że oto



dokonałiśmy czegoś niewłaściwego. W sakwie przy boku Lopego spoczywał Kryształ, wykonany, wedle legendy, przez najpotężniejszych magów Pavany dla kalekiego monarchy Sulaima al-Fatha. Władał on ludem Ka-Dis w czasach, gdy granice Astonii naruszyły Lodowe Elfy, których Cesarstwo rozrastało się podówczas ponad wszelką miarę. Szczegóły tej historii nie są mi znane, wiem jednak, że Astonia pokonała



wówczas wojska Cesarza tak, jak zwyciężyła armie Imperium, i że Sulaim postradał w boju prawą dłoń. A że oddał przy tym wielkie zasługi i okrył się bohaterstwem, Inesz postanowił wynagrodzić go, przyprawiając mu dłoń dzięki tej samej mocy, która przemieniła mnie w kotoczlęka. W dalekiej Pawanie sporządzono Kryształ ze stosownym zaklęciem, kurier jednak, który go wiozł, rozgniewał czymś Boginię, która splątała jego drogę tak, że wędrował przez prawie dziesięć lat – podróż ta zresztą jest tematem jednej z niezliczonych astońskich baśni. Tymczasem jednoręki władca umarł, a nieszczęsny posłaniec zdążył akurat na ceremonię pogrzebową.

Nikt nie śmiał przywłaszczyć sobie Kryształu, spoczął więc wraz z królem i leżał spokojnie na jego piersiach, póki my nie zakłóciliśmy mu spokoju. Oczywiście, czyn ten był w gruncie rzeczy naganny, lecz – jak argumentował Lope – Sulaim jest od wieków martwy, a nasz przyjaciel, Straceniec, postradał rękę w równie dramatycznych okolicznościach i władca z pewnością nie miałby nic przeciw użyczeniu zaklęcia pierwszemu oficerowi Alawastra, tak jak on walczącemu z Lodowymi Elfami.

Do miasta powróciliśmy bez problemu i choć początkowo pilnie rozglądałem się, wypatrując sług Raiji lub mściwych strażników grobów, którzy pragnęliby wyrzucić na nas pomstę, wkrótce zrozumiałem, że nasza niemal tygodniowa nieobecność minęła właściwie niezauważona. Wkrótce pojąłem też przyczynę takiego stanu rzeczy, od pięciu bowiem dni mieszkańcy kociej stolicy ekscytowali się zgoła innym

wydarzeniem. Otóż, gdy my uganiałiśmy się po pustyni, w układzie pojawiło się — jak zwykle bez ostrzeżenia — Miasto Gnomów. Niezwykły ten twór niewielką odgrywał na razie rolę w mojej opowieści, co nie znaczy, iż był mi obcy, pamiętałem bowiem z czasów dzieciństwa niezwykłą radość, jaką sprawił mi przyłot międzygwiazdnej metropolii. Wszyscy, starzy i młodzi, jednako wylegli wtedy na ulicę, wypatrywać zbliżającego się kręgu Miasta, a potem rozstawili stragany, przebrali się w najlepsze szaty i otworzyli wszelkie gospody. Rozpoczęło się siedmiodniowe święto, kto żyw bowiem płynął do zawieszanej na niebie ojczyzny Gnomów, w której — jak powiadają — kupić można wszystko, sami zaś obywatele Miasta schodzili, jak zwykle, na ład, nieodmiennie ciekawi wszystkiego, co można we Wszechświecie zobaczyć. Oglądałem ich, niestety, tylko z daleka i wówczas wydali mi się niezwykle sympatyczni, byli bowiem nie wyżsi ode mnie. Niestety, nie dane mi było z nimi mówić, gdyż niania zagnała mnie do domu twierdząc, że Miasto Gnomów nie jest czymś, co powinno interesować chłopca w moim wieku.

Amok, który ogarnął al-Maisan przypominał bardzo radosne zamieszanie, jakie tyle lat temu oglądałem w Mieście Tysiąca Kolumn.

Ulice były bardziej jeszcze, niż zwykle, zatłoczone, z prowincji przybyło bowiem wielu wieśniaków, by sprzedać Gnomom owoce swojej pracy, kupić egzotyczne precjoza czy zwyczajnie pogapić się na niezwykłych przybyszów. Wędrowaliśmy więc przez ulice w niewiarygodnym wręcz ścisku, przepychając się z trudem pomiędzy straganami i ustępując na bok, by przepuścić niesionych w lektykach dostojników. Choć był już biały dzień, miasto najwyraźniej nie miało zamiaru zasnąć i sądząc z kondycji części jego obywateli, którzy folgowali sobie bez zachowania nakazanego przez Boginię umiaru, taki stan rzeczy trwał już od pięciu dni. Miasto lśniło na niebie, niczym błady księżyc, odbijając łagodnie promienie słońca, zaś jego mieszkańcy roili się wszędzie wokół, wędrując grupkami w swych dziwacznych strojach i niecodziennych butach, pokazując sobie palcami wszystko, co ich zafrapowało i ciesząc się jak dzieci na widok kolejnych cudów Astonii. Było w nich coś zupełnie rozbrajającego - być może niewinne twarze, kolorowe fatałaszk i ujmujące głosy wystarczają, by każdy rozczulał się na widok Gnoma, pozwalając mu na rzeczy, za które zrugalby przedstawiciela

innej rasy? Faktem jest bowiem, że Astończycy cierpliwie prezentowali niewielkim przybyszom swoje ogony i tłumaczyli, do czego im służą, a ja ani się spostrzegłem, jak zacząłem z uśmiechem objaśniać, iż mój brak tej szczególnej części ciała świadczy o przynależności do rasy ludzkiej. Jeden Lope pozostał odporny na urok Gnomów – jak mi potem oświadczył, miał z małymi skubańcami już nie raz do czynienia – i wprawnie prowadził nas pomiędzy połykaczami ognia, zonglerami i sprzedawcami przypraw do siedziby ambasadora.

Szczęśliwie, podczas naszej nieobecności pryncypał Lopego poczuł się zdecydowanie lepiej i był w stanie przejąć swoje obowiązki, inaczej pewnie mój przyjaciel miałby niebagatelne nieprzyjemności za oddalenie się z miejsca służby. Tymczasem, gdy wkraczaliśmy jak gdyby nigdy nic przez główne wejście pałacu, strażnicy – barczyste Krasnoludy w półpancerzach i ozdobionych kitami morionach – zaprezentowali broń, jakby nigdy nic, a wszyscy mijani na krętych korytarzach urzędnicy pozdrawiali Lopego, jak gdyby rozstali się z nim przed raptem godziną i nie towarzyszył mu wcale ubrany z astońska człowiek. Jedyne piastun małego Marcosa, siwobrody i zgarbiony, narzekał nieco na naszą długą nieobecność. Tymczasem, obmyśliśmy się dokładnie — a trzeba wam wiedzieć, że jako Astończyk zapomniałem zupełnie, jak przyjemna może być gorąca kąpiel — stosownie przebraliśmy i jak gdyby nigdy nic podjęliśmy swoje obowiązki, czyli Brisida i Lope zniknęli w czeluściach pałacu, a ja zacząłem trwożliwie popatrywać, czy nie śledzą mnie nasłani przez Raję zabójcy. Nie minęła jednak nawet godzina, a mój krasnoludzki druh wpadł jak bomba do komnat, w których się kryłem i, uśmiechnięty od ucha do ucha, powiedział mi, że ambasador przyjmuje właśnie przedstawiciela gnomiej Gildii Rękawic. Oczywiście, nie podzieliłem entuzjazmu Lopego, ani bowiem wiedziałem, czym się ta Gildia trudni, ani obchodziły mnie stosunki Miasta Gnomów ze Smoczym Królestwem. Widząc mój brak entuzjazmu, Krasnolud machnął na mnie ręką mruczając dobrodusznie, że mały Marcos ma więcej rozumu ode mnie i wytłumaczył, że jeśli chcę dostać się do domu, nie ma pewniejszego sposobu komunikacji, niż wędrujące przez Znany Wszechświat Miasto. Oczywiście, co dodał, nalewając mi wina, on sam nie zasypiał gruszek w popiele i dowiedział się, że Gnomy zmierzają do Dziewięciu Miast i dotrą tam w przeciągu dwóch cykli.

Resztę dnia spędziłem na gorączkowych rozmyślaniach, niepewny, jaką decyzję podjąć. Mogłem, jak sugerował Lope, zaokrętować się na pokład Miasta i ruszyć ku dawno nie widzianej ojczyźnie, z drugiej jednak strony przyjaciel już kilka razy wspominał, że gdy tylko ambasador go zwolni, wyruszy na poszukiwanie Alawastra, by wręczyć Straceńcowi tak mężnie zrabowany Kryształ. Nie miałem jednak pojęcia, jak szybko nastąpi wyprawa i nieco obawiałem się, że prędzej odnajdą mnie słudzy Raiji — przyznam też, że moje serce wyrывało się do domu już od lat, odkąd zobaczyłem na Pawanie białe — złote kolumny. Kiedy więc Lope oznajmił, że zdołał skłonić Gnoma z Gildii Rękawic do zjedzenia kolacji w naszym towarzystwie, poinformowałem go, że i ja podjąłem decyzję. Krasnolud, rzecz jasna, zamiast stropić się, obdarzył mnie jednym ze swoich promiennych uśmiechów i stwierdził po prostu, że odwiedzi mnie, kiedy tylko będzie mógł, nigdy nie widział bowiem mojej ojczyzny na własne oczy. Wzruszyło mnie to do tego stopnia, że z trudem powstrzymałem cisnące mi się do oczu łzy, wyciskałem Lopego serdecznie i przyrzekłem mu, iż już niedługo się spotkamy. Jakże straszliwie się myliłem! Dziś, kiedy już tylko kilka godzin dzieli mnie od nieuchronnej śmierci, a ja, chcąc zabić czas, sporządzam te notatki ufając, że być może dzięki mej pisaninie ktoś uniknie podobnie smutnego losu, wiem już z całą pewnością, że wystawna kolacja, którą mój przyjaciel osobiście przygotował, z udziałem raptem dwudziestu podkuchennych, była ostatnią, którą wspólnie spożyliśmy. Wówczas jednak nie miałem o tym pojęcia, śmialiśmy się więc, śpiewaliśmy i przerzucaliśmy dykteryjkami w nadziei rychłego spotkania.

G n o m , który zajmował podczas naszej wieczerzy honorowe miejsce, był osobą jednocześnie niezwykłą i szalenie pospolitą.

Niezwykłość jego miała za przyczynę sam fakt bycia Gnomem, był bowiem osobnikiem wzrostu jedenastoletniego dziecka, o uroczej, łagodnej i pozbawionej zarostu twarzy i szerokich uszach, sterczących na boki, niby u gryzonia. Zbudowany proporcjonalnie nie miał w sobie nic z karzełka - przeciwnie, gdyby dorównywał wzrostem człowiekowi, wiele kobiet uznałoby go zapewne za osobnika nader urodziwego. Nosił się dziwnie, jak wszystkie właściwie gnomy — ubrany był w długą kamizelkę, zapinaną na mnóstwo klamerek, szerokie spodnie ściśnięte w kilku

miejskach paskami i najdziwniejsze buty w całym Wszechświecie — sięgające do kolan, ściśle dopasowane, w barwie krzykliwego szmaragdu i na podeszwie, liczącej przynajmniej dwadzieścia centymetrów wysokości. Oczywiście, przydawało mu to wzrostu, wydało mi się jednak dziwnie komiczne i nieomal nie na miejscu. Gnom przedstawił się imieniem Benedikt i już od progu zaczął ciekawie na mnie popatrywać — w pewnym momencie spróbował nawet obejść mnie dookoła. Lope wyjaśnił mi szeptem, że ściągnął gościa w nasze progi obiecując mu, że obejrzy prawdziwego Astończyka zmienionego w człowieka więc powinienem to przed nim udawać.

Tymczasem siedliśmy do posiłku i Benedikt już po zakąskach zaczął zadawać mi rozmaite pytania. Musicie bowiem wiedzieć, że ciekawość Gnomów, ich głód rzeczy nowych i niecodziennych, jest niemal tak nieposkromiony, jak nieumiejętność zachowania się w towarzystwie. Jeśli więc chcesz, by ktoś palnął gafę, zaproś na obiad Gnoma — z drugiej jednak strony, jeżeli chcesz opowiedzieć o swych niezwykłych przygodach, nie znajdziesz wdzięczniejszego słuchacza.

Gnom pytał mnie tymczasem o przyczyny, dla których zmieniłem kształt, a ja kłamałem jak najęty, opowiadając mu historie coraz bardziej niestworzone. W pewnym momencie rozmówca znudził się jednak wyraźnie tematem magii i bez wahania zapytał mnie o rzecz zgoła inną - przyczynę straszliwej klęski Imperium Kryształowego, zadanej mu na orbicie Pavany. Tu zdębiałem, zdałem sobie bowiem nagle sprawę, że choć wszystko to działo się na wyciągnięcie ręki, sami Astończycy nigdy o tym nie rozmawiali.

Szkody wojenne usunięto szybko i gdy kogoś pytać, w jaki sposób pobito Wyprawę Kryształową, odpowiadał niezmiennie, że Rycerze padli ofiarą odwetu — i nic ponad to nigdy nie udało mi się dowiedzieć. Wyznałem to z niemałym wstydem, ku bezbrzęznemu zaskoczeniu nie tylko Gnoma, lecz i obojga krasnoludów. Lope spoważniał nagle i zapytał, czy w ogóle wiem, co działo się w Znanym Wszechświecie przez ostatnie pięć lat. Tu przyznać się musiałem do ignorancji, Astończycy nie interesują się bowiem specjalnie życiem, toczącym się poza granicami Federacji więc nawet o tym, że otworzyła ona swoje granice i rozpoczęła wymianę dyplomatów

dowiedziałem się w dobre dwa lata po fakcie. Tutejsza kultura zwrócona jest bowiem ku przeszłości, rozmówiona w opowieściach i niewiele robi sobie z dnia dzisiejszego.

Usłyszawszy o mojej ignorancji, Lope zaczął opowiadać mi ostrożnie o zmianach, które zaszły we Wszechświecie. Okazało się więc, że Wyprawa Kryształowa została rozbita w proch, a blisko trzy czwarte Rycerzy, którzy ruszyli przeciw zwierzolidziom flotą przesłaniającą niebo pozostało na zawsze w astońskiej ziemi. Zginął Wielki Mistrz Zakonu Ziemi oraz Wielka Mistrzyni Zakonu Ognia, która do ostatniej chwili broniła Imperatora — ten również poniósł śmierć, a jego Kryształowa Ręka przepadła. Utracono znakomitą większość okrętów i dwa z trzech Krążowników, co przyjąłem z niemałym zdumieniem. Potem, ciągnął Lope, Imperium pogrążyło się w gorszym jeszcze chaosie, kiedy bowiem ja wędrowałem sobie w towarzystwie pięknej kotki i bawiłem ją historyjkami, najpotężniejszym mocarstwem wstrząsnęła krwawa wojna domowa, gdy pozbawione kontroli Imperatora Zakony rzuciły się sobie do gardeł. W wojnie tej życie stracił niepozorny Mistrz Powietrza, któremu niegdyś nalewałem wina i który zwierzył mi się ze swego strachu tuż przed wyruszeniem na Pawanę. Teraz w Imperium zapadł niepewny pokój, gigant został jednak rzucony na kolana, coraz śmielej wypowiadają się więc ci, którzy zrzucić chcą jego jarzmo — co będzie o tyle kłopotliwe, że władzę w kraju sprawuje teraz wysoki, wysuszony Mistrz Wody, którego niegdyś na moich oczach dusił Imperator, oraz wybrany Mistrzem Ziemi Cernach O Mael Muire, niegdysiejszy kapitan Krążownika, który zgniatał mnie onegdaj butem. Oczywiście, zmiany we Wszechświecie nie ograniczały się do wojny w Imperium — z niemałym zdumieniem słuchałem, że moja piękna Eirene jest teraz Cesarzową Lodowych Elfów, za męża ma jednak Gerasimosa Pagos i całe Cesarstwo powoli dzieli się na dwoje. Krasnoludy tymczasem, nie angażując się w wojnę, dokonały wyczynu po stokroć niezwyklejszego, niż wszyscy wodzowie razem wzięci, ich kapitanowie znaleźli bowiem sposób na przebycie otaczającej Znany Wszechświat Pustki i odkryli po drugiej jej stronie zamieszkane przez prymitywne istoty światy.

Gdy rozmowa zeszała na temat podróży międzygwiazdnych, poczułem swoją szansę. Najpierw zagadnąłem naszego gościa o Miasto Gnomów, ten jednak uśmiechnął się tylko i zakomunikował, iż na świecie jest wiele bardziej interesujących tematów, a

jemu samemu Miasto wydaje się dość pospolite. To jednak był tylko początek gry, choć bowiem wszystkie Gnomy ciekawe są świata, najbardziej kochają swoją ojczyznę i chętnie o niej opowiadają, o ile odkryją u słuchacza prawdziwe zainteresowanie. Zacząłem zatem zadawać szczegółowe pytania i nie minęło pół godziny, a Benedikt zaczął rozplýwać się nad wspaniałością swojej cywilizacji, która stworzyła wiele prostych rozwiązań dla kwestii, które nam, istotom mniej zaawansowanym, wciąż spędzają sen z powiek. Za każdym razem jednak, gdy pytałem o konkretny przykład, Gnom rozkładał ręce, mówiąc, że nie ma o tych sprawach pojęcia, zajmuje się bowiem nimi zgoła inna Gildia. Tak właśnie dowiedziałem się, iż społeczność miasta podzielona jest jeszcze rygorystycznej, niż rzemieślnicy z mojej ojczyzny – każdy przynależy tu bowiem do którejś z G i l d i i , a ta zazdrośnie strzeże swoich tajemnic. Niestety, poinformowano mnie przy okazji, że podróż międzygwiazdowym Miastem pozostaje poza zasięgiem moich możliwości, Gnomy nie zabierają bowiem nikogo, kto suto za podróż nie zapłaci, w ten sposób zwiększając dochody uzależnionej od kupowania jedzenia ojczyzny. Usłyszawszy to, poczułem straszliwe ukłucie zawodu, zachowałem jednak pozór wesołości i jak gdyby nigdy nic kontynuowałem rozmowę. Tymczasem gość nasz dał się namówić Lopemu do prezentacji osiągnięć swej Gildii i dobył z zawieszanej przy pasie torby osławioną Rękawicę, na widok której aż zaświeciły mi się oczy.

Wykonana była z nieznanego mi metalu, choć połyskiwały w niej i nadmetalowe włókna. Wydała mi się zbyt duża, jak na dłoń Benedikta, ten jednak założył ją bez trudu po czym pokazał, jak sprytny mechanizm pomaga mu zginać i prostować dwukrotnie większe od własnych palce. W dziwaczny przedmiot wmontowano Kryształy — jeden z nich lśnił zielonym blaskiem i, jak się domyśliłem, dostarczał Rękawicy energii, reszta zaś była dziwacznie zmatowiała.

Gnom nie chciał, rzecz jasna, powiedzieć, do czego Rękawica miałaby służyć, tu jednak do rozmowy wtrącił się Lope, zatraskując pułapkę, którą tak precyzyjnie i zupełnie bez mojej wiedzy zastawił.

Okazało się bowiem, iż Rękawica jest obiektem rekompensującym Gnomom brak zdolności magicznych i pozwala rzucać czary pod warunkiem, że te zamknięto w

Kryształe. Klejnot taki poddaje się specjalnej obróbce — szlifując go dziwacznie, od czego traci blask, a potem można posługiwać się nim, by zyskać wielokrotny dostęp do uwięzionego zaklęcia. Największym, oczywiście, minusem tej metody jest trudność pozyskania nowych czarów, większość ras pieczołowicie strzeże bowiem swoich tajemnic. Gdy to usłyszałem, wiedziałem już, co mam robić. Bez żenady wyznałem Benediktowi, iż jestem w posiadaniu potężnego zaklęcia, które umożliwia przemianę człowieka w Astończyka na tysiąc i jeden dzień. Słyszac to, Gnom aż podskoczył, nieczęsto bowiem w ręce małego ludku wpada magia o tak wielkiej mocy i wiedziałem już, że gotów jest zrobić wszystko, byle zyskać dostęp do wykradzionego z kufierka Raiji klejnotu.

Droga do domu stanęła przede mną otworem, zażądałem bowiem w zamian przewiezienia do Dziewięciu Miast, na co gość nasz przystał tak skwapliwie, iż bałem się, że od potakiwania odpadnie mu głowa. Rychło dobiliśmy targu, a Benedikt potwierdził informacje Lopego, iż do mej ojczyzny Miasto Gnomów zawinie już za dwa cykle.



Następny dzień spędziłem jak na szpilkach. Benedikt udał się do Miasta, by uzyskać od swoich przełożonych zgodę na moją podróż. Lope i Brisida zniknęli gdzieś w czeluściach ambasady zajmując się ciężącymi na nich obowiązkami, a mały Marcos cierpiał akurat na ból brzucha po zbyt wystawnej kolacji, leżał więc w łóżku i marudził, nieskory do harców. Ja spakowany byłem już o świcie, za cały dobytek miałem bowiem wszakże mą wierną Viperę, która powróciła do kształtu szabli z Dziewięciu Miast, wyglądała jednak daleko dostojniej i groźniej, a z jej rękojeści popatrywały na mnie cztery Kryształy. Przez cały dzień wykonywałem więc ćwiczenia szermiercze, błąkałem się z kąta w kat, próbowałem czytać astońskie zwoje z baśniami, od których aż roiło się w pałacu, wszystko to jednak nużyło mnie i niecierpliwiło. Miałem do tego ochotę wyjść na ulicę, by po raz ostatni odetchnąć atmosferą Astonii,



obawiałem się jednak, że wówczas złośliwy los zgotuje mi kolejną niespodziankę i w jakiś sposób uniemożliwi powrót do domu. Przez jakiś czas rozmyślałem nawet nad historią kuriera, który przez dziesięć lat błąkał się, nie mogąc znaleźć drogi do al-Maisan i dumałem, kiedy obraziłem bogów, że rzucili na mnie podobną karę. Dziś wiem już, uporządkowawszy i przemyślawszy całe swoje życie iż tułaczkę moją zawdzięczam wyłącznie swojemu brakowi rozsądku. Gdybym częściej zastanawiał się nad tym, jakie konsekwencje mogą mieć moje czyny, z pewnością nie przeżyłbym tylu dziwacznych przygód po to tylko, by usłużny kat zrąbał głowę z mojego karku, co nastąpi już za kilka godzin.

Wówczas jednak żyłem optymizmem i nadzieją, zwłaszcza, gdy do pałacu powrócił Benedikt informując, że starsi Gildii przystali na moje warunki. Była głęboka noc, ulice tętniły więc życiem i przez okno widziałem błyskające płomienie pochodni, którymi gdzieś w dole żonglował uliczny sztukmistrz. Obawiałem się, oczywiście, wyjść o tak niebezpiecznej porze, pewien, że pochwycą mnie śludzy Raiji, nie mogliśmy jednak zwlekać, Miasto odlatywało bowiem już za kilka godzin, a Gnomy słyną z tego, że nawet najpotężniejszemu władcy nie udało się zmienić raz obranego przez ich ojczyznę kursu.

Tymczasem jednak w sukurs przyszedł mi Lope, który postanowił odprowadzić mnie na pokład okrętu, ruszyliśmy więc przez ulice z pełną pompą, w otoczeniu wystrojonych i zbrojnych w halabardy strażników. I szliśmy tak, ramię w ramię, niewiele rozmawiając, lecz ciesząc się swoją obecnością, tak, jak wędrowaliśmy nie raz i nie dwa, po korytarzach i drogach najdziwniejszych światów Wszechświata, nie zdając sobie sprawy, że to ostatni nasz wspólny spacer.

W końcu dotarliśmy do miejsca, gdzie zakotwiczone krasnoludzkie okręty – Astończycy nie znają instytucji żurawia, służyła im więc w tym celu wysoka wieża. Tu uściskaliśmy się z Krasnoludem serdecznie, życzyliśmy powodzenia i w towarzystwie Benedikta wkroczyłem na pokład lekkiej jednostki, która natychmiast rzuciła cumy. Usłyszałem nad głową łopot żagli — dźwięk, który był mi kiedyś wiernym towarzyszem, lecz którego nie słyszałem do czasu, gdy opuściłem flotę Imperium i już

po chwili rozświetlone tysiącem światła, ogromne miasto al-Maisan zaczęło maleć i nikać, a nade mną otwierał się znowu bezkresny przestwór.

Miasto Gnomów wisało spokojnie na orbicie świata, a wokół niego rojno było od łódek, okrętów i astońskich bestii, kto bowiem przybył w obręb metropolii, by załatwiać interesy lub szukać egzotyki, opuszczał ją teraz, na kilka godzin przed odlotem. Ja jednak nie zauważałem owego roju przybyszów, ani nawet właściwych kształtów samego Miasta, oczy zaszyły mi bowiem mgłą wspomnień.

Ojczyzna Gnomów miała kształt okręgu, otoczonego pierścieniem połączonym z wewnętrzną częścią pięcioma mostami i w gruncie rzeczy zupełnie niepodobna była do platform mojej ojczyzny, sam jednak widok sztucznie umieszczonego na orbicie okręgu przywiódł mi na pamięć daleki, od lat nie widziany dom i sprawił, że serce moje zabiło mocniej. Zbliżając się do Miasta czułem się jak we śnie, a na obce kształty metropolii nakładały mi się znajome widoki Miasta Twarzy czy Tysiąca Kolumn. Dopiero gdy byliśmy już całkiem blisko, otrząsnąłem się na tyle, by obserwować właściwą postać wędrującego domu Gnomów. Zewnętrzny okrąg, do którego przybijały okręty, musiał być kiedyś zupełnie pusty, dziś jednak zabudowano go tyleż skwapliwie, co bez planu. Wznosiły się tu więc piętrowe oberże, domy gry i wszelkie przybytki rozkoszy, pomiędzy które wciśnięta była niezliczona ilość kramów, sklepów oraz składów, gdzie przechowywano najdziwniejsze nawet towary.

Kupcy, zarządzający tym wszystkim, tylko w części rekrutowali się z szeregów Gnomów, pozostali zaś słono płacili za przywilej pozostawania w mieście podczas podróży — choć pewien jestem, że zyski w dwójnasób rekompensowały im poniesione koszty. Po chwili przeciskaliśmy się już z Benediktem przez największy targ Wszechświata, a choć większość kramów powoli się zamykała, a ostatni kupujący pospiesznie dobijali targu, by na czas opuścić Miasto i tak roiło się tu od cudów. Widziałem zatem stragan, na którym sprzedawano autentyczne lodowe feniksy, zamknięte w złoconych klatkach, charakterystyczny budynek prawdziwego, krasnoludzkiego teatru, z którego dochodziła właśnie burza oklasków, a pierwsi widzowie wylewali się na ulice, sklep płatnerza, prezentującego nadmetalowe butły grupce poważnych Ka-Dis o futrze barwy piasku, a nawet wystrojonego w mundur

Lodowego Elfa, który najwyraźniej uczył tu skomplikowanych, elfich tańców na wcale dobrze wykonanej balowej podłodze.

Gdy przebiliśmy się do właściwego miasta, gwar i hałas targu ucichł jak ucięty nożem – i znalazłem się w zupełnie innym świecie.

Miasto, choć ludne, było zaskakująco ciche – dopiero po dłuższej obserwacji zrozumiałem, że nie widać tu żadnych zwierząt ani dzieci, które są zwykle źródłem największego rozgłosu. Ulicami biegały zajęte swoimi sprawami Gnomy, rozmawiając zaaferowanym szeptem, wszędzie więc skrzyło się od dziwacznych kolorów ich strojów.

Pomimo jednak różnic ubioru i niesamowitych fryzur, bardzo szybko odkryłem coś, co przyprawiło mnie o dreszcz – oblicza wszystkich mieszkańców Miasta były w gruncie rzeczy takie same. Choć Gnomy różniły się wiekiem, wydawało mi się, że zewsząd spogląda na mnie ta sama kobieta i ten sam mężczyzna. Benedikt najwyraźniej dostrzegł jednak jakieś różnice, co jakiś czas pozdrawiał bowiem najwyraźniej znajome osoby, informując mnie przy okazji teatralnym szeptem, że ten jest członkiem tej samej Gildii, ów zaś mieszka w sąsiednim budynku. Samo Miasto okazało się równie niezwykle, jak strój jego obywateli, o ile jednak Gnomy ubierają się niezmiernie wesoło, ich ojczyzna prezentuje się okrutnie przygnębiająco. Wszystko, na czym spoczywał mój wzrok, wykonane było z metalu ściany domów, bruk na ulicach, lśniące upiornym, zielonym blaskiem latarnie, nawet rośliny, oplatające tu mury wyczelowano pieczołowicie z połyskliwej materii. Przedmieścia nie prezentowały się aż tak smutno, składały się bowiem z parterowych i jednopiętrowych domków – w jednym z nich mieszkał Benedikt, u którego miałem się na czas podróży zatrzymać — im bliżej jednak centrum, tym budowle robiły się wyższe, a ulice bardziej przypominały ponure wąwozy. W samym centrum tego wszystkiego wznosiła się, przerastając daleko najokazalsze nawet budynki, strzelista budowla, na szczycie której zamontowano ogromnych rozmiarów zegarową tarczę, widoczną doskonale z najdalszych nawet krańców Miasta. Na podświetlanych tarczach tańczyło obłądnie siedem wskazówek, zapytałem więc mego gospodarza o ich znaczenie, a on spojrzał na mnie poważnie i oznajmił, że tego powiedzieć mi nie może.

Tymczasem, ledwie stanęliśmy na progu domu, Miastem delikatnie szarpnęło i poczułem, że podłoga drży mi pod stopami.

Oparłszy się dłonią o ścianę odkryłem, że również przez nią przechodzi delikatny dreszcz. Tymczasem niebo nad naszymi głowami pociemniało i w jednej chwili zniknęły z niego wszystkie gwiazdy – ruszyliśmy, teraz więc za jedyne go towarzysza Miasto miało czerń nieba. Rozglądałem się wokół błędnym wzrokiem, nie mogąc przyzwyczaić się do dziwacznych wibracji, Gnom jednak nie przestał ani na chwilę trajkotać, opisując mi wspaniałości swego Miasta, które zamierzał mi pokazać. Przyznaję, że niewielką uwagę zwracałem na jego szczebiot, opiewający cuda Parku Miejskiego oraz przestrzegający przed wstępem do otaczającej Zegar Dzielnicy Pierwszej, gdzie wchodzić wolno wyłącznie Gnomom, wtem jednak rzucone przez Benedikta mimochodem zdanie przykuło moją uwagę. Uniosłem rękę, prosząc, by zaniechał na moment opowieści po czym upewniłem się, że dobrze słyszałem. Gnom przytaknął — i tak dowiedziałem się, że jego praktyczni krajanie sprzedali jedną z dzielnic swego Miasta innym rasom i że wzniesiono w niej ambasady wszystkich liczących się cywilizacji, w tej liczbie, oczywiście, mojej ojczyzny. Poczułem, że do twarzy napływa mi krew, zrozumiałem bowiem, że nie będę przez całą podróż skazany na nieco męczące towarzystwo gadatliwego gospodarza. Wypytałem szczegółowo, jak dotrzeć do owej dzielnicy, po czym pomachałem Benediktowi i jak na skrzydłach ruszyłem na spotkanie rodaków.

Dzielnica ambasad okazała się najdziwniejszą chyba częścią upiornego Miasta. Jak wszędzie, i tu wszystko wykonane było z metalu, o ile jednak architektura Gnomów dobrze z tym budulcem harmonizuje, budowle właściwe innym cywilizacjom wyglądały naprawdę niecodziennie, połyskując łagodnie w świetle zielonych latarni. Szedłem szeroką ulicą, przy której umieszczono najważniejsze obiekty i nadziwić się nie mogłem, jak daleko posunąć się może właściwa Gnomom maniera kopiowania wszystkiego, co im się spodoba, lecz w sposób właściwy dla ich kultury. Nad ulicą górował bowiem strzelisty zamek o zębatych blankach i szerokim donżonie, w którym najwyraźniej mieściło się przedstawicielstwo Imperium, w jego zaś cieniu przycupnęły pałacyki reprezentantów najważniejszych kultur wchodzących w jego

skład, w tym poszukiwany przeze mnie tak gorączkowo dwór, będący żywą kopią pałacu z Miasta Twarzy – u wejścia wybudowano nawet metalowe cyprysy, a po murze pięła się stalowa winorośl. Niewiele myśląc podbiegłem do drzwi i zakołatałem w bramę – przez chwilę oczekiwałem na schodach, dziwując się metalowemu pałacowi Lodowych Elfów, aż wreszcie furta uchyliła się, ukazując zamaskowane oblicze gwardzisty. Jego strój nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości – od maski żołnierza i wieńczącej jego kapelusz koronki po złożone cholewy butów był obywatelem Miasta Twarzy, w którym spędziłem najszcześniejsze lata mojego życia. Niewiele myśląc, ucałowałem go siarczyście z radości i poprosiłem, by zakomunikowano ambasadorowi, że oto u jego progów stoi zaginiony przed laty reprezentant Dziewięciu Miast przy dworze Cesarza Lodowych Elfów, pan Marco di Mirandeo.

Wpuszczono mnie do chłodnego korytarza, gdzie usiadłem na metalowej ławie, która powinna wszak być drewniana. Czekałem tam zaskakująco krótko – po chwili zjawiła się służba, gnąc się przede mną w ukłonach i serdecznie witając w gościnnych progach przedstawicielstwa mojej ojczyzny, po czym zaprowadzono mnie do gabinetu dyplomaty. Wbrew moim złym przeczuciom, nie był on cały urządzony w metalu – choć ściany wzniesiono z tego właśnie budulca, szerokie, rzeźbione biurko, obrazy w grubych ramach, wysokie krzesła, szafy i kufry bez wątpienia przywieziono tu wprost z mej ojczyzny. Wszystko to jednak omiotłem szybkim spojrzeniem, wzrok mój bowiem, niczym magnes, ściągnęły oczy zwierzchnika tej dziwacznej placówki. Oczywiście, od naszego ostatniego spotkania minęło wiele lat i oboje bardzo się zmieniliśmy, łomot serca, które aż chciało wyrwać się z piersi, nie pozostawił najmniejszych wątpliwości. Przede mną, oparta delikatnie o szeroki blat siedzia ła Sandra Celeste, moja ukochana z lat młodzieńczych, którą miałem nieszczęście zobaczyć bez maski. Zaniemówiłem z zaskoczenia, Sandrze, mojej Sandrze, nie odebrało jednak głosu. N i m doszedłem do siebie, zakomunikowała, iż poszukiwała mnie od bardzo wielu lat i straciła już nadzieję, że kiedykolwiek zobaczy mnie znowu. Na te słowa krew uderzyła mi do głowy – miałem ochotę podbiec do niej, wziąć w ramiona, opowiedzieć o wszystkim, co mnie spotkało i zapewnić o mojej dozgonnej miłości, kobieta osadziła mnie jednak w miejscu gwałtownym spojrzeniem. Z

jadowitym uśmiezkim dodała, że teraz, gdy już przed nią stoję, może wreszcie rzucić mi wyzwanie na pojedynek, by pomścić swoją hańbę i morderstwo, którego dopuściłem się na osobie jej brata. Poczułem się, jakby trafił mnie piorun, skłoniłem jednak sztywno i zapewniłem, że ja i moja szabla jesteśmy na jej usługi. Słyszając to, Sandra uśmiechnęła się smutno, po czym nakazała mi odejść, musiała bowiem przyjąć ambasadora Lodowych Elfów. Odwróciłem się na pięcie i, wściekły, ruszyłem do wyjścia. Nim jednak do niego dotarłem, drzwi rozwarły się na oścież i do środka wszedł, jak zwykle bez zapowiedzi, Tryfillos z Koterii Dikastirio.

Nawet, jeśli Elf poczuł się równie zaskoczony, jak ja, jego Lodowa Twarz nie drgnęła nawet. Spojrzał mi w oczy mówiąc, że mamy nie zakończone sprawy, i że czeka nas w związku z tym pojedynek, następnie stracił mną wszelkie zainteresowanie. Wściekły i rozbity wyszedłem z pokoju, roztrąciłem służących, którzy chcieli odprowadzić mnie do wyjścia po czym wypadłem na ulicę. Dopiero tam zatrzymałem się i poczułem falę zalewającej mnie, czarnej rozpacz, pojmując, że przez tyle lat nosiłem na dnie serca wizerunek kobiety, która darzy mnie wyłącznie nienawiścią, i że dla niego postradałem miłość przynajmniej dwukrotnie. Wbijając wzrok w ziemię ruszyłem powoli w dół ulicy, gdy usłyszałem, że ktoś woła mnie po imieniu. Zatrzymałem się i odwróciłem powoli – po drugiej stronie szerokiej ulicy, u wejścia do pałacu będącego najwyraźniej ambasadą Astonii tłoczyła się grupka Ka-Dis, na czele której stała okutana w długi szal i naszywaną perłami chustę sylwetka aż zbyt dobrze mi znana. W jej bursztynowych oczach malował się gniew pomieszany z żalem, ja zaś nie wiedziałem, co mam jej powiedzieć.

Nagle jednak zza pleców Raiji wyłonił się jej starszy brat Tahir – dziś wiem, że w noc mojej ucieczki wezwał Raiję właśnie po to, by zakomunikować jej, że od tej pory oboje reprezentować będą Astonię w Mieście Gnomów. Młody kot spojrzał na mnie nienawistnym wzrokiem, sierść na jego karku zjeżyła się, a ogon wściekle młócił z boku na bok. Nie czekałem nawet, aż Astończyk dobiedzie bułata — wobec oczywistej przewagi liczebnej przeciwnika rzuciłem się do ucieczki. Pędziłem przez szeroką ulicę nie oglądając się za siebie, pewny, że za chwilę na plecy spadnie mi wściekły Ka-Dis, którego siostrę znieważylem tak głęboko, a w głowie kołatała mi się absurdalna myśl,

że do kompletu mych osobistych wrogów w Mieście Gnomów brakuje tylko Baetana Mac Cernach z Zakonu Powietrza.

Oczywiście, wpadłem na niego z całym impetem, skręcając za róg.



*Maska Króla Ka-Di*

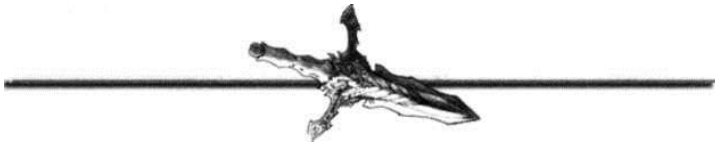




## ROZDZIAŁ DWUNASTY

*w którym Marco wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu  
trafia wreszcie do domu, za co spotyka go zasłużona kara.*

*Marco di Mirandeo*



## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Jak zwykle, zawinił mój porywczy charakter — gdybym choć chwilę posłuchał, co Benedikt ma do powiedzenia na temat ambasad, nie rzuciłbym się jak głupi do ucieczki przed Tahirem i być może uniknął spotkania z jednym przynajmniej nieprzyjacielem. Tymczasem o kolejnym zwyczaju Miasta Gnomów dowiedziałem się dopiero, gdy giermkowie Baetana podnieśli mnie z ziemi i wykręcili mi ręce za plecy. Sam Rycerz prezentował się wspaniale, miał bowiem na sobie wysadzaną żyjącymi Kryształami błękitną zbroję i takież płaszcz obrębiony srebrem, a na jego piersiach spoczywał łańcuch, oznaczający funkcję ambasadora. Spojrzał mi w twarz swoimi upiornymi, niebieskimi oczyma i zapytał, dlaczego porzuciłem go, gdy był umierający. Kiedy nie przedstawiłem odpowiedzi, orzekł, iż z przyjemnością wypatroszyłby mnie jak królika tu i teraz, prawo Gnomów zakazuje jednak przelewania krwi przez ambasadorów i ich przedstawicieli, a złamanie tego zakazu równoznaczne byłoby z wymówieniem gościny i usunięciem przedstawicielstwa władcy niepokornego dyplomaty z Miasta. Dlatego właśnie nakazał mi wybrać czas oraz miejsce, w którym będzie mógł się ze mną policzyć bez namysłu odparłem, że gdy tylko staniemy na orbicie najbliższego świata, zejdziemy na jego powierzchnię, gdzie będę do jego dyspozycji. Rycerz zaśmiał się krótko, ostrzegając, bym nie próbował sztuczek i gestem nakazał sługom wypuścić mnie z żelaznych objęć.

Droga powrotna do domu Benedikta zajęła mi długą chwilę, odkryłem bowiem, iż w mieście powtarza się kilkanaście rodzajów budynków, nic zatem prostszego, niż na dobre się tu zgubić. Wkrótce w głowie zaczęło wirować mi od identyczności — spoglądałem w niczym nie różniące się od siebie twarze Gnomów, wodziłem oczyma po powtarzających się wciąż i wciąż fasadach domów, błądziłem po ulicach krzyżujących się pod tym samym kątem — aż wreszcie, zupełnie niespodziewanie,

otworzył się przede mną Park Miejski. Stałem w pierwszej chwili jak wryty, ujrzawszy, że w tym niesamowitym, sztucznym mieście, znajduje się tak ogromna połać zieleni, potem zaś uznałem, że skoro już nogi mnie tutaj zawiodły, pora, bym przespacerował się i pozbierał myśli. Przekroczyłem żeliwną bramę wysokiego ogrodu i w mgnieniu oka wkroczyłem w inny świat. Początkowo wędrowałem wśród łagodnych wzgórz, na zboczach których rosły krzewy winorośli, zupełnie, jak na Planecie, wokół której orbitują moje Miasta. Potem jednak wysypana białym zwirem aleja skręciła raptownie i przede mną otworzyła się głęboka dolina, której zbocza porośnięte były wysokimi, srebrzystymi drzewami o igłach zamiast liści, które widziałem w Cesarskim Mieście.

To zaintrygowało mnie na dobre, wiedziałem bowiem, że nie można uprawiać ciepłolubnych winogron w tym samym ogrodzie, w którym rosną rozkochane w zimnie Lodowe Sosny, przeskoczyłem więc ogrodzenie i ruszyłem w stronę najbliższego drzewa. Bez wahania dotknąłem jego pnia – choć został wiernie skopiowany, od razu stwierdziłem, że wykonano go sztucznie. Czym prędzej wróciłem na alejkę i ruszyłem dalej, wędrując wprost z mroźnej doliny do serca dżungli, a stamtąd na pustynię, której piasek przywieziono tu najpewniej niedawno, grupka Gnomów wciąż bowiem układała go w struktury imitujące usypane przez wiatr diuny. Nie wiedziałem, czy wpaść w przestrach, czy śmiać się z przemyślności małych istotek, z jednej bowiem strony imponowały mi ich umiejętności, któż bowiem inny zdołałby wykonać tak wierne kopie prawdziwych roślin, z drugiej zaś niepokoiła wszechobecna sztuczność.

Do domu Benedikta trafiłem tym razem bez trudu, zupełnie, jakby jakaś nieznana siła, która wcześniej plątała drogę, teraz poprowadziła mnie wprost do celu. Gnoma zastałem przed domem, jak pieczołowicie wysuwał z metalowego trawnika łodygi winorośli, która obrastała front jego domu i sprawdzał Kryształy, dzięki którym metalowe pnącze rosło i zmieniało się niczym prawdziwa roślina. Na mój widok podniósł się i pomachał mi dłonią, a bogowie mi świadkami, że gdyby nie ten prosty gest, nigdy nie odróżniłbym go od dziesiątków podobnych ogrodników, choć każdy z nich ubrany był inaczej. Gnom zaprosił mnie szerokim gestem do wnętrza,

poczęstował gorącą czekoladą oraz astońskimi łakociami, po czym wypytał szczegółowo, jak podobała mi się dzielnica ambasad. Zbyt zmęczony, by bronić się przed jego ciekawością, opowiedziałem mu ze szczegółami, jak to natrafiłem na wszystkich moich nieprzyjaciół jednocześnie, a Gnom bardzo poważnie zapytał, czy zyczę sobie wziąć go na sekundanta. W pierwszej chwili wydało mi się to niedorzeczne, potem jednak uznałem, iż z braku lepszego kandydata nada się i Benedikt. Mój gospodarz zobowiązał się zatem co rychlej dowiedzieć, kiedy i gdzie Miasto zatrzyma się znowu by dostarczyć wszystkim wyzywającym informacje o dacie oraz miejscu spotkania, po czym gnomim zwyczajem raptownie zmienił temat pytając, czy chcę zostać odprowadzonym do domu.

Przez najbliższe dni Benedikt robił co mógł, bym nie pogrążył się w czarnych myślach przed zbliżającym się poczwórnym pojedynkiem i choć nie zawsze wychodziło mu to najlepiej, trzeba przyznać, że niezwykle się starał. Zaczął od pokazania mi swego domu, ponurej, metalowej budowli o ogromnie wysokich pomieszczeniach, drzwiach wznoszących się w górę na dobre trzy metry i równie okazałych oknach — zdziwiło mnie, dlaczego niewielkie Gnomy nie budują sobie przytulniejszych mieszkań, na co usłyszałem, że to problem Gildii Budowniczych. Zamieszkałem w pokoju na piętrze, gdzie ustawiono ogromne łóże z baldachimem, rzeźbione w stylu Dziewięciu Miast, czyli od dawna już nie modne, o ile bowiem jeszcze kilka lat temu Gnomy fascynowały się wszystkim, co pochodzi z mojej ojczyzny, jakiś czas temu rozpoczął się szal na Astonię i sam Benedikt spał na niskiej otomanie wśród mnóstwa złotych poduch. Każdego dnia, wspinając się na piętro, wędrowałem wzdłuż galerii ogromnych portretów, przedstawiających tego samego Gnoma, choć w bardzo różnych strojach, wnet jednak dowiedziałem się, iż ulegam złudzeniu, a każdy z obrazów przedstawia istotę z gruntu różną, jest to bowiem zbiór portretów przodków Benedikta. Wszystkie cuda domu zbladły jednak wobec najdziwaczniejszego jego lokatora, choć wciąż nie jestem pewien, czy nie trafniej byłoby określić go mianem sprzętu. Po raz pierwszy zobaczyłem domowego golema Benedikta, gdy zaserwował nam gorący obiad i z wrażeniaomalże nie spadłem z krzesła. Do jadalni wkroczył bowiem mniej więcej dorównujący wielkością człowiekowi humanoid w całości wykonany z nieznanego mi metalu i zasilany przez umieszczony w jego klatce piersiowej Kryształ. Poruszał się

dziwacznie, z nieludzką precyzją, a przy tym bez płynności, która właściwa jest żywym istotom i wykonywał w domu wszystkie niezbędne prace: utrzymywał go w czystości, gotował – przyznam, że wcale smacznie, choć bez polotu — i rozumiał proste komendy. Pozbawiony był głosu, zresztą wobec braku czucia najpewniej i tak o niczym nie chciałby rozmawiać, nigdy nie odpoczywał i snuł się po domu bez ustanku, doprowadzając mnie tym do szaleństwa, nie dowierzałem mu bowiem i uważałem samo jego istnienie za obrazę boską.

Oczywiście, wkrótce ujrzeć miałem znacznie więcej pobratymców mechanicznego sługi Benedikta, Gnom zaczął bowiem zachęcać mnie do wycieczek po Mieście i pokazywać jego rozliczne cuda – a ja z zaniepokojeniem obserwowałem sztuczne zwierzęta, wykonane na wzór prawdziwych, ogromne golemy — obrońców, idące krok w krok za wszystkimi ważnymi osobistościami i zwyczajne golemy domowe, takie same, jak zamieszkujący w domu Benedikta.

W końcu nie wytrzymałem i zapytałem, jakim cudem Gnomom udało się stworzyć sztuczne życie – gospodarz wzruszył jednak tylko ramionami twierdząc, że to sprawa Gildii MeKaniców. Nieco zniecierpliwiony, odbiłem piłeczkę i zapytałem, czym w takim razie zajmuje się Gildia Rękawic. Na to Gnom rozpromienił się i zaczął opowiadać mi o odpowiedzialnym i niebezpiecznym zadaniu, jakim jest opuszczanie Miasta i badanie tajemnic Znanego Wszechświata, którym to właśnie zajęciem Benedikt i jemu podobni się trudnią. Po cóż jednak Gnomy zbierają wiadomości o pozostałych cywilizacjach powiedzieć mi nie umiał twierdząc, że o tym mówi się na wyższych piętrach, gdzie on nie ma dostępu. Podobno jednak wyprawy służyć mają adoptowaniu najważniejszych zdobyczy cudzoziemców dla potrzeb Gnomów, by żyło im się lepiej – tę informację Benedikt zdradził mi jednak teatralnym szeptem. Nie uwierzyłem w to jednak ani przez chwilę zrozumiawszy, iż gospodarz mój pojęcia nie ma, czym tak naprawdę zajmują się jego zwierzchnicy, przebywający na tajemniczych wyższych piętrach.

Tymczasem spacerowaliśmy po mieście, odwiedzając Park i przesiadując w niezliczonych tawernach, urządzonych w stylu astońskim, gdzie na wieść, że właśnie stamtąd przybywam za każdym razem otaczał nas z mety wianuszek pilnych

słuchaczy. Czułem się przy tym trochę jak opiekun, zajmujący się dziećmi, Gnomy bowiem, mimo platformowych butów, sięgały mi najwyżej do piersi i nie potrafiły skupić się ani przez chwilę, bezustannie dopytując o różne drobiazgi lub raptownie, bez ostrzeżenia zmieniając temat rozmowy.

Trudno było im zatem opowiedzieć cokolwiek do końca, równie jednak bezowocne okazało się wypytywanie ich o intrygujące mnie niezmiernie aspekty ich własnego życia. Nikt nie potrafił powiedzieć mi, gdzie podziewają się wszystkie dzieci — dowiedziałem się tylko, że kiedy para chce mieć potomka, składa na niego zamówienie, a następnie go dostaje, co wydało mi się historią zupełnie fantastyczną, tak, jak powtarzana tu szeptem opowieść o gremlinach grasujących podobno w kanałach oraz białych jaszczurach, które sprowadzono z Astonii, a potem wypuszczono na swobodę i wciąż można się na nie tu i ówdzie natknąć.

Dodatkowo, dopytywanie o cokolwiek wiązało się z tym jeszcze problemem, iż trudno było mi wyczuć, czy aby rzucone od niechcienia sformułowanie nie spowoduje prawdziwej lawiny plotek i przypuszczeń. Szybko zorientowałem się, że każdy Gnom ma swoje własne teorie na większość niejawnych tematów, pytając więc o coś w większym towarzystwie szykować się muszę na wysłuchanie co najmniej tylu wersji, ilu Gnomów uczestniczy w rozmowie – lub większej jeszcze ich ilości, niektórzy bowiem budowali wiele przypuszczeń, niekiedy sprzecznych ze sobą. Kiedy więc pytałem o dzieci, wszyscy zgodnym chórem twierdzili, że otrzymuje się je po złożeniu zamówienia, niektórzy jednak utrzymywali przy tym, iż młode Gnomy wychowuje się w ukrytych przed światem ochronkach, inni zaś twierdzili zgoła, że produkowane są one w fabrykach, rodzaju ogromnych warsztatów, rozmieszczonych na obrzeżach miasta, gdzie poza tym wytwarzano podobno tak dziwaczne produkty, jak woda czy światło. Niektórzy wierzyli święcie, że odpowiedzi na wszystkie moje pytania — tak zadane, jak jeszcze nie wymyślone, znajdują się w na poły mitycznym Muzeum, instytucji, w której przechowuje się wszystkie pamiątki zebrane przez Gnomy podczas niezliczonych podróży. Tu jednak pojawiała się pewna niedogodność, przybytek ów znajdował się w Dzielnicy Pierwszej, do której wchodzić wolno wyłącznie Gnomom, te zaś skłonne były twierdzić, iż w przepaścistych zborach znaleźć można każdy bez

mała legendarny skarb czy artefakt. Przesiadując w kawiarniach słuchałem fantastycznych opowieści o mordercach z gorszych dzielnic, o Oddziale Remontowym, który utrzymuje Miasto w całości i walczy ze złowrogimi gremlinami, czy tajemniczej Lidze, sterującej jakoby potajemnie — zależnie od rozmówcy — jedną z Gildii, radą Gnomów, całym Miastem, a nawet Wszechświatem.

Odkrywszy, że Gnomy poruszają się w kręgu przypuszczeń i fantastycznych rojeń, w gruncie rzeczy nie mają jednak pojęcia, jak funkcjonuje ich Miasto, zaprzestałem pytań. Nie mogłem się jednak nadziwić temu, że rasa, która przybywszy w nowe miejsce maniakalnie próbuje zebrać wszystkie o nim informacje, pokornie



znosi wszechobecne tajemnice i nie zagląda na okrzyczane wyższe piętra, gdzie dostęp mają tylko wtajemniczeni. Oczywiście, spotykałem i takich Gnomów, z niepojętych jednak przyczyn właściwa całej tej rasie gadatliwość przechodziła w uporczywe milczenie ilekroć próbowałem dowiedzieć się czegoś o gnomich dzieciach, zakazie wstępu do Dzielnicy Pierwszej, znaczeniu Zegara i niezwykłym podobieństwie budynków. W końcu machnąłem więc na to wszystko ręką i przestałem wyprawiać się do Miasta, całe dni spędzając w domu i wpatrując się przez okno w czarne, puste niebo.

Koniec końców nadszedł wyznaczony dzień. Przez całe Miasto przeszedł delikatny wstrząs, a potem drżenie, które towarzyszyło nam przez cały czas podróży, raptownie ustało i w powietrzu zaległa cisza tak przeraźliwa, że aż dzwoniła w uszach.

Potem na nieboskłonie pojawiły się gwiazdy, jakby ktoś rozciągnął nad nami niebo — i oto znaleźliśmy się w układzie jednego z mało ważnych światów, w rodzaju tych, których mieszkańcy żyją z uprawy roli oraz myślistwa. Nie oznaczało to jednak, że przybycie Miasta nie wzbudziło tu stosownego entuzjazmu, i kiedy zbliżyliśmy się do

błękitno — zielonej kuli globu, z tegoż wystrzeliło ku nam kilkanaście statków, stanowiących najpewniej całą tutejszą flotę.

Tymczasem na zewnętrzny pierścień powróciło życie — stragany, zamknięte na czas podróży, znów ugiwały się od towarów, gospody otwarły szeroko swe podwoje, a w kasynach zagrzechotały kości. Ja zaś z Benediktem wsiałem do metalowej łodzi Gnomów, która poza niezwykłym tworzywem niczym nie różniła się od szalup z ludzkich okrętów, i skierowałem ku memu przeznaczeniu. Siedziałem na dziobie, ignorując tłoczące się wszędzie dookoła okręty, nawoływania marynarzy oraz okrzyki kupców, zachwalających swój towar – czułem na twarzy zimny wiatr, a w sercu przejmujący lęk.

Nie zaniedbałem wprawdzie treningów Viperą i moja technika szermiercza była bez zarzutu — szczerze mówiąc, sędzę, że byłem wówczas w życiowej formie — czekały mnie jednak aż trzy pojedynki pod rządem, a może nawet cztery, jeśli Tahir przyjął propozycję zmagania tak obcych astońskiej naturze. Nie obawiałem się też ani jego, ani Sandry, wiedząc, że sędzia pół życia spędził za pulpitem pisarza i bronią posługuje się o tyle, o ile nauczył się w dzieciństwie, dziewczyna zaś mogła wyszkolić się na wprawnego wojownika, niczym jej jednak nie ustępowałem. Prawdziwą zgryzotą był jednak dla mnie Tryfillos oraz Baetan, ten pierwszy bowiem poruszał się z gracją oraz szybkością Lodowego Elfa, w dodatku miał na swoje usługi moce czarodziejskie, drugi zaś był Rycerzem najwyższej próby, bohaterem wojennym, który o niebo przerastał mnie umiejętnościami oraz doświadczeniem, nie mówiąc już o krzepie. Oczywiście, moja broń prezentowała się daleko lepiej niż przed laty, gdy wręczył mi ją rozchichotany starzec – tkwiły w niej cztery Kryształy, klinga stała się dłuższa i masywniejsza, ostrze zabójczo ostre, a zmija wyobrażona na rękojeści rzucała wokół zadziorne spojrzenia. Usiłowałem więc obmyślić strategię walki z zakonnikiem Powietrza, myśli kotłowały się jednak w mojej głowie, a na dodatek Benedikt nie potrafił usiedzieć ani chwili w jednym miejscu, wciąż zagadywał mnie i to poważniał, przypomniawszy sobie, iż czekają nas śmiertelne zmagania, to znów rozpromieniał się na myśl, iż zaraz postawi stopę na powierzchni nie znanego sobie świata.



Miejsce, które wybraliśmy na pojedynek, miało niezaprzeczalnie wiele uroku, choć w tamtej chwili nie mogłem opędzić się od myśli, iż wszystko mi jedno, czy Baetan rozerwie mnie na strzępy wśród pięknego, czy szpetnego krajobrazu. Posadziliśmy łódź na skraju niemal dokładnie okrągłej polany, otoczonej ze wszystkich stron soczysto zielonymi krzewami, obrośniętymi okrągłymi, szkarłatnymi jagodami. Dalej wyrastała zwarta ściana drzew, których gałęzie tworzyły mur tak gęsty, iż mogłem mieć pewność, że nikt nie zaskoczy nas i nie przeszkodzi w sprawie honorowej. Wyskoczyłem z szalupy i, ku zaskoczeniu Benedikta, zdjąłem buty by przez chwilę pospacerować tam i z powrotem po miękkiej, wełnistej trawie, ciesząc się zapachem wilgotnej ziemi oraz unoszących się w powietrzu kropel rosy. Zachowanie moje wyraźnie zdegustowało Gnoma, który z wyższością zapewnił mnie, iż w jego mieście produkuje się lepszą trawę, na co roześmiałem się serdecznie i zapytałem, czy w ogóle nie rozumie piękna natury. Mój sekundant zachnął się i zaczął opowiadać mi o tym, jak bardzo przyroda go ciekawi, okraszając swój wywód uwagami na temat mechanizmów występujących — jego zdaniem — w naturze, które udało mu się do tej pory rozgryźć. Wywód ten utwierdził mnie w przekonaniu, którego nabrałem jeszcze podczas pobytu w Mieście — uznałem, że Gnomy są całkowicie odporne na piękno, a gdy już się czymś zachwycają, to dla egzotyki czy dziwaczności sposobu działania. Gdyby zatem Gnoma postawić wobec monumentalnej budowli Imperium Kryształowego czy precyzyjnie cyzelowanych rzeźb Lodowych Elfów, wyraziłby niekłamany podziw dla ich konstruktorów i z mety spróbował ich wyczyn powtórzyć, pozostałby jednak niewzruszony wobec tego, co mnie wydawało się zawsze w sztuce najważniejsze – przyjemności estetycznej.

Rozważania te znacznie skróciły czas oczekiwania, ukoili też strach i dopiero gdy ujrzałem na niebie błysk zbliżającej się łodzi przez głowę przemknęła mi myśl, że choć umrę mądrzejszy, nie uczyni mnie to mniej martwym. Obok pierwszej łodzi pojawiła się tymczasem druga, a zaraz za nią trzecia — zdziwiony, spojrzałem na Gnoma, a ten z uśmiechem poinformował mnie, że umówił wszystkich moich przeciwników na tę samą godzinę, by zaoszczędzić mi czasu i kłopotu. W pierwszej chwili wpadłem w gniew, potem jednak ustąpił on miejsca przerażeniu, o tyle irracjonalnemu, że przecież zabić mnie mogli tylko raz. Tymczasem pierwsza szalupa obniżyła lot i,

dotykając niemal wierzchołków drzew, zbliżyła się do polany. Smukły, drapieżny kształt i trójkątne żagle z mety obwieściły mi, który nieprzyjaciel przybył na miejsce jako pierwszy – nie zdziwiło mnie nawet, że Tryfillos nie czekał, aż jego sternik wyląduje, lecz wyskoczył przez burtę, lądując miękko wśród falującej trawy. Jego twarz była doskonale spokojna — patrzył na mnie przerażająco pustymi oczyma i bez słowa uniósł obie dłonie, by pokazać, że przybył uzbrojony w ceremonialną broń do pojedynków. Tymczasem nadleciała kolejna szalupa i na polanie pojawiła się Sandra w dopasowanym, nader atrakcyjnie podkreślającym jej kształty stroju, z szablą przy boku i peleryną na ramieniu. W chwilę później do dwójki tej dołączył Baetan, uzbrojony w ogromny miecz, niemal dorównujący mu wzrostem – z pewną ulgą przyjąłem fakt, iż nie ubrał Kryształowej Zbroi i zamierzał zmierzyć się ze mną za jedyną ochronę mając skórzaną kamizelkę. Jako ostatni na miejsce przybył Tahir, w złocistym turbanie i szerokim płaszczu, z lśniącym, nadmetalowym bułatem w dłoniach – towarzyszyła mu Raija, której bursztynowe oczy patrzyły na mnie ze smutkiem oraz rozczarowaniem. Niewiele myśląc, sam dobyłem Vipery, po czym przyjąłem postawę. Otworzyłem usta, by buńczucznie zapytać, czy życzą sobie zginąć na raz, czy też po kolei i wówczas wydarzyła się rzecz zgoła nieoczekiwana.

Myślę, że wszystko zaczęło się od delikatnego przemieszczenia ciała w chwili przyjmowania postawy — być może naruszyłem bosą wciąż stopą jakiś punkt o dziwnym znaczeniu lub stanąłem akurat we właściwej pozycji. Dość, że powietrze wokół mnie zafalowało, jak od upału, nagły poryw wiatru szarpnął moim ubraniem, gdy odwróciłem się ku moim przeciwnikom, odkryłem, że zniknęli niczym sen. Stałem pośrodku polany równie okrągłej, jak ta, na której odbyć się miało starcie i z pozoru wszystko wydawało się być w najlepszym porządku — jeśli, oczywiście, nie liczyć nagłego zniknięcia łodzi i wszystkich zgromadzonych, instynkt podpowiadał mi jednak, że coś jest nie tak. Nagle trawa tuż obok mnie zafalowała gwałtownie i wyłonił się z niej trójkątny łepiek stworzenia, które z braku lepszego określenia nazwać można by wiewiórką – choć było od zwyczajnej wiewiórki daleko większe i bardziej puchate. Gdy stworzonko stanęło słupka, stwierdziłem, że sięga mi prawie do piersi nie potrafiłem więc zrozumieć, jakim cudem skryło się w trawie. Tymczasem świat dookoła mnie zmieniał się coraz bardziej – czy może ja widziałem go coraz wyraźniej.

Konary drzew nie tworzyły już zbitego muru, a jagody na krzewach błyskały rozmaitymi kolorami. Nad moją głową śmignęły ptaki, wcześniej kompletnie tu nieobecne, a gdy uniosłem oczy, spostrzegłem, że na niebie nie widać już bladego okręgu Miasta Gnomów. Tymczasem wiewiórka dokładnie mnie obwąchała - nie wiem dlaczego, ale znów wydała mi się większa, i teraz spostrzegłem, że na jej grzbiecie siedzi jeździec — niewielki człowieczek o potarganych, zielonkawych włosach i twarzy ozdobionej dziwnym malunkiem. Nie różniłby się zresztą szczególnie od mieszkańców świata, na którym toczyć się miał pojedynek, gdyby nie niewielki wzrost — przysięgam, że istotka mierzyła nie więcej, niż łokieć — i przezroczyste skrzydła, złożone na plecach.

Zdaję sobie sprawę, że kiwacie teraz głowami, zarzucając mi kłamstwo i być może sądzicie, że zmyśliłem to wszystko, by nie przyznać się do tchórzostwa oraz ucieczki z miejsca pojedynku.

Tak, jak i wam, również mnie niania bajała w dzieciństwie o Faerie, zamieszkujących dziwną przestrzeń, która jest i nie jest Znanym Wszechświatem. Tak jak wy, nie dawałem wiary jej przestrogom, gdy ostrzegała, bym nie zapuszczał się w miejsca odludne, gdzie łatwo wykonać fałszywy krok i przenieść się do Wioski Faerie, cudacznego świata, gdzie nie obowiązują prawa natury a wszystko dzieje się za sprawą kapryśnej, cudacznej magii. Przysięgam wam — sądziłem wówczas, że to bajki zmyślane przez dorosłych, by dzieci nie oddalały się od domu i równie gorąco zapewniam, że w chwili, w której dostrzegłem skrzydlatą istotkę, zrozumiałem, że oto znalazłem się w tym bajkowym świecie. Zaraz też zorientowałem się, że wokół aż roi się od Faerie, a w koronach drzew oraz pomiędzy krzewami ulokowane są ich drewniane domostwa. Ludziki przyglądały mi się bacznie, z lekkim rozbawieniem, a ja stałem jak zaczarowany, boso i z Viperą w garści, nie wiedząc, co począć i jakim sposobem się ratować, w głowie kołatały mi się bowiem bajdy niani, że kogo Faerie porwą do swej wioski, nie ujrzy już Wszechświata.

Tymczasem dosiadający wiewiórki człowieczek rozpostarł skrzydła, migotliwe jak u ważki, i lekko wzbił się w powietrze, zawisając na wysokości moich oczu. Przypatrywał mi się uważnie, więc i ja nie pozostałem mu dłużny, obserwując bacznie

jego zielony strój, potargane włosy i twarz, trójkątną, dziwaczną, obcą, lecz jednocześnie w niepojęty sposób znajomą i przyjazną. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale w tamtej chwili skrzydlata istotka wydała mi się łądząco podobna do kogoś, kogo doskonale znam, choć zupełnie nie przypominała żadnej ze znanych mi istot – i sędzę, że ja również musiałem zrobić na niej podobne wrażenie, marszczyła bowiem drobne brwi, jakby ze wszystkich sił usiłowała sobie coś przypomnieć. Nagle twarz ludzika wypogodziła się. Zamrugał błyszczącymi ślepkami i nazwał mnie po imieniu. Już miałem pytać, skąd mnie zna, w tym jednak momencie Faerie uniósł dłoń i dmuchnął mi w twarz lśniącem pyłem, od którego zakręciło mi się w głowie. Runąłem na ziemię jak kłoda.

Jestem pewien, że nie straciłem przytomności, kiedy się jednak podniosłem, wokół panowała już noc. Niczym chłopiec z bajki, który spędził w Wiosce Faerie jeden dzień, a we Wszechświecie minęło sto lat, i ja wymknąłem się spod władzy czasu. Wszystkie łodzie gdzieś znikły, polana nosiła jednak wyraźne ślady walki – zryta ziemia i krzepnące plamy krwi mówiły same za siebie. Na skraju puszczy dostrzegłem ciemny kształt szalupy, ruszyłem więc w tamtą stronę, czując niesamowite osłabienie, lecz i dziwaczny spokój w duszy, tymczasem z łodzi wyskoczył Benedikt i, śmiejąc się jak oszalały, ruszył biegiem w moją stronę wykrzykując, że moja zagrywka była prawdziwie mistrzowska. Chwilę trwało, nim uspokoiłem Gnoma na tyle, by był w stanie składnie opowiadać i dowiedziałem się, że nim czterej przeciwnicy zdecydowali, który z nich uderzy jako pierwszy, ja cofnąłem się lekko i na ich oczach zniknąłem. Wprawilo to mych wrogów w nieliche zdumienie – Rycerz warknął coś o astońskich sztuczkach, na co Tahir zjeżył się i parsknął wyzywająco. Tymczasem Tryfillos obwieścił, że to z pewnością Sandra usiłuje ocalić dawnego przyjaciela, ona zaś odparowała, iż magiczne zniknięcia są domeną Zakonu Powietrza, do którego należał przecież Baetan. Nie minęła chwila, a pomiędzy ambasadorami, którzy wyruszyli ramię w ramię, by pokroić mnie na dzwonka, wybuchła regularna bitwa. Benedikt skrył się w metalowej łodzi i sponad burty obserwował, jak Baetan ugodził straszliwie Tahira mieczem, jak w jednej chwili na twarz rzuca mu się Raija, wbijając pazury w policzki i usiłując wydrapać oczy, widział też Tryfillosa i Sandrę krzyżujących ostrza. Potem wszystko potoczyło się zbyt szybko, by Gnom był w stanie

nadążyć, nim się bowiem zorientował. Lodowy Elf atakował wściekle Rycerza, a obie kobiety, odrzuciwszy broń, tarzały się po ziemi, szarpiąc za włosy i obrzucając inwektywami.

Nagle Baetan przypomniał sobie o Benedyku i krzyknął wielkim głosem, że wszystkiemu winien jest Gnom, na co ten wychylił się przez burtę łodzi, wymierzył w Rycerza swą rękawicę i wystrzelił zaklęciem, które uzyskał ode mnie. W ten sposób bitwa się skończyła i wszyscy przeciwnicy wycofali się do miasta — Raija, trzymając na kolanach głowę ciężko rannego brata, Sandra z licznymi, choć drobnymi ranami i strzaskaną maską, która ocaliła jej twarz przed pazurami Astonki, Tryfillos krwawiąc obficie z nieomal odrąbanego ramienia oraz Baetan, który pewnie nielecho będzie musiał tłumaczyć się, jakim cudem ambasador Kryształowego Imperium na najbliższe trzy lata nabawił się szpiczastych uszu i ogona.

Wysłuchałem tego wszystkiego, śmiejąc się serdecznie i wyobrażając sobie miny mych ukochanych nieprzyjaciół — w szczególności Rycerza, którego Gnom potraktował tak okrutnie. Tymczasem Benedikt zaczął gorączkowo dopytywać, jakim cudem udało mi się sztuka zniknięcia, jak długo ją planowałem i czy konieczne było, bym w tym celu zdjął buty, czego domyślił się właściwie natychmiast. Próbowałem tłumaczyć mu, że wszystko to stało się bez mojego wyraźnego udziału i że naprawdę widziałem się już trupem, to jednak nie zaspokoiło ciekawości mego sekundanta. Przez dłuższą chwilę próbował drążyć temat, potem zaś zdjął buty — zaskoczyło mnie, jak bardzo niski jest bez platformowych podeszw — i zaczął tańczyć dziwacznie po polanie, najwyraźniej próbując powtórzyć mój wyczyn. Tłumaczyłem małemu odkrywcy, że wszystko to stało się za sprawą magii, której nie da się wytłumaczyć, a wówczas Gnom spojrzał na mnie zdziwiony i zapewnił, że wszystko da się wytłumaczyć oraz opisać. I tak, od słowa do słowa, zaczęliśmy rozmawiać o kwestii, która nagle rzuciła na moje pojęcie o Gnomach zupełnie nowe światło i sprawiła, iż daleko lepiej zrozumiałem tę rozgorączkowaną, dziwną nację. Co dziwne, sam Benedikt zdawał się nie mieć o tym pojęcia, wszystko to było bowiem dla niego równie naturalne, jak pomaganie bliskim dla Krasnoluda czy sprzeciw wobec uciemnienia dla Pospolitego Elfa.

Gdyby dziś pytać mnie, czym zajmują się Gnomy, rasa międzygwiazdnych podróżników, handlarzy i badaczy, odrzekłbym, że poszukują wyjaśnienia. Ich umysł skonstruowany jest w tak niezwykły sposób, że nie znosi rzeczy niezrozumiałych – choć, gdy się nad tym zastanowić, ich kultura pełna jest kwestii niewyjaśnionych. Kiedy więc Gnom staje wobec rzeczy, z którą styczność ma po raz pierwszy, zamiast zachwycić się nią czy zdumieć, z mety zaczyna przemyślać nad jej sposobem działania, święcie przekonany, że wszystko, co istnieje na świecie, ma swoją przyczynę. Niekiedy mali badacze osiągają przy tym spektakularne sukcesy, jak rzecz ma się w przypadku niezwykłych Rękawic, które, choć stworzone sztucznie, pozwalają posługiwać się mocą przynależną wyłącznie urodzonym czarodziejom. Dlatego właśnie w Mieście Gnomów nie hoduje się roślin ani zwierząt, jego mieszkańcy uważają bowiem, że pojęli rządzące naturą prawa, potrafią więc sami wytworzyć doskonałe jej repliki, które przewyższają twory przyrody pod wieloma względami i nigdy nie zachowują się w sposób nieprzewidywany. O tym wszystkim Benedikt opowiadał mi z wielkim przejęciem, najwyraźniej sądząc, że swą szczerością skłoni mnie do wyjawienia sekretu mej sztuczki ze znikaniem oraz jej związku z bosymi stopami, nie umiałem go bowiem przekonać, iż zzułem buty dla czystej przyjemności. To wyjaśnienie nie mogło jednak trafić do Gnoma, zorientowałem się bowiem, że rasa ta w ogóle nie odczuwa przyjemności innej, niż wynikającą z rozwiązania postawionego przed ich niezwykłym intelektem problemu, a jej przedstawiciele odwiedzają park i przesiadują po tawernach nie dla zabawy, lecz by zrozumieć, cóż takiego widzą w tym przedstawiciele innych kultur.

Gdy tak rozmawialiśmy, płynąc naszą szalupą w stronę Miasta Gnomów, postanowiłem wyzyskać moment niezwykłej szczerości mego kompana i zacząłem podpytywać o frapujące mnie tak mocno kwestie, związane z jego ojczyzną. I tu czekało mnie niemałe zaskoczenie, znów bowiem przekonałem się, iż niestrudzony poszukiwacz prawdy ma bardzo niewielkie pojęcie o sekretach samych Gnomów. Raz jeszcze wyjaśnił mi zatem cierpliwie, iż o niektórych rzeczach mówi się tylko na wyższych piętrach i że by zyskać do nich dostęp trzeba wspiąć się w hierarchii Gildii. Powtórzył również, iż każda z Gildii ma własne sekrety, do których nie dopuszcza się przedstawiciele pozostałych związków, a całość zgromadzonej w wysokich budynkach

wiedzy pozostaje na usługi Rady, która Gnomami zarządza, wykorzystując wszystko, czego dowiadują się ich podwładni, by polepszyć warunki życia w Mieście. Oczywiście, okraślił te informacje niezliczoną ilością plotek i domysłów, umysł Gnoma nie znosi bowiem rzeczy niewyjaśnionych i nie mając dostępu do sekretów wyższych rangą przychodzi do niekiedy niezmiernie dziwacznych koncepcji. Usłyszawszy to wszystko uznałem, że społeczeństwo Gnomów urządzone jest iście po mistrzowsku, wiążąc dostęp do sekretów, których każdy przedstawiciel tego narodu jest tak ogromnie spragniony, z awansem w Gildii, będącym przecież wynikiem postępowania w sposób dla społeczności korzystny – gdyby więcej nacji równie umiejętnie potrafiło połączyć dobro osobiste z publicznym z pewnością Wszechświat byłby szczęśliwszy.

Mój podziw nie był jednak bezwarunkowy, w duszy zakiełkowało mi bowiem ziarnko niepokoju – kto wie, do jakich sekretów dostęp ma Rada Gnomów i w jakim celu postanowi je wykorzystać? Odkąd przyszło mi to do głowy, nie potrafiłem już spojrzeć w stronę ogromnego Zegara bez dziwaczego lęku przed zagrożeniem tyleż niesprecyzowanym, co absurdalnym.



Gdy powróciliśmy do miasta postanowiłem pozostać – przynajmniej chwilowo — w zewnętrznym jego okręgu, obawiając się, że któryś z mych wrogów może zlekceważyć gnomie prawo i spróbować wysłać mnie na tamten świat. W tłumie czułem się daleko bezpieczniej – przyznam też, że wcale nie uśmiechał mi się powrót do niesamowitego, metalowego grodu. Znalazłem więc z pomocą Benedikta wygodną gospodę, wybudowaną w stylu Dziewięciu Miast i serwującą tamtejszą kuchnię, choć jej właściciel był rodowitym Krasnoludem, a pracownicy składali się z jego mniej lub bardziej odległej rodziny. Budynek miał wysunięte piętro, trójdzielne okna wychodzące na morze kramów i straganów, największą zaś jego wadą był notoryczny tłok i ogromnie długi czas oczekiwania na zamówioną potrawę. Szczęśliwie,

wygórowane ceny noclegów sprawiły, iż niewielu przybyszów zatrzymywało się tu na dłużej, chętniej wydając oszczędności w kramach z niezliczoną ilością przydatnych i nieprzydatnych drobiazgów. I ja kręciłem się po targu, podziwiając kunszt zonglerów czy linoskoczków, wysłuchując piosenek ulicznych muzyków, oglądając zgromadzone na straganach cuda całego Wszechświata i zastanawiając się, jakie jeszcze zaskakujące wydarzenia utrudnią mi powrót do domu, przekonałem się bowiem w ciągu tych wszystkich lat, że jestem ledwie błaznem fortuny. Minęło jednak siedem dni, które Miasto spędza w układzie, stragany opustoszały, przybysze wynieśli się precz i ruszyliśmy w drogę do Dziewięciu Miast, ja zaś nie spotkałem się z żadnymi nieprzyjemnościami.

Opustoszały zewnętrzny pierścień Miasta sprawiał nader przygnębiające wrażenie. Gdy na czas podróży znikli kupujący, dziewięćdziesiąt procent straganów, składów, tawern, gospód oraz innych przybytków zamknięto na głucho, szkielety kramów sterczały więc pod bezgwiezdnym niebem niby niesamowite ruiny starożytnej cywilizacji, a wszyscy, którzy pozostawali w tym opuszczonym miejscu, przemykali pomiędzy nimi chyłkiem, jakby bali się obudzić śpiące demony. Moja tawerna również opustoszała, za co dziękowałem bogom, mogłem bowiem spokojnie spać, nie słuchając śmiechów, wrzasków ani muzyki spod podłogi. Początkowo sądziłem, że pozostanę tu jedynym gościem, rychło jednak okazało się, że gospoda służy w czasie podróży za punkt zborny dla właścicieli zamkniętych interesów - schodzili się każdego wieczora, by napić się wina, dobrze zjeść i wspominać stare czasy. Rychło zacząłem przesiadywać w ich towarzystwie, odkrywając, że wspominki tej dziwnej bandy życiowych rozbitków potrafią być niezmiernie zajmujące.

Kogóż tu zresztą nie było! W towarzystwie prym wiódł zawsze karczmarz, siwy, jednoręki Krasnolud o sięgającej do pasa brodzie, który był kiedyś pierwszym oficerem na statku wojennym i pamiętał jeszcze czasy wojny z Lodowymi Elfami, podczas której postradał rękę. Bawił nas często, relacjonując szczegóły zmagania, jeszcze zaś częściej śmialiśmy się cicho, gdy zaczynał kłócić się o przebieg zdarzeń z trzymającym się zwykle na uboczu, wychudzonym Lodowym Elfem, który zawsze nosił się w postrzępionym mundurze i wyniośle twierdził, że opuścił Cesarstwo z powodu



kobiety, choć wszyscy wiedzieli doskonale, że padł ofiarą intrygi po czym umknął, obawiając się stanąć do pojedynku. Był właścicielem największego kasyna w Mieście Gnomów i choć bezustannie kłócił się ze starym Krasnoludem, szybko zrozumiałem, że są sobie bliscy jak bracia.

Ja sam trzymałem się raczej z młodszymi – astońskim wyrzutkiem, który, zupełnie jak ja, umknął przed zaborczą kochanką i teraz handlował podrobionymi skarbami z grobowców Królów Ka-Dis, upadłą palladonną z Zakonu Ognia, kryjącą się przed zemstą porzuconych Sióstr pod przebraniem akrobatki i bezustannie poszukującą mężczyzny, który niegdyś ją zauroczył oraz Człowiekiem Bez Twarzy, podającym się za prawowitego spadkobiercę rodu Sorgente z Miasta Twarzy, co było oczywistą nieprawdą. Razem przerzucaliśmy się żarcikami, opowiadaliśmy sobie nawzajem koleje swego życia i, co zabierało nam najwięcej czasu, bezus-



tannie planowaliśmy śmiało wyprawy. Było to zajęcie do tego stopnia zajmujące, że chwilami niemal zapomniałem, że oto wracam nareszcie do domu i oczyma wyobraźni widziałem kolejne niesamowite przygody. Szczególnie nieustrudzony był w tym względzie Astończyk, który podczas każdego postoju Miasta Gnomów wypytywał pieczołowicie o wszelkie lokalne legendy oraz tajemnice, by potem z drgającym nerwowo ogonem opowiadać o zaginionych jakoby skarbach, potworach, które tylko czekają, by je pokonać, opustoszałych tronach wyglądających dziedzica i innych tego rodzaju dyrdymałach. Za każdym razem towarzysze jego zapalali się niezmiernie do kolejnych pomysłów i długie godziny rozprawiali o tym, jak pokonać szczególnie zajadłą bestię czy na co przeznaczyć zdobytą dzięki własnej przemyślności oraz odwadze fortunę. Doprawdy, musieliśmy stanowić dziwną gromadkę, zwłaszcza, jeśli doliczyć do niej Benedikta, który często wpadał do mnie z wizytą i wkrótce przyłączył się do grupy marzycieli, która przyjęła go jak swego. Gdy widziałem ich wszystkich po raz ostatni, nakłaniali mnie ze wszystkich sił, bym pozostał w Mieście Gnomów, planując bowiem ruszyć po przygody już na następnym postoju. Oczywiście,

odrzucałem ich prośbę ze śmiechem, twierdząc, że przygód wystarczy mi już na resztę życia i nie wierząc w to, że faktycznie przedsięwzię wyprawę, dziś mam jednak nadzieję, że faktycznie uganiają się wśród gwiazd w poszukiwaniu starożytnych skarbów. I że palladonna nasza przestanie wreszcie roić o tajemniczym nieznanym by zauważyć, jak bardzo zależy na niej mniemanemu dziedzicowi Sorgente, co nawet ja dostrzegałem gołym okiem.



Gdy gwiazdy powróciły na niebo, w pierwszej chwili nie chciałem wierzyć własnemu szczęściu. Rozwarłem okno na oścież – ponad lasem rosnących na zewnętrznym pierścieniu straganów, gotujących się na przyjęcie najbogatszych i najbardziej wybrednych klientów na świecie widniała, lśniąca delikatną zielenią Planeta, której kontur od tak dawna widywałem w snach! Jaśniała na tle ciemnego błękitu oraz złota, które tak dobrze pamiętałem z dzieciństwa, spokojna, dostojna i łagodna, spowita złocistym blaskiem słońca — a na tle jej tarczy wyraźnie malowały się kontury Dziewięciu Miast. Chciałem krzyczeć, śmiać się, płakać, tańczyć, oto bowiem po latach przygód powracałem do domu, przystani spokojnej i bezpiecznej, gdzie bezustannie nie będzie czaić się na mnie niebezpieczeństwo! Gorączkowo rzuciłem się do kufrów, z których wydobyłem kupiony specjalnie na okazję powrotu wystawny strój w stylu właściwym Miastu Tysiąca Kolumn — a więc błękitną tunikę, nabijaną klejnotami pas, krótką pelerynę oraz płaską czapkę, która tak bardzo śmieszyła mnie w dzieciństwie, teraz jednak wydawała się najdroższa na świecie. Dumnie przypasałem Viperę i tak wystrojony zszedłem pożegnać się z moimi towarzyszami. Odebrałem mnóstwo rad od jednorękiego krasnoluda, krótkie skinienie głowy od Lodowego Elfa — który otarł łzę, kiedy tylko się odwróciłem – wyciskałem się serdecznie z Benediktem i ruszyłem, by zaokrętować się na pierwszy płynący do Miasta Tysiąca Kolumn statek.

Gdy byłem dzieckiem, uwielbiałem podziwiać nadpływające do naszego portu okręty z ich lśniącymi żaglami i kolorowo ubraną załogą — teraz zaś, po raz pierwszy w życiu, stałem na dziobie takiej właśnie dumnej jednostki i żeglowałem w stronę domu. Wróciły mi wszystkie wspomnienia — wiedziałem, że, oglądany z zawsze zatłoczonego portu, statek mój lśni najpierw gdzieś w pobliżu odległej sylwetki Miasta Ptaków, a potem staje się coraz większy, że powoli można odróżnić i policzyć jego żagle, biegających po pokładzie marynarzy, aż wreszcie obserwator dostrzegłby mnie. Cóż myślałby chłopiec, siedzący na skraju platformy, na widok mojej ogorzałej twarzy, bogatego stroju, skrzęcej się Kryształami broni? Czy dumałby, jakie przeżyłem przygody, jakie wiatry gnały mnie z dala od domu i z czym do niego powracam? Czy, jak niegdyś ja, marzyłby o tym, by pewnego dnia samemu powrócić do ojczyzny, stojąc dumnie na dziobie okrętu? Myślałem o tym wszystkim i oczy zachodziły mi łzami, coraz wyraźniej widziałem bowiem dziwaczny okrąg mej ojczyzny, biały niczym kość i ze szczerem nie ludzki, upstrzony strzelistymi sylwetkami tysiąca kolumn o złotych zwieńczeniach.

Patrzyłem na port, zatłoczony jak zawsze, na dziwacznie małe budynki tawern, na Obrotowy Pałac, gigantyczny i milczący, jak zawsze przypominający mym rodakom o tajemniczym dziedzictwie miasta.

Potem jednak wszystkie melancholijne myśli przysły jak mydlane bańki, za plecami usłyszałem bowiem znajome komendy, a w kilkanaście minut później schodziłem już po trapie do zatłoczonego, hałaśliwego i tętniącego życiem portu. Zwyczaje moich rodaków nie zmieniły się szczególnie – jak zwykle okręt otoczyła gawiedź, ciekawa nowych opowieści, zewsząd dały się też słyszeć pytania – o Miasto Gnomów, z którego statek przecież powracał i tysiąc innych spraw. Ktoś głośno zapytał o moje imię, wyprostowałem się więc i odparłem na całe gardło, że oto Marco di Mirandeo, jedyny dziedzic szlchetnego rodu, ambasador króla Miasta Tysiąca Kolumn przy dworze Lodowych Elfów wraca do domu. Oświadczenie moje przyjęto z entuzjazmem – długo jeszcze biegły za mną dzieci, piskliwie dopytując, gdzie bywałem i jakie przeżyłem przygody.

Tymczasem jednak przebiłem się przez zwarty tłum by ruszyć w stronę nie widzianego od tak wielu lat domu, przypominając sobie przestrach, z jakim ruszałem na moją niezwykłą wyprawę. Im bardziej oddalałem się od nabrzeża tym bardziej rozumiałem jednak, że coś jest nie tak. W mieście musiały zajść jakieś zmiany – zmiany, których natury nie rozumiałem, nieuchwytnie, wyczuwalne jednak bardzo wyraźnie. Dostrzegłem, że część tawern jest zamknięta, a niektórzy moi rodacy noszą się skromniej i potulniej, niż pamiętałem. Wydało mi się również, że jedna z kolumn pęknięta jest od szczytu aż do podstawy, uznałem to jednak za grę światła, dobrze wiedząc, iż nic nie jest w stanie uszkodzić materii, z której miasto zostało wykonane. Zagłębiłem się między kolumny, czując narastające poczucie zagrożenia — przechodnie patrzyli na mnie wilkiem, dzieci szybko się rozproszyły, otoczyła mnie przygnębiająca pustka. Nagle spomiędzy kolumn wyłonił się oddział zbrojnych, co zaskoczyło mnie i całkowicie rozbiło. Na jego czele szedł, zacierając ręce jak przystało na donosiciela, człowiek, który w tłumie pytał mnie o imię. Pozostałych nie spowijały jednak czarne płaszcze gwardii królewskiej, których się w tym miejscu spodziewałem. Zamiast tego mieli na sobie brązowe opończe Zakonu Ziemi Kościoła Kryształu.

Przyznaję, że ojczyzna moja nie imponowała nigdy stałością, a wszechobecne poczucie wyobcowania, którego przyczyną jest życie pośród kolumn, nieodmiennie skłania nas do duchowych poszukiwań. Ich rezultat zaskoczył mnie jednak bardziej, niż naj—niezwyklesze cuda Wszechświata – gdy Półbracia Ziemi odbierali mi Viperę i pętali jako pachółka poprzedniej władzy, stałem bezwolny jak kukielka i nie pojmowałem, co się dookoła mnie dzieje. Dopiero później wytłumaczono mi, że kiedy ja bawiłem na wojazach, moi rodacy skłonili ucha ku słowom misjonarzy i przeżyli masowe nawrócenie. Wygnano starego króla — podobno opuścił Obrotowy Pałac, chichocząc maniakalnie i wraz z rodziną pozełgował w niewiadomym kierunku – a jego siedzibę oddano we władanie Zakonowi Ziemi, którego śludzy pojмали mnie wkrótce po opuszczeniu portu. Mieszkańcy Miasta Kolumn stali się na jakiś czas wzorem pobożności, niezachwianymi wyznawcami Kościoła Kryształu, choć nie wątpię, że wiara rozlała się tu szeroko, lecz płytko i gdy tylko miasto odkryje, iż Imperium nie daje mu odpowiedzi na bezustannie dręczące nas wszystkich pytanie o pochodzenie Miasta czy człowieka, wnet podniesie bunt. To jednak w niczym mi już nie pomoże,

ironią bowiem losu, ocalawszy cudownie z niezliczonych opresji i po wielu trudach powróciwszy do ojczyzny, zamiast do przytulnego domu trafiłem do celi w Obrotowym Pałacu — tej samej, w której piszę te słowa.

Rozprawa odbyła się niezwłocznie — po trzech zaledwie dniach postawiono mnie przed obliczem komtura w tym samym owalnym pomieszczeniu, w którym niegdyś otrzymałem Viperę. Teraz na wysokim krześle zasiadał potężnie zbudowany mężczyzna w ogromnej, czarnej zbroi i ciężkim, aksamitnym płaszczu. Na kolanach trzymał obnażony miecz, na znak tego, że sądzić będzie sprawiedliwie, szybko i bez litości, a na jego szlachetnej, orlej twarzy malował się smutek. Otaczali go Rycerze, wszyscy w zbrojach i hełmach, nie widziałem więc ich twarzy, choć jednak reprezentować mieli powagę Imperium, w mig wyczułem że nieco trwożnie rozglądają się dookoła, wymieniając szeptem niespokojne uwagi. Powód tych trosk napawa mnie dziś złośliwą satysfakcją — jakiś czas później podsłuchałem, iż Rycerze nie potrafią opanować tajemnic Obrotowego Pałacu, wciąż nie zgłębili znakomitej większości bezustannie przemierzających się komnat, a kilku z nich zaginęło w niewyjaśnionych okolicznościach. Na domiar złego, pozbawione dozoru króla miasto z dnia na dzień ma się gorzej i na kilku kolumnach pojawiły się pęknięcia. Zaśmiałem się wówczas pod nosem w mrokach mojej celi i pomyślałem, że tym samym śmiechem zanosić się musiał król, którego ród od wieków uwięziony był w pałacu, z którego najwyraźniej pielęgnował całe Miasto — teraz zaś, za jednym zamachem, pozbawiono go przytłaczającej odpowiedzialności i obdarzono wolnością. Odszedł więc, pewien, że w końcu poddani wyruszą na jego poszukiwanie, przekonany, iż jego następców Pałac zniszczy i pochłonie. Myśląc tak śmiałem się i śmiałem, aż wreszcie uderzyłem w płacz — tego jednak poranka, gdy postawiono mnie przed sądem, bynajmniej nie było mi do śmiechu.

Zeznawał przeciwko mnie, kto tylko mógł - z Miasta Gnomów sprowadzono Sandrę, która ze szczegółami opowiedziała, jak to otrułem jej brata, znaleźli się też świadkowie twierdzący, iż zdradziłem Imperium podczas Wyprawy Kryształowej. Ktoś upierał się, że usiłowałem zasztyletować Baetana, kiedy ten leżał ranny po pierwszej bitwie, sam jednak zainteresowany nie stanął przed sądem, chcąc, jak sądzę, oszczędzić sobie

wstydu. Tymczasem jak spod ziemi pojawiały się osoby opowiadające o spiskach moich rodziców, o tym, że własnoręcznie zamordowałem swą niańkę oraz Cesarza Lodowych Elfów. Chwilami miałem ochotę zaśmiać się oskarżycielom w twarz i w głowie nie chciało mi się pomieścić, że poważny i szlachetny komtur mógłby dać wiarę tego typu bzdurom.

Kiedy jednak przyszło do mej obrony, odkryłem, że przemówić mogę co najwyżej sam. Na moją korzyść świadczyć mogłaby Raija, tę jednak zraniłem i porzuciłem, zaś z zarzutu zamordowania Cesarza oczyściłby mnie na pewno Tryfillos, miałem jednak pewność, że nie stawia się przed ludzkim sądem. Oczywiście, powołałem na świadka Benedikta i ten żarliwie się za mną wstawił, jednak jego komiczny ubiór, niewielka postura i przesadne zaangażowanie sprawiło, iż wywołał na sali wyłącznie wesołość. W końcu chwyciłem się ostatniej deski ratunku, dziwiąc się, że nie wpadłem na to wcześniej, i zażądałem przesłuchania mojego wuja, Gianerasma Cavalcantie-go. Desperackie to posunięcie jeszcze bardziej mnie ośmieszyło, ledwie bowiem nazwisko mego dobroczyńcy przebrzmiało, z miejsca podniosła się Sandra informując, iż zwywany stawić się nie może, zginął bowiem przed laty z rąk przedstawicieli jej rodu, osłaniając moją ucieczkę. Słyszając to, zaniemówiłem i poczułem zalewającą mnie falę czarnej rozpacz, komtur zaś zinterpretował moje milczenie jako rezygnację z mowy obrończej. N i m zdążyłem zaprotestować wydał wyrok głosem sugerującym wielki pośpiech i z wyraźną ulgą rozwiązał trybunał.

I tak oto, nieznani mi czytelnicy, znalazłem się w obecnym po łożeniu. Komtur okazał się bezlitosny niczym miecz, który trzymał na kolanach, skazując mnie za rozliczne zbrodnie na śmierć od katowskiego ostrza. Wrzucono mnie potem do celi i spełniono ostatnią mą prośbę, dostarczając mi papier oraz inkaust, którym spisuję te słowa. Wiele czasu zajęło mi uporządkowanie chaosu swego życia



i wiele dni upłynęło mi na oczekiwaniu na nieuniknione. Przed oczami stają twarze przyjaciół oraz wrogów, kobiet, które kochałem i które kochały mnie i wiem dziś, czemu historia moja kończy się w sposób tak żałosny. Nie mogę mienić się człowiekiem szlachetnym, brak mi też zawsze było odwagi niezbędnej, by stawiać czoła przeciwnościom, oraz rozsądku, który pozwoliłby mi oceniać właściwie konsekwencje mych działań. Nie brakowało mi za to pychy, a honor zastąpiła mi drażliwość. Zdradziłem wszystkie kobiety, które obdarzyły mnie uczuciem, i przez wiele lat uganiałem się za mrzonką. Przyjaciół wykorzystałem, nie dając nic w zamian, wrogów zaś nie wyprawiałem na tamten świat dość szybko, by się od nich uwolnić. Za kilka godzin wstanie świt, gdy po raz ostatni spojrzę w słońce z wysokości szafotu ustawionego na samym skraju platformy — w tym samym miejscu, w którym przesiadywałem jako dziecko. I tak kończy się moja historia — ja, Marco do Mirandeo, przeżywszy na świecie lat dwadzieścia sześć, z czego osiem w podróży, żegnam się z wami i życzę wam wszystkim spokojnego snu.







## EPILOG

Oświecie w dniu, którym kończy się mój pamiętnik, wyprowadzono mnie z Obrotowego Pałacu i umieszczono, skutego kajdanami, w płaskodennej łodzi, jaką w moim mieście podróżują zazwyczaj szlachetnie urodzeni. Dwaj Półbracia Ziemi wzięli się do wiosła, a eskortujący mnie Rycerz usiadł za sterem. Mnie nakazano stać wyprostowanym — zresztą, i tak gotów byłem iść na śmierć z dumnie podniesioną głową i spojrzeć jej w oczy tak, jak to czynią Lodowe Elfy. Płynąłem zatem przez miasto, którego mieszkańcy stłoczyli się wzdłuż trasy, urągając mi lub rzucając słowa otuchy. W końcu jednak dojrzałem górujący nad tłumem szafot – wysoką, drewnianą konstrukcję, na której ustawiono solidny pniak. Tuż obok niego stał, wspierając się na mieczu, miejski kat, od stóp do głów spowity w czerń tak, że widać mu było jedynie oczy.

Miał ogromne, skórzane rękawice, wypucowane na wysoki połysk buty i czarną czapkę w stylu tych, które nosi się w mej ojczyźnie, najwyraźniej dla podkreślenia faktu, iż sprawiedliwość wymierza się tu w imieniu miasta, nie Zakonu.

Trzyście schodów szafotu pokonałem w zupełnym milczeniu, czując na sobie spojrzenia cisnącego się wokół tłumy oraz komtura Zakonu Ziemi i jego przybocznych, którzy usadowili się na wzniesionej specjalnie na okazję kaźni trybunie. Dwaj Półbracia i Rycerz nie odstępowali mnie ani na krok, kiedy jednak zbliżyłem się do pnia, kat dał im dłonią znak, by zatrzymali się w stosownej odległości. Komtur podniósł się z miejsca i przez tłum przeszedł szmer – tymczasem zakonnik ogłosił wszystkie moje winy, prawdziwe i wyssane z palca, po czym dał mi szansę wygłoszenia ostatniego słowa. Mnie tymczasem stanął przed oczyma Rycerz, którego egzekucji przyglądałem się przed laty w dalekiej Astonii, idąc więc w jego ślady nie wypowiedziałem ani słowa, lecz zapatrzyłem się w słońce, by po raz ostatni zasycić się zyciodajnymi promieniami.

Potem zacisnąłem powieki, ukląknęłam i złożyłem szyję na pniu. Kat bez słowa wznosił miecz i uderzył nim z całej siły. Tłum wydał z siebie przeciągły jęk.

W sekundę potem rozpętało się piekło. Precyzyjnie wymierzony cios kata nie odrąbał mi, rzecz jasna, głowy, lecz rozciął łańcuchy, krępujące dłonie. Usłyszałem znajomy głos, który kazał mi wstawać, i podnosząc się ujrzałem, jak oprawca pozbywa się maski oraz kapelusza. Teraz stało się jasne, skąd wzięło się dziwaczne nakrycie głowy – zresztą, pieczołowicie wypielęgnowane buty czy niski wzrost kata powinny już wcześniej budzić moje podejrzenia.

Czapka niezbędna była, by skryć szpiczaste uszy, pod maską krył się bowiem nikt inny, jak Straceniec, który oswobodziwszy mnie rzucał się właśnie na eskortującego mnie Rycerza, wymachując ogromnym ostrzem nad głową. Tymczasem spod szafotu wybiegła kolejna trójka moich wybawców – z niemałym zdumieniem ujrzałem, iż przeciw wbiegającym na schody gwardzistom staje upadła palladonna Cristeane oraz Averardo, samozwańczy dziedzic Miasta Twarzy, którzy najwyraźniej postanowili skorzystać z szansy i wyruszyć na poszukiwanie przygód. Trzecią postacią okazał się Benedikt, który cisnął w moją stronę Viperę, po czym ustawił się o kilka stopni wyżej, niż walcząca już ze sługusami Imperium para i zaczął razić ją ognistymi pociskami ze swojej Rękawicy. Niewiele myśląc, dobyłem broni i skoczyłem na najbliższego z Półbraci, zastanawiając się gorączkowo, jak też wykaraskamy się z tej sytuacji, zwłaszcza, że tłum zaczął pierzchać, a wszędzie zaroiło się od żołnierzy Imperium oraz Rycerzy Kryształowych. Nie mieliśmy wobec tej potęgi szans — choć wszyscy moi przyjaciele walczyli dzielnie, zmuszeni byliśmy cofnąć się na szczyt szafotu i stanąć ramię w ramię, by po raz ostatni rzucić się wspólnie na przeważające szeregi przeciwnika.

Rycerze zbliżali się do nas nieubłaganie, krok za krokiem, groźni, potężni i niepowstrzymani — wtem jednak zatrzymali się, niczym fala, i zaczęli cofać równie nieustępliwie. Nie miałem pojęcia, co się dzieje, zakrzyknąłem jednak z radości – dziś wiem, iż widok, który z konieczności przegapiłem, musiał być jedyny w swoim rodzaju.

Gdy zakonnicy wchodzić zaczęli na platformę szafotu, za naszymi plecami wyrastać jęły maszty, reje i żagle i już po chwili, niemal ocierając się burtą o platformę, na ciemnym niebie pojawił się smukły kształt Alawastra, sprytnie ukrytego dotychczas

pod powierzchnią miasta i prowadzonego pewną ręką Lopego, autora całego przedsięwzięcia. Straceniec chwycił mnie za ramię, odwróciliśmy się i, biorąc krótki rozbieg, runęliśmy całą piątką wprost na jasny pokład, Rycerze zaś i Półbracia rzucili się w zgoła przeciwną stronę, słusznie domyślając się, iż w kilka sekund po naszej ucieczce okręt wypali wprost w szafot ze wszystkich dział. Oczywiście, wściekły komtur zaczął wyrzaskiwać polecenia, nakazując natychmiast sposobić statki do pościgu, my jednak szliśmy już pod pełnymi żaglami wprost na gwiazdę, wskazującą drogę wyjścia z układu.

Z jakąż rozkoszą powitałem znajome twarze przyjaciół – Oksenia porwała mnie w ramiona i wyciskała serdecznie, Brisida ucałowała w obydwie policzki, a Straceniec mocno uścisnął prawicę — magia Kryształu najwyraźniej zadziałała, odzyskał bowiem dłoń, choć porośniętą białym futrem, przez co wyglądał, jakby przez cały czas nosił rękawicę. W końcu wyswobodziłem się z ciasnego kręgu witających i podszedłem do Lopego, który stał za sterem, uśmiechając się po swojemu. Nie wiedziałem jakimi słowami mam mu



dziękować, a on uniósł dłoń i bąknął pod nosem, że to nic takiego. Następnie uściskał mnie z całej siły po czym nakazał udać się do kajuty, gdzie oczekuje na mnie specjalna niespodzianka. Po schodkach zszedłem pełen najczarniejszych przeczuc, gdyż niespodzianki Lopego nie zawsze sprawiały mi szczególną radość i delikatnie uchylłem drzwi. Na mój widok Aigiarn, ubrana w tę samą sukienkę, w której widziałem ją po raz ostatni, poderwała się z koi, podbiegła do mnie i objęła mocno. W oczach stanęły mi łzy – a gdy dostrzegłem, że zza spódnicy dziewczyny wyłania się główka chłopaczka, który kolor włosów odziedziczył bezdyskusyjnie po mnie, poczułem po raz pierwszy w życiu, jak serce oblewa mi błogie ciepło prawdziwej miłości.

Tak oto dotarłem do granic Znanego Wszechświata, miejsca, w którym kończą się gwiazdy i rozpoczyna nieprzebyta do niedawna Pustka, pełna martwych, wypalonych

słońc. Siedzę właśnie przy relingu Alawastra, spoglądając to na rozgwieżdżone niebo za nami, to ku rozpościerającej się przed nami czerni. Znow biorę udział w szaleńczym przedsięwzięciu Lopego - i jakże cieszę się, że przyjaciel dał mi tę możliwość! Długo nie mogłem wyciągnąć z mych kompanów, jak doszło do brawurowej akcji, w końcu jednak udało mi się wziąć na spytki Brisidę. Opowiedziała mi, że kiedy znaleźli Alawastra, na jego pokładzie przebywała już Aigiarn, która umknęła przed Khojinem. Młody barbarzyńca, któremu uciekłem spod ostrza, spędził podobno całą zimę poza wioską, a gdy powrócił, w oczach miał szaleństwo. Obalił tradycyjny ład i zaczął podporządkowywać sobie plemiona, zdecydowany zapanować najpierw nas swym światem, a potem, dzięki mocy Kryształu, którą niechcący mu pokazałem, wyruszyć na podbój reszty Wszechświata.

Gdy tylko Lope rozmówił się z barbarzyńską dziewczyną i dowie—



dział, iż na pokładzie wychowuje się mój syn, natychmiast w głowie jego zrodził się kolejny śmiały projekt, do którego bez trudu przekonał Oksenię. Stąd właśnie pojawił się w Mieście Tysiąca Kolumn na pokładzie Alawastra, chcąc zabrać mnie na poszukiwanie kolejnej przygody.

Alawastr zacumował na kilka dni przed moją egzekucją i Lope rychło dowiedział się, że mam zostać stracony. Spotkał też Benedikta wraz z grupą początkujących awanturników, którzy szykowali się do akcji ratunkowej od czasu przegranego procesu, skoordynował więc ich zamierzenia. Dlatego właśnie płyniemy wszyscy, za przewodem don Almerique'a, by zmierzyć się z największą przygodą naszych czasów. Za kilka godzin przygotowujemy się do wyczynu, który udaje się tylko najlepszym krasnoludzki żeglarzom - przemierzmy Pustkę, by na własne oczy zobaczyć cuda Nowego Wszechświata, odkrytego przed dwoma laty przez śmiałe Krasnoludy. Dane nam będzie obejrzeć złote miasta, wznoszone na szczytach gór przez krwiożerczą rasę

orków, która wierzy, iż jeśli przestanie skrapiać święty gład krwią, świat czeka zagłada, wykonane z kości budowle Elfów o ciemnej skórze i białych włosach oraz wszystkie te nieprzeliczone cudowności, o których tyle się ostatnio słyszy. Być może tam uda mi się to, czego nie osiągnąłem w Znanym Wszechświecie — po latach pełnych przygód znajdę wreszcie bezpieczną przystań, w której osiadę wśród wypróbowanych przyjaciół, z kochaną żoną i synem u boku. Gwizdek bosmański daje znak, że pora sposobić się do przeprawy, kończę zatem ten list, który umieszczę w butelce i cisnę za burtę, nim Alawastr wkroczy w pozbawioną światła słońc Pustkę — i mam nadzieję, że szczęśliwy splot okoliczności sprawi, iż strony te połączą się kiedyś z dziennikiem, który pozostawiłem w Mieście Tysiąca Kolumn. Tym razem jednak, zacni przyjaciele, nie mówię wam: „żegnajcie”. Zatem – do zobaczenia!



# CRYSTALICUM

KRYZTAŁOWA GRA KARCIANA



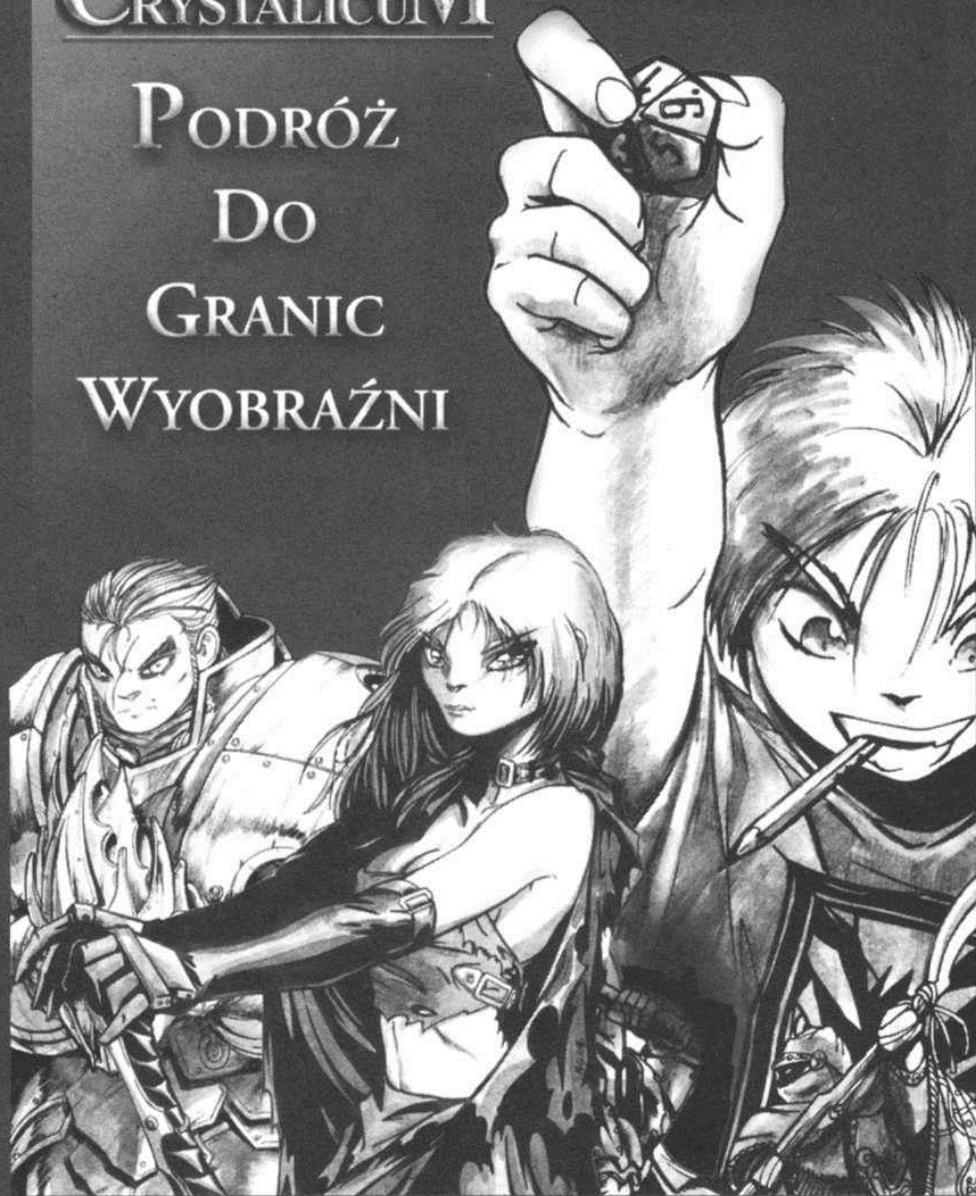
[www.crystallicum.pl](http://www.crystallicum.pl)

[www.wydawnictwoimperium.pl](http://www.wydawnictwoimperium.pl)

  
CRYSTALICUM

GRA RPG

PODRÓŻ  
DO  
GRANIC  
WYOBRAŹNI



[www.crystallicum.pl](http://www.crystallicum.pl)





Postacie z „SAIYUKI” zgodziły się wystąpić w tej reklamie za wysoką opłatą :)  
Jeżeli jednak chcesz poznać ich bliżej... wejdź na [www.waneko.pl](http://www.waneko.pl) i...

- ⇒ Zapoznaj się z ofertą
- ⇒ Zobacz gdzie można kupić nasze książki
- ⇒ Dowiedz się wielu rzeczy o firmie, mandze i fanach!

## Crystalicum: Znany Wszechświat

Ilustrowane wspomnienia pana Marco di Mirandeo  
Ambasadora Miasta Tysiąca Kolumn na dworze Cesarza Lodowych Elfów  
Podróżnika, żołnierza fortuny oraz awantuwnika;

*Książka, którą trzymasz w dłoniach, jest bramą – gdy otworzysz jej okładki, znajdziesz się w magicznym Znanym Wszechświecie. Śledząc losy głównego bohatera poznasz to niezwykle uniwersum – wraz z nim pozelegujesz na pokładzie międzygwiazdnych żaglowców, odwiedzisz miejsca cudowne i niebezpieczne, spotykając przy tym istoty o niezwykle obyczajach.*

*Twoja wyprawa do Znanego Wszechświata nie skończy się jednak wraz z zakończeniem dziejów pana di Mirandeo. Raz zasmakowawszy przygody, możesz stale w niej uczestniczyć, dzięki serii gier, rozgrywających się w uniwersum „Crystalicum”. Brać będziesz udział w wydarzeniach niezwyklejszych jeszcze, niż opisane w niniejszej pozycji. Zyskasz wpływ na losy mieszkańców Znanego Wszechświata i weźmiesz odpowiedzialność za jego przyszłość.*

*Przygotuj się zatem. Sięgając po tę książkę rozpoczynasz wielką podróż do granic wyobraźni.*

**Niewyczerpane morze informacji o Znanym Wszechświecie!  
Przygoda, która nie kończy się nigdy!**



**Cena 29,90 zł.**

ISBN 83-924154-6-9



5 908272 310030



## Document Outline

- [Przednia okładka](#)
- [Tylnia okładka](#)
- [Spis treści](#)
  - [Rozdział Pierwszy](#)
  - [Rozdział Drugi](#)
  - [Rozdział Trzeci](#)
  - [Rozdział Czwarty](#)
  - [Rozdział Piąty](#)
  - [Rozdział Szósty](#)
  - [Rozdział Siódmy](#)
  - [Rozdział Ósmy](#)
  - [Rozdział Dziewiąty](#)
  - [Rozdział Dziesiąty](#)
  - [Rozdział Jedenasty](#)
  - [Rozdział Dwunasty](#)
  - [Epilog](#)

